Ludzie z misją

Poznaj historię niezwykłych gdańskich społeczników, którzy już od 30 lat tworzą **Miejski Ośrodek Pomocy Rodzinie.**



DZIEŃ PRACOWNIKA SOCJALNEGO

AGNIESZKA CHOMIUK
DYREKTORKA MOPR

21 listopada to Dzień Pracownika Socjalnego, święto osób, które na co dzień zajmują się wspieraniem tych, którzy nie są w stanie samodzielnie pełnić swoich ról społecznych i zawodowych. I choć nasze Święto nie jest tak znane i z rozmachem obchodzone jak święta innych grup zawodowych, to dla nas ważny, szczególny dzień. Bo to czasem jedyny moment w roku, kiedy możemy się zatrzymać, pobyć ze sobą, celebrować sukcesy i powiedzieć sobie „dziękuję”.

Zmiana wizerunku pracownika pomocy społecznej potrzebna od zaraz – czyli jak nauczyć się właściwie komunikować?

Nie od dziś wiadomo, że pozytywny obraz organizacji w świadomości jej odbiorców, to warunek sukcesu funkcjonowania. Wizerunek organizacji to podstawa nie tylko w nawiązywaniu relacji z otoczeniem, ale także budowania reputacji. W literaturze można przeczytać, że autentyczny, pozytywny wizerunek wewnętrzny należy budować na ugruntowanej tożsamości organizacji, czyli organizmu składającego się z duszy, umysłu i głosu. „Dusza” to wartości organizacji. „Umysł”, to świadome decyzje i działania, zgodne z obowiązującą wizją, misją, strategią organizacji. „Głos”, natomiast to system komunikacji organizacji, za pomocą którego komunikuje wartości i prezentuje tożsamość organizacji (Baruk, 2006, s. 33-34). Zawód pracownika socjalnego to zawód z misją, ośrodki pomocy społecznej ukierunkowane są na człowieka i bazują na wartościach, a ich działania oparte są o procedury i strategie wynikające z misji organizacji. Dlaczego zatem przekonania i wyobrażenia o pomocy społecznej są nieadekwatne, stereotypowe, a prestiż zawodu nadal niski? Wniosek wydaje się prosty – to „głos” organizacji nie jest wyraźny, zintegrowany z działaniami i wartościami. Gdzieś czytałam porównanie, że pomoc społeczna to jak praca gospodyń domowych – zauważalna dopiero wówczas, gdy nie jest realizowana. O pomocy społecznej, pracownikach socjalnych mówi się wówczas, gdy jakiegoś wsparcia zabraknie, stanie się tragedia, ktoś zostanie bez pomocy. Często z przekąsem mówimy, że zaraz padnie pytanie: a gdzie była pomoc społeczna? A my odpowiadamy: tam, gdzie zawsze, na pierwszej linii, robiąc, co w naszej mocy żeby innym żyło się lepiej. Ale nie o wszystkich potrzebujących wiemy, nie do wszystkich dotrzemy i nie wszyscy przyjmą naszą pomoc. I o tej codziennej, trudnej i żmudnej pracy się nie mówi. Po ludzku to nawet rozumiem - trudno mówić i patrzeć na biedę, cierpienie, nieszczęścia. Tak to już jest, że lubimy ładne obrazki, chwytające za serce, dające nadzieję, wprawiające w dobry nastrój. A nasza praca często ociera się o beznadzieję, smutek, biedę, nieszczęścia. To nie są piękne obrazki. Ale są też inne, te na których widać przywróconą nadzieję, radość, samodzielność, sukces. Musimy odczarowywać naszą pracę i nauczyć się



Ludzie z misją – wiarygodni, budzący zaufanie, których praca ma sens i wartości, a najważniejszą z nich jest człowiek

Różne domy i różne historie – o czym mówimy, gdy mówimy pomoc społeczna

Są takie domy, w których bywamy jedynymi gośćmi. Domy, w których mieszkają ludzie pełni czułości, słów, historii, których nie mają już komu opowiadać. Jesteśmy my. Są też domy, gdzie bieda aż przytłacza, a każda, najmniejsza pomoc jest jak kubek ciepłej herbaty w mroźny dzień. Są domy, w których nas nie chcą, a im bardziej zamykają przed nami drzwi, tym bardziej czujemy, że jesteśmy tam potrzebni. Są też takie domy, do których wchodzimy z trwogą, gdzie przestraszone twarze dzieci każą reagować natychmiast, stanowczo. Pukamy do tych wszystkich domów, tak często, jak potrzeba.
Są różne historie. To historie o ludziach. Takie o samotności, które kończą się łzami wdzięczności i słowami „dziękuję". Historie o trudnościach, którym można zaradzić i pozostaje miłe uczucie sukcesu i wiara, że się da. Są też takie historie, przy których tracimy nadzieję i złudzenia, a łzy są tylko łzami bezsilności, złości i frustracji. I te historie, które już zawsze pozostaną w sercu i pamięci i będą wracały niejedną bezsenną nocą.
Są różne historie. To historie o ludziach. Takie o samotności, które kończą się łzami wdzięczności i słowami „dziękuję". Historie o trudnościach, którym można zaradzić i pozostaje miłe uczucie sukcesu i wiara, że się da. Są też takie historie, przy których tracimy nadzieję i złudzenia, a łzy są tylko łzami bezsilności, złości i frustracji. I te historie, które już zawsze pozostaną w sercu i pamięci i będą wracały niejedną bezsenną nocą.

Dlaczego misja jest tak nierozerwalnie związana z zawodem pracownika socjalnego i dlaczego należy o tym wspominać?

Dźwigać każdego dnia ciężar ludzkich problemów, pracować w permanentnym stresie, pod presją czasu, z odpowiedzialnością za ludzkie losy, a czasem życie, można tylko wtedy gdy ma się prawdziwe powołanie. To misja motywuje, dodaje sił i nadaje tej pracy sens. Gdy spróbujemy namalować ten obraz inaczej, nie poprzez podkreślanie smutku, beznadziei, biedy, frustracji, ale przez obrazy cudów, które się dzieją, szans i sukcesów, o które w tym obszarze jest dużo trudniej, to tworzymy obraz prawdziwych superbohaterów... Kim naprawdę jest dzisiejszy pracownik MOPR? - to z pewnością człowiek z misją, który w swojej pracy diagnozuje, informuje, doradza, motywuje, wspiera, rozwija, nadzoruje, animuje, dokumentuje, interweniuje i zapobiega. Na co dzień musi przyjmować najróżniejsze role: urzędnika, animatora, doradcy, mentora, coacha, interwenta, asystenta, terapeuty, badacza, analityka. Potrzeba ogromnej wrażliwości, empatii, odporności psychicznej, wiedzy i komunikatywności by się w tych wszystkich rolach, obwiązkach i zadaniach odnaleźć.
Zależałoby nam aby Miejski Ośrodek Pomocy Rodzinie i nasi pracownicy byli postrzegani jako: **Ludzie z misją** – wiarygodni, budzący zaufanie, których praca ma sens i wartości, a najważniejszą z nich jest człowiek; **Profesjonaliści**, wykształceni, kompetentni, pracujący zgodnie z uprawnieniami i możliwościami; **Kreatorzy**, poszukujący rozwiązań, innowacji, gotowi do wychodzenia poza podstawowy zakres obowiązków; **Kompetentni cyfrowo**, nowocześni, elastyczni, gotowi na zmiany; **Wszechstronni**, prowadzący procesy w oparciu o szeroką wiedzę, z wykorzystaniem różnorodnych narzędzi pracy, talentów i zasobów.

Co nam daje praca z misją?

Przede wszystkim radość z pomagania. Poczucie, że nasza praca, ma rzeczywisty sens, a na końcu każdego działania jest człowiek. To praca, która rozwija, buduje kompetencje i pozwala być z ludźmi i dla ludzi.



LUDZIE Z MISJĄ

TO NIE JEST AUTOSTRADA

MAŁGORZATA NIEMKIEWICZ
DYREKTORKA MOPR
W OKRESIE 1.08.2016 – 31.07.2022

30 lat to sporo czasu, sporo pracy i wyzwań. To także okrągła okazja do podsumowań i refleksji. „Udało nam się polepszyć warunki pracy – jesteśmy na finiszu remontów i przenoszenia siedzib Centrów Prac Socjalnych, skracamy dystans między organizacjami pozarządowymi, a nami. Wchodzimy tam, gdzie inni nie dają sobie rady, służymy narzędziami i wszelką pomocą dla organizacji. Wytyczamy pewne kierunki, ale staramy się też słuchać tych, którzy są naszymi partnerami. To nie jest tak, że tylko dajemy i wymagamy, staramy się być blisko.” – podkreśla Małgorzata Niemkiewicz – dyrektorka MOPR.

W pomocy społecznej pracuje całe życie. Wcześniej przez dwadzieścia lat pracowała w gdańskiej „Caritas”. Przyszedł czas, że chciała pójść dalej, rozwinąć skrzydła kariery zawodowej i podjąć nowe wyzwania. Wtedy właśnie pojawił się konkurs na stanowisko dyrektora Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie w Gdańsku. Spróbowała, wystartowała. Zmieniła instytucję, ale wciąż pracuje dla drugiego człowieka.



TROCHĘ HISTORII

Pierwsza „Ustawa o opiece społecznej” uchwalona została w Polsce w 1923 roku i stała się początkiem państwowego systemu opieki zdrowotnej. Wprowadzony został obowiązek udzielania świadczeń z funduszy publicznych. Ustawa ta przetrwała ponad pół wieku. Pracownicy socjalni mieli siedziby w przychodniach rejonowych, a opieka społeczna była głównie kojarzona z zabezpieczeniem potrzeb bytowych, świadczeniami finansowymi i zapewnieniem opieki (usług) osobom chorym i niepełnosprawnym.

W 1990 r. po wprowadzeniu zmian w systemie zabezpieczenia społecznego pomoc społeczna została wyłączona ze struktur służby zdrowia i podporządkowana Ministerstwu Pracy i Polityki Społecznej. Zasady funkcjonowania pomocy społecznej określone zostały w ustawie z 29 listopada 1990 r. o pomocy społecznej. W ustawie położono nacisk na rozwój form pomocy niematerialnej, wprowadzona została praca socjalna oraz różne formy poradnictwa. System pomocy społecznej objął pomoc środowiskową w miejscu zamieszkania oraz pomoc instytucjonalną.

Ustawa określiła zadania realizatorów pomocy społecznej – państwa i samorządów terytorialnych.

Do realizacji celów pomocy społecznej na szczeblu lokalnym zostały utworzone w 1990 r. ośrodki pomocy społecznej.

01.07.1990 r. rozpoczął działalność Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej w Gdańsku przy ulicy Nowe Ogrody 28/29 (dawna ul. Świerczewskiego) i od tego czasu wielokrotnie zmieniał swoją lokalizację.

Kolejne siedziby znajdowały się przy ulicy Dyrekcyjnej 5, Grodzkiej 20, Placu Gustkowicza 2 (budynek zaadaptowany po żłobku), Marynarki Polskiej 134a (budynek zaadaptowany na pomieszczenia biurowe po kotłowni), wreszcie przy ulicy Leczkowa 1a.

W latach dziewięćdziesiątych zostały także utworzone cztery Filie:
Filia nr 1 przy Alei Wojska Polskiego 10, Filia nr 2 przy ulicy Wajdeloty 28 A, Filia nr 3 przy ulicy Powstańców Warszawskich 3, a następnie przy ulicy Dyrekcyjnej 5, Filia nr 4 przy Alei Wojska Polskiego 10, alei Grunwaldzkiej 505, ulicy Gospody 7 i ulicy Lecha.

Od 1991 roku ośrodek pomocy społecznej realizował Eksperyment Gdański zainicjowany przez zespół socjologów Uniwersytetu Gdańskiego. Został on zaakceptowany przez Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej, Wojewódzki Zespół Pomocy Społecznej oraz Prezydenta Miasta Gdańska. Opracowano koncepcję zmiany modelu pracy socjalnej, której głównym założeniem było utworzenie autonomicznych zespołów pracy socjalnej, dostosowanych rejonizacyjnie do administracji osiedlowej. Były one podległe bezpośrednio dyrektorowi MOPS. W ramach Eksperymentu stworzono także warunki do samodzielnej działalności pracowników socjalnych w zakresie rozwiązywania problemów podopiecznych w ramach obowiązujących przepisów. Chodzilo o to, aby skrócić okresy rozpatrywania spraw i dać większą samodzielność pracownikom. Powstało wtedy 28 Zespołów Pracy Socjalnej.

W następnych latach powstawała kolejna filia, która w 2011 roku została przemianowana na Centra Pracy Socjalnej, co związane było ze wzrastającą liczbą osób wymagających wsparcia.

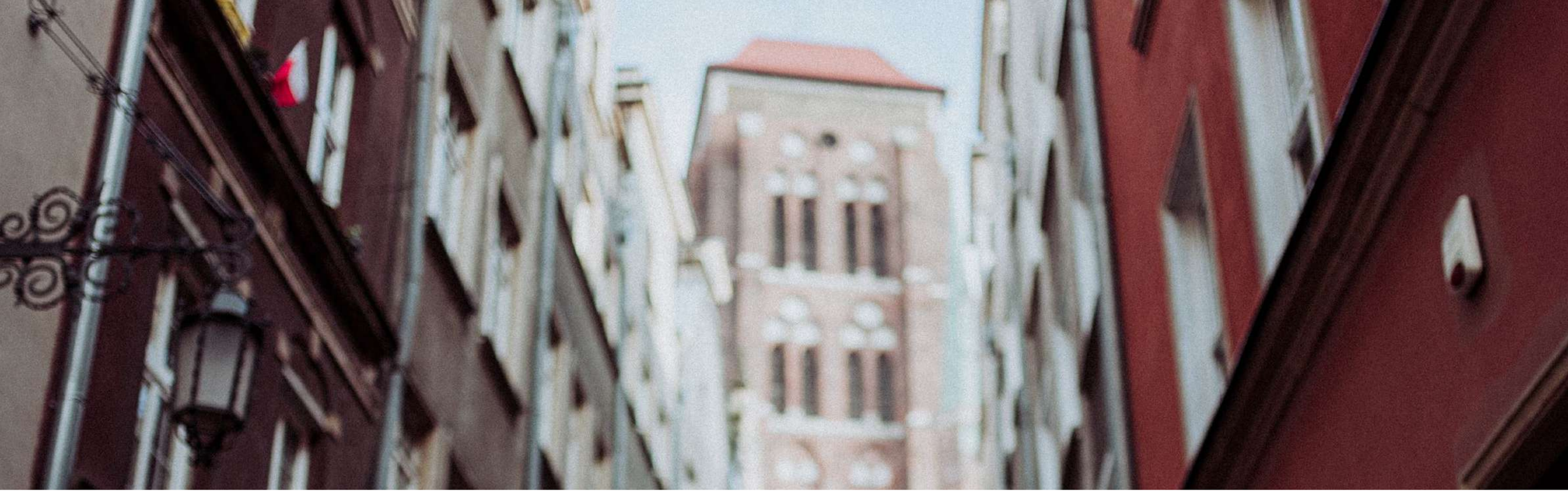
LUDZIE Z MISJĄ

PRZYSZEDŁ ROK 2016...

1 lipca z Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie wydzielono Gdańskie Centrum Świadczeń. MOPR mógł wreszcie skupić się przede wszystkim na pracy socjalnej. Cała kwestia finansowa, czyli przyznawania dodatków, świadczeń rodzinnych itp., przeszła do GCŚ.

Miesiąc później, nową dyrektorką MOPR-u została Małgorzata Niemkiewicz. Zaczęła wdrażać nowy system pomocy. „Powstało kolejne – dziewiąte – Centrum Pracy Socjalnej, zmieniliśmy organizację wewnętrzną, nazwy działów. Zależało mi na tym, aby każdy pracownik potrafił pracować z każdym potrzebującym. Bez podziału – ten z bezdomnymi, ta z niepełnosprawnymi. Zależało mi też na tym, aby pracownicy nie byli już przypisywani do konkretnych rejonów Gdańska (ulic), jak to było do tej pory. Powód? Możliwość szybkiego zastąpienia danego pracownika w sytuacji choroby, nieobecności" - mówi Niemkiewicz.
– Co jest Pani sukcesem? – pytam
– Zespół oparty o wzajemne zaufanie i dobre relacje. 500 osób to ogrom ludzi, jak pójdą ramię w ramię, to w skali miasta można góry przenosić. Dziś jesteśmy elastyczni, umiemy ze sobą rozmawiać, lubimy się tak po ludzku. Te relacje są sukcesem, który przekłada się na odczarowywanie myśli o pomocy społecznej. Większość osób ma o nas złe zdanie – ja też przyznam, że miałam takie przed laty. I przyszłam do tej pracy trochę na przekór samej sobie. Dziś wiem, jak moje zdanie było krzywdzące dla ludzi, którzy wkładają serce w swoją pracę.

Rozwijamy się i uczymy małymi krokami. To nie jest autostrada, po której robisz kilkaset kilometrów i wiesz, że je zrobiłeś. To jest ciągłe „bycie w procesie".



NAPISZMY KOLEJNY ROZDZIAŁ ...

GRZEGORZ SZCZUKA
DYREKTOR WYDZIAŁU ROZWOJU
SPOŁECZNEGO URZĘDU MIEJSKIEGO
W GDAŃSKU

PRZYSZŁOŚĆ TO WYZWANIA

Mówiąc o przyszłości, myślimy o zmianach i wyzwaniach. Zmiany potrzebne są w systemie ustawodawczym. Mam tu na myśli ustawę o pomocy społecznej, która jest poza naszym zasięgiem, bo odbywa się na poziomie państwa. Na pewno potrzebne jest jednostkowe i indywidualne podejście do naszych klientów. Ale to już się dzieje....

W Gdańsku powstał program mieszkalnictwa społecznego, który oferuje wsparcie grupom wykluczonym ze względu na kryzys bezdomności, choroby psychiczne czy nałóg. MOPR jest udziałowcem tego programu. I to jest przyszłość.

Wyzwaniem dla Ośrodka Pomocy Rodzinie będą na pewno osoby w wieku dojrzałym – późno senioralnym, które będą wchodziły w obszary mniejszej mobilności, ze względu na przykład na rozmaite choroby. W tej chwili ustawa każe nam pytać, ile taki senior zarabia, bo musi się wpisać w niskie kryterium dochodowe. Myślę, że przy starzejącym się społeczeństwie przyjdzie taki czas, że będziemy musieli rezygnować z tego kryterium dochodowego i realnie pomagać.

Negatywne myślenie o pomocy społecznej nie zmieni się od razu. Podjęliśmy jednak strategiczne kroki: nie ma już rozdawnictwa pieniędzy, bo z MOPR-u zostało wydzielone Gdańskie Centrum Świadczeń, które zajmuje się zapomogami. Po drugie kilka lat temu zmieniliśmy nazwę - z Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej na Miejski Ośrodek Pomocy Rodzinie. Staramy się uciekać też od słów „pomoc społeczna” i „opieka społeczna”, mówimy nie o pomaganiu i opiece, a raczej o wsparciu. Pojawiło się hasło przewodnie MOPR: „Nasze wsparcie – Twoja samodzielność”. Odmieniliśmy też przestrzenie – dokonujemy modernizacji miejsc, w których pracuje MOPR – to nie może być barak, do którego idzie się jak za karę, to musi być miejsce mobilizujące do działania. Następnym naszym krokiem jest cyfryzacja pracowników socjalnych – chcemy, aby mieli do dyspozycji tablety, które sprawią, że praca będzie szybsza i sprawniejsza. Wszyscy przecież wiemy, że biurokracja nie rozwija, a zabiera sporo czasu. Chcemy, aby pracownicy mogli jak najwięcej tego czau poświęcić wsparciu ludzi, którzy tego potrzebują

ODDAJĘ CAŁĄ SIEBIE INNYM LUDZIOM

ANNA LIBISZEWSKA

Kiedyś chciałam zostać kierowcą autobusu, albo tira. Uwielbiam prowadzić samochód. Wiąże się też z moją potrzebą kontroli tego, co robię. Niestety życie zweryfikowało moje zapędy i moje marzenia, bo zachorowałam. Pojawiła się niepełnosprawność, niedoskonałość, a może po prostu szczególne potrzeby, bo chyba tak wolę o tym mówić.





Czuję, że mam taki dług wdzięczności, że coś muszę oddać innym. Ten Pan na górze chyba taki właśnie miał pomysł na moje życie.

Kiedyś chciałam zostać kierowcą autobusu, albo tira. Uwielbiam prowadzić samochód. Wiąże się też z moją potrzebą kontroli tego, co robię. Niestety życie zweryfikowało moje zapędy i moje marzenia, bo zachorowałam. Pojawiła się niepełnosprawność, niedoskonałość, a może po prostu szczególne potrzeby, bo chyba tak wolę o tym mówić. Gdyby nie MOPR, mogłabym zajmować się zwierzętami. W domu mam niesłyszącego kota i niewidomego psa. Starego, po wielu przejściach i operacjach. Domową bandę mam raczej schorowaną – śmieje się Pani Ania.

- A to poczucie kontroli przekłada się na pracę? - dopytuję.

- Na stanowisku kierowniczym pewnie tak. Mam na myśli jakość i standardy pracy. Natomiast cały czas ćwiczę i przekonuję samą siebie, że trzeba trochę odpuszczać i mieć zaufanie do ludzi, pozwolić im spojrzeć po swojemu. To jest trudna sztuka, ale myślę, że mi się to udaje.

- Ale taka kontrola w interwencji kryzysowej to chyba też jest słowo klucz – nie odpuszczam.

- Czy słowo klucz, to nie wiem, ale na pewno chodzi też o kontrolę nad własnymi emocjami, planowaniem, kontrola nad tym, co może pójść nie tak, bieżące monitorowanie tego, jak sprawy się układają, czy coś wychodzi nam poza normy, poza to, co sobie założyliśmy.
Trochę się to wiąże.

Pani Anna trafiła do Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie bardzo świadomie, mam wrażenie, że po różnych doświadczeniach życiowych i zawodowych wiedziała, czego chce. Pracowała w sieci McDonald's – na różnych stanowiskach - od sprzątania po prace na stanowisku kierowniczym. Potem zaczęła pracować w bankowości, sprzedawała kredyty, lokaty, inwestycje.

Pani Anna ceni sobie swój zespół pracowników. Lubi ich, tak po ludzku. Uważa, że to ona – kierowniczka – jest w pracy dla nich, a nie odwrotnie. Wszyscy i tak grają do jednej bramki- - pomagają tym, którzy tej pomocy potrzebują.



- Bardzo łatwo jest namówić klienta na kredyt, pracując na jego potrzebach, no bo na tym to się przecież opiera. Ale co z tego, jeśli w konsekwencji zawiązujemy komuś pętlę na szyi, tak mówiąc kolokwialnie. Ktoś może popłynąć, biorąc kolejną pożyczkę, kolejny kredyt. Nie o to chodzi.

Widziałam ludzi zadłużających się kolejny raz, biorąc kolejny kredyt czy kolejną pożyczkę, żeby spłacić swoje zobowiązania. Stwierdziłam, że to chyba nie jest to, co chciałabym robić. Chciałabym pomagać ludziom, robić dla nich coś fajnego, coś dobrego, coś, co może zmienić ich życie. Czuję, że mam taki dług wdzięczności, że coś muszę oddać innym. Ten Pan na górze chyba taki właśnie miał pomysł na moje życie.

- Sama też doświadczyłam wielu kryzysów i dramatów życiowych. Całej gamy, od przemocy i problemów w rodzinie z alkoholem, po samotne macierzyństwo. Dotykały mnie też sytuacje związane z biedą, z ubóstwem. A jednak zawsze spotykałam na swojej drodze kogoś, kto wyciągał do mnie rękę. Być może dlatego właśnie czuję tę potrzebę niesienia bezinteresownej pomocy drugiemu człowiekowi w najróżniejszych kryzysach.

nie, trochę stacjonarnie. Przyszedł ten mój pierwszy dzień pracy zdalnej, a z nim... atak padaczki. W szpitalu okazało się, że mam guza mózgu.

- Zostałam bardzo szybko operowana i skończyło się dobrze, choć przez jakiś czas byłam mocno ograniczona, nie chodziłam, gorzej mówiłam, miałam problemy z pisaniem, trochę podupadł mi wzrok. Można powiedzieć, że byłam całkowicie zależna, bo i karmiona, ale też wymagałam opieki pielęgniarskiej.

- Czy wtedy mogła Pani liczyć na pomoc kolegów i koleżanek z pracy? - pytam.
- Tak. Od pierwszych minut tego kryzysu miałam osoby bliskie, które gdzieś tam czuwały nade mną. Mój cały zespół pisał, dzwonił, dopytywał, usłyszałam wiele słów otuchy, wsparcia. Dyrekcja MOPR-u, nie ukrywam, nie jest to żadna wazelina, zapewniała o tym, że tyle czasu, ile będę potrzebowała, to tyle czasu mam zdrowieć i dochodzić do siebie.

Zastanawiam się, kiedy Pani Anna poczu-

Pani Ania podkreśla, że jej sytuacja życiowa nie pozostała bez wpływu na sposób postrzegania pracy socjalnej. Ponieważ sama przeżyła różne historie, patrzy inaczej na problemy swoich klientów. Wie, jak ich traktować, jak z nimi rozmawiać, jak się nad nimi pochylić.

- Myślę, że to wszystko jakoś mnie tak trzyma z MOPR-em i to jest powód, dla którego tutaj jestem – dodaje z pewnością w głosie.

Pani Anna przeszła ciężką chorobę, o której dzisiaj potrafi opowiadać bez tabu. Wszystko działo się w momencie, kiedy powstawał Ośrodek Interwencji Kryzysowej.

- Budowaliśmy ośrodek, dokładaliśmy nowe działania, poszerzaliśmy ofertę. Nagle przyszła pandemia, zaczęliśmy pracować w hybrydowej formule trochę zdal-





ła chęć i potrzebę powrotu do pracy.

- Ktoś z mojego zespołu zadzwonił do mnie i zapytał o jakieś hasło. I wtedy tak sobie pomyślałam: kurczę, jednak jestem im potrzebna, robią wszystko, wszystko działa, ale jednak w sytuacji podbramkowej wykonali do mnie telefon. I to był chyba taki impuls do szybkiego powrotu do zdrowia i do zaparcia się, żeby wrócić do pracy. Pamiętam, że jak poszłam na wizytę kontrolną do lekarza już po wyjściu ze szpitala, to pan doktor zaproponował mi kontynuację zwolnienia. Absolutnie się na to nie zgodziłam. Powiedziałam żartobliwie, że jeszcze tydzień w domu i ja zwariuję, wylądуję w szpitalu psychiatrycznym.

Pytam Panią Anię o trudny moment, związany z wykonywaną pracą, w interwencji kryzysowej.

- Tych momentów było bardzo dużo i każda sytuacja była szczególna, każda gdzieś tam utkwiła w pamięci, ale może wspomnę o takim jednym, chyba najbardziej ulubionym moim podopiecznym. To był taki staruszek, który mieszkał na działkach na pograniczu Gdańska w takiej budce, która była bardziej drewutnią. Mieszkał tam zupełnie z wyboru, schorowany, na bardzo silnych lekach. Opowiadał, że kiedyś w młodości był żołnierzem i podczas ćwiczeń ktoś go postrzelił. Faktycznie miał taki ubytek w czaszce i to spowodowało neurologiczne następstwa. Ale pan był przeuroczy, przygarnął psa, takiego bezdomniaka, którego ktoś przywiązał przy bramie schroniska. Więc my na rzęsach stawaliśmy, żeby pomóc panu Zygmuntowi. Zabezpieczyliśmy go finansowo, ale nie chciał się wyprowadzać z działki. Twierdził, że nie zostawi zwierzęcia. To było trudne, że nie chciał się zdecydować, a jednocześnie bardzo mnie tym ujął.

- Miał taką pasję, że chodził po różnych śmietnikach, kramach, stoiskach, straganach, gdzie wyszukiwał figurki z mosiądzu. I to były figurki najróżniejszych zwierząt. I kiedyś, to było na początku mojej pracy w MOPR-ze, sprezentował mi sło-nika. Takiego małego, mówiąc, że on ma mi przynieść szczęście. Zawsze mi przypo-mina o Panu Zygmuncie.

- Kiedyś Pani zwątpiła w sens tej pracy?

- Nie było ani minuty, żebym zwątpiła. Mogłam być zmęczona, mogłam mieć dużo obowiązków, ale nigdy nie zwątpiłam. Ta praca to chyba moje życie.

Nie wiem, czy potrafiłabym żyć inaczej. Ja po prostu kocham tę robotę. Mogę się tu spełniać, mogę robić coś dla innych. Czuję się potrzebna. Każdy dzień to nowe wyzwanie. Interwencja ma taką specyfikę, że działamy szybko, na tu i teraz. I ten efekt pracy widać natychmiast. Trzeba być elastycznym, ale i szybkim w podejmowaniu decyzji. Trzeba umieć radzić sobie ze stresem, z tymi trudnymi sytuacjami.

- A w jaki sposób odreagowuje Pani ten stres?
- Po trudnym dniu pracy wracam do domu i mówię do męża, że muszę sobie poszydełkować. Z szydełkiem historię zaczęłam dzięki mojej pierwszej koordynatorce z MOPRu i koleżance od wspólnych podróży.

-A co jest dla pani najważniejsze w życiu?
- Dobro drugiego człowieka, ale nie w takim kontekście, że chciałabym dostawać tylko dobro od ludzi. Chodzi o to, żeby drugiemu człowiekowi było dobrze, żebyśmy nie musieli mówić na odczepne: słuchaj, wszystko będzie dobrze. Tylko żeby to dobro się działo, żeby każdy był szczęśliwy mniej lub bardziej, żeby spełniały się te marzenia małe i duże. Nawet mamy w Ośrodku Interwencji Kryzysowej takie powiedzenie, że trzeba uważać o czym się tam marzy, bo to marzenie może się spełnić...

ZAWSZE CHCIAŁAM MIEĆ DUŻĄ RODZINĘ

WIESŁAWA BUKSIŃSKA

Rozmowę z Panią Wiesławą poprzedza oglądanie zdjęć. Na jednym z nich moja rozmówczyni się zatrzymuje i uśmiecha...



Rozmowę z Panią Wiesławą poprzedza oglądanie zdjęć. Na jednym z nich moja rozmówczyni się zatrzymuje i uśmiecha...

- Byliśmy wczoraj z Kubą nad morzem. To jest nasz wychowanek, który jest u nas od urodzenia i ma w tej chwili dwa lata i siedem miesięcy. Chodził po piasku, jak po polu minowym. Delikatnie. Lubi się bawić, bardzo lubi dzieci, uwielbia dzieci. Mamy jeszcze trójkę dzieci w domu.

Na tym zdjęciu Kuba siedzi za jednym chłopcem. Obok jest jeszcze ktoś.

- To są dzieci, które są teraz w placówce opiekuńczej. Były u nas przez 2,5 miesiąca, bo wiadomo, że tylko na chwilę do nas przychodzą. Trzeba było je szybko zabezpieczyć. Z interwencji. Wczoraj pojechałam z Kubą odwiedzić dzieci w placówce. Chodziliśmy po Gdańsku, pojechaliśmy sobie na plażę, potem odwiozłam je do domu. To są dzieci, które będą w pieczy zastępczej do 18 roku życia. Cieszę się, że one chcą wracać do nas, że się dobrze u nas czuły.

Pani Wiesławo, słyszałam, że bardzo lubi Pani swój dom.
- Uwielbiam swój dom. Dla mnie zawsze był bardzo ważny. Ten dom ma klimat. To jest taki styl rustykalny. Mamy mnóstwo obrazów. Uwielbiam obrazy.

Ale dom to nie tylko cztery ściany, ale przede wszystkim ludzie, którzy ten dom zamieszkują.

A tych ludzi, tych małych ludzi przez te wszystkie lata u Państwa w domu było bardzo dużo – kontynuuję...

Jeżeli ja je obdarzę uczuciem, nie ma różnicy, czy jest ono biologicznie moje, czy nie. Ważna jest miłość.







- Dużo. Jesteśmy pogotowiem rodzinnym od 14 lat. Kiedy zaczęliśmy myśleć o tym, ja jeszcze pracowałam zawodowo, jestem nauczycielką. I 4 lata wcześniej już zgłosiliśmy się z mężem, przeprowadziliśmy się do nowego domu, który wybudowaliśmy sobie za miastem. Po roku zgłosiłam się do rejonowego PCPR-u, że chcielibyśmy być rodziną zastępczą.

Pani się na mnie dziwnie popatrzyła i powiedziała, że rejon nie ma problemu z rodzinami zastępczymi. Zatem grzecznie podziękowałam i wyszłam. Temat umarł. Kiedy przeszłam na emeryturę, gdański MOPR otworzył się na rodziny z zewnątrz. Nie tylko z miasta Gdańska, ale również na rodziny, które mieszkały w innych gminach. Zgłosiliśmy się. Kwalifikacje i kurs robił ośrodek na Abrahama.

Było nam o tyle łatwiej, że ja już miałam wykształcenie pedagogiczne, pracowałam całe życie z dziećmi. Zrobiliśmy kurs i pamiętam, że umowę mieliśmy od 1 kwietnia, a już ostatniego dnia marca była potrzeba zabezpieczyć dwóch chłopców z interwencji domowej. Więc jeszcze bez umowy pojechałam z kuratorem odebrać dwójkę dzieci, które się pojawiły u nas tego dnia.

Zawsze wiedzieliśmy, że chcemy mieć małe dzieci. To był taki nasz priorytet. Nasza trójka dzieci biologicznych ma dysleksję, więc potrzebowały długo pomocy w szkole. Zawsze wiedziałam, że chcę mieć małe dzieci, ja już nie chcę dzieci szkolnych. Więc tych dzieci małych było u nas przez te lata około 25, takich noworodków.

Dostajemy nieraz zdjęcia od rodzin. Trudno uwierzyć, że to są nasze dzieci. Mają coś w oczach. To są cudowne dzieciaki.





Było ich u nas pięćdziesięcioro.

Poza noworodkami, Pani Wiesława z mężem przyjmowali także starsze, jeśli była taka potrzeba.

- 6 lat temu przyszła do nas dwójka dzieci, chłopiec miał 2 lata, jego brat 11. Są u nas do tej pory, ponieważ dopiero teraz w ostatnim okresie zabrano prawa rodzicielskie rodzicom. Ja zostałam ich opiekunem prawnym.
Myślę, że byłoby teraz już nieludzkie po 6 latach zabierać te dzieci do pieczy zastępczej docelowej, gdzie chłopiec za niecały rok się usamodzielni, bo będzie już miał 18 lat.

W tej chwili jest w szkole średniej, a jego brat zostanie z nami jeszcze, dopóki będziemy rodziną. Jak ten chłopiec w wieku szkolnym, który miał 11 lat do nas przyszedł, nie potrafił czytać, składał po literze. Myśmy zaczynali w czwartej klasie od zera. On był przepuszczany z klasy do klasy, nie był dzieckiem, które sprawiało trudności wychowawcze. Był bardzo fajnym człowiekiem. Wychowywał swojego brata. Opie-kował się nim, ponieważ mama urodziła w międzyczasie jeszcze jedno dziecko. No i rodziców nie było.

Dopiero po pięciu, sześciu prawie latach, on się zaczął otwierać, opowiadać, że w nocy wstawał, karmił brata.

Pani Wiesława bardzo często w rozmowie powtarza, że zawsze chciała mieć dużo dzieci, pomagać im, odpowiadać na ich potrzeby. Mimo że jest spełniona, jako matka. Ma trójkę własnych dorosłych już dzieci.

- Pamiętam jak urodziłam trzecie dziecko, od razu powiedziałam, że ja mogę mieć i czwarte, ale już nie będę rodziła, tylko mogę je adoptować.

Jeżeli ja je obdarzę uczuciem, nie ma różnicy,czy jest ono biologicznie moje, czy nie. Ważna jest miłość.

Niestety nie doszło do adopcji. Chyba więc nie do końca wyjałowiły się moje pokłady uczuć macierzyńskich. Poza tym pracowałam z dziećmi, to było w przedszkolu.
Pamiętam jak mówiłam w pracy koleżankom, nauczycielkom, że chciałabym być rodziną zastępczą.

Nie miałam wtedy pojęcia, na czym to polega. Wiedziałam tylko, że chcę mieć i, ze zostaną u nas do usamodzielnienia się.



Czyli tak na zawsze. Mój mąż wiedział, że ja tych dzieci nigdy z domu nie wypuszczę, że one z nami zostaną do końca. Trochę się tego bał. Bardzo długo też dojrzewał. To nie może być robione na siłę, bo tu chodzi o całą rodzinę. Nasze dzieci również się zgodziły.

Chciałam zapytać o trudne momenty związane z pieczą zastępczą, czyli z tym byciem rodzicem, ale nie rodzicem.
- Myślę, że było mi o tyle łatwiej że miałam wykształcenie pedagogiczne, że pracowałam przez całe życie swoje zawodowe z dziećmi i miałam również kontakt z rodzinami tych dzieci, więc na pewno byłam tu wygrana i było mi łatwiej poruszać się w tych obszarach.

Mam w gronie nauczycieli różnych specjalistów. Jeżeli więc pojawiały się jakieś problemy, ja wiedziałam, do kogo mogę podejść. Przybył do nas raz chłopiec, z którym nie mogłam sobie specjalnie poradzić, więc zadzwoniłam do koleżanki – specjalistki – i ona mi pomogła.

Tej pracy nie można obojętnie wykonywać, trzeba być zaangażowanym, ale też jest potrzebny jakiś dystans. Nabiera się go z wiekiem. To jest też moja misja. Uwielbiam to robić, ale myślę, że skończymy tę naszą przygodę szybciej, bo mąż chyba potrzebuje więcej już spokoju. Boję się tego momentu, bo ja nie jestem osobą, która tak będzie siedziała i pachniała ładnie, a potem czekała, żeby w tym życiu coś się jeszcze wydarzyło. Ja lubię wyzwania.

A pasje, Pani Wiesławo? Na pewno jakieś Pani ma...

- Szyję i to jest moja odskocznia. Jestem przy maszynie codziennie wieczorem, jak położę najmłodszego spać, to jest mój odpoczynek. Cicho gra radio z muzyką i ja wtedy sobie szyję różne rzeczy. Kupuję mnóstwo materiałów i później kombinuję, co można z tego zrobić. Komu uszyć, przyjemność jakąś zrobić.
A co z wioślarstwem? - pytam z zaciekawieniem. Bo w pewnym momencie pojawia się u Pani w życiorysie także ten epizod.

- Wioślarstwo uprawiane w klubie Gedania, w tej starej Gedanii, gdzie jeszcze było pięć sekcji, miała siedzibę na Dzierżyńskiego. Piękny okres. Poznaliśmy się tam z mężem. To jest 10 lat spotkań dzień w dzień z różnymi ludźmi. Fajny czas wyjazdów różnego rodzaju. Mi i mężowi chyba dobrze wychodziło to wiosłowanie, bo byliśmy w kadrze narodowej, więc wyjazdy zagraniczne, nieskromnie powiem, że udało nam się nawet pojechać na Olimpiadę do Moskwy.

Od razu po opowieści o Olimpiadzie, zauważam pewną analogię. Chodzi o wyzwania – w sporcie i w życiu.

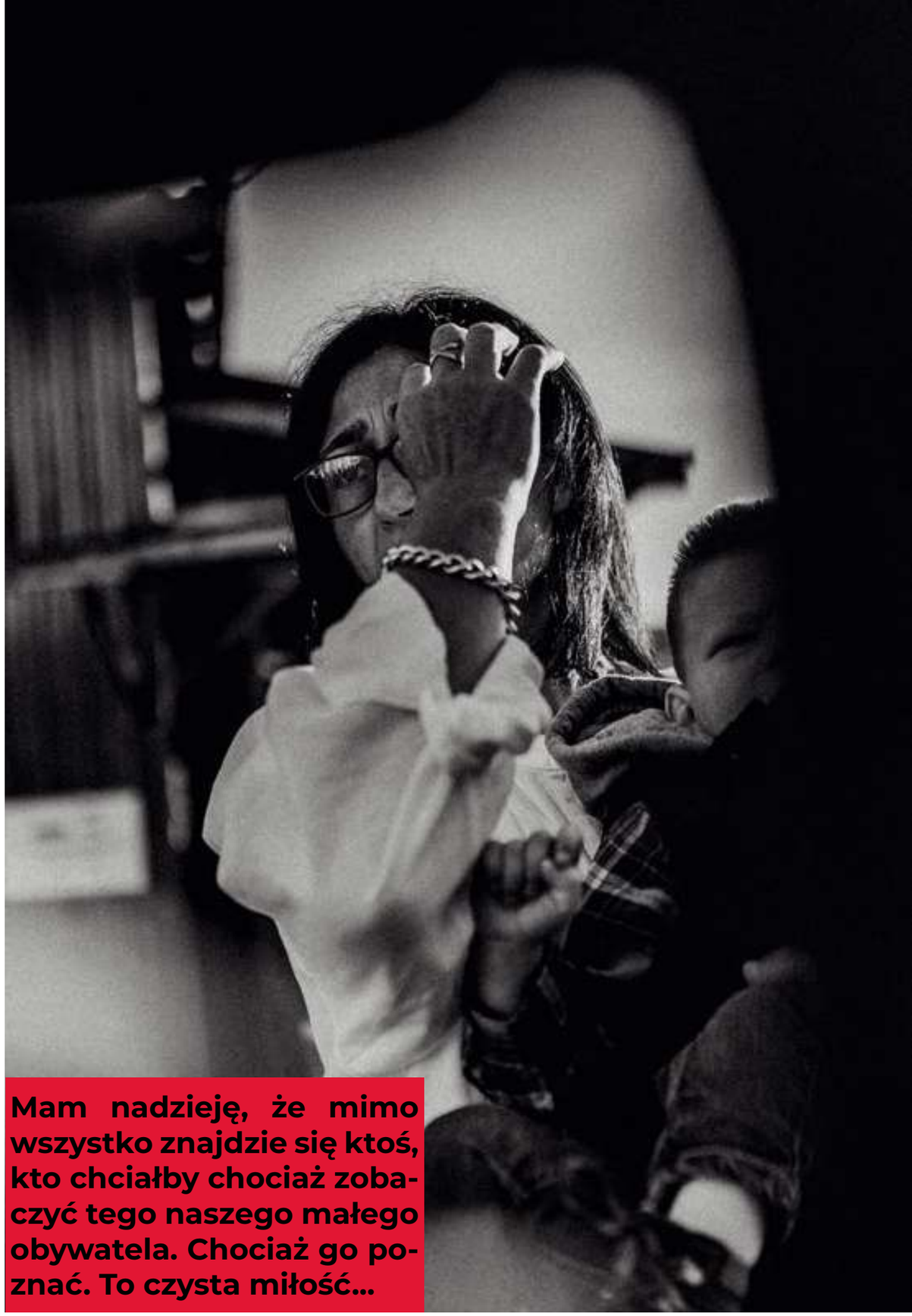
- To chyba wynika z mojego charakteru. Jak coś zaczynam, to zawsze kończę. Walczę w tym życiu, nie poddaję się. Tak chyba trzeba.

Nie jest Pani już tak po ludzku zmęczona?

-Nie. Brakuje mi jedynie urlopu, żeby złapać oddech, dystans. Mąż zadał ostatnio pytanie, gdzie jedziemy w przyszłym roku, ale to jest trudna sytuacja, bo dopóki jest u nas Kuba, nie możemy pojechać, żeby zostawić go pod opieką inną niż naszą. On się wtedy bardzo stresuje.

Kuba dostaje od nas to, czego potrzebuje, ale tak naprawdę to Kuba potrzebuje rodziny adopcyjnej, rodziny, która go pokocha. Tak jak inne dzieci mają mamę, tatę, a my tylko jesteśmy ciocią i wujkiem.

Ale ze względu na jego problemy zdrowotne, trudno znaleźć dla niego rodzinę. Żadna rodzina w kraju nie zdecydowała się nawet go poznać. Przyjdzie moment, że on będzie musiał od nas odejść i to będzie tragedia dla niego, jeżeli będzie musiał odejść do placówki, on tam zginie.



Mam nadzieję, że mimo wszystko znajdzie się ktoś, kto chciałby chociaż zobaczyć tego naszego małego obywatela. Chociaż go poznać. To czysta miłość...

CZASAMI TRZEBA ZAJRZEĆ PRZEZ DZIURKĘ OD KLUCZA...

DANTUTA ŁUKASIK

Pani Danuta nosi okulary. Zanim ją spotkałam i usiadłyśmy naprzeciwko siebie, aby porozmawiać, zaczęłam ją sobie wyobrażać. W moich myślach ubrana była w długi płaszcz, w ręce trzymała lupę, a na głowie miała kapelusz, taki, jaki nosił Sherlock Holmes. Wszystko dlatego, że Pani Danuta kojarzy mi się z detektywem...



Pani Danuta nosi okulary. Zanim ją spotkałam i usiadłyśmy naprzeciwko siebie, aby porozmawiać, zaczęłam ją sobie wyobrażać. W moich myślach ubrana była w długi płaszcz, w ręce trzymała lupę, a na głowie miała kapelusz, taki, jaki nosił Sherlock Holmes. Wszystko dlatego, że Pani Danuta kojarzy mi się z detektywem...

- Tak, to co w tej chwili robię rzeczywiście polega na tym, że muszę być takim małym detektywem – potwierdza moje domysły Pani Danuta.

- Żeby tak dojść do tych ludzi, żeby sprawdzić co tam się faktycznie zadziało, muszę troszeczkę popytać i nie tylko daną osobę, ale też tak troszeczkę obok całej sprawy – rozmawiać z innych ludźmi. Stąd też spotykam się w grupach z innymi specjalistami, żeby właśnie sprawdzić, jak dzieci funkcjonują poza domem, jak mama funkcjonuje, czy tata. Ot, taki ze mnie detektyw.

Lubi to pani?

- Lubię, bardzo lubię dociekać skąd się biorą problemy w rodzinie, to jest taka moja pasja.

Czym Pani konkretnie zajmuje się w Miejskim Ośrodku Pomocy Rodzinie?

- Obecnie zajmuję się procedurą niebieskiej karty, więc mam kontakt z ofiarą, mam kontakt ze sprawcą, z policją, ze szkołami i z różnymi innymiinstytucjami, poradniami psychologicznymi, z prawnikami. Muszę organizować grupy robocze, w których właśnie spotykamy się z kilkoma specjalistami, żeby mieć ten obraz rodziny i ewentualnie ustalamy w jakim kierunku daną rodzinę prowadzić, żeby wyszła z tego kryzysu i przemocy.

W pracy, jaką wykonuje Pani Danuta,

Spotykam się w grupach z innymi specjalistami, żeby sprawdzić, jak dzieci funkcjonują poza domem, jak mama funkcjonuje, czy tata. Ot, taki ze mnie detektyw.



Ofiary są bardzo często wycofane i nie chcą mówić. Wstydzą się.

liczy się wspomniana dociekliwość detektywistyczna, ale także, a może przede wszystkim - umiejętność słuchania.

- Staram się wyłuskać potrzeby danej rodziny. Każdy człowiek jest inny, chodzi o to, żeby patrzeć na drugą osobę indywidualnie i nie sugerować się tym, że ja bym inaczej zrobiła. Staram się tak rozmawiać z osobą, żeby znaleźć w niej zasoby, które się przydadzą do tego, aby ona też zajrzała w głąb siebie i zobaczyła sytuacje, w których sobie fajnie radziła. Żeby wykorzystała je w późniejszym okresie swojego życia. Wszystko po to, żeby zatrzymać przemoc w rodzinie, dlatego sięgamy do przeszłości.

Czyli psychologiem też trochę Pani jest.

- Troszeczkę też, bo muszę wiele rzeczy zauważyć, nawet dla własnego bezpieczeństwa. Szczególnie w rozmowie ze sprawcą, żeby umieć się wycofać albo wycofać się z pytania, które widać, że powoduje u drugiej osoby agresję.

Droga zawodowa pani Danuty zaczęła się od Urzędu Miejskiego w Gdańsku. Ponieważ praca urzędnika siedzącego przy biurku jej nie odpowiadała, zatrudniła się w laboratorium medycznym w jednej z przychodzi. Potem zlikwidowano jej stanowisko pracy i musiała szukać kolejnej drogi. W 1989 roku została pracownikiem socjalnym, czyli wtedy jeszcze - instruktorem służb społecznych.

- Na początku myślałam, że ta praca będzie na chwilę, ale tak mnie wciągnęła, że od tego 1989 roku jestem do dziś. Teraz pracuję na Oruni Dolnej, jest to specyficzny rejon, dość trudny. Ale daje też dużo satysfakcji, bo tam są ludzie troszeczkę inni niż tutaj, z centrum Gdańska. Są łatwiejsi w kontakcie, chcą pracować z nami, jesteśmy jeszcze dla nich jakimś autorytetem.

Nie żałuje Pani tej swojej drogi,





tego wyboru zawodowego? - pytam - W tej chwili nie, bo mogę być trochę psychologiem, troszkę tym prawnikiem, detektywem. Ale były takie momenty, kiedy człowiek w takim dużym napięciu pracował, bo nigdy nie wiedział, co się wydarzy. Jak przykładowo zaplanowałam sobie, że siadam rano, skończę to pismo do sądu, a później zrobię to i to, a tu rano człowiek przychodził, nie, ty musisz wsiąść w autobus i gonić, bo jest interwencja. Więc były takie momenty, że czasami miałam tego tempa po prostu dość.

Podzieli się pani ze mną takim naprawdę trudnym momentem w czasie pracy?

- Nie było takich trudnych momentów, dlatego, że obecnie zajmując się procedurą niebieskiej karty, mam z tej pracy bardzo dużą satysfakcję, pomagając ofiarom odnaleźć się w tej trudnej sytuacji. Na koniec zawsze daję też nadzieję takiej osobie, a ona szczerze dziękuje za wsparcie.

Często zostaję do dyspozycji moich klientów, znam ich sytuację i wiem, kiedy powinnam odebrać telefon, nawet w godzinach wieczornych. I to mi daje właśnie satysfakcję, że te osoby nie kończą się na tej jednej rozmowie, ale dzwonią, pytają się, radzą. A ja mam dużą otwartość do drugiego człowieka. Cieszę się, że ludzie się mnie nie boją i chcą do mnie dzwonić, czy przychodzić.

Bała się Pani kiedyś?

- Bałam się. Szczególnie na początku, rozmawiać głównie ze sprawcami. Chociaż



powiem szczerze, że z ofiarami też się bardzo ciężko rozmawia. Bo to nie jest proste. Ofiary są bardzo często wycofane i nie chcą mówić. Wstydzą się.

Mamy teraz z Ukrainy sporo niebieskich kart i u nich jest inna kultura. Panie przyjmują przemoc tak, jak myśmy kiedyś, 30 lat temu. Twierdzą, że to jest normalne, że mąż krzyczy, bije dzieci, nie daje pieniędzy.

U nas już tego nie ma, ale bardzo często są osoby, które niestety nie chcą mówić, nie wszystko mówią. I wtedy potrzebny jest detektyw, który się we mnie budzi. Muszę zebrać informacje, żeby dowiedzieć się, dlaczego ta osoba nie chce o tym mówić, skąd to się bierze.

Czyli zajrzeć przez tę dziurkę od klucza? - dopytuję

- Zgadza się. I tak samo jest ze sprawcami przemocy. To nie musi być mężczyzna, to może być kobieta. Czasami jest tak, że mamy niebieskie karty, gdzie sprawcą przemocy nad dziećmi jest kobieta. I też dociekam skąd się u niej to bierze, żeby też wiedzieć, gdzie ją pokierować i jak jej pomóc w radzeniu sobie z tymi emocjami.

A co takiego lubi Pani w tej pracy?

- Jak trafi się osoba z poważnym problemem. Jest to nowa osoba, której nie znam, i której muszę się przyjrzeć.

Ten detektyw mnie tak bardzo ekscytuje. Wtedy czuję się jak rybka w wodzie i lubię po prostu drążyć. W jakiś sposób dowiadywać się i zbierać fakty o tej osobie.

A kim jest pani Danuta poza Miejskim Ośrodkiem Pomocy Rodzinie, czyli w takim życiu osobistym, prywatnym, poza pracą?



- Poza pracą jestem mamą, babcią, żoną. Mam swoje zwierzątka w domu. Oddaję swoje serduszko tym małym potrzebującym, bo akurat to są kotki. Bardzo często znajdy.

Przez całe moje życie się sporo tych kotków przewinęło przez mój dom. Moja rodzina też kocha kotki, kocha zwierzęta. Być może przekazałam im tę miłość.

Lubię spędzać czas z rodziną. Bardzo często razem wyjeżdżamy, mamy takie swoje miejsce na Wdzydzach, gdzie chodzimy na grzyby, pływamy na łódce, na żaglówce. Fajnie, że chcą spędzać ze mną czas.

A jakie ma pani plany, myśli pani o emeryturze?

- Ostatnio musiałam się zdeklarować już na przejście na emeryturę, bo u nas trzeba dwa lata wcześniej zdecydować, czy się idzie, czy nie. I powiem szczerze, że przeciągnęłam sobie dwa lata, bo pomyślałam sobie: co ja będę w tym domu robić? Nie mam konkretnych planów, czas pokaże. Nie nastawiam się, niczego nie oczekuję. Chce tylko, aby to był fajny, spokojny, rodzinny czas.



NAWET KWIATY TRAKTUJĘ JAK SWOICH PODOPIECZNYCH

ANNA POCHEĆ

Pani Anna to smukła brunetka. Przychodzi na spotkanie punktualnie i niemal od razu okazuje się, że mamy wspólne upodobania – ręcznie robione torebki. Różnica jest taka, że ja swoją dostałam od znajomej, a Pani Ania swoją zrobiła sama, na szydełku.

Czuwam nad dobrem dziecka, czyli zawsze badam, czy jemu jest dobrze w tej rodzinie. Towarzyszę też dzieciom w ich emocjach.

Pani Anna to smukła brunetka. Przychodzi na spotkanie punktualnie i niemal od razu okazuje się, że mamy wspólne upodobania – ręcznie robione torebki. Różnica jest taka, że ja swoją dostałam od znajomej, a Pani Ania swoją zrobiła sama, na szydełku.

- Szydełkuję od dawna. Robię takie rzeczy dla domu, czyli firanki, koce, osłonki na doniczki, serwety na stół, obrusy.

- A dla koleżanek z pracy też Pani wykonuje jakąś biżuterię? - pytam
- Tak, kiedyś robiłam, wiele moich koleżanek miało kolczyki, na przykład z Mikołajami, które bardzo się podobały, były noszone w okresie Świąt. Brakuje mi czasu, bo głowę mam pełną pomysłów.

- Bo wciąż absorbuje Panią praca...
- Tak, choć staram się ubrać ją jednak w ramy czasowe, bo to sprzyja higienie pracy. Po południu mam wtedy czas dla siebie i się relaksuję. Siadam do szydełka, liczę oczka. Moje myśli odchodzą od problemów moich podopiecznych i wtedy jestem w stanie się zrelaksować i przejść do następnego działania. Na przykład wymyślenia czegoś na kolację...

Pani Ania uśmiecha się i dodaje:
- Lubię też czytać książki psychologiczne. Ponieważ nie jestem z wykształcenia psychologiem, ta wiedza jest mi bardzo potrzebna na co dzień w pracy.

Pani Anna pracuje w Miejskim Ośrodku Pomocy Rodzinie od wielu lat.

- Najpierw poszłam do szkoły pracowników socjalnych, zaciągnęła mnie tam koleżanka, to nie była jakaś moja wizja. Później nie pracowałam w zawodzie, w międzyczasie poszłam na studia, studiowałam na Wydziale Prawa i Administracji. I tak pomyślałam, że dlaczego by nie MOPR. Spróbowałam, złożyłam podanie i zostałam przyjęta. To było jeszcze w czasach przed internetowych, więc wszystko było na kartkach.

Później, jak uzyskałam dyplom na Wydziale Prawa i Administracji pomyślałam, że spróbuję swoich sił w czymś innym. I rzeczywiście spróbowałam, ale ta praca za biurkiem mi nie pasowała.

Zawsze tęskniłam za kontaktem z ludźmi. I w momencie, kiedy moje koleżanki dowiedziały się, że poszukuję pracy, podpowiedziały, że tutaj jest wolne miejsce. Przyszłam, jestem i zostałam do dzisiaj.



Szydełkuję od dawna. Robię takie rzeczy dla domu, czyli firanki, koce, osłonki na doniczki, serwety na stół, obrusy.

Nie wahała się Pani skorzystać z tego powtórnego zaproszenia?

Nie, bo to było dla mnie bardzo miłe, że ludzie mnie chcieli, że pomyśleli o mnie, czyli dobrze musiało im się ze mną pracować, więc to było dla mnie bardzo miłe i sympatyczne. Znałam te pracę. Praca z drugim człowiekiem i dla drugiego człowieka jest przyjemna i to, że my mamy taką pracę polegającą na pomaganiu, jesteśmy zawodowymi pomagaczami, wydaje mi się, że to jest łączenie dwóch rzeczy w jednym, czyli mogę pracować, zarabiać na życie, a ponadto mam dużo satysfakcji z pomagania, to buduje nasze poczucie sprawczości.

Ma Pani też dobry, zgrany zespół.
- Ja nie wiem, czy w innej pracy bym w ogóle mogła coś sobie takiego wymarzyć, żeby był fajny zespół ludzi empatycznych, cierpliwych, wrażliwych, dobrych i do tego jeszcze właśnie można innym pomagać, zwłaszcza dzieciom.

Pani Anna zajmuje się w Miejskim Ośrodku Pomocy Rodzinie pieczą zastępczą.

- Jestem koordynatorką rodzinnej pieczy zastępczej, czyli współpracuję z rodzinami zastępczymi, pomagam im w wychowywaniu dzieci w ten sposób, że staram się zaspokajać ich potrzeby, które są naturalne, jeżeli ktoś nie wie o co chodzi w pieczy zastępczej.

Czyli na początku tłumaczę, jak to jest, z czym to się wiąże, co teraz będzie się działo. Tłumaczę też te procesy dzieciom, jeżeli oczywiście ich wiek pozwala na zrozumienie tych wszystkich rzeczy. Później im towarzyszę, bo główny ciężar wychowania dziecka leży na rodzicu zastępczym, ale ja jestem po to, żeby go wspierać w trudnych momentach.



Często tak jest, że moja praca polega na tym, żeby po prostu kogoś wysłuchać, bo mu jest trudno. Są rzeczy, na które nikt nie ma wpływu. Dzieją się poza nami i nie możemy ich zmienić, a w momencie, kiedy jest ktoś, kto zrozumie, to jest po prostu łatwiej się z tym zmierzyć.

Często są to łzy, często się pośmiejemy. Jest bardzo, bardzo różnie, natomiast zawsze staram się być pomocna. To są przeróżne sprawy, czasem drobne. Dla mnie to jest czasem tylko wykonanie telefonu do kogoś. A dla rodziny zastepczej to już spora pomoc.

Czuwam nad dobrem dziecka, czyli zawsze badam, czy jemu jest dobrze w tej rodzinie. Towarzyszę też dzieciom w ich emocjach.

Bo dzieci zawsze mają nadzieję, że rodzic biologiczny poukłada sobie życie i je weźmie z powrotem. Towarzyszenie dzieciom w tych rozczarowaniach, w tych trudnych emocjach, jak one nie uzyskują od rodziców tego, co by chcieli, to jest chyba jedna z najtrudniejszych rzeczy w tej pracy.

Na co jeszcze z Państwa strony może liczyć rodzina zastępcza?

- Każda rodzina zastępcza ma przypisanego psychologa. On też rozmawia z dziećmi, więc to jest duże wsparcie. Uważamy, że wszystkie dzieci z pieczy powinny uczestniczyć w psychoterapii i to się dzieje, bo teraz na przykład dzięki pieniądzom z miasta mogliśmy zakupić na wolnym rynku taką terapię.

Opowie mi Pani o najtrudniejszym momencie w pracy?

- Pamiętam jedną mamę, która zrzekła się praw rodzicielskich do swoich córek, żeby one poszły do adopcji. Zawsze się cieszymy z takich sytuacji, kiedy dzieci idą do adopcji, bo to jest dla nich szansa na życie w jak najlepszym komforcie. A tutaj to była taka radość przez łzy, ponieważ ta mama była dobrą mamą. Była bardzo opiekuńcza, była bardzo wrażliwa. To była ciepła, kochająca kobieta. Ale życie jej się tak ułożyło, że nie mogła samodzielnie wychowywać dzieci, a nie miała wsparcia od bliższej, czy dalszej rodziny. I ta świadomość, że gdyby ona miała to wsparcie, to tak się ta historia nie musiała skończyć. To była bardzo trudna sprawa. I pamiętam, jak tej starszej dziewczynce musiałam wytłumaczyć, dlaczego mama tak zadecydowała.

Jak już rozmawiamy o emocjonalności, mówiła Pani o dzieciach, a ja chciałabym porozmawiać też o Pani emocjach – ciągnę dalej Pani jest kimś ważnym w życiu tych dzieci, w ogóle w życiu rodzin zastępczych. Jak pracować z taką rodziną, nawiązać relacje, możliwie jak najbliższą, ale jednak zachować profesjonalizm?

- Wchodząc do rodziny zastępczej, przede wszystkim tłumaczę moją rolę i moją funkcję i omawiamy sobie wtedy zasady współpracy. W ten sposób wszyscy wiemy gdzie się coś zaczyna, a gdzie kończy. Musimy się poznać. Musi upłynąć jakiś czas. Czasem trzeba cierpliwie



poczekać, aż nauczymy się współpracy.

Pani Ania o trudnych momentach mówi ze sporym dystansem, bardzo profesjonalnie. Słychać w jej opowieści lata praktyki. Uśmiecha się, kiedy pytam o satysfakcję z pracy w pomocy społecznej.

- Tak, satysfakcja jest ogromna, bo mogę pomóc i to już jest samo w sobie źródłem satysfakcji. I to, że ktoś ma mnie, jako wsparcie, to też jest satysfakcja.

Wielu ludzi jest teraz samotnych, obserwujemy kryzys rodziny, kryzys rodziny wielopokoleniowej. Te pokolenia nie potrafią ze sobą współgrać, pomagać sobie, interweniować w pewnym momencie, bo gdyby tak było, to my byśmy mieli mniej pracy i mniej dzieci w pieczy zastępczej. Satysfakcja jest też, że mogę robić coś dobrego.

Dostała Pani kiedyś jakąś laurkę od swojego podopiecznego?

- Laurki nie, ale w tym roku dostałam wafelka od chłopca, który naprawdę prawie nic nie ma. On też nie umie dziękować, pracujemy nad tym. Ten wafelek był dla mnie bardzo wzruszający. To był taki dowód wdzięczności jego dla mnie. Na początku myślałam, że sobie ten wafelek w ogóle w ramkę oprawię i gdzieś położę, ale nie. Z moją koleżanką w kolejnym dniu zjadłyśmy go przy kawie, poczęstowałam ją i celebrowałyśmy tego chłopca, jego sytuację, rozmawiając o nim. To było naprawdę takie ciepłe i wspaniałe.

Pani Anno, mamy jesień, zmienia się pogoda, zmieniają się barwy, jest coraz mniej kwiatów. Pani chyba lubi kwiaty, prawda?

- Bardzo. To są trochę tacy moi podopieczni. Jak przychodzę, to patrzę, któremu brakuje wody, czy nie choruje. Zwiększam swoją wiedzę na temat kwiatów w internecie. Kiedyś nawet i z nimi rozmawiałam. One wiedzą, że ja przyjdę i docenię każdy nowy kwiatuszek, który się pojawił.

Jak pracowałam w MOPR-ze w 2010 roku, jeszcze nie było nas przy ulicy Leczkowa, ale właśnie jak wróciłam do tej pracy ponownie, do pokoju, gdzie było moje biurko i w pokoju na oknie stał taki kwiatek w pękniętej doniczce. On był bardzo marny, sama tylko łodyżka i kilka listków. Zapytałam koleżankę, co mu jest, a ona powiedziała, że on jest do wyrzucenia. Stwierdziłam, że wyrzucić to zawsze można, a ja mu dam drugą szansę.

Zaopiekowałam się nim. Dzisiaj, 13 lat później, stoi u mnie na oknie. Jest moją chlubą, dumą. Dziękuje mi przez prawie cały rok pięknymi kwiatami, bo to jest hibiskus. Naprawdę się tak odwdzięcza, a ja się śmieję, że wzięłam go w rodzinę zastępczą...



LUDZIE Z MISJĄ



JESTEM PUZZLEM W UKŁADANCE

MARIOLA URBAN

Spotykamy się pięknego, słonecznego, jesiennego dnia. Pytam Panią Mariolę o zbiory i przetwory, bo wiem, że bardzo je lubi...





Pracuję najczęściej metodą małych kroków po to, aby klient poczuł, że może coś zmienić, powoli...

Absolutnie nie narzekam na nudę jesienią. Mam działkę, robię nalewkę z pigwy, która cieszy się powodzeniem, ale ma też właściwości zdrowotne. W weekend byłam na grzybach, zebrałam je, przetworzyłam. Dzisiaj na pewno zrobię przepyszny sos kurkowy ze słodką śmietaną i koperkiem, rodzina będzie zadowolona – uśmiecha się Pani Mariola.

Bo rodzina jest w jej życiu bardzo ważna. To jej poświęciła się przez pierwsze lata. W Miejskim Ośrodku Pomocy Rodzinie pracuje już 15 lat, wcześniej pracowała w handlu, bo taka praca była łatwiejsza, przy małych dzieciach. Dziś jest pracownikiem socjalnym.

- Uważałam, ze przy maluchach nie będę w stanie poświęcić się drugiemu, obcemu człowiekowi. Ale gdy dzieci podrosły, dostałam szansę żeby się rozwinąć i wykorzystać swoje umiejętności ze studiów. Wtedy trafiłam do MOPR. Daję ludziom wędkę, a nie rybę, bo rybę zje się od razu, a wędką łowi się powoli. W tej pracy nauczyłam się pokory i tego, że trzeba dawać ludziom szanse.

- Wracając do działki... czy praca w ogrodzie to sposób na odreagowanie stresów w pracy? - dopytuję...

- Kiedyś nie, bo nie do końca wiedziałam, z czym się wiąże praca pracownika so-

Praca w MOPR daje Pani Marioli dużą satysfakcję. Pracuje w zespole, gdzie każdy jest indywidualistą, każdy jest jak puzzel, który dokłada się do całości układanki.



cjalnego. Osoby z zewnątrz myślą, że nasza praca to tylko dawanie pieniędzy i nic poza tym. Ale to przede wszystkim praca, w której człowiek angażuje się emocjonalnie, ma kontakt z drugim człowiekiem. Każdy z nas jest inny, do każdego trzeba inaczej podejść: do osoby starszej, czy niepełnosprawnej, albo z zaburzeniami psychicznymi albo nawet do młodego człowieka.

Zdaniem Pani Marioli, praca pracownika socjalnego, zwłaszcza takiego, który na co dzień zajmuje się osobami w kryzysie bezdomności, nie jest ani doceniania, ani nawet przedstawiana w dobrym świetle:

- Zajmuję się „działką”, która nie ma sukcesów medialnych, bo zazwyczaj osoby bezdomne pokazuje się w złym świetle...

że nocują na klatkach, zostawiają nieczystości, rzadko pokazuje się aspekty związane z wychodzeniem z bezdomności, klimatyzowaniem się, zamieszkiwaniem w placówce, a potem samodzielnym życiem naszych klientów.

W naszym zespole mamy osoby, które uczą bezdomnych treningów budżetowych, umiejętności społecznych, na przykład tego, że trzeba zapłacić rachunki, odkładać oszczędności na leki albo nieprzewidywalne wydatki. Szkoda, że tego się nie pokazuje. A przecież nasza praca ma bardzo wielopłaszczyznowy wydźwięk. Chodzi o aspekty psychiczne i emocjonalne, pracownik socjalny jest wielozadaniowy i musi spojrzeć na człowieka holistycznie. Do każdej osoby dobiera się indywidualnie plan pomocy.
Pani Mariola podnosi głos. To zrozumiałe, bo nawet podczas zwykłej rozmowy o pracy, pojawiają się rozmaite emocje. Nie krzyczy, ale mówi wyraźnie i dość głośno...
- Czasem nie dosłyszę, - zdradza. Wtedy więc proszę, aby ktoś powiedział głośniej, a mój głos rozbrzmiewa specyficznie, tak jakbym bardzo głośno mówiła... ale nie krzyczę – śmieje się Pani Mariola.

Nie wiem, czy jestem ciepłą osobą, jestem raczej surowa i wymagająca. Pracuję najczęściej metodą małych kroków po to, aby klient poczuł, że może coś zmienić, powoli...

Jestem pomagaczem, żandarmem, ale rozliczam z obietnic, zwłaszcza wtedy, kiedy klient obiecał, że nawiąże kontakt z rodziną, czy, że pójdzie do urzędu i coś załatwi.

Podopieczny ma czuć, ze sam naprawia swoje życie, że ma na nie wpływ. Przeszłość naszych panów jest różna, ale nikt nie rodzi się zły, tylko w którymś momencie błądzi i trzeba mu pomóc.

Kiedy pytam Panią Mariolę o trudne momenty w pracy, na chwilę się zamyśla. Po paru sekundach przytacza konkretne sytuacje:

Na początku swojej pracy jeździła w te-





ren na rowerze. Któregoś dnia przepłynęła promem do placówki dla Kobiet z Nowego Portu na Sucharskiego. Była tam kobieta w zaawansowanej ciąży, z małym dzieckiem. Jej partner bał się, że straci nad partnerką kontrolę, nie będzie mógł nią manipulować. Kiedy trafiła do placówki, Pani Mariola złożyła wniosek o zabezpieczenie dziecka. To najwyraźniej nie spodobało się partnerowi kobiety, który wtargnął do placówki i zaczął się denerwować i odgrażać.
- Pamiętam, że rower uratował mi wtedy tyłek, bo wsiadłam na niego i pędziłam ile sił! - śmieje się Pani Mariola. - Drugi moment jest świeży – kontynuuje. W dobie covidu mieliśmy ograniczony kontakt z klientami. W siedzibie w Nowym Porcie była sala przyjęć, gdzie pracownik socjalny był oddzielony szybą. Policja nam przywiozła małżeństwo, które koczowało wcześniej na plaży. W toku rozmowy, pan nagle się przewrócił i leżał nieruchomo na podłodze. Wyszłyśmy zza szyby z koleżanką, która była przeszkolona w udzielaniu pierwszej pomocy. Kiedy podeszła bliżej, pan ją chwycił za nogi, ściągnął w dół, ona się uderzyła i leżała na podłodze. To było przerażające. Na szczęście pomógł nam kolega i wezwaliśmy policję. Okazało się, że małżeństwo ma zaburzenia psychiczne, rodzina zgłosiła ich zaginięcie. Najedliśmy się strachu. Pewnie można było to zrobić inaczej, ale jak? - pyta moja rozmówczyni...
- Chciała pani kiedyś rzucić tę pracę?
- Jeszcze nie, chociaż kolana i kręgosłup doskwierają, ale jeśli jest chwila zwątpienia, to wystarczy dobre słowo od koleżanek, czy od młodszych kolegów. I od razu wstaję na nogi. Wydaje mi się, że jestem na właściwym miejscu, mogę robić inne ciekawe rzeczy i nauczyć nową młodą kadrę praktycznego podejścia do pracy.

Praca w MOPR daje Pani Marioli dużą satysfakcję. Pracuje w zespole, gdzie każdy jest indywidualistą, każdy jest jak puzzel, który dokłada się do całości układanki.
- Pracujemy metodą burzy mózgów, nie zostaję sama z problemem, przegadujemy wszystko na bieżąco. Kiedyś chciałam być pielęgniarką, ale z kolei nie chciałam robić zastrzyków, żeby ktoś płakał i cierpiał – na przykład maluszki. Byłam harcerką, więc angażowałam się w akcje pomagania po cichu osobom starszym, potem były festyny przykościelne, czy te organizowane przez rady dzielnicy. Można było pomóc konkretnej osobie, nie organizacji. I zawsze pomagałam.

To jest praca, pasja, czy misja? - pytam, zbliżając się do końca rozmowy.
- Jeśli to by była praca, to powinna przynosić duże korzyści finansowe, ale tu muszę rozwiać wątpliwości – nie jest tak, nie zarabia się dużo i nie robi kariery.

Pasja? Jest po części, ale misja też. Każdy z pracowników ma w duchu aspekt pomagacza, dzieli się czasem, umiejętnościami, wiedzą.

Każdy podopieczny to osobna historia. W zespole MOPR każdy jest za coś odpowiedzialny. Każdy coś innego robi, potem przekazuje pałeczkę i biegnie dalej. Jeśli osoba bezdomna trafi do naszego systemu i będzie chciała wziąć coś dla siebie, to każdy z pracowników jej tej pomocy udzieli.

Ponieważ zbliża się pora lunchu, pytam Panią Mariolę o plany na dziś...

- Dzisiaj obiecany sos kurkowy z koperkiem i ziemniakami. Może zrobię jeszcze kompot śliwkowy, bo koleżanka z pracy ma swoje śliwki i się nimi dzieli. Jak w dobrym zespole...

NIE JESTEM SZTYWNA PANIĄ ZZA BIURKA

ALEKSANDRA LEHMANN

Drzwi do pokoju otwiera uśmiechnięta blondynka. W oczy od razu rzucają mi się jej tatuaże. To właśnie od nich postanawiam rozpocząć rozmowę...

Jak miałam 16 lat, mama powiedziała mi, że po osiemnastce mogę sobie jeden tatuaż zrobić. Tak też się stało, ale na jednym się nie skończyło. Potem był drugi, trzeci. Mam ich dużo. Co ciekawe, pomagają mi w pracy. Pamiętam, jak z ciężkim sercem szłam do urzędu i myślałam: „Jezu, zjedzą mnie", ale jakoś się udało. Młodzież, z którą pracuję najczęściej, reaguje na tatuaże fenomenalnie, bo nie jestem sztywną panią zza biurka, tylko jak nie ma o co zagadać, a czasami nie ma, to można zagadać o tatuaże. Nie wiem ile ich jest, przestałam liczyć: dwie nogi od kolana całe, coś na plecach, coś na ręce...dzisiaj umówiłam się na kolejny.

- To taka nagroda za przepracowany miesiąc? - podpytuję

- Dokładnie tak, nagradzanie siebie jest bardzo ważne – śmieje się Pani Ola.

Do pierwszego tatuażu podchodziłam z namysłem, z przeświadczeniem, że musi on coś znaczyć. To były czasy tribali (nawiązujących do tradycyjnych tatuaży plemiennych), więc mam aniołko - diabełka, który ma skrzydła z tribala. Ma to pokazywać dwoistość ludzkiej natury.

- U pani więcej diabła czy anioła w pracy?

- Ciężkie pytanie. Myślę, że anioła pod kątem misji, bo o premiach w budżetówce nie mamy co myśleć, więc aniołek jest





Chyba coraz gorzej jest z samooceną i poczuciem własnej wartości u młodych ludzi. Coraz więcej mam takich tematów.

"Mój pierwszy podopieczny bawił się na moim weselu, ma dziś pracę, dziecko, narzeczoną, a był skazany na niepowodzenie i wiele osób mnie pytało na początku: po co ty się w ogóle angażujesz, przecież nic z tego nie będzie!"



we mnie, żeby to przetrwać, ale diabełek też. Mam charakterek i go lubię. Sporo we mnie z dziecka i dlatego tak dobrze dogaduję się z młodymi ludźmi. Jestem dla nich wiarygodna. Nie muszą być idealni. Jak przychodzą do mnie i widzą, że jestem młoda, luźna, nie jestem panią z kokiem, która mówi do młodego człowieka zza biurka.

Pani Ola chce pokazać młodym osobom, jak ważna w życiu jest pasja. Stąd też tatuaże, stąd rap, który bardzo lubi, zwłaszcza ten z lat 90-tych, w którym twórcy poruszali dużo ważnych kwestii.
- Miałam chłopaka w terapii, który rapował. Mama kazała mu usunąć kanał na youtube, bo za bardzo przeklinał. To jest sytuacja, w której bardziej trzeba pracować z rodzicem, niż z nastolatkiem. Bo rap i muzyka to dla młodego forma oczyszczenia, pasji, to daje dużo dobrego.
W pandemii notorycznie odbierałam telefony, bo młodzi byli odizolowani. Wzmogły się problemy z uzależnieniami medialnymi, bo nie można było dać szlabanu na internet czy komputer. Odetchnęliśmy po pandemii i zaczęła się wojna, a co za tym idzie - kolejne traumy do przepracowania.

Chyba coraz gorzej jest z samooceną i poczuciem własnej wartości u młodych ludzi. Coraz więcej mam takich tematów. Miałam kiedyś dziewczynkę, która przychodziła do nas ubrana cała na czarno, spóźniła się godzinę na warsztaty, żeby pokazać, że żadne zasady jej nie dotyczą. Po paru miesiącach jak kończyliśmy, to była już bardzo prospołeczna, a jak pisałyśmy na messengerze, to już nawet mi wysyłała serduszka. To jest trudna praca, ale bardzo wdzięczna, bo relacje są niesamowite, można towarzyszyć drugiej osobie w trudnym czasie i budować zaufanie, sympatię, pokazywać, że można na wszystko spojrzeć z różnej perspektywy.

Co jeszcze jest w tej pracy dobre? To, że Pani Ola ma z podopiecznymi relacje mało formalne, łatwo przechodzi na „ty”, spotyka się w terenie, nie za biurkiem.

- Mój pierwszy podopieczny bawił się na moim weselu, ma dziś pracę, dziecko, narzeczoną, a był skazany na niepowodzenie i wiele osób mnie pytało na początku: „po co ty się w ogóle angażujesz, przecież nic z tego nie będzie!”

Pani Ola jest osoba z niepełnosprawno-

ścią ruchową. Od dziecka. Pozorne trudności potrafi jednak przekuć na wartość dodaną:
- Bardzo fajnie na ludzi działa moja niepełnosprawność, bo ludzie zaczynają widzieć, że jak się chce, to można. Mogłabym leżeć i nic nie robić, ale robię. Na młodych działa to bardzo motywacyjnie. Na starszych też – przestają szukać wymówek. Od dziecka jestem niepełnosprawna, mnóstwo czasu w dzieciństwie zabrał mi szpital, więc być może dlatego teraz tak dobrze mi się pracuje z młodymi, bo chcę coś nadrobić...
- Ale jestem też wtedy autentyczna. Czasem palnę jakąś głupotę, ale się tym nie przejmuję. Wiem, że nie przychodzi do mnie przypadek, tylko człowiek. Pamiętam, jak zaczynałam pracę psychologa, to mi kładli na biurko teczki osób, które miały do mnie przyjść na drugi dzień. Dziś już tego nie czytam. Każdy człowiek jest już dla mnie czystą kartką, dużo lepiej wychodzi nam terapia.

Bo wtedy włącza się uważność i słuchanie – dopowiadam...



- Tak! Ludzie nie słuchają. Jak słyszę w tramwaju jak ktoś mówi: „ale miałam ciężki dzień”, a ta druga osoba odpowiada: „naprawdę? A ja to dopiero miałam ciężki dzień!”. I wtedy już się nie chce gadać. Do tego dochodzi sto tysięcy rad, o które nikt nie prosi. I to wszystko przytłacza. Psychologowi nigdy nie zabraknie pracy...

Pani Ola zawsze chciała być psychologiem. Nie widziała siebie w innym miejscu. Od małego przyprowadzała do domu różne dzieciaki.

- Moja cudowna mama czekała codziennie z większą ilością obiadu, bo wiedziała, że zawsze mogę kogoś głodnego przyprowadzić. Psychologia to jedyne studia, na jakie złożyłam papiery, mimo że mama bardzo się martwiła, co zrobię, jeśli się nie dostanę. Ale mnie przyjęli i poznałam tam fantastycznych ludzi, fantastycznych wykładowców, moja promotorka zawsze mówiła: „traktuj człowieka jak człowieka w pracy i poza pracą i będzie cudnie”. I gdzieś to zdanie cały czas mam w głowie.

Do Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie przyszła, żeby wziąć udział w konkretnym projekcie „Sukces Gdańskiej Rodziny”. Tak już została. Od projektu do projektu, to już prawie 11 lat...

- Zaczęło mi się to podobać. Mam stabilny etat, możliwości rozwoju, przekrój tematów, mogę naprawdę się rozwijać. Ktoś mądry powiedział kiedyś, że jak się lubi swoją pracę, to się w życiu nie przepracowuje ani jednego dnia. Coś w tym jest...

W pracy Pani Oli nie brakuje trudnych momentów. Zwłaszcza wtedy, kiedy ma do czynienia z ludźmi doświadczającymi przemocy.

- To jest coś, czego długo nie mogłam sama przeboleć, ale doszłam do wniosku, że co z tego, że będę płakać? Nikomu nie pomogę. Ta praca bardzo się przenika z domową pracą, bo odbieram telefony, piszę smsy o dziwnych godzinach, ale praca psychologa nigdy nie będzie pracą etatową. Jeśli ktoś mi mówi, że potrzebuje tu i teraz pogadać, to ja jestem. Trudne są sytuacje odbiorów dzieci. Albo interwencje, agresja, krzyki. Wtedy bardzo mocno to odreagowuję. Przed świętami Bożego Narodzenia mieliśmy taką sytuację. Poszłam do dziewięcioletniego chłopca i zaczęłam mu tłumaczyć, że Święta, choinka, że w placówce nie będzie tak samo. A chłopiec mi wtedy jasno powiedział, że wszędzie będzie lepiej niż w domu. I to był moment, po którym długo dochodziłam do siebie.

- To praca, czy misja?
- Praca, misja, wszystko po trochu. Nie liczę czasu, zwłaszcza jak robimy warsztaty z młodymi, którzy dają mi bardzo dużo energii. Wkurza mnie tylko biurokracja, mamy kontrole, wszystko musi się zgadzać, trzeba zwracać uwagę na podpisy. Od początku miałam pomysły, żeby młodych w ciągu pracy wyciągać w teren, na przykład do studia nagraniowego. To była moja obawa – jak dam sobie radę z moimi dzikimi pomysłami w instytucji? Ale się udaje i idzie w coraz lepszym kierunku. Okazuje się, że nawet instytucja się zmienia, że się da...
- Kim jest Ola poza pracą w Miejskim Ośrodku Pomocy Rodzinie?
- Po prostu Olą, jest spójna. Nie musi być kimś innym w pracy i poza. Dlatego młodzi mnie chętnie zapraszają do swojego świata. Raperzy – moi znajomi – często pracują z moją młodzieżą za darmo, organizują warsztaty dla nich. Bardzo im za to dziękuję, a są wśród nich: Dawid "Dejwid" Masierak, Przemek "Kear" Szymański, Łukasz "Krik", Przemek Popławski ze Studia Selekta, Kacper Matuszewski, Julita "Ziela" Zielińska, cała "Nazwa Robocza" tj. Piotr "Biciu" Tomaszewski, Sara Chont, Adam Miłecki, Marcin "Mel" Meller, Mikołaj "Beatsztajn" Podlasiński.

Jej marzeniem są studia z seksuologii. Myśli też o napisaniu książki, żeby kogoś zainspirować. Barierą jest jedynie czas, którego wiecznie brakuje.

- A jaki ma Pani plan w związku z nowym



tatuażem? Co powstanie? - wracam do początku rozmowy.
- To jest chyba forma adrenaliny, że nie wiem nigdy co powstanie, to jest wykraczanie poza strefę komfortu. Jakiś czas temu zaczynałam medytować i chłopak, który robił warsztaty, dał mi wtedy ankietę do wypełnienia. Napisałam, że chciałabym nauczyć się wychodzenia ze strefy komfortu. On zapytał wtedy, czego nie lubię. Odpowiedziałam, że zimna i wody.
Co zrobił? Kazał mi urwać się z pracy i morsować. Poszłam, to było bardzo uwalniające. I tym też się dzielę z innymi. Że można przełamywać własne słabości.

LUBIĘ SWOJĄ DOCIEKLIWOŚĆ

DANUTA KRAUSE

Pani Danuta nosi kolorowe ubrania. Sama też lubię barwy i rozmaite wzory, więc nić porozumienia między nami, buduje się bardzo naturalnie i niemal ekspresowo.





Staram się zawsze opracować strategię pomocową, nie boję się angażować do tej pomocy innych instytucji, bo musimy działać razem. Najbardziej rozdarte jest serce, kiedy dzieciom dzieje się krzywda.

Zamykamy oczy. Pytam Panią Danutę o obrazy, jakie pojawiają się w jej głowie, kiedy myśli o Miejskim Ośrodku Pomocy Rodzinie...

- Są to obrazy moich klientów. To starsze panie i panowie, jest bardzo duży przekrój podopiecznych, są też osoby niepełnosprawne, ale najbliższe mojemu sercu są właśnie osoby starsze. Na Chełmie zakładałam kiedyś Klub Seniora, staliśmy się tam rodziną i to chyba rzutowało na moją drogę zawodową. Starszy człowiek, taki nieporadny, często zostawiony przez rodzinę, wymagał kompleksowego wsparcia.
Pani Danuta zajmowała się także osobami po zakładach karnych i rodzinami dysfunkcyjnymi. Pracownik socjalny był zawsze pierwszą osobą do kontaktu dla osoby potrzebującej.

- Zawsze staram się podchodzić do człowieka w sposób, w jaki chciałabym, żeby ktoś do mnie podchodził. Jestem osobą otwartą, życzliwą, skupiam się na problemie, jestem skrupulatna i dociekliwa. Staram się zawsze opracować strategię pomocową, nie boję się angażować do tej pomocy innych instytucji, bo musimy działać razem. Najbardziej rozdarte jest serce, kiedy dzieciom dzieje się krzywda. Weszłam kiedyś niezapowiedzianie do

"Jako dziecko bawiłam się w niewidzialną rękę, mieszkałam na wsi, podrzucałyśmy z koleżanką samotnej starszej pani jedzenie, zostawiałyśmy je w przedsionku jej domu."



matki samotnie wychowującej piątkę małych dzieci. Dziewiąte piętro, a na miejscu dzieci, w tym najstarsze dziecko w wieku 5 lat, zostawione bez opieki. Wszczęłam wszystkie procedury.

Takie sytuacje zostają na długo w pamięci – opowiada Pani Danuta i dodaje:
- Po tej interwencji do domu wróciłam już wieczorem. Chciałam podzielić się opowieścią z mężem. I wtedy rozbroili mnie moi synowie – sześcio i dziewięcioletni. Przyszli i powiedzieli: „Mamo podjęliśmy decyzję. My z Adrianem zamieszkamy w jednym pokoju, a drugi przeznaczymy dla tych dzieci". Byłam z nich dumna. Przez lata pracy w pomocy społecznej, te odruchy pomocowe wyrabiają się też w naszych dzieciach, a potem wnukach.
Pani Danuta pochodzi z rodziny wielodzietnej, spod Kościerzyny. Wsparcie i wzajemna pomoc były w domu zawsze na porządku dziennym:
- Jako dziecko bawiłam się w niewidzialną rękę, mieszkałam na wsi, podrzucałyśmy z koleżanką samotnej starszej pani jedzenie, zostawiałyśmy je w przedsionku jej domu.

Co może pani nazwać sukcesem zawodowym? - pytam.
- Chyba zadowolenie klientów. Jak widzę uśmiech na twarzach szczególnie moich osób starszych. Społeczeństwo się starzeje i coraz więcej jest usług opiekuńczych świadczonych w domu. Czasem przychodzę do moich podopiecznych tak po prostu, aby zapytać czy wszystko w porządku.

To drobiazgi, ale nie dla osób starszych. One mogą wtedy z kimś porozmawiać, ich życie może stać się trochę łatwiejsze. Samotność w naszych czasach to jest drążące uczucie, osoby starsze naprawdę odczuwają to drastycznie...

takie zastanowienie się. Często ta pomoc musi iść wielotorowo, bo to jest więcej niż jeden problem. Czasami nawiązujemy kontakt z rodziną naszych podopiecznych, uzmysławiamy, że trzeba się zainteresować, poświęcić więcej czasu i uwagi.
Z kolei osobami niepełnosprawnymi trzeba pokierować, aby je włączyć do środowiska, zaktywizować. I potem są bardzo zadowoleni, jak na przykład trafią do dziennego klubu samopomocy. Czasami wystarczy zaledwie asystent osoby niepełnosprawnej i już ten człowiek się zmienia, udaje się go wyciągnąć do kina, czy gdziekolwiek. To są moje drobne sukcesy, że ta osoba została włączona do aktywności społecznej.

Moja rozmówczyni raz na kilka tygodni stara się odwiedzić swoich podopiecznych w domu. Każda z tych osób chciałaby zjeść ciastko i wypić z Panią Danutą kawę, ale nie zawsze jest na to czas.

- To są tak ciekawe osoby, maja tyle nam do powiedzenia, możemy tyle się nauczyć.

Rozeznaję potrzeby, w trakcie rozmowy staram się aby to od osoby potrzebującej wyszło, czego właściwie oczekuje, jakiej pomocy. Ja nie jestem osobą wszechwiedzącą, staram się więc wykrzesać w nich





Ja też od nich czerpię wiedzę i doświadczenie. Zakładając klub seniora na Chełmie, robiliśmy taki bardzo ciekawy projekt – integracji osób starszych z niepełnosprawnymi i dziećmi. Muszę powiedzieć, że początki były bardzo trudne, ludzi starszych osoby niepełnosprawne denerwowały, były hałaśliwe, przeszkadzały, nie pozwalały mówić o chorobach. Ale z biegiem czasu wszyscy się zżyli. Piekli razem ciasto, zaczęło się robić bardzo rodzinnie. I to też jest takim sukcesem, że udało się ich z pewnymi rzeczami oswoić.

Ile to już lat w Miejskim Ośrodku Pomocy Rodzinie? - dopytuję
- W sierpniu minęło 27, kawał życia. Muszę opowiedzieć historię, jak się przyjmowałam do pracy po urlopie wychowawczym. Poszłam na rozmowę, przyjmowała mnie pani dyrektor i nagle mówi, że mogę zacząć pracę w sierpniu i, ze jest miejsce na Jasieniu. A ja znałam tylko Orunię i Dolne Miasto, o innych nie miałam pojęcia. Uparłam się na tę Orunię. Potem okazało się, że nikt nie chciał tam pracować. I wszyscy się śmiali, bo na tamten czas to była praca za karę. A mi Orunia wydawała się taka swojska. Pracowałam tam 5 lat, potem na Chełmie, na Kartuskiej i wróciłam na Orunię.
- Przypadek? - pytam
- Chyba tak. Znudziła mi się praca w Pewexie. Koleżanka namówiła mnie na MOPR. Zawsze lubiłam otaczać się ludźmi, robić coś dla ludzi. Chciałam pogadać. Jakoś tak samo wyszło. Umiem słuchać, jestem chętna na nowości, zmiany, sama poszukuję różnych rozwiązań, ale do końca nie wiem dlaczego tak się stało...

W pracy pracownika socjalnego bardzo przydaje się też dociekliwość.

- Zmarła moja klientka, znaleziono ją w domu. Wszystkie służby zostały powiadomione, także prokuratura. Klientka zawsze mi mówiła, że nie ma rodziny. Intuicja mi podpowiedziała, żebym napisała do rejestru PESEL do Ministerstwa, żeby dowiedzieć się, czy miała rodzinę. Prokurator już wydała zgodę na pochówek, ale ja nie pozwoliłam jej pochować, Po kilku dniach otrzymałam informację, że ta pani ma żyjącą matkę, mieszkającą w Malborku. Policja z Malborka powiadomiła ją o zgonie córki. Ta pani przyjechała do Gdańska. Zabrała córkę do grobu rodzinnego, mówiła, że nie wiedziała jej od 20 lat. Przeżyła ogromną tragedię, ale widziałam, że było to dla niej ważne, że mogła pochować córkę w grobie rodzinnym. To był dla mnie jeden z największych sukcesów w pracy. Czasem to drążenie i dociekliwość są bardzo przydatne... Raz otrzymaliśmy też oświadczenie jednego pana. Zawsze był taki roszczeniowy, nigdy nie przypuszczaliśmy, ze darzy nas sympatią. W piśmie oświadczył, że w razie jego śmierci prosi, aby MOPR pochował go w grobie matki, wskazał nam gdzie znajdują się wszystkie dokumenty i ubranie pogrzebowe. Gdy przyszedł czas, pochowaliśmy go według wskazówek.

Świadczy to o dużym zaufaniu do nas i to są takie miłe drobne zaskoczenia.

Zbliżamy się do końca naszej rozmowy. Wiem, ze Pani Danuta bardzo lubi podróże, pytam więc o plany na jesień i zimę...
- Planujemy z koleżanką wycieczkę do Indii. Jestem otwarta na kultury, inność, lubię kolorowy świat, nawet w modzie. Lubię się bawić modą, koleżanki zasięgają nawet ode mnie porad, mówią nam mnie „stylistka” - śmieje się Pani Danuta.
Najmniej lubię te dalekie loty samolotem, bo boję się latać, ale do Indii polecę...

KAŻDY CZŁOWIEK MA SWOJĄ HISTORIĘ

ANETA BOJKO

Pani Aneta ma cudowny, szczery uśmiech. Nie da się go opisać, trzeba ją poznać i zobaczyć, aby zrozumieć, co mam na myśli...







Na początku swojej pracy Pani Aneta dużo bardziej angażowała się prywatnie, dopiero z czasem nauczyła się, że nie można oddać się całkowicie pracy, bo człowiek może się wypalić.

Zaczynamy towarzyską rozmowę o wyjeździe w góry. Ostatnio udało jej się pojechać na pięć dni w Tatry z koleżankami z pracy. Wcześniej były w Gruzji i w Pieninach, jeżdżą, aby odetchnąć, złapać energię i oddech.
– Rozmawiacie tam o pracy? – pytam.
– Tylko czasami, ale bardziej na zasadzie wymiany doświadczeń i myśli – odpowiada Pani Aneta. Śmieje się, że zawsze jak gdzieś razem pojadą, to na czole mają napisane „pracownik socjalny”: jak ktoś chce zapytać o drogę czy poprosić o jakąkolwiek inną pomoc, zawsze podejdzie do nich, bo one nie boją się patrzeć ludziom w oczy. Nie boją się zauważać, że drugi człowiek potrzebuje pomocy, wsparcia czy po prostu dobrego słowa.

Rozmowa bardzo miło się toczy. Nic dziwnego, bo Pani Aneta jest bardzo otwarta i kontaktowa. Sama o sobie mówi, że potrafi słuchać, wyłapywać trudne momenty i szukać rozwiązania. Jest elastyczna i sporo w niej empatii.

Kończąc studia, kompletnie nie wiedziała, kim jest pracownik socjalny. Wiedzę uzyskiwała stopniowo – dopiero, gdy piętnaście lat temu trafiła do Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej. W dzieciństwie przygarniała z siostrą bezdomne koty, ale


216
550
553
580



o tym, że chęć niesienia pomocy może być przekuta w działanie, przekonała się dopiero w MOPS-ie. I zaczęła działać.

Pochodzi ze wsi w województwie Warmińsko Mazurskim, do Gdańska przyjechała w wieku 19 lat. Studiowała zaocznie i pracowała.

Na początku mieszkała z trzema koleżankami, a pierwszym ich lokum była murowana altana na terenie ogródków działkowych na gdańskim Jasieniu. Nikt nie powiedział, że altana na działkach to średnie miejsce do mieszkania dla trzech młodych dziewczyn, zwłaszcza zimą.

Dostały więc niezłą lekcję. Pani Aneta wspomina tę historię dlatego, że teraz te ogródki działkowe leżą w rejonie jej pracy. Jeździ na Jasień do klientów, którzy korzystają z pomocy Ośrodka. Dziś – po piętnastu latach – znalazła swoją dawną altankę i z dużym sentymentem wraca do przeszłości. Tamten czas nauczył ją pokory. Na działkach od dwudziestu lat mieszka podopieczna Pani Anety – Pani Zofia – przemiła dziewięćdziesięciolatka. Mówi, że ta altana, to całe jej życie, nie chce być zamknięta w bloku czy domu pomocy, Pani Aneta stara się ją wspierać.

Pierwszym miejscem pracy Pani Anety w MOPS-ie był Nowy Port, do którego także ma sentyment. Jako pracownik socjalny, znała tam wszystkich klientów, często z nimi rozmawiała. Na samym początku miała spore obawy, zwłaszcza te, związane z bezpieczeństwem. „Przecież wchodzę ludziom z butami do domu. Czy nie spotkam się z agresją i z niezrozumieniem”? - pytała samą siebie. Potem przyszły obawy praktyczne: czy zdąży z terminem, czy będzie w stanie przygotować dokumenty na czas tak, aby jej podopieczni dostali pomoc. Z biegiem lat było już łatwiej. Pani Aneta przyznaje, że pracownik solcjalny łączy w sobie wiele innych zawodów. Musi być policjantem – pilnować, psychologiem – przytulić, trenerem, by dopingować, pokazać w którą stronę, ale musi też wiedzieć, kiedy się wycofać, nie naciskać, trzeba umieć słuchać drugiego człowieka i podążać za nim.

Na początku swojej pracy Pani Aneta dużo bardziej angażowała się prywatnie, dopiero z czasem nauczyła się, że nie można oddać się całkowicie pracy, bo człowiek może się wypalić. Trzeba umieć trzymać dystans między pracą a życiem prywatnym. Stąd podróże, spacery, książki – inne pasje, które pozwalają na oddech i są odskocznią.





Co można nazwać w tej pracy sukcesem? Na pewno to, kiedy coś udaje się podopiecznym, kiedy po latach udaje im się wyjść z systemu opieki społecznej. Sukcesem zawodowym jest też to, że dziś Pani Aneta jest koordynatorem zespołu. W pracy każdy jej dzień jest inny – nigdy nie wie, co ją spotka, czy będzie spokojna praca biurowa, czy zdarzy się jakaś interwencja. Jej zespół pracowników tworzy swoistą grupę superwizyjną, która pozawala mierzyć się z różnymi wyzwaniami każdego dnia. Pracownik socjalny najlepiej zrozumie drugiego pracownika socjalnego, jego emocje, uczucia, potrafi pomóc.

– A porażki? – dopytuję.

– Raczej chyba trudne momenty, na przykład śmierć klienta, z którym się zżyliśmy, uczestniczyliśmy przez lata w jego życiu, to bardzo dotkliwe.

Pani Aneta pamięta wszystkich swoich podopiecznych – choć nie z nazwisk. Czasem jak wraca do Nowego Portu i zdarza jej się spotkać dawnych klientów, zawsze pyta o to, co się wydarzyło, co słychać...

I podkreśla, że nie da się w tej pracy wpaść w rutynę. Ale niestety trzeba bardzo uważać, aby nie zacząć myśleć o człowieku w kategorii teczki czy zadania. Każdy człowiek jest ważny i liczy się jego problem.

Za co Pani Aneta lubi swoją pracę? Na pewno za kontakt z człowiekiem i różnorodność. Praca daje jej sporą satysfakcję, ale i dowartościowanie, zaspokaja też ciekawość ludzi i świata. „Każdy klient to oddzielna historia, raz śmieszna, raz smutna” – mówi.

– Są wartości, które Pani wynosi z pracy i przekazuje swoim dzieciom? – pytam.

– Tak. To pomaganie drugiemu człowiekowi. Jak zaczęła się pandemia, Pani Zosia z działek przestraszyła się i nie chciała, aby przychodziła do niej opiekunka. Przez trzy miesiące robiłam jej zakupy, angażowałam w to swoje dzieci, żeby pomogły nieść siatki, żeby zobaczyły jak żyją ludzie. Uczę ich szacunku do drugiego człowieka i zawsze mówię, że życie może potoczyć się różnie.

Pani Aneta bardzo lubi szkolić nowych pracowników. Jej zespół mówi na nią „matka kwoka”, a ona na nich „kurczaczki”. Dlaczego? To proste: wciąga nowego pracownika w klimat pracy i dba o niego, aby był zadowolony i miał opiekę. „Zadowolony pracownik jest dobrym pracownikiem” – dodaje Pani Aneta.

„Społeczeństwo widzi naszą pracę przede wszystkim przez pryzmat rozdawania pieniędzy, nikt nie interesuje się tym, co faktycznie robimy. Ta pomoc finansowa to tylko część naszej pracy, resztę stanowi pasja, nasze zaangażowanie i kontakt z drugim człowiekiem” – przekonuje moja rozmówczyni.

– To gdzie następna podróż? – pytam na koniec.

– Do Włoch! Już kupiłyśmy bilety, choć nie wiemy, co dalej się wydarzy. W razie czego, zawsze zostaje nam piękna Polska! – śmieje się Pani Aneta.

NIEDOSZŁA AKTORKA Z PASJĄ DO PRACY SPOŁECZNEJ

ANIELA ZACHARKO

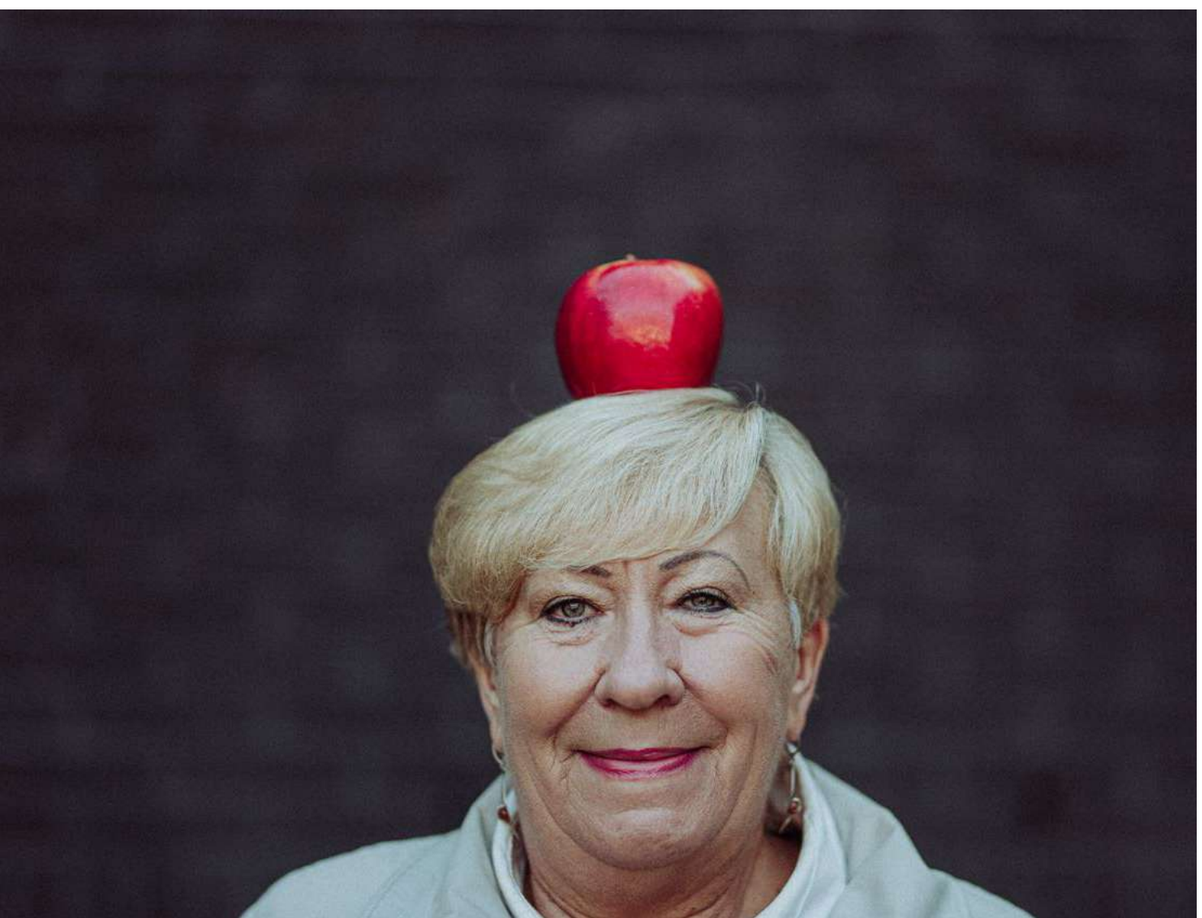
Uśmiechnięta od ucha do ucha, wypoczęta i... z tym czymś w oczach. To coś nazywa się pasją. Bo Pani Aniela ma ich wiele.

Już od dwóch lat jest na emeryturze. Chodzi na zumbę, na aqua aerobik, zajęcia zdrowego kręgosłupa - cztery dni w tygodniu. Mówi o sobie „Dziewczyna z Wyspy Sobieszewskiej", na której zawsze się dużo działo. To sprawiło, ze Pani Aniela nie znosi nudy.

Pomoc społeczna pojawiła się w jej życiu zupełnym przypadkiem. Skończyła Technikum Łączności i najpierw pracowała w Powszechnej Agencji Handlowej. Kiedy pojawiła się „Solidarność" i przemiany społeczne, państwowy zakład upadł. We wrześniu 1989 roku przeszła na bezrobocie i była na nim do lipca 1991 roku.

Doskonale pamięta jeden lipcowy, ciepły dzień. Była z dziećmi na plaży w Świbnie. Przybiegła do niej koleżanka – kasjerka z MOPS -u – i zaczęła wołać „Aniela, zbieraj się, jest robota"!

I tak się zaczęło, zrobiła badania i jeszcze tego samego miesiąca rozpoczęła pracę w pomocy społecznej. Na początku nie wiedziała, czym jest pomoc społeczna, ponieważ system dopiero zaczynał





"Chciałam być aktorką. Grałam, występowałam w szkole i kościele. Ale aktorstwo nie było łatwe, potrzebowałam wsparcia, a w domu go nie miałam."

„Trzeba uruchomić mu windę nieskończoności, bo nieskończenie wiele rąk potrzeba, aby człowieka podnieść, aby mu uzmysłowić, że coś potrafi.”



się tworzyć. Była pracowita, otwarta, nie było dla niej nic niemożliwego, dlatego bardzo szybko się wdrożyła. Maszyny matematyczne, które potrafiła obsługiwać w Technikum Łączności, zajmowały wówczas 40-metrowy pokój. W MOPS-ie takich nie było, a na mniejszych nie potrafiła pracować. Zawzięła się jednak i w miesiąc nauczyła wszystkiego. Zakładała kartoteki dla podopiecznych, pisała listy. Z sentymentem wspomina tamte chwile:

„Do urzędów chodziło się osobiście, dużo rozmawialiśmy, poznawaliśmy się nawzajem. To było dużo lepsze niż komputery, które pojawiły się dość szybko".

W 1992 roku zakupiono wspomniane komputery do wszystkich filii MOPS-u, a Pani Aniela jako pierwsza nauczyła się ich obsługi.

„Ta praca była spełnieniem" – mówi Pani Aniela. Pracowała w Filii nr 2 Ośrodka na Wajdeloty (dzisiaj są to Centra Pacy Socjalnej). Tam powstał też dzienny dom pomocy dla osób starszych, u góry budynku była placówka dla niepełnosprawnych, wszystkie podmioty współpracowały ze sobą. „Tworzyliśmy jedną rodzinę, pracownicy socjalni przychodzili do nas z problemami, razem je rozwiązywaliśmy" – zdradza Pani Aniela.

Pani Aniela jest umysłem ścisłym, doskonale odnalazła się więc jako planistka pomocy społecznej. Nie było dla niej problemem zaplanować rozmaite świadczenia dla podopiecznych, wystarczyły jej tylko dane o rodzinach.

Pani Aniela pamięta jedną Panią, która przychodziła regularnie na Wajdeloty. „Robiliśmy jej kawę, herbatę, dawaliśmy kanapkę. Chorowała. Któregoś razu poprosiła o dwa złote. Dałam jej, a ona oddała po latach, kiedy już ten pieniądz nie był w obiegu, ale dla mnie liczyło się to, że oddała".

Sentymentów i wspomnień jest wiele, także te, związane z prezydentem Gdańska Pawłem Adamowiczem, który zawsze miał dla pracowników społecznych dobre i miłe słowo. „Zawsze podkreślał, że zadania są trudne – nie mają poklasku. Ale za nimi stoi człowiek. A my go podnosimy z kolan. Bezdomnego, alkoholika czy samotną matkę. Jesteśmy przy nich. I dostajemy po głowie od tych najbardziej roszczeniowych". Zdaniem Pani Anieli praca socjalna jest bardzo powolna, ale zmierza do jednego celu: pomocy potrzebującemu człowiekowi. „Trzeba uruchomić mu windę nieskończoności, bo nieskończenie wiele rąk potrzeba, aby człowieka podnieść, aby mu uzmysłowić, że coś potrafi".



Był 27 grudnia. Pracownicy szykowali się do zamknięcia roku, kiedy to do budżetu wpłynęły środki za 3 kwartały. „Pytanie Dyrektor MOPS brzmiało – czy zdążymy utworzyć listy wypłat, napisać przekazy pocztowe? Nasza odpowiedź była jedna – działamy. Pracownicy Socjalni i Filii skomasowali siły jedni układali zgromadzone wnioski klientów według alfabetu (ułożone wnioski zajmowały powierzchnię podłogi całej Filii), inni zasiedli do maszyn sporządzać listy wypłat, następna grupa wypisywała przekazy pocztowe. Byli też tacy, którzy donosili nam kawę i herbatę. Gonił nas czas, ponieważ był określony termin przekazania list i przekazów na pocztę, żeby listonosze zdążyli roznieść pieniądze naszym klientom. Praca trwała do późnych godzin wieczornych przez dwa dni. Ale udało się zrealizować plan. Dziękowaniu naszych klientów nie było końca, a satysfakcja, że daliśmy radę – ogromna. Przy takich akcjach, zawsze łączyliśmy swoje siły, wszyscy działaliśmy razem bez zbędnych pytań, zawsze dawaliśmy radę wszystkim zadaniom” – mówi z radością Pani Aniela.

– Czuje się Pani spełniona? – pytam po chwili.
– Bardzo. I doceniona też. Mam medal od Prezydenta RP Bronisława Komorowskiego i Prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. Sam moment odejścia na emeryturę był bardzo wzruszający.

„Dzisiaj czuję się wolna i nie tęsknię. Nie muszę pracować osiem godzin, sama jestem panią swojego czasu” – mówi.

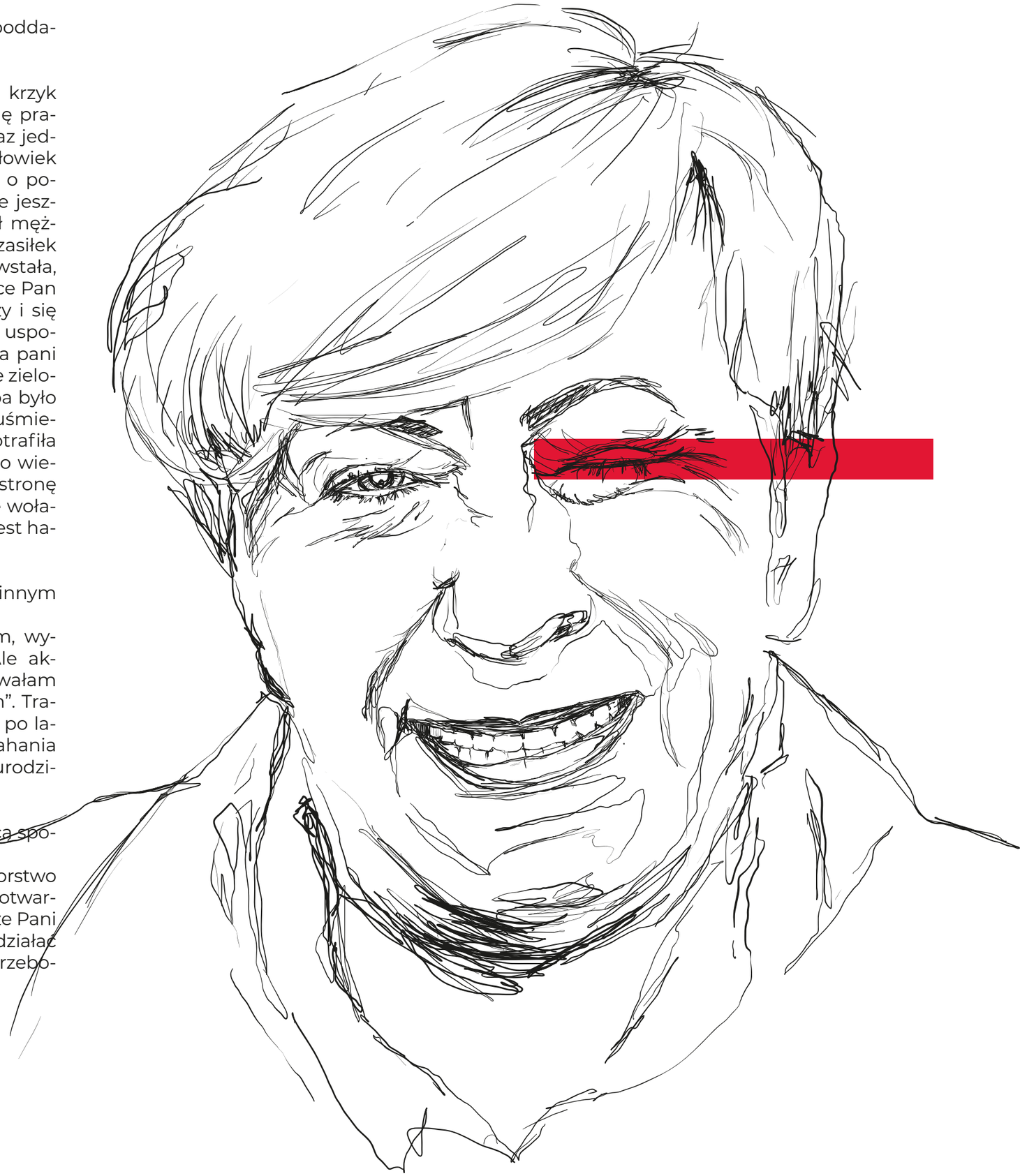
Praca nauczyła ją hartu ducha, nie poddawania się. I tak też mówi innym.

„Trudne momenty w tej pracy to krzyk podopiecznych i wyzwiska w stronę pracownika społecznego” – mówi. Zaraz jednak dodaje, że nauczyła się, że człowiek krzyczy nie na pracownika, a woła o pomoc. Pani Aniela przypomina sobie jeszcze jedną sytuację: „Do filii wszedł mężczyzna, zaniedbany, który miał zasiłek stały. Zaczął wyzywać. Pani Aniela wstała, stanęła przed nim i mówi: „Jeśli chce Pan pomocy, proszę spojrzeć mi w oczy i się uspokoić.” Mężczyzna po chwili się uspokoił i spojrzał w oczy, tak jak prosiła pani Aniela: „Matko, jakie Pani ma piękne zielone oczy!” – krzyknął. „Od tego trzeba było zacząć, teraz porozmawiajmy” – z uśmiechem odpowiedziała Pani Aniela. Potrafiła radzić sobie w takich sytuacjach, bo wiedziała, że rozgoryczenie i agresja w stronę pracowników socjalnych to właśnie wołanie o pomoc. Warto pomagać – to jest hasło, jakie wyniosła z pracy.

Wyobrażała sobie Pani siebie w innym miejscu zawodowym? – pytam.
„Tak, chciałam być aktorką. Grałam, występowałam w szkole, kościele. Ale aktorstwo nie było łatwe, potrzebowałam wsparcia, a w domu go nie miałam”. Trafiła więc do Technikum Łączności i po latach do MOPS-u. Pani Aniela bez wahania przyznaje, że gdyby raz jeszcze się urodziła, poszłaby jednak na aktorstwo.

„A można połączyć aktorstwo z pracą społeczną?” – dopytuję.
Okazuje się, że niespełnione aktorstwo daje możliwość wypowiadania się i otwartość do ludzi. To wszystko sprawiło, że Pani Aniela przez wiele lat potrafi żyć i działać aktywnie na rzecz ludzi, którzy potrzebowali i nadal potrzebują pomocy.

LUDZIE Z MISJĄ



PO PIERWSZE CZŁOWIEK

ROBERT KLIMCZAK

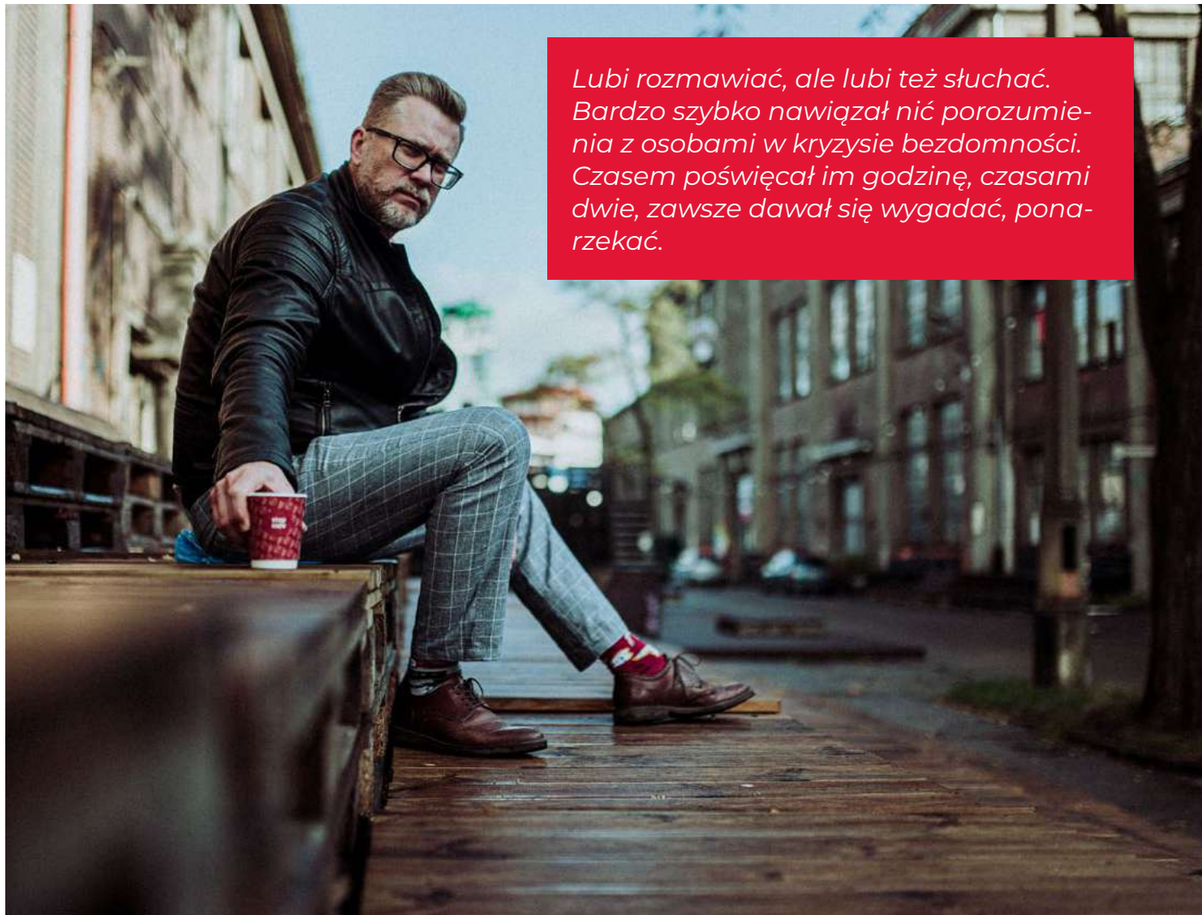
Lubi ludzi, jest niepoprawnym optymistą, nigdy nie był wypalony zawodowo, a każdą odmowę przyjęcia pomocy – przeczekiwał, by wrócić za jakiś czas. „Jak mnie wyrzucają przez drzwi, to wchodzę oknem” – śmieje się.



Z Panem Robertem spotykam się po południu – jeszcze w czasie jego pracy. Czym się dziś zajmował? Przygotowaniami do zimy. I tym, jak zadbać o osoby bezdomne. Pandemia utrudniła działanie osobom takim jak Pan Robert, bo bezdomny, który zdecyduje się na przeniesienie do placówki, musi zostać poddany kwarantannie. Pojawiają się wtedy refleksje: "Czy podołam? Przecież jestem wolnym ptakiem... jestem osobą bezdomną...".

Robert Klimczak już dwudziesty drugi rok pracuje w pomocy społecznej. Śmieje się, że czas bardzo szybko minął, a to dlatego, że lubi to, co robi. Każda praca ma swoje wymagania, do pracy w pomocy społecznej nadają się zdaniem Pana Roberta specyficzne osoby: wariaci, którym obcy jest egoizm. Siebie zostawia się tutaj na dalszym planie, ale jednocześnie trzeba starać się siebie nie zgubić. Bo wtedy nie da się rady.

Problemów jest mnóstwo – cała gama. „Brak dachu nad głową to maksymalne wykluczenie ze społeczeństwa, bo każdemu się przeszkadza, każdy patrzy wrogo, ale z drugiej strony mówi, że pomaganie jest super. Jeśli jednak ta osoba, której daje się pieniądze na bułkę, zaczyna za-



Lubi rozmawiać, ale lubi też słuchać. Bardzo szybko nawiązał nić porozumienia z osobami w kryzysie bezdomności. Czasem poświęcał im godzinę, czasami dwie, zawsze dawał się wygadać, ponarzekać.

„Poznałem kiedyś młodego chłopaka: totalnie zaburzony, mieszkał w kanałach ciepłowniczych. Udało się go namówić, aby poszedł do placówki. Trzeba było nauczyć go wszystkiego: od korzystania z toalety, po jedzenie przy stole. I to się nam udało, choć chłopak bardzo często uciekał."



kłócać porę nocną na klatce schodowej, to zaczyna się patrzeć na nią wrogo…” – mówi pan Robert.

Bardzo często ma w swej pracy do czynienia z ludźmi, którym inni nie chcą pomóc. Czasem sukcesem jest to, że bezdomny pobędzie w placówce chociaż kilka miesięcy. Potem wróci na ulicę, ale w ten sposób przedłuży sobie życie. A to jest jednym z sensów tej pracy.

„Trzeba mieć w sobie sporo samozaparcia, pracownik socjalny musi znaleźć w sobie siłę i nie oceniać życia i powodów bezdomności” – mówi Robert Klimczak.

Lubi ludzi, jest niepoprawnym optymistą, nigdy nie był wypalony zawodowo, a każdą odmowę przyjęcia pomocy – przeczekiwał by wrócić za jakiś czas. „Jak mnie wyrzucają przez drzwi, to wchodzę oknem” – śmieje się. „Bo kto im pomoże jak nie pracownik socjalny? Nie zmieni się człowieka diametralnie, ale małymi krokami, można ograniczyć na przykład skutki picia alkoholu” – dodaje. Tylko tyle i aż tyle.

Kiedy dwadzieścia lat temu przyszedł do pracy do MOPS-u był taką samą osobą, tylko młodszą. Pełną zapału, chęci pracy, lubiącą ludzi oraz szukającą wyzwań i ciekawych historii w życiu. „Trzeba sobie uświadomić, że rutyna jest normalna, ale trzeba znaleźć rozwiązanie, aby w nią nie popaść” – mówi. I wspomina, jak raz dał się zaskoczyć. „Liczyliśmy bezdomnych. Byłem wtedy pracownikiem socjalnym, wydawało mi się, że wszystkich znam. Był taki zwyczaj, że roznosiło się smycze z nazwiskiem, rozmawiałem z jednym mężczyzną i ani się obejrzałem – on zaczął mnie dusić tą smyczą”. Dziś wie, że zawsze trzeba pamiętać przede wszystkim o swoim bezpieczeństwie i o tym, kiedy się wycofać.

Skończył pedagogikę i resocjalizację, nie myślał o pracy socjalnej – raczej o policji, czy zakładzie karnym. Dwadzieścia lat temu możliwość zatrudnienia w tych miejscach graniczyła z cudem, więc trzeba było szukać innej drogi. Wtedy właśnie przyjęto go do Ośrodka Pomocy Społecznej, bo tworzony był akurat samodzielny zespół ds. osób bezdomnych. Mężczyzn, którzy chcieli tam pracować było niewielu, dlatego pojawił się on. I tak się zaczęło.

– Co się zmieniło przez lata w temacie bezdomności? – pytam.

– Zmieniła się pomoc. Na początku były tylko placówki, noclegownie. Jak ktoś dostał mieszkanie, to było to szczęście, ale rzadkie. Potem pojawiały się pojedyncze mieszkania treningowe. Następnie powstał model wynajmowania i opłacania pokojów na wolnym rynku, ale to się nie sprawdziło, bo przerosły nas koszty. Teraz mamy projekt „Housing first” – głównym realizatorem jest Towarzystwo Brata Alberta, a partnerem Miasto Gdańsk. W tej chwili mamy dziesięć mieszkań, ale warunkiem by je dostać jest spędzenie minimum sześciu lat na ulicy, choroba psychiczna, bądź uzależnienie od alkoholu.





Podsumowując – najcięższy kaliber klienta, który nie potrafił skorzystać z innej pomocy. Ten model sprawdza się w innych krajach europejskich. Chodzi tu o to, że mieszkanie jest nie żadną nagrodą, a podstawowym prawem każdego człowieka. Dopiero później możemy starać się pracować z bezdomnym, aż do skutku, czyli trudnego wyjścia z kryzysu.
– Jakie są Pana sukcesy? – pytam.
– Poznałem kiedyś młodego chłopaka: totalnie zaburzony, mieszkał w kanałach ciepłowniczych. Udało się go namówić, aby poszedł do placówki. Trzeba było nauczyć go wszystkiego: od korzystania z toalety, po jedzenie przy stole. I to się nam udało, choć chłopak bardzo często uciekał.

Zdaniem Pana Roberta każde ściągnięcie osoby umierającej do placówki jest sukcesem. Pomimo, że nieraz słyszy się całą gamę epitetów i wyzwisk, to się wraca i namawia, a potem znowu wraca. Bo nie można wziąć pod pachę czy kazać. To musi być wybór osoby bezdomnej i jej dobra wola.
– Bał się Pan kiedyś? – pytam zaciekawiona opowieścią.
– Tak. To był psychopata. Spotkałem go na przystanku tramwajowym na Letnicy. Rozmawialiśmy, a zaraz potem stwierdził, że za tę prawie godzinną rozmowę należy mu się 10-20 zł. Zaczął mi grozić, szedł w moją stronę. Wtedy zauważyłem, że wycofywanie się powoduje wejście na tory, a tramwaj nadjeżdżał, motorniczy zaczął już dzwonić. Na szczęście udało mu się wyhamować. Wtedy uciekłem, a bezdomny się wycofał".

To był strach, który pan Robert zapamiętał na długo. „Trzeba uważać i zawsze mieć oczy dookoła głowy" – dodaje.

Lubi rozmawiać, ale lubi też słuchać. Bardzo szybko nawiązał nić porozumienia z osobami w kryzysie bezdomności. Czasem poświęcał im godzinę, czasami dwie, zawsze dawał się wygadać, ponarzekać. Praca daje mu satysfakcję, nigdy nie myślał o zmianie. Czasem jednak zastanawia się nad jej ważnością – bo potrafi ona zdominować życie człowieka. Trzeba wiedzieć, co jest priorytetem. Dla niego dziś najważniejsza jest córka i partnerka.

„Praca to praca" – mówi. Nie chce nazywać jej pasją, aby zachować hierarchię wartości. Co w takim razie jest jego pasją? Ludzie, których spotyka w pracy i którym pomaga. A po pracy? Jazda samochodem. „Małym, dużym, gdziekolwiek i w czymkolwiek. Jechanie przed siebie było kiedyś rozrywką. Wsiadanie do samochodu i jeżdżenie nocą po Trójmieście, aby złapać oddech. To była przyjemność – upływających kilometrów, świateł, czasu. To dawało energię. I nadal daje" – śmieje się Robert Klimczak.

Czego nauczyła go praca? Jeszcze większego spokoju, opanowania i pokory. Bycia wrażliwym na potrzeby drugiego człowieka, ale i dania sobie prawa i czasu do zastanowienia się nad tym, co mogę, a co chcę zrobić. Bo czasami to od jego decyzji zależy ludzkie zdrowie, a nawet życie. Od tego, czy pochylisz się nad człowiekiem, ile czasu mu poświęcisz. Czy wrócisz do niego, czy zapomnisz do niego wrócić...

Żadne studia nie nauczą pracownika socjalnego intuicji i empatii, trzeba mieć to coś, bo nieraz trzeba wdrażać w życie rozwiązania bardzo trudne. Trzeba patrzeć przede wszystkim na człowieka i szanować go takim, jaki jest.

SZKODA CZASU NA SEN

DOROTA SZCZYPIOR

Od Pani Doroty bije niesamowita energia. Taka energia, która sprawia, że człowiek chce się wspiąć na wyżyny, chce się zaangażować, dać się porwać jej opowieści...

Pani Dorota cieszy się, że może uczestniczyć w życiu swoich rodzin, że jej ufają, że zbudowała dla nich bezpieczną przystań. I jest dla nich kimś ważnym.





6 lat temu zapukała do drzwi opieki społecznej. Mimo swoich wcześniejszych doświadczeń w „pomaganiu", na początku pamięta jedynie ogromne przerażenie.

Kontakt z rodzinami dysfunkcyjnymi i z ich codziennymi problemami sprawiał, że zadawała sobie pytania: czy dam rade? czy stanę na wysokości zadania? I przez myśl przechodziły jej refleksje: „przecież jestem dla nich obca, a chcę wejść z butami w ich życie...".

Po jakimś czasie udało się uzyskać zaufanie rodzin, nawiązać relacje. Wszystko powolnymi krokami, budując wspólny fundament – tak jak w rodzinie.

Pani Dorota jest dziś asystentem rodziny – wspiera, dba o swoich podopiecznych, często jest jedyną osobą, która ma o danej rodzinie dobre zdanie. Jest też adwokatem, trochę aniołem stróżem, przyjacielem. Co nie znaczy, że tylko głaszcze po głowie i przytula – czasem też pokrzyczy. Mówiąc to, Pani Dorota dyskretnie się uśmiecha. W jej oczach widać ogromną pasję...





Gorsze chwile też się zdarzają – i wtedy trzeba szukać oddechu. Pani Dorota wyjeżdża na Kaszuby – do rodziny i do lasu, który uwielbia. Lubi jeździć rowerem, uprawiać inne sporty. To jej pozwala zadbać o własną psychikę.

Zwłaszcza, że po godzinach pracy też reaguje na potrzeby swoich podopiecznych. Jest kryzys – trzeba działać. Nie da się odłożyć czegoś na później, bo to „później" często może oznaczać... „za późno". I to szybkie działanie Dorota określa jako swój atut. Ale i problem, bo jest raptusem, a czasem nie wszystko da się przeskoczyć. Czasem czas staje się dużą barierą...

Co najbardziej lubi w swojej pracy? Ludzi! Każdy jest dla niej wyjątkową postacią. Od swoich podopiecznych uczy się pokory i dystansu – wzajemnie się uzupełniają. Dzięki swojej pracy, uczy się zauważać drugiego człowieka. Zwłaszcza w dzisiejszym tak szybkim tempie życia. Pani Dorota cieszy się, że może uczestniczyć w życiu swoich rodzin, że jej ufają, że

„Jest problem i jestem ja" – mówi z satysfakcją. Rodziny nie boją się do niej zadzwonić – nawet po pracy, bo zawsze odbiera. Wie, że musi, bo po drugiej stronie słuchawki jest człowiek, który właśnie teraz potrzebuje pomocy, a boi się zadzwonić na numer alarmowy.

Odkąd pamięta, zawsze chciała pomagać. Już w liceum coś załatwiała dla innych. W czasie studiów była wolontariuszką w Hospicjum im. Księdza Dutkiewicza w Gdańsku. Tam poznała Księdza Piotra. To on jako pierwszy zaszczepił w niej pozytywną energię, sprawił, że poczuła wielką moc i chęć prawdziwego pomagania. Dziś sama wspiera i motywuje.

Ma łatwość nawiązywania kontaktów – rzeczywiście – bardzo dobrze nam się rozmawia. Jest uparta, odważna i nieustępliwa. Jak przystało na zodiakalnego byka! Działa z rodzinami wspólnie, nie wychodzi przed szereg, towarzyszy. Zawsze najpierw pyta o to, jak dana osoba wyobraża sobie współpracę z nią. Zwykle ma dla ludzi dobre słowo, które motywuje. Stara się szukać iskierki, dobrej strony, światełka w tunelu.

„Razem damy radę" – to wyświechtane i proste określenie, ale pani Dorota zapewnia, że ono działa. Jakaś energia wewnętrzna wstępuje wtedy w ludzi. Zaczynają brać odpowiedzialność za własne życie. A potem pojawia się satysfakcja, że się udało rodzinie, ale i Pani Dorocie. I w ten sposób można razem nie tylko iść, ale i biec w maratonie...





LUDZIE Z MISJĄ

zbudowała dla nich bezpieczną przystań. I jest dla nich kimś ważnym.

Najbardziej ją wkurza szufladkowanie ludzi – nadawanie im etykietek: „ta to zawsze ma problemy!”. Nie można człowieka w potrzebie pozostawić samego sobie – twierdzi Pani Dorota.
Wciąż ma pełno pomysłów w głowie, aby pomóc osobom słabszym. Chciałaby, aby klienci uwierzyli, że z każdego kryzysu można wyjść. Tylko czasem potrzeba na to więcej czasu. „Mogłabym pewnie pracować w korporacji, ale to nie dla mnie. Tę pracę czuję, po prostu...” – mówi.
– A porażki? – pytam.
– Porażką jest sytuacja, w której rodzina zaczyna się cofać, kiedy jest dobrze, a potem następuje kryzys... i nie umiemy sobie z nim poradzić. Dzieci zostały oddane do pieczy zastępczej i rodzina ma czas, aby uporządkować sobie swoje życie na nowo, by potem odzyskać dzieci, ale nie daje rady, odbija się od ściany. Wtedy pojawia się poczucie bezsilności, niemocy, które też trzeba zaakceptować. Bo każdy jest kowalem własnego losu – mówi.

Porażki ją motywują. Nieraz budzi się o czwartej w nocy. Kombinuje, czyta, szuka. „Szkoda czasu na sen!” – podkreśla, szeroko się uśmiechając.

I dodaje: „Nie jestem w stanie usiedzieć w miejscu!”. I wtedy bierze rower i jedzie przed siebie. Na Dolnym Mieście spotyka dzieci swoich podopiecznych, które dołączają się do wycieczki. Pani Dorota lubi z nimi spędzać czas, rozmawiać. Być w ciągłym ruchu.

Chciałaby być jeszcze szybsza. Jeszcze bardziej pomocna. I dorzuca na koniec: „Może kupię sobie wrotki albo deskorolkę?".

DŁUGO SZUKAŁEM SWOJEJ DROGI

WOJTEK HEYKE

Umie słuchać, potrafi rozmawiać, doradzać, pomagać. Takie cechy pozwoliły mu na przełamanie pierwszych lodów.

Kiedy przychodzi do domu, czyta książki historyczne i teologiczne. Interesuje go metafizyka – rzeczy, których nie widzimy, a które przekładają się na nasze funkcjonowanie.





Pan Wojciech jest bardzo ciekawą osobą. Wciąż poszukuje swojej drogi i mierzy się z różnymi trudnościami. Zacznijmy jednak od początku. Prawie dwadzieścia lat temu Wojciech Heyke trafił do Centrum Wolontariatu. Tam skierowali go do ówczesnego Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej. Był rok 2001. Trafił więc do sztabu powodziowego, zajmował się dokumentacją, ale konkretnymi działaniami pomocowymi. Jeździł do powodzian – z pralką, lodówką, dobrym słowem. Zaczął obserwować osoby potrzebujące pomocy.

Nadszedł czas, kiedy uznał, że pora sprawdzić się na polu religijnym – z dnia na dzień rzucił swoje dotychczasowe życie i wyprowadził się do Pelplina, gdzie dwa lata uczył się w seminarium. Tam też miał szansę na pomoc potrzebującym: w ramach wolontariatu przyszli księża jeździli do Domu Dziecka w Tczewie. To tam Pan Wojciech zaczął sobie uświadamiać, że seminarium nie jest dla niego. Jeśli zostanie w Pelplinie jako duchowny, całe życie będzie sam, nikt nigdy nie powie do niego „TATO” ani szczerze nie poda mu kubka wody.

Tak szybko jak wyprowadził się z Gdańska, biegiem do niego wrócił – z dnia na dzień. Znowu zapukał do drzwi MOPS-u. Zaczął pracę na etat, którą cieszył się kilka lat. I znowu stwierdził, że potrzebuje zmiany.





Tym razem zatrudnił się w kancelarii komorniczej. Z instytucji pomagającej przeszedł więc do tej, która ma zupełnie inne zadanie.

Tam uzmysłowił sobie, że woli jednak tak działać, aby jak najmniej było osób, które muszą trafiać do komornika, spłacać długi i walczyć z poczuciem beznadziei. I znowu zwolnił się z pracy, by uciec i zostać do dziś w pomocy społecznej.

– Ma Pan pomaganie we krwi? – pytam.
I słyszę opowieść o harmonijnej duszy „pomagacza", o potrzebie wyciągania dobra z drugiego człowieka. „Nikomu nie zaplanujemy życia, nie możemy za niego podejmować decyzji, by zrealizować jakiś swój plan" – mówi pan Wojciech.

Pewnego razu przyszła do niego pewna kobieta, której wcześniej pomagał wyjść z toksycznej relacji z mężem stosującym przemoc. Przyszła i oświadczyła, że.... się rozwiodła. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie dodała, że zrobiła to, bo kazał jej Pan Wojciech. „Wtedy uderzyłem w sufit. Zrozumiałem, że przesadziłem w doradzaniu i muszę sprawić, aby ludzie sami podejmowali decyzje i brali odpowiedzialność za swoje życie".

Od 10 lat Wojciech Heyke pracuje w obszarze przeciwdziałania przemocy w rodzinie. To bardzo trudne zadanie, niewdzięczne. Zwłaszcza, że początek był dość nietypowy.

„Większość osób doświadczających przemocy to kobiety, a ja jestem facetem – jak mają mi zaufać?" – pyta Pan Wojciech.

Ale spróbował. Umie słuchać, potrafi rozmawiać, doradzać, pomagać. Takie cechy pozwoliły mu na przełamanie pierwszych lodów. Potem było już dobrze. Dziś jest przewodniczącym zespołu interdyscyplinarnego, który koordynuje procedury niebieskiej karty w Gdańsku. To do niego trafiają wszystkie przypadki stosowania przemocy. Odbiera dużo telefonów, prowadzi konsultacje i rozmowy.

Najtrudniejsze są dla niego niedoskonałości tej pracy, a przede wszystkim papierologia. To denerwuje go najbardziej. Nie niskie pensje, nie ludzka niewdzięczność, ale papiery właśnie: „Z wielu dokumentów można by zrezygnować i więcej czasu poświęcić potrzebującym, ale system pomocy społecznej jest taki, a nie inny i próbujemy się z nim mierzyć" – przyznaje Wojciech Heyke.

Najgorzej, kiedy pomoc okazuje się niepotrzebna, kiedy kończy się śmiercią osoby doświadczającej przemocy. System zawodzi, nie było możliwości zapewnienia bezpieczeństwa osobie, która doświadcza przemocy. „To się bardzo wbija w psychikę" – mówi.





I dodaje, że to załamanie trzeba przekuć na dalsze działanie, z większą siłą i impetem. Da się to zrobić, jeśli jest się cierpliwym i ma się umiejętność słuchania.

A radości?
Są wtedy, gdy Pan Wojciech spotyka na ulicy osobę, której udało się skutecznie doradzić. Widzi ją uśmiechniętą, mówiącą, że jest dobrze. To cieszy i daje motywację do dalszej pracy. Kiedyś chciał być za bardzo oficjalny, potem był bratem łatą, na koniec zrozumiał, że trzeba wypośrodkować. Dbać o siebie i o swoje życie prywatne, aby się nie wypalić.

Kiedy przychodzi do domu, czyta książki historyczne i teologiczne. Interesuje go metafizyka – rzeczy, których nie widzimy, a które przekładają się na nasze funkcjonowanie. Po pracy, w weekendy stara się znaleźć czas dla siebie, wyłączyć się, odizolować, odetchnąć. Usiąść z rodziną i po prostu porozmawiać, pójść na spacer, wyjechać gdzieś, gdzie nie działają telefony.

Dlaczego pracuje w pomocy społecznej? Kiedy się nad tym zastanawia, zawsze do głowy przychodzi mu scena z filmu „Komornik”: „Aby kawałek świata był uporządkowany”...

Z seminarium wyniósł umiejętność słuchania i troskę o drugiego człowieka, z kancelarii komorniczej nieustępliwość. Oba doświadczenia sprawiły, że jest dziś w tym, a nie innym zawodowym miejscu.

Za co lubi swoją pracę? Za nieprzewidywalność, brak rutyny, za to, że każdy dzień może przynieść wiele nowych rzeczy, o których mu się często nawet nie śniło. Ktoś zadzwoni, coś się wydarzy, trzeba interweniować tu i teraz. Nie ma nudy.
Kiedyś uczył się w szkole zawodowej, chciał być tokarzem. A teraz z pewnością i zadowoleniem w głosie przyznaje:

„Gdybym miał 8 godzin kręcić wałkami i robić wciąż to samo, chyba bym zwariował. Jestem wdzięczny losowi za to, że dał mi taką ciekawą pracę. Jeśli wpadnę w rutynę, to będzie czas się pożegnać. Bez pasji i misji nie da rady pracować w pomocy społecznej”.

PO PROSTU DZIAŁAM I CIESZĘ SIĘ Z EFEKTÓW TEGO DZIAŁANIA

BOŻENA PALUCH

„Jestem człowiekiem zadaniowym i zdecydowanie łatwiej jest mi podejmować wyzwania, załatwiać sprawy, rozwiązywać problemy niż o tym opowiadać.”





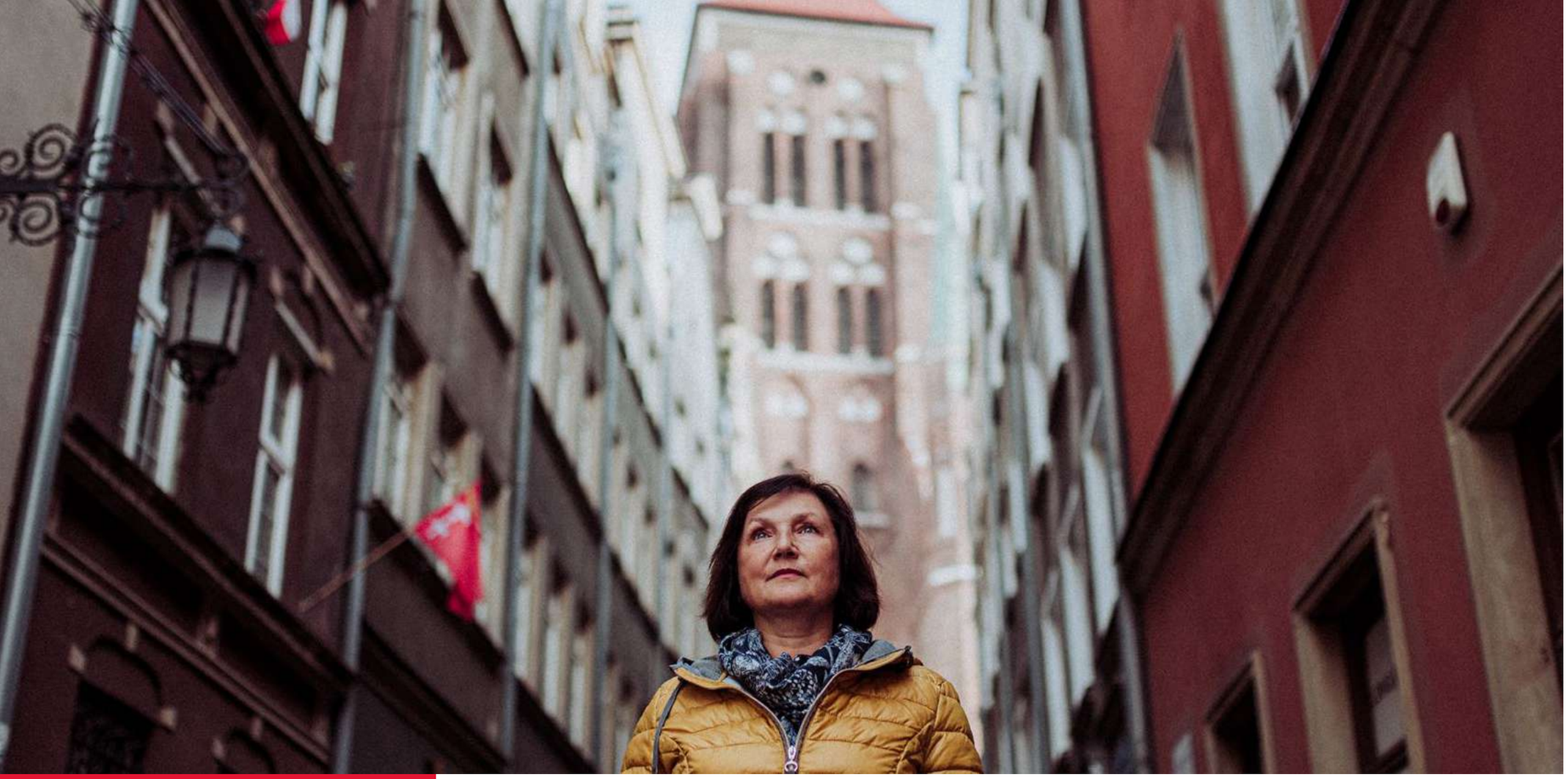
Pani Bożena lubi bezpośredni kontakt z ludźmi – ze swoimi współpracownikami, z organizacjami pozarządowymi i innymi instytucjami, a przede wszystkim z tymi, którzy potrzebują wsparcia i pomocy. Lubi słuchać ludzi, czasem nawet z dystansu przyglądać się swoim rozmówcom, aby móc dostrzec niuanse, które mogą mieć znaczenie w podejmowaniu działań i rozwiązaniu problemu. Jest otwarta i kontaktowa, ale nie przepada za opowiadaniem o sobie. „Jestem człowiekiem zadaniowym i zdecydowanie łatwiej jest mi podejmować wyzwania, załatwiać sprawy, rozwiązywać problemy niż o tym opowiadać" – przyznaje. Dlatego właśnie zdecydowałyśmy się na wywiad papierowy, bez nagrywania.

Pani Bożena skończyła liceum ogólnokształcące i nie miała sprecyzowanych planów na przyszłość. Nie sądziła, że kiedyś przyjdzie jej pracować w pomocy społecznej. A jednak...

Chciała zostać pielęgniarką, ale szybko zrezygnowała – to nie było to, co jej w duszy grało.

W urzędzie pracy otrzymała informację o wolnych miejscach właśnie w opiece społecznej. W latach 80-tych pomoc spo-

Pani Bożena zdradza, że po latach pracy w opiece społecznej, czuje się spełniona, choć wie, że ma jeszcze wiele rzeczy do zrobienia.



łeczna usytuowana była w strukturach służby zdrowia, a pracownicy socjalni mieli siedziby w przychodniach rejonowych. I tak od 1984 roku zaczęła pracę w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym w Gdańsku. Wcześniej nie miała żadnej styczności z pomocą społeczną, dlatego nie wiedziała czego oczekiwać. Co czuła? Przede wszystkim lęk przez nieznanym. Tak zaczęła się jej przygoda z pomocą społeczną, która trwa do dziś.

Pani Bożena pracuje z seniorami i z osobami z niepełnosprawnościami – organizuje im wsparcie. Często osoba, która prosi o pomoc, nie potrafi sprecyzować o jakie wsparcie chodzi. Najczęściej są to sami seniorzy lub osoby z niepełnosprawnościami, w różnym wieku. Dlatego trzeba rozmawiać z ludźmi, czasem długo i z cierpliwością. Niektórzy ubiegają się o skierowanie do placówki wsparcia dziennego, inni o możliwość umieszczenia w domu pomocy społecznej. Kolejni chcieliby skorzystać z usług opiekuńczych, opieki wytchnieniowej czy po prostu pomocy finansowej. „Osoby zainteresowane otrzymują szczegółową informację o formach wsparcia realizowanych przez MOPR oraz w przypadku konieczności kontaktu z pracownikiem socjalnym informację, gdzie znajduje się właściwe Centrum Pracy Socjalnej. Jeżeli sprawa dotyczy innej instytucji, również zostaje wskazane miejsce, gdzie można uzyskać szczegółowe informacje. Każda sprawa rozpytywana jest indywidualnie, a pomoc udzielana jest w zakresie ustalonym z osobą zainteresowaną, zgodnie z możliwościami ośrodka” – podkreśla Pani Bożena.

– Co dała Pani praca? – pytam.

– Przede wszystkim pozwoliła mi się rozwinąć, poznać siebie, nauczyła mnie współpracy z ludźmi, umiejętności pracy pod presją czasu i umiejętnego nim zarządzania, choć nie zawsze jest to proste. Różne sytuacje zawodowe i relacje ze współpracownikami dostarczają mi okazji do rozwijania empatii. Mam jednak świadomość, że wielu rzeczy nie wiem i nadal się uczę. Nauczyłam się, że każda chwila może mnie zaskoczyć – odpowiada Pani Bożena.

To dzięki pracy poznała wiele interesujących, wartościowych osób, zawarła wiele znajomości, nawiązała przyjaźnie, które trwają do dziś, co bardzo sobie ceni.

– A satysfakcje i porażki? – pytam dalej.

– Satysfakcję odczuwam wtedy, gdy uda się np. zorganizować i otworzyć kolejną placówkę, bo to zwykle jest długotrwały proces. Od momentu ustalenia potrzeb do momentu pozyskania środków na ten cel, wyłonienia organizacji realizującej zadanie oraz skierowania do niej uczestników mija zwykle długi czas. Ale zadowolenie uczestników i ich rodzin jest bezcenne.

A porażka? "Jest wtedy, gdy mimo starań i maksimum włożonego wysiłku, osoba zainteresowana odmawia oferowanego wsparcia, albo nie uda się zrealizować zaplanowanego zadania, zgodnie z założonym planem".



I wtedy Pani Bożena czuje bezsilność, ale uznaje, że trzeba nauczyć się godzić z porażką, bo inaczej nie można iść do przodu. Każdy kolejny dzień przynosi nowe pomysły i nowe sposoby rozwiązania.

– Praca to pasja czy misja? – zadaję kolejne pytanie.
– Według mnie misja. Podchodzę do pracy odpowiedzialnie, mam z niej sporą satysfakcję i radość. Przez krótki moment, kiedy otrzymałam propozycję zmiany pracy, rozważałam taką opcję, ale zwyciężyło moje przewiązanie do ludzi i miejsca.

Pani Bożena zdradza, że po latach pracy w opiece społecznej, czuje się spełniona, choć wie, że ma jeszcze wiele rzeczy do zrobienia. Praca jest ważna, ale nie najważniejsza. Najważniejsza jest rodzina, przyjaciele i pasje.
– Jakie? – pytam.
– Moja największa pasja to podróże. Niestety ten rok spowodował, że plany musiały zostać przełożone na inny termin. Nie ma dla mnie znaczenia, czy jest to podróż daleka, czy bliska. Ważne jest to, że jestem w innym miejscu, z dala od codzienności i ładuję akumulatory. Może to być też tylko parogodzinny wypad za miasto.

"Praca bywa bardzo absorbująca i trudna, trzeba więc złapać dystans. Bo wiem, że mimo ogromnej chęci, nie da się rozwiązać wszystkich problemów. Cieszę się więc tym, co jest. Czasem po intensywnie spędzonym dniu w pracy, potrzebuję chwili oddechu, ciszy, spokoju i samotności w czterech ścianach, ale lubię też pomilczeć w dobrym towarzystwie" – zdradza Pani Bożena.

LUDZIE Z MISJĄ



EMERYTURA? TO NIE DLA MNIE!

KRYSTYNA KAWECKA

Pani Krystyna jest szczęściarą, bo każdą swoją pracę darzyła sympatią, zawsze szła do niej radosna i uważała, że jak już coś robi, to musi to sprawiać jej przyjemność.



Pani Krystyna jest bardzo zajętą osobą. Spotykamy się późnym popołudniem. Niemal wbiega do miejsca spotkania. Co sprawiło, że nabrała takiego tempa? Obiad dla dzieci, sprzątanie, oczekiwanie na powrót ze szkoły, przygotowanie się do wyjścia. Musiała tego wszystkiego dopilnować. Mówi, że jest nadgorliwą babcią albo ciocią. Ma pod opieką ośmioro dzieci w różnym wieku. Ośmioro młodych ludzi, z różnym bagażem doświadczeń. Jest też babcią i mamą dla własnych, dorosłych już dzieci.

Pani Krystyna od siedmiu lat prowadzi na gdańskiej Zaspie Rodzinny Dom Dziecka. Jest zatrudniona przez Miejski Ośrodek Pomocy Rodzinie, na który może liczyć zawsze, kiedy tylko pojawiają się problemy, z którymi sama nie umie sobie poradzić. „Moje życie zawsze było zaplanowane, pomijając jeden wielki wybuch, czyli rozwód z mężem" – zdradza.

Z wykształcenia jest pedagogiem – z sentymentem wspomina swoją pierwszą pracę w szkole w Przejazdowie, bo była to dla niej fantastyczna przygoda. Potem prowadziła działalność gospodarczą i pracowała w koncernie farmaceutycznym. Praca z dziećmi zawsze była dla niej ważna i nie mogła pozbyć się myśli o prowadzeniu ro-



Pani Krystyna jest szczęściarą, bo każdą swoją pracę darzyła sympatią, zawsze szła do niej radosna i uważała, że jak już coś robi, to musi to sprawiać jej przyjemność.

Czy jest do dzieci przywiązana? Na pewno. Uważa, że opieka nad nimi to jej zadanie, chce zrobić dla nich wszystko, aby im pomóc w przełamaniu swoich barier i przykrych doświadczeń.



dzinnego domu dziecka. I tak właśnie od marzenia zaczęła się jej historia.

Przed laty zamierzała otworzyć ośrodek dla dzieci niepełnosprawnych, ale życie pokrzyżowało jej plany. Wtedy przyszła refleksja: „Czas szybko leci, dzieci dorastają...". Nie chciała być sama, chciała się jeszcze komuś przydać.

Pani Krystyna jest szczęściarą, bo każdą swoją pracę darzyła sympatią, zawsze szła do niej radosna i uważała, że jak już coś robi, to musi to sprawiać jej przyjemność. Poczekała, aż jej dzieci staną się samodzielne i wtedy zapukała do drzwi Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie. Udało jej się zdobyć potrzebne certyfikaty, odbyć szkolenia i tak, w połowie grudnia 2013 roku otrzymała lokal, w którym prowadzi dziś Dom Dziecka. Z zadowoleniem i ulgą podkreśla, że nie jest panią dyrektor, ale babcią, ciocią, czasem też mamą, choć nie preferuje tego określenia. Bo przecież nie może zastąpić dzieciom ich biologicznych mam.

Dzieci są różne. Trafiają z trudnych domów, z wieloma problemami. W wielu przypadkach jest tak, że rodzice też wywodzili się z rodzin deficytowych. Często dzieci, które trafiają do Pani Krystyny są już trzecim pokoleniem, w którym powtarzają się problemy. „Jak taka mama miała wychować dobrze dzieci, kiedy nie miała wzoru?" – pyta Pani Krystyna.

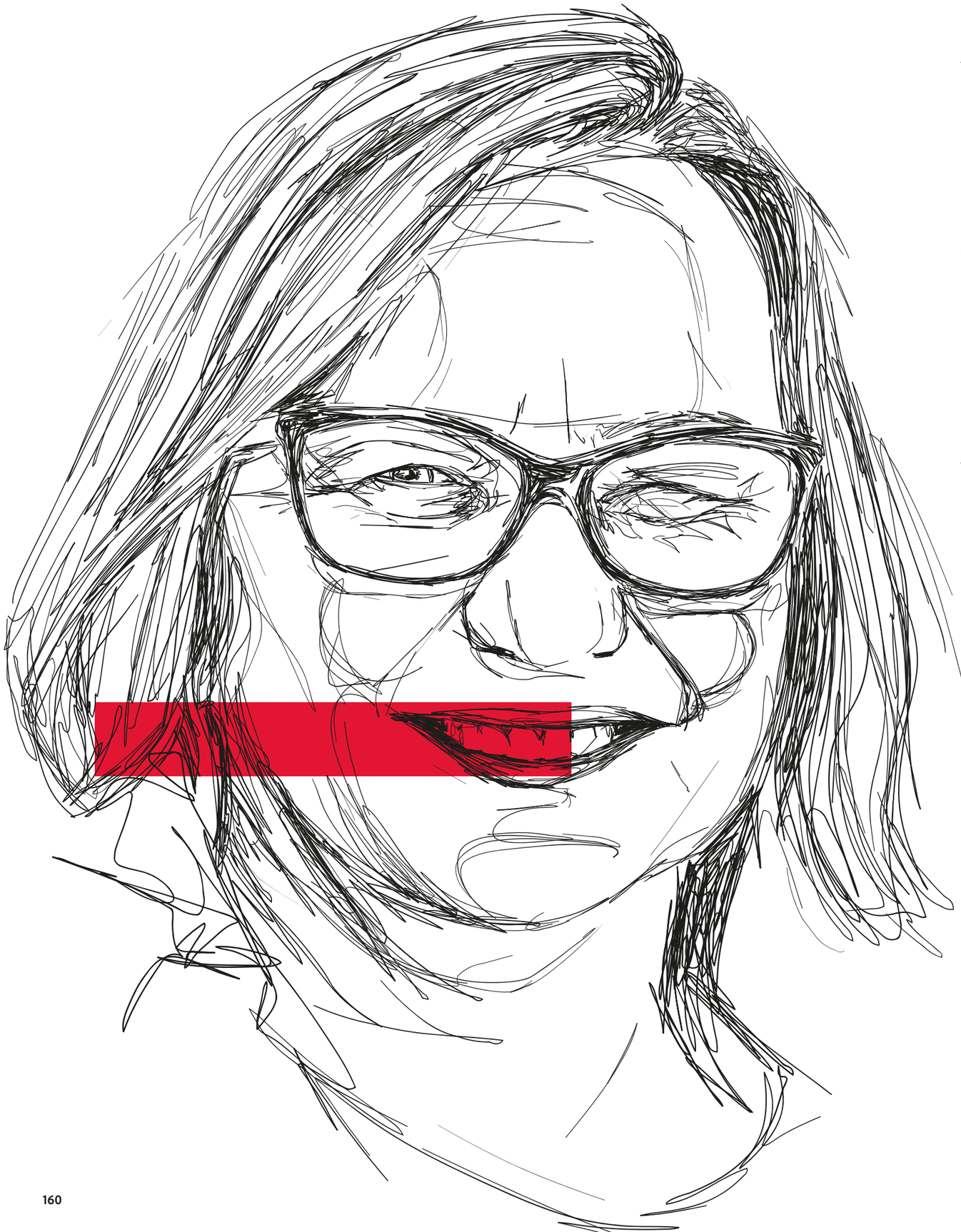
Kobieta stara się, aby dzieci budowały wysokie poczucie własnej wartości, aby wiedziały, że mogą osiągnąć wszystko, czego pragną, jeśli będą cierpliwe. „Moje dzieci wiedzą, czym jest teatr, koncert symfoniczny czy wystawa Beksińskiego. My tak właśnie żyjemy – pełnią poznajemy świat. Wiemy, co to jest droga restauracja, podpatrujemy i robimy potem w domu coś, co nam smakowało" – mówi.

Są też kłopoty – dzieci pyskują, buntują się, kłamią, ale Pani Krystyna uważa, że to jest normalne. Wszystkie dzieci tak robią. Jeśli jednak kilka razy zdarzy jej się usłyszeć coś niemiłego, zaczyna szukać przyczyny i błędu w sobie – czy wprowadziła za duży rygor, czy wręcz przeciwnie.

Na co dzień pomaga jej córka. Też studiuje pedagogikę. Uwielbia pracę z dziećmi, tworzy programy filmowe, porusza trudne tematy: narkotyki, przypadkowe zbliżenia seksualne. Ma doskonały kontakt z dziećmi. Czasem wymieniają się doświadczeniami.

Czy jest do dzieci przywiązana? Na pewno. Uważa, że opieka nad nimi to jej zadanie, chce zrobić dla nich wszystko, aby im pomóc w przełamaniu swoich barier i przykrych doświadczeń.





„Przede wszystkim żyję dla nich. Nie potrafię powiedzieć, czy je kocham, bo to jest wyraz bardzo trudny. Bardzo się cieszyłam, gdy trójka dzieci wróciła do mamy, że wzięła ze sobą plecak doświadczenia i teraz sobie dobrze radzi. Jeśli dzieci nadal będą potrzebowały mojego wsparcia, zawsze mogą przyjść. Mówią też o swoich sukcesach. Teraz u jednej dziewczyny będę drugi raz babcią. Bardzo mnie to cieszy..."– przyznaje Pani Krystyna.

– Jak Pani dba o siebie? – dopytuję.

Odpowiedź jest ekspresowa. Pani Krystyna mówi, że gdyby nie dzieci, wszystko byłoby jej obojętne. To one ją motywują – każą iść na spacer, gimnastykować się. Latem wyjeżdżają na obozy, wtedy Pani Krystyna ma urlop. Podobnie w ferie zimowe. Co nie znaczy, że nie wyjeżdżają nigdzie razem. W wakacje mają zawsze jeden wyjazd wspólny – od lat jeżdżą do ulubionego miejsca nad jeziorem.

Pani Krystyna z utęsknieniem czeka na przyszłoroczne wakacje i urlop, bo w tym roku z racji pandemii dzieci zostały w domu. „To osiem różnych przejść, spojrzeń, punktów widzenia. To trudne. A ja bardzo chcę je przygotować do wejścia w życie, żeby nigdy się nie wstydziły siebie, że ktoś im czegoś nie powiedział, żeby nie czuły się gorsze".

Zawsze im mówi, że życie trzeba brać w swoje ręce. I żyć bez kłamstw, z cierpliwością.

Co jej dają dzieci? Przede wszystkim radość i motywację. To dla nich wstaje z łóżka. Uwielbia swój dom, bo tam jest wspaniała aura.

– To kiedy emerytura? – pytam.

Pani Krystyna głośno się śmieje.

"Szybko nie pójdę na emeryturę. Nie mam na nią pomysłu. Jak najdłużej chciałabym mieć dzieci, pracować z nimi. Nauczyłam się od nich, ile można przejść i żyć dalej. Wystarczy tylko pomocna dłoń. Dla dzieci chcę być mocna, silna, jestem z nich bardzo dumna. Nie zamieniłabym tej pracy na żadną inną. I tego domu też...".

MAM POCZUCIE MISJI

URSZULA KIBLICKA

W pomocy społecznej pracuje już ponad dwadzieścia lat. Kiedy pytam ją o powody i okoliczności, nie chce odpowiadać, woli mówić nie o sobie, a o swojej pracy. A jest o czym opowiadać...



Pani Ula sporo czyta w domu, ma znajomych i przyjaciół, z którymi stara się spotykać. Cieszy się też, że w pracy może rozmawiać i dyskutować z kolegami po fachu.



W pomocy społecznej pracuje już ponad dwadzieścia lat. Kiedy pytam ją o powody i okoliczności, nie chce odpowiadać, woli mówić nie o sobie, a o swojej pracy. A jest o czym opowiadać...

Był rok 1999. Rodziny zastępcze przeszły wtedy z systemu edukacji, w którym były traktowane jak nauczyciele, w system pomocy społecznej.

Co się zmieniło? Bardzo dużo. Na początku wiedza pracowników socjalnych na temat rodzin zastępczych, ich problemów, sposobów funkcjonowania była bardzo niewielka. Wszystkiego trzeba było się nauczyć. „Nie było żadnej oferty dla rodzin zastępczych, nikt do domów tych rodzin nie wchodził, bardzo rzadko z nimi rozmawiano. Nie było praktycznie żadnego nadzoru, pomijając kuratora sądowego” – przyznaje Pani Urszula.

Na początku pracowała w czteroosobowym zespole, każdy z nich miał pod swoją opieką około stu rodzin zastępczych. Dopilnowanie wszystkich graniczyło z cudem.

Działali jak straż pożarna albo pogotowie: biegali tam, gdzie faktycznie coś się dzia-

Często słyszy „dziękuję, że pani przyjechała, że była ze mną i trzymała mnie za rękę, że Pani mi coś podpowiedziała”. Wszyscy, którzy pracują w pomocy społecznej wiedzą, że bez takich momentów ta praca byłaby nie do zniesienia.



ło, pracowali intensywnie i lecieli gasić kolejne pożary.

W 2012 roku weszła w życie ustawa o pieczy zastępczej. Najpierw wprowadzono zasadę, że jeden koordynator ma pod opieką trzydzieści rodzin, ale szybko okazało się, że to za dużo i ilość skorygowano do piętnastu.

Teraz po latach jest zupełnie inaczej, co nie znaczy, że nie mogłoby być jeszcze lepiej. Są szkolenia dla rodzin, grupy wsparcia, superwizje. Polepszyły się kontakty między rodzinami zastępczymi a biologicznymi. Pracownicy aktywnie i świadomie reagują na to, co dzieję się w pieczy. Czasem zdarza się, że muszą odebrać dziecko, a to jest najtrudniejsze. „Te dzieci i tak mają już trudne życie, a jeżeli w rodzinie zastępczej spotykają się ze złym traktowaniem, to to jest tragiczne” – mówi Pani Urszula.

I wtedy jest wściekła. Gotuje się w niej. Ale musi zabrać dziecko, bo jego bezpieczeństwo jest najważniejsze. To nie jest tylko wściekłość na rodzinę, ale i na siebie. Pojawiają się pytania i pretensje: "Gdzie byłam i co widziałam? Dlaczego wcześniej tego nie zauważyłam?". Pani Urszula podkreśla, że wielu pracowników funkcjonuje tylko dlatego, że są superwizje. Takie wsparcie – także psychologiczne – pozwala doskonalić pracę, lepiej rozumieć mechanizmy, które w danej rodzinie zadziałały i niestety doprowadziły do zaniedbań i przemocy. Wtedy jest dużo łatwiej. Bo ta praca to ogromna odpowiedzialność. Napięcie psychiczne jest właściwie ciągłe, żeby się nie wypalić, trzeba nauczyć się zostawiać pracę w pracy, a to nie jest łatwe. Bardzo dużo osób odchodzi, bo nie jest w stanie wytrzymać tego napięcia. Tutaj nigdy nie wiadomo co przyniesie dzień.

„I nigdy nie wiadomo kto, kiedy i dlaczego napisze na ciebie skargę” – śmieje się Pani Urszula. Przychodzi ich bardzo dużo, nigdy nie wiadomo kiedy naciśnie się komuś na odcisk. A na każdą skargę trzeba odpisać, bo do tego zobowiązują przepisy.

Pani Urszula kilka razy zetknęła się z określeniem, ze pomoc społeczna sprowadza się do rozdawnictwa pieniędzy. Ludzie się dziwią i skarżą, że sąsiad alkoholik dostaje pieniądze z MOPR-u, a nic nie robi, tylko pije. Pani Urszula stara się rozumieć te stwierdzenia, choć uważa je za przesadzone i często niesprawiedliwe.

Jej zdaniem pracownicy społeczni to najlepiej przygotowana do pracy grupa, najbardziej wrażliwa i świadoma tego, co robi.

„Jak sama nazwa wskazuje: pomoc społeczna zajmuje się pomocą, obejmuje nią tych, którzy tego potrzebują, z różnymi problemami” – mówi.





– A te dobre momenty? – pytam.
Też są. Pani Urszula z uśmiechem opowiada o pięknym liście od wychowanki ozdobionym serduszkami i kwiatuszkami, a także o pismach z podziękowaniami, które do niej trafiają. Często słyszy „dziękuję, że pani przyjechała, że była ze mną i trzymała mnie za rękę, że Pani mi coś podpowiedziała". Wszyscy, którzy pracują w pomocy społecznej wiedzą, że bez takich momentów ta praca byłaby nie do zniesienia. Piękne i wzruszające momenty to też te, kiedy dzieci wychodzą z rodzin zastępczych i idą do adopcji albo wracają do naprawionego rodzica. Na tym polega sens tej pracy.

Jest jeszcze jedna ważna rzecz: wyjątkowo dobry, zgrany, odpowiedzialny zespół, z którym pracuje Pani Urszula. Latami wypracowywali współpracę tak, aby wzajemnie się szanować, pomagać, nie dokuczać i nie wbijać szpilek. To działa i motywuje wszystkich do pracy.

Kiedy pytam o pasję, Pani Urszula znowu się uśmiecha. Mówi, że nie ma innej pasji poza pracą. Sporo czyta w domu, ma znajomych i przyjaciół, z którymi stara się spotykać. Cieszy się też, że w pracy może rozmawiać i dyskutować z kolegami po fachu. To zawsze pozwala spojrzeć na problem z dystansu. „I te superwizje – ogromny wentyl bezpieczeństwa" – mówi.

Nigdy nie zdarzyło jej się wyłączyć telefonu po pracy, albo nie odebrać rozmowy telefonicznej. Jeśli ktoś dzwoni, to znaczy, że potrzebuje pomocy. Pani Urszula nigdy jej nie odmawia, ale też stara się nie wpadać w panikę. To pozwala jej przetrwać.

Co dała Pani praca? – pytam, zbliżając się do końca spotkania.
„Wzbogaciła mnie o ogromną ilość wiedzy, dała mi też pasję na koniec życia. Robiłam różne rzeczy, a tutaj osiadłam, zakotwiczyłam się. Nie mówmy o finansach, bo są śmieszne, ale nie o to tutaj chodzi. Nie strajkujemy, bo nie mamy czasu, załatwiamy różne dziwne i ważne sprawy, a niewiele osób nas szanuje. Dlatego uważam, że ta praca testuje wytrzymałość, odporność na stres i odpowiedzialność. Ja mogę zapomnieć o pracy w domu, ale muszę mieć pewność, że w moich rodzinach jest wszystko dobrze albo w miarę dobrze. Ta praca uczy też pokory – nie podskakuj, bo nie wiadomo co tobie się kiedyś przydarzy, szanuj innych" – mówi Pani Urszula.

I na koniec dodaje, że praca, to misja – w każdym działaniu najważniejsze jest dziecko w pieczy zastępczej. Ma być szczęśliwe, bezpieczne i ma mieć możliwość rozwoju.

Pani Urszula już dawno powinna być na emeryturze. Dlaczego na nią nie idzie? Bo nie ma pomysłu, a chce coś robić, żeby się nie nudzić. Ważny jest dla niej powód do wyjścia z domu, do wstania z łóżka. Wtedy ma się poczucie jakiegoś głębszego sensu. A jej to poczucie daje praca.

DLA MNIE TO JEST POWOŁANIE

WIOLETA PACAK-RYGIELSKA

Wiola przychodzi na spotkanie w butach na obcasach. Słychać je już na schodach. Wchodzi, uśmiech się, siada.
- W pracy śmieją się i seniorzy i pracownicy, że mnie zawsze najpierw słychać, a potem dopiero widać - śmieje się.



Wiola przychodzi na spotkanie w butach na obcasach. Słychać je już na schodach. Wchodzi, uśmiech się, siada.

- W pracy śmieją się i seniorzy i pracownicy, że mnie zawsze najpierw słychać,a potem dopiero widać - śmieje się. Zwłaszcza jak idę długim korytarzem, od strony ogrodu. Mam taki szybki, energiczny chód, wszyscy od razu wiedzą, że się zbliżam.

Wiola jest dyrektorką Centrum Pomocowego Caritas im. św. JP II w Gdańsku, ale o miejscu pracy woli mówić "Dom na Fromborskiej" - brzmi cieplej i serdeczniej.

- Pracę w Caritas zaczęłam w 2013 roku i od tamtej pory wspinałam się po różnych szczeblach, wchodziłam w różnego rodzaju nowe projekty, poszerzałam naszą ofertę o współpracę z wolontariuszami i młodzieżą. Żeby było międzypokoleniowo.

Awans na stanowisko osoby typowo zarządzającej całością był czymś, na co czekałam, bo pewnie wiele osób chciałoby być na moim miejscu, ale zarządzanie wcale nie zawsze jest przyjemnością.

- Gdybyś miała w jednym zdaniu albo jednym zdaniem powiedzieć o tym, kim jesteś z zawodu, co to by było?

Jestem aktywną psycholożką, która uwielbia ludzi. Ludzie są bardzo ważnym ogniwem w tym całym systemie. I to tak naprawdę od najmłodszych osób, które do nas trafiają, bo nawet w ogrodzie organizujemy takie zajęcia dla mam z paromiesięcznymi dziećmi, na co seniorzy też bardzo lubią patrzeć, jak to dziecko się rozwija, jak biega, czy raczkuje nawet po naszym ogrodzie, poprzez zrzeszanie młodzieży, która uczy się, jak to jest być w takim miejscu, jak uczy się pomagać, spędza swój czas po szkole. Kończąc na osobach, które przychodzą do nas i szukają pomocy, szukają wsparcia, są bezradni w różnych sytuacjach, na przykład związanych ze starzejącymi się bliskimi.

Mamy w placówce seniorów, osoby z niepełnosprawnościami. Oczywiście nie zapominam o pracownikach, na których też się bardzo skupiam, więc ta moja praca

nie tylko dotyczy osób, którymi się opiekujemy, czy otaczamy jakimś wsparciem, ale też coraz większą uwagę poświęcam pracownikom, żeby, żeby ich wspierać psychicznie, dodawać im umiejętności, bo wiemy, że to jest bardzo trudna praca i ciężko tak wrócić do domu o godzinie 16-tej.

Bo ta praca rzadko kończy się o 16-tej - dopowiadam.

Oczywiście mam czas dla rodziny, natomiast często myślami, długo pozostaję w pracy, zastanawiając się czy uda mi się danej osobie pomóc. Każdy dzień jest inny. Ja jestem bardzo zorganizowaną osobą, wszystko zapisuję w kalendarzu, bo obszar naszej i mojej działalności jest bardzo duży i są też dodatkowe projekty, więc żeby się w tym wszystkim nie pogubić, trzeba wszystko zapisać.

Najbardziej lubię pracę z ludźmi. Oczywiście czasem zdarza się pracować przy laptopie, w Excelu, tabelkach, natomiast przede wszystkim są ludzie i myślę, że mnie to też charakteryzuje i cały mój zespół, że my zawsze mamy drzwi otwarte.

Więc seniorzy przychodzą do nas właściwie o każdej porze i każdego dnia. Mówią o tym, co zjedli na śniadanie, jaka dzisiaj jest piękna pogoda, albo że znowu pada, ale przychodzą, chcą rozmawiać, chcą nawet zamienić te kilka słów ze mną, więc przez to, że te drzwi są cały czas otwarte, to czasami ciężko za tymi wszystkimi obowiązkami nadążyć. Ale myślę, że nie bez powodu wybrałam ten właśnie zawód.

Wcześniej skończyłam psychologię i to mi pomaga w codziennej pracy

Wiola pochodzi ze Szczecinka, ponad 200 kilometrów od Gdańska. Marzyła, aby studiować nad morzem.

- Studiowałam na Uniwersytecie Gdańskim. Wcześniej bardzo chciałam studiować medycynę. Nie udało się, ale nie ża-



Oczywiście mam czas dla rodziny, natomiast często myślami, długo pozostaję w pracy, zastanawiając się czy uda mi się danej osobie pomóc.

łuję. Widocznie tak miało być. Podczas studiów bardzo dużo robiłam, bardzo dużo udzielałam się jako wolontariuszka, jako stażystka, zdobywałam doświadczenie w psychologii, w różnych miejscach. Pracowałam z dziećmi i młodzieżą, a także w szpitalach z chorymi. Seniorzy pojawili się na mojej drodze dopiero w Caritas. To moja pierwsza praca.

- Nigdy nie korciło Ciebie, żeby założyć swój gabinet, żeby wykorzystywać swoje umiejętności, doświadczenie...i zarabiać duże pieniądze? - pytam

Teoretycznie ten aspekt finansowy nie jest dla mnie aż taki ważny, ale gdzieś tam każdy jak zaczyna tę swoją dorosłość to jednak też dąży do tego, żeby mieć gdzie mieszkać, żeby mieszkać na swoim domu. Więc pieniądze w którymś momencie też grają rolę. Natomiast jak zaczęłam pracę w Caritas, to dano mi tam takie możliwości samorozwoju, że tak naprawdę nie było przestrzeni na to, żeby szukać czegoś jeszcze.

I to jest właśnie piękne w tej organizacji, bo jeżeli ktoś chce, to naprawdę może tam działać na wielu poziomach, sprawdzać się z różnymi grupami, wystarczy, że ma chęć.

Więc nie, nie korciło mnie, żeby otwierać swój własny gabinet czy własną działalność, chociaż większość moich znajomych, z którymi studiowałam, tak właśnie pracuje i dobrze im się wiedzie. Później poszłam ścieżką zarządzania i myślę, że te umiejętności psychologiczne tutaj też się bardzo przydają, więc w sumie pieczę dwie pieczenie na jednym ogniu.

- Nigdy nie żałowałaś?

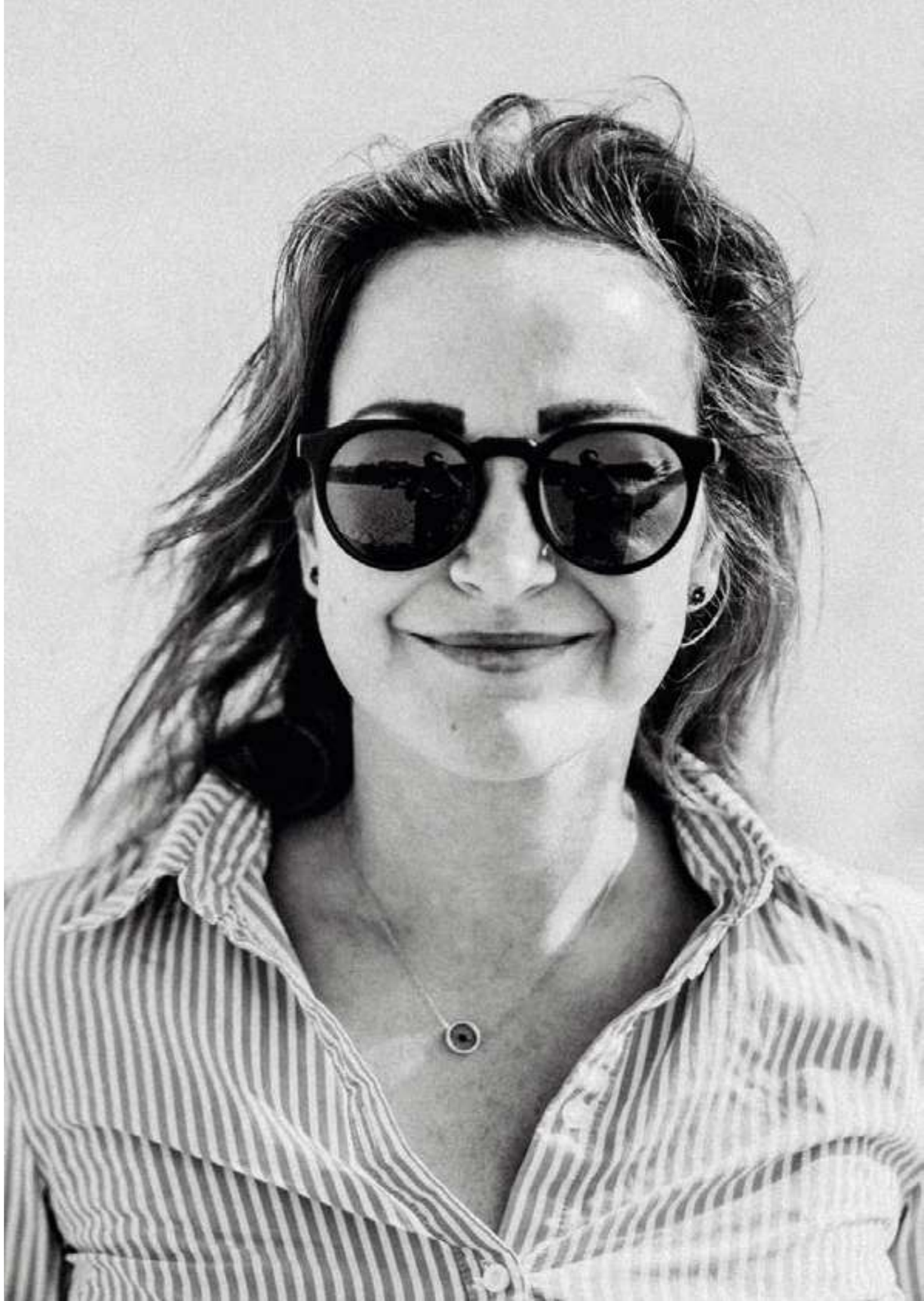
Nie. Tylko czasem tak sobie myślę, co będzie dalej. Ale to nawet nie chodzi o awanse, tylko o rozwój tego miejsca, w którym jestem, bo jestem bardzo związana z tymi wszystkimi ludźmi. Za chwilę bedziemy mieć w budynku generalny remont, więc będzie jeszcze piękniejszy, ale to też dla mnie nowe wyzwania. I właśnie w Caritas chyba to mnie utrzymuje, że te wyzwania co rusz się pojawiają, że nie muszę tylko zajmować się tymi podstawowymi obowiązkami, ale że zawsze coś nowego możemy zorganizować. Na przykład teraz zaczęliśmy opiekę wytchnieniową, więc to jest kolejna oferta, którą wzbogacamy dla naszych podopiecznych czy dla osób ze środowiska bardziej lokalnego, więc rozwijamy się i cały czas czuję, że co roku będzie to coś nowego.

Zastanawiam się, dlaczego seniorzy są grupą najbliższą Wioli. Dlaczego tak lubi z nimi pracować..

- Maja takie cudowne nastawienie do życia, do tego, że jeszcze dużo przed nimi. I wcale nie twierdzą, że życie za chwilę ma im się zakończyć. W zeszłym roku pamiętam panią, która przyszła do nas na dwutygodniowy pobyt.

Bodajże miała 98 lat i żegnając się ze mną powiedziała: "do zobaczenia za rok". Z takim entuzjazmem, z taką radością w oczach. To jest coś pięknego i my młodzi powinniśmy się bardzo dużo uczyć od seniorów. I ja też mocno przewartościowałam swoje życie pracując w Caritas z tą grupą bardzo schorowaną, gdzie te moje problemy są niczym w porównaniu do tego, co oni przeżywają każdego dnia. Jest im u nas dobrze, natomiast przez swoje schorzenia niektórzy bardzo cierpią. I my im towarzyszymy. Często jesteśmy tymi, którzy są przy ich odchodzeniu. Często też jesteśmy ich bliskimi, nawet znajomymi, traktują nas jak rodzinę.

Ja mam osoby, które przyjmowałam do placówki 10 lat temu. Oni z bliskich nie mają nikogo poza mną i moimi współpracownikami.



Seniorzy są bardzo mądrzy, chętnie dzielą się swoimi doświadczeniami, |z których można wyciągnąć coś dobrego, jakąś naukę. I tę naukę przekazują nam - młodszym pokoleniom, młodzieży.

Jakiś czas temu mieliśmy taką piękną inicjatywę, która pokazała właśnie mądrość seniorów, jak pisali listy z młodzieżą ze szkoły i jak się okazało, ta młodzież naprawdę miała dużo problemów. I seniorzy okazali się wtedy takim źródłem mądrości. Próbowali przekazać to, co przeżyli, ale w taki prosty sposób, żeby ta młodzież to zrozumiała.

Bardzo dużo sama uczę się od seniorów. Stąd też cały czas mam poczucie, że powinnam dać jeszcze więcej od siebie, coś więcej zorganizować, coś unowocześnić. Więc na pewno więcej dostaję niż daję.



Pytam moją rozmówczynię o trudne momenty w pracy.

Trudnością jest na pewno to, ze bardzo trudno znaleźć personel. Teraz mogę uznać, że jest bardzo stabilnie i mam komfort przychodzenia do pracy, gdzie wiem, że grafik jest pełny, że seniorzy mogą być wtedy bardzo dobrze zaopiekowani, że mają właśnie to, co mieć powinni. Ale były takie momenty, jak był COVID, to było ogromne zagrożenie. Ale też później po COVID-zie, że ludzie szukali różnych miejsc pracy. Też nie każdy potrafi pracować w takim miejscu, więc te problemy kadrowe były dla mnie bardzo obciążające, bo jednak odpowiadam za tych ludzi. Bliscy powierzyli mi swoich członków rodziny i wierzą, że tutaj będzie im najlepiej.

Więc to było trudne, bo też miałam takie myślenie, że niewiele mogę zrobić więcej. Czasami sobie myślałam: "no co, wyjdę na ulicę i będę krzyczeć, przyjdźcie tu do mnie do pracy, pomóżmy tym ludziom"?

To były trudne momenty i myślę, że nie jedna osoba na moim miejscu, na moim stanowisku pracująca w podobnej branży mierzyła się z tym. Z trudnych jeszcze momentów to są takie, w których codziennie ktoś do nas przychodzi i prosi o pomoc, a ja nie mogę im pomóc, bo nie mam miejsca w placówce. I to jest też ciężkie, bo widzę, że faktycznie tym ludziom pomoc jest bardzo potrzebna, a perspektywa, że uda się im pomóc w moim ośrodku jest bardzo odległa.

Z drugiej strony ogromnym sukcesem jest to, że zaczęliśmy opiekę wytchnieniową, we współpracy z miastem.

Wcześniej tego nie mieliśmy, więc to jest coś, co widzimy, że bardzo jest potrzebne

na rynku. Mnóstwo jest zapytań o to i właśnie poszerzyliśmy też swoją działalność o pobyt całodobowy, taki wytchnieniowy, więc to są takie radości, że zbieramy potrzeby ze środowiska, analizujemy, notujemy sobie i później szukamy rozwiązań.

Mam tak dobry zespół pracowników, że zrobiliśmy razem poradnik dla opiekunów osób chorujących na demencję. I mają w pigułce przepiękny poradnik, nie dość, że jest piękny, zrobiony graficznie, kolorowy, taki nieprzytłaczający, pomimo, że choroba jest bardzo ciężka, to chce się go przejrzeć, chce się go poczytać. A też widzieliśmy, że jest taka potrzeba po prostu, bo dużo osób do nas się zgłasza, przychodzi na szkolenia. Więc to są takie momenty, które mnie uskrzydlają.

- A jak sobie radzisz ze stawianiem granic?

W pewnym momencie pojawia się relacja taka zwykła, międzyludzka, ale jednak trzeba zachować profesjonalizm.

- Chyba wtedy ta psychologia mi pomaga, bo jednak czuję, że mam te granice mocno postawione. Najtrudniejsze na początku było znalezienie tej granicy, na przykład o której godzinie wyjdę z pracy.

Ale tutaj akurat moja córka i moja rodzina bardzo mocno o te równowagę zadbali, za co im dziękuję, bo gdyby nie oni, to bym się zatraciła w tym pomaganiu, a to też jest niedobre, bo żeby dobrze pomagać, to też trzeba mieć siłę na pomaganie.

- A jest jeszcze coś takiego, co można by było nazwać Twoim zawodowym marzeniem?

- Na ten moment myślę, że jestem spełniona.

Chociaż...Cały czas to wszystko krąży wokół placówki, którą prowadzę. Chciałabym ją odświeżyć, żeby te wnętrza były już nowsze, wyremontowane. Nasze centrum w tym roku obchodzi 25-lecie, więc widzimy, że jest to obiekt mocno użytkowany i potrzebny jest mu remont, który na szczęście się zapowiada.

- a prywatne marzenie?

- Pływam na kitesurfingu i bardzo bym chciała zwiedzić kolejne miejsca na świecie, bo zazwyczaj swój urlop spędzam w jakiejś części świata, gdzie jest plaża i woda i w sumie palmy i nic mi więcej nie potrzeba.

Więc chciałabym się podszkolić w kitesurfingu, żeby z taką lekkością pływać. Chciałabym mieć też więcej czasu dla siebie, a głównie ten czas dla siebie, jak nie spędzam z bliskimi czy z dzieckiem, to spędzam bardzo aktywnie.

Więc tutaj marzę o poznawaniu świata, nowych kultur, ale gdzieś tam z tym dużym plecakiem, latawcem, deską.

- To co robisz, to praca, czy misja? - pytam na koniec.

To na pewno nie tylko praca, bo jakby to była tylko praca, to myślę, że miałabym większą potrzebę zmiany miejsca pracy. Misja musi być w tym, bo inaczej bym nie wytrwała.

Nie bez powodu moje życie tak się potoczyło, że ja cały czas w tym Domu na Fromborskiej... więc myślę, że to jest nawet coś więcej niż misja, że to jest jakieś powołanie do tego miejsca. Zwłaszcza, że miałam propozycję, żeby pracować w innym miejscu Caritas, odmówiłam.

Ja czuję, że mogę tam bardzo dużo jeszcze zrobić i że to miejsce mnie potrzebuje. Pomimo, że moje poprzedniczki też bardzo dużo zrobiły. Dużo mnie też nauczyły, za co jestem im ogromnie wdzięczna, ale czuję, że to jeszcze nie czas na jakieś tam moje zmiany, tylko na poświęcenie się w budowaniu jeszcze piękniejszej społeczności w tym miejscu.



A CHCIAŁAM BYĆ SIATKARKĄ

JOLANTA LIPIŃSKA

Jolu, jak tak patrzę na Twój życiorys, na Twoją drogę zawodową, to mam wrażenie, że robiłaś w życiu już tyle rzeczy, że : po pierwsze nie mogłaś się nudzić i pewnie nadal się nie nudzisz, a po drugie że ciągle żyjesz w biegu.

Jolu, jak tak patrzę na Twój życiorys, na Twoją drogę zawodową, to mam wrażenie, że robiłaś w życiu już tyle rzeczy, że: po pierwsze nie mogłaś się nudzić i pewnie nadal się nie nudzisz, a po drugie że ciągle żyjesz w biegu.

- Tak, to dobre ujęcie. Takie życie w biegu i takie pełne zajęcie mojego czasu nastąpiło w roku 2013, kiedy zaczęłam w ramach organizacji pozarządowej realizować zadania publiczne powierzone przez gminę miasta Gdańsk.

Pracy było bardzo dużo, bo trzeba było zgłębić nowe rzeczy, tajniki, które wiążą się z prowadzeniem organizacji, z odpowiedzialnością, z decyzyjnością, z wieloma innymi rzeczami, które po prostu nie były kiedyś wymagane w mojej pracy. Cieszę się, że całe życie nie opuszcza mnie energia, nie opuszcza mnie determinacja, siła działania i optymizm. Jestem z natury osobą pogodną, bardzo szybką w działaniu i zdeterminowaną do poznania nowej sprawy. I każdą sprawę, którą rozpoczynam, zawsze doprowadzam do końca.

- Która z tych dróg była i jest Ci bliższa: praca samorządowa czy praca pozarządowa, bo obu w życiu doświadczyłaś.

- Praca pracownika samorządowego odbywa się w ustalonych z góry strukturach, czyli jest jakaś struktura organizacji, jest podział stanowisk, podział obowiązków pracowniczych i one są zdefiniowane.

Natomiast praca w organizacji pozarządowej jest pracą nieprzewidywalną. Pracujesz na różnych odcinkach, organizujesz każde zadanie według innej formuły. Zależy, czym się zajmujesz: czy prowadzisz dzienny dom pomocy, czy środowiskowy dom samopomocy, czy może placówkę wsparcia dziennego. A jeśli organizujesz jakieś wydarzenie, to robisz to po swojemu od początku do końca. Masz wolny wybór, jesteś samodzielna, możesz robić co chcesz, możesz zaproponować to, na co masz ochotę. Oczywiście pracując ze swoim zespołem, bo nikt nigdy nie działa w pojedynkę w takich sytuacjach.

W Fundacji głównie nastawiamy się na zespół pracowników, na mądre pomysły, na burzę mózgów i na to, żeby finalnie powstało coś najlepszego.



Jest to ogromna satysfakcja. Takiej satysfakcji z samodzielnego działania nie osiąga się, będąc pracownikiem ściśle osadzonym w strukturach organizacji. Później ogromna, że jest sukces, że się udało, że uczestnicy naszego projektu są bardzo zadowoleni, bo wtedy my też mamy frajdę.

Jola z wykształcenia jest pracownikiem socjalnym. Lubi pracę i rozmowę z drugim człowiekiem, działalność w terenie, możliwość pomocy potrzebującemu, ale nie jego wyręczanie.

- Jestem osobą bardzo otwartą. Gdzie się nie pokażę, to właściwie rozmawiam z ludźmi tak, jakbym ich znała bardzo długo. Tak jakbym gdzieś już ich spotkała i to się chyba wiąże z tym, że mam tę magię przyciągania osób.

Zespół, z którym pracuję to zespół fantastycznych ludzi i w każdym odcinku mojej pracy zawodowej, zawsze skupiałam wokół siebie osoby naprawdę fantastyczne.

Od wielu lat jestem osadzona w obszarze pomocy społecznej, reintegracji społecznej. Organizuję prace wokół seniorów, wokół osób z niepełnosprawnością intelektualną, wokół rodzin, ale głównie zajmuję się aktywizacją osób w podeszłym wieku. I staram się rozwiązywać wszystkie problemy, zawsze w porozumieniu z osobą, której ten problem dotyczy.

Bo ja nie mam uprawnień do tego, żeby rozwiązywać różne sprawy seniorów za nich. Mam za to uprawnienia do tego, żeby użyć wszelkich metod i sposobów, żeby ten senior podjął własną, niezależną, autonomiczną decyzję co do tego, jak chce spędzić swoje lata życia i co chce robić w czasie swoim.

- W 2007 roku na Twojej drodze zawodowej pojawił się Miejski Ośrodek Pomocy Rodzinie.

- Tak, zostałam kierowniczką Dziennego Domu Pomocy. Po roku rozszerzyłam zakres obowiązków i stałam się kierowniczką Środowiskowego Domu Samopomocy. Jest to zespół placówek, który się mieści przy ulicy Wajdeloty w Gdańsku.

Bardzo dobrze układała się ta współpraca i właściwie nadal się układa, ponieważ łączy nas idea wspólnej pracy i chęć pomocy. Nie wyobrażam sobie teraz braku współpracy z Miejskim Ośrodkiem Pomocy Rodzinie, kiedy robimy tak naprawdę to samo.

Jeśli chodzi o cel, misję organizacji, robimy generalnie to samo. Myślę, że ja i Fundacja "I Ty możesz wszystko" jesteśmy wsparciem dla Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie.



SŁYSZAŁEŚ JUŻ?

Jola z wykształcenia jest pracownikiem socjalnym. Lubi pracę i rozmowę z drugim człowiekiem, działalność w terenie, możliwość pomocy potrzebującemu, ale nie jego wyręczanie.

Często odbywają się różnego rodzaju spotkania, wizytacje, podczas których możemy sobie różne kwestie omówić i wymienić się doświadczeniami.

Jola chętnie opowiada o Fundacji, której jest współzałożycielką. Podczas pracy w Miejskim Ośrodku Pomocy Rodzinie dowiedziała sie o oficjalnych planach wyłączania placówek wsparcia dziennego ze struktur MOPRu.

Wtedy musiała podjąć decyzję, co robić dalej.

- Było ciężko, ponieważ w pojedynkę jakoś trudno sobie wyobrazić przejście z pracownika samorządowego na szefa organizacji pozarządowej. Na szczęście nie byłam w tym sama.

My z koleżanką, która prowadziła ośrodek wsparcia dziennego w Brzeźnie, zdecydowałyśmy, że we dwie założymy Fundację.

Miałam czas, żeby zgłębić wszystkie kwestie dotyczące przepisów, dotyczące obowiązków, terminów, dotyczących działalności organizacji.

Był to też czas, że starałam się dobrać ludzi do współpracy. Najzwyczajniej w świecie zaczęłam szukać kadrowej, księgowej, pana od BHP. Wszystko było dla mnie nowe. To był trudny czas, pamiętam że całe dnie spędzałam albo na poszukiwaniu kogoś, albo na wczytywaniu się w przepisy, rozporządzenia, żebym wiedziała jak się w ogóle po tym poruszać. Oczywiście znowu sama bym nic nie zrobiła.

Miałam bardzo dużo bratnich dusz wokół siebie, koleżanek, kolegów, którzy po prostu przychodzili z pomocą.

Miałam też trochę szczęścia, ponieważ pracownicy, którzy byli ze mną w Miej-





skim Ośrodku Pomocy Rodzinie zatrudnieni, zakończyli zatrudnienie tam, aby kolejnego dnia zatrudnić się w fundacji, robiąc to samo.

Po prostu wskoczyliśmy w nowe buty i tak to się zaczęło i trwa do dzisiaj.

- Czego uczysz się od seniorów?

- Seniorzy to bardzo mądra grupa.

To są ludzie z bardzo bogatym doświadczeniem życiowym i zawodowym, którzy wypełnili chyba już wszystkie role społeczne. Mają wiele do powiedzenia. Ich mądrości oczywiście są czasami nieadekwatne do dzisiejszych bardzo szybkich i cyfrowych czasów, ale są to mądrości nie do przecenienia. Są to ludzie z wysoką kulturą osobistą. Grupa seniorów zawsze mnie kręci i zawsze coś ciekawego znajdę w kontaktach z nimi.

Czasami chodzi o podpatrzenie prostego rozwiązania, seniorzy jak z rękawa sypią takimi rozwiązaniami, a ja z nich korzystam. Oni bardzo lubią się integrować, gromadzić.

Nawet młodzi ludzie, bo my czasami mamy wolontariuszy na różnych wydarzeniach, szczególnie takich tanecznych, są pod wrażeniem nieskrępowania, natychmiastowej zabawy, tańca w parach.

Staramy się tak organizować ofertę dla seniorów, żeby każdy coś tam znalazł interesującego, coś fajnego, coś co jest zgodne z jego potrzebami.

- Ilu seniorów macie pod opieką?

W ramach dziennego domu 55 osób. Po południu w naszym budynku spotyka się



grupa takich niezależnych seniorów i są to seniorzy z klubu Rajska Panorama oraz z klubu Wrzos.

- To jest całkiem spora gromadka, bo tak o nich mówisz, jako o swojej gromadce.

- Tak, jest to spora gromadka osób w wieku podeszłym, fantastycznych seniorów, którzy są tak wdzięczni za cokolwiek, tak dziękują, są tacy spełnieni, zrealizowani, że wręcz nakręcają nasz cały zespół i jak jest tak fajnie, to wszystkim nam wyrastają skrzydła. Nam się po prostu chce coraz więcej, podążamy, wyszukujemy, żeby takich inicjatyw podejmować jak najwięcej ku zadowoleniu seniorów.

Ale bywają też ciężkie momenty, jak czas pandemii, czy wojna na Ukrainie. Seniorzy bardzo to odczuli. Oni jako dzieci czy w wieku młodzieńczym przeżyli wojnę, więc to były bardzo trudne chwile dla nich pod względem psychicznym.

Czy wtedy była ochota na jakieś tańce, hulanki, swawole? Nie, wtedy trzeba było usiąść z seniorami, po ludzku porozmawiać nawet o tych ciężkich, traumatycznych wspomnieniach.

Więc nie zawsze jest tak pięknie i kolorowo, ale wszystko polega na szczerym byciu ze sobą i rozmowie.

Bywa też tak, że przyjdzie ktoś, kto nam dużo zarzuca, jest nieszczęśliwy, wyzywa. My musimy tę sytuację zrozumieć, jakoś załagodzić, skierować na jakieś specjalistyczne leczenie, czy podjęcie jakiejś terapii. To też jest nasza praca.

- A co w tej pracy najbardziej cenisz, lubisz?

- Udało mi się stworzyć miejsce pracy, które jest dla mnie bardzo przyjazne, do którego biegnę, w którym czuję się bardzo dobrze. Nie czuję spięcia, napięcia. Nawet jeżeli są to trudne sytuacje, czuję się tam bezpiecznie.

Jestem zadowolona z tego, że mam bardzo fajny zespół ludzi, zawsze to podkreślam. To są wszyscy pracownicy MOPR-u, którzy ze mną pracowali od 2007 roku i pracują do dzisiaj. Pojedyncze osoby odeszły, niektóre zmieniły zawód, ale generalnie z całą grupą jesteśmy do dzisiaj. To też o czymś świadczy, bo przecież wiemy, że





pomoc społeczna nie jest miejscem do zarabiania dużych pieniędzy.

Za co lubię tę pracę? Mój codzienny dzień to masa relacji społecznych. Lubię te relacje, są to relacje z uczestnikami, z ich rodzinami, z pracownikami. Każdy mówi o czymś innym.

To mnie nie nudzi, nie męczy mnie, ponieważ te relacje są zróżnicowane. I z każdej gdzieś korzystam.

- A gdyby nie pomoc społeczna, to chyba byłabyś siatkarką? - uśmiecham się i pytam zaczepnie.

- Oj tak. Rzeczywiście szkoła średnia i początek studiów to granie w zespole z zawodowymi siatkarkami. Myślę, że ten sport mnie ukształtował, no bo tak naprawdę rywalizacja, podział ról w takim zespole, odpowiedzialność za wynik, za porażkę, za zwycięstwo, radość. To od razu kojarzy się ze sportem, ale dzisiaj już także z moją pracą. Ktoś mi kiedyś powiedział, że w pomocy społecznej pracują ludzie, którzy albo byli harcerzami, albo działali w sporcie.

Chyba coś w tym jest, bo chyba te dwa obszary potrafią ukształtować osobę, że do tej pomocy społecznej zaczyna ciągnąć jakaś siła.

Później rozpoczęłam studia wyższe, no i o mały włos, nie zostałabym nauczycielem wychowania fizycznego. Ale różne zmiany w życiu nastąpiły, że poszłam na kierunek pedagogiczny. Do dzisiaj sport jest dla mnie ważny.

Jedżę na rowerze. Bardzo lubię różne sporty drużynowe. Siatkówka jest wciąż moim ulubionym.

- Grasz cały czas, tak?

- Troszeczkę pogrywam, ale tak bardzo rekreacyjnie. Natomiast mam całą grupę moich koleżanek, siatkarek, z którymi tworzyłyśmy drużynę w tych odległych latach. Spotykamy się do dzisiaj.

Jedna jest logopedą w poradni psychologiczno-pedagogicznej, druga jest pielęgniarką endoskopową, trzecia jest psychologiem, do dzisiaj potrafimy spotkać się, integrować i poopowiadać, co u której słychać.

- Nie żałujesz takiej drogi? - pytam na koniec

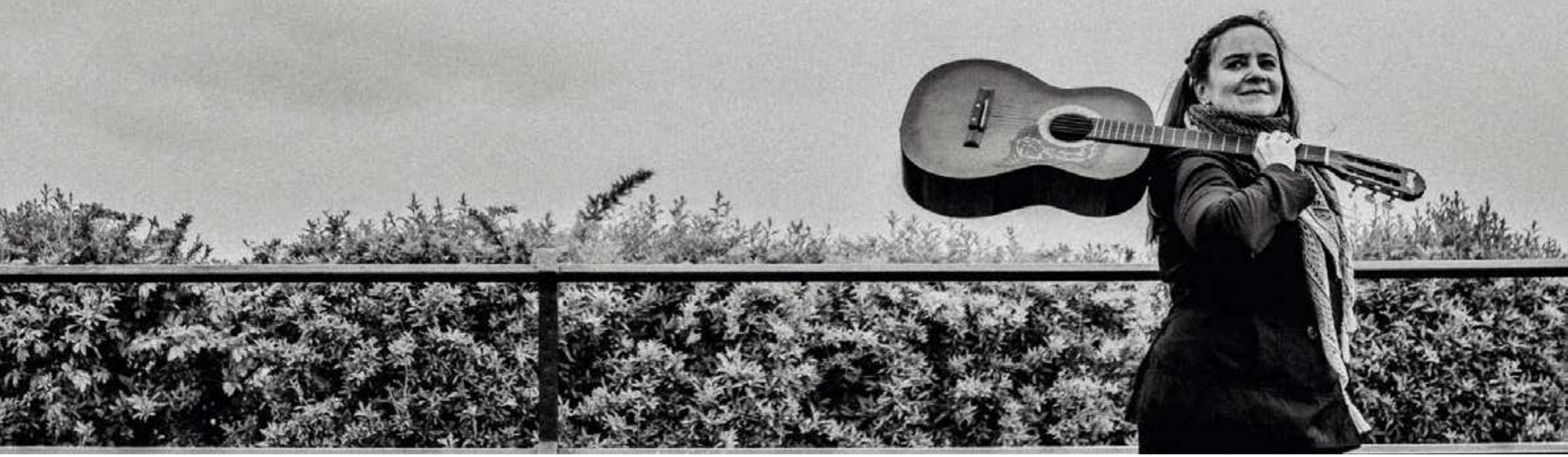
- Nie żałuję. Jestem bardzo zadowolona, spełniona, szczęśliwa



LICZY SIĘ DLA MNIE INDYWIDUALNE PODEJŚCIE DO DZIECKA

ELŻBIETA LEŚNIEWSKA

"Ciocia Ela jest w moim życiu ważną osobą, która wspiera mnie, pcha do przodu moje pasje, nigdy nie pozwala, abym w siebie zwątpiła. Z każdym problemem mogę do niej przyjść. Dba o nas jak o własną rodzinę."



"Ciocia Ela jest w moim życiu ważną osobą, która wspiera mnie, pcha do przodu moje pasje, nigdy nie pozwala, abym w siebie zwątpiła. Z każdym problemem mogę do niej przyjść.

Dba o nas jak o własną rodzinę. Pamiętam jak na przykład w zimę smarowała nam wszystkim buzię kremem, żeby nam pyski nie zamarzły".

Taką wypowiedź 17-letniej Amelii o Elżbiecie znalazłam w Internecie. Zastanawiam się, czy jest zgodna z rzeczywistością. Czy taka jest Ciocia Ela?

- Staram się być - odpowiada Elżbieta. Staram się, żeby dzieciaki, które są w naszej świetlicy, czuły się zaopiekowane, czuły się bezpieczne, żeby każdy z nich poczuł się wyjątkowy, żeby nie bał się przyjść ze swoim problemem.

Ta wypowiedź jest właśnie od Amelki, która już nie chodzi do świetlicy, ale bardzo miło ją wspomina i zagląda czasem do nas, żeby porozmawiać o życiu.

- Mam wrażenie, że to jest takie bardzo miłe, kiedy czyta się takie ważne rzeczy na swój temat.

- Bardzo to wzruszające, gdy absolwenci starają się gdzieś tam wrócić myślami do nas, gdy próbują nawiązać kontakt, wzruszają się, przypominają sobie dawne czasy, nasze podróże, nasze przygody, które przeżywaliśmy przez te wszystkie lata.
Aż łza kręci się w oku...

Elżbieta pracuje w świetlicy środowiskowej "Grodzisko" przy ulicy Kartuskiej w Gdańsku. Jest tam kierowniczką.

- Dbam o to, żeby były zachowane wszystkie zasady bezpieczeństwa, żeby świetlica spełniała rygorystyczne wymogi, jakie są aktualnie stawiane przed nami, ale również dbam o to, żeby była dobra atmosfera, żeby dzieciaki miały szansę korzystać ze wszystkich naszych zajęć. Aktualnie mamy pietnaścioro dzieci na liście. I mniej więcej tyle osób do nas zagląda. Wiadomo, różnie różnego dnia. Pojawiają się w zależności też od swoich obowiązków.

Czytając wypowiedź Amelli, mam wrażenie, że świetlica to jest magiczne, ciepłe miejsce. Takie, którego bardzo potrzebują dzieci.

- Każdego dnia nasze zajęcia rozpoczynają się takim przeglądem sytuacji szkolnej dzieciaków, więc staramy się pomóc im w odrobieniu lekcji, w przygotowaniu się do następnego dnia czy do jakichś ważnych dla nich sprawdzianów czy egzaminów. Codziennie mamy także posiłek, staramy się, aby był ciepły. Przygotowujemy go wspólnie z dzieciakami, zdarza się, że reagujemy również na ich pomysły.

A po posiłku mamy różnorodne zajęcia, które wspomagają ich rozwój. To zajęcia artystyczne, muzyczne, sportowe, rekreacyjne. Również zajęcia profilaktyczne, staramy się wprowadzić też troszkę socjoterapii.

Dużą uwagę ja osobiście przykładam do integracji naszej grupy po to, żeby dzieciaki budowały właściwe relacje między sobą.

Wydaje mi się to bardzo trudne: zbudowanie relacji, zaufania, takiego bezpiecznego miejsca między osobami dla siebie obcymi. Po jednej stronie jest opiekun, po drugiej stronie jest dziecko, które ma różną sytuację rodzinną,

Zastanawiam się, jak udaje się Elżbiecie budować te relacje? Może ma jakieś złote zasady?

- Oczywiście współpracujemy też z rodzicami, także znamy tę rodzinę. Dużą rolę odgrywa też na pewno czas, jaki znamy te dzieciaki, jak długo do nas przychodzą. I też wydaje mi się, że ta integracja, na którą taki kładę nacisk sprawia, że właśnie budujemy to zaufanie między sobą.



Zawsze staram się podejść do każdego naszego wychowanka bardzo indywidualnie. Staram się wyczuć, jakie są jego potrzeby, jakie są jego możliwości w opowiedzeniu o sobie, o swoich problemach.

Najfajniej to wychodzi w czasie naszych wyjazdów, teraz zbliżają się wakacje, więc już się cieszymy i szykujemy na letnie wyjazdy, przygody, bo chyba w czasie takich przeżyć najbardziej buduje się ta nasza grupa przyjaciół.

- A jak zaczęła się Twoja droga zawodowa?

- W świetlicy Grodzisko jestem od 2006 roku. Początkowo ściągnęła mnie koleżanka do pomocy, miało to być tylko na czas wakacji, takie dorywcze zajęcie. Skończyłam studia pedagogiczne, więc gdy nadszedł wrzesień, a dzieci ciągle przybywało, postanowiłyśmy, że zorganizujemy naszą świetlicę już bardziej formalnie.

Na początku byłam wychowawcą, a w późniejszym okresie zostałam kierowniczką świetlicy. Być może pojawiały się takie momenty i sytuacje, że żałowałam, ale zawsze wtedy ktoś coś zrobił, pojawiło się jakieś nowe wyzwanie.

Przekonywałam się, że zostaję i działam dalej i jakoś tak aktywizowałam siebie i środowisko, żeby jednak wszystko dobrze działało.

Elżbieta bez dłuższego zastanowienia opowiada o tym, co w jej pracy jest największym wyzwaniem.

- Aktualnie taka motywacja dzieciaków do tego, żeby po prostu chciały się uczyć. Widzę, że po okresie pandemii jest z tym duży problem. Dzieciaki są trochę zniechęcone, więc teraz nad tym bardzo silnie pracujemy.

Trzeba zachęcić je różnymi sposobami, już nie tylko do samego odrabiania lekcji, tylko też do inwestowania w siebie, w swój rozwój, żeby po prostu zrozumiały, że jednak warto się rozwijać.
- Czego ta praca Ciebie uczy, jak Ciebie zmienia?

- Na początku to wiadomo, byłam młodsza, trochę bardziej szalona. Jak sobie teraz przypomnę te nasze wszystkie wyprawy, przygody, czy chociażby zjeżdżanie na sankach ze stromych górek. Teraz też zdarza mi się odrobina szaleństwa.

A jestem pewna, że dzieci to doceniają, że jednak nie siedzę za biurkiem w świetlicy, tylko coś wymyślam ciągle nowego, bo raczej nie powtarzam co roku tego samego schematu pracy czy działań, tylko staram się pokazywać im ciągle coś nowego. Także swoją postawą, swoją aktywnością. Coroczny zjazd na sankach oczywiście obowiązkowo zaliczam razem z dzieciakami. Zdarzaja się trudne sytuacje, jest ich całkiem sporo.

Trudne dla wszystkich było przebrnięcie przez okres pandemii, gdy tak naprawdę nie wiedzieliśmy, jak ta nasza praca ma na tamtą chwilę wyglądać, jak mamy pracować, jak porozumiewać się wirtualnie.
Jakoś się to jednak udało i przebrnęliśmy. Grupa cały czas utrzymywała kontakt ze sobą. Spotykaliśmy się na Messengerach, na jakichś mini live'ach, także cały czas był ten kontakt.





Ale trzeba było wykazać się ogromną elastycznością Odnaleźć się i pamiętać, że po tej drugiej stronie jest bardzo wrażliwe dziecko, dla którego na pozór mała zmiana, może okazać się zupełnie wielka.

Po osiemnastu latach pracy w jednym miejscu, przychodzi czas na refleksje. Coś się udało, czegoś się nie udało. Pojawiają się marzenia...

- Mam takie marzenie, żeby to kolejne pokolenie dzieci, które jest teraz w świetlicy, stworzyło tak zgraną ekipę, jak to się udawało dotychczas. Żeby dzieci mogły sobie ufać, żeby te relacje między nimi były takie szczere i takie radosne. Nad tym teraz właśnie pracujemy i temu też poświęcone będą wakacje, żeby właśnie stworzyć taką fajną grupę.

- A Tobie co daje kopniaka w tej pracy? Takiego, że chce Ci się w ogóle chcieć.

- To są małe rzeczy, naprawdę nie są to jakieś wielkie wydarzenia. To są dzieci, które mówią, że to jest ich drugi dom, tak gdzieś między słowami, czy proponują, że same przygotują dzisiaj obiad, a "Ty ciociu tutaj sobie popracuj".

Przygotowują same posiłek, są naprawdę zaradne i takie rzeczy mnie cieszą.

Liczyłaś ile dzieci przez te 18 lat przeszło przez świetlicę pod Twoimi skrzydłami?

- Starałam się to podliczyć. Będzie około setka. Trzeba byłoby to bardzo dokładnie posprawdzać, wszystkie dzienniki i listy dzieci, ale myślę, że gdzieś już zbliżam się do setki. Wciąż przychodzą po poradę, przychodzą też się pochwalić swoimi osiągnięciami i to są takie moje sukcesy wychowawcze, więc fajnie, że się tym dzielą, bardzo się z tego cieszę.

Myślę, że wśród wychowanków krąży takie przekonanie, że wnoszę dużo spokoju w nasze zajęcia świetlicowe.

Kiedy wpada huragan emocji i jakichś trudnych sytuacji, to zawsze staram się jakoś załagodzić wszystkie sprawy, porozmawiać, spowolnić trochę tempo, które jest teraz bardzo szybkie i myślę, że z tego dzieciaki czerpią najwięcej. Też z jakiejś takiej refleksji nad wydarzeniami, bo zawsze podsumowujemy sobie czy to dzień, czy tydzień, czy nawet rok, więc staram się, żeby właśnie dzieciaki się też trochę na tym skupiły.

Brzmisz tak bardzo spokojnie, jakbyś miała na wszystko gotową odpowiedź.

- Jestem dosyć optymistyczną i opanowaną osobą.

Staram się nastawiać pozytywnie, nawet jak zdarzają się jakieś takie sytuacje. Najczęściej one są spowodowane konfliktami czy jakimiś nieporozumieniami między dziećmi.

Natomiast chwila wypoczynku, regeneracji, czy chociażby zmiana pogody zmienia zawsze punkt widzenia.

- A skoro już mówisz o regeneracji, opowiedz jak to u Ciebie wygląda, gdzie Ty znajdujesz wentyl?

- Na pewno dużo daje mi rodzina, rozmowa z najbliższymi, z mężem, ale też spotkania z przyjaciółmi, wyjazdy. Bardzo lubię też kontakt z naturą, więc gdy tylko pogoda pozwala i czas, to gdzieś wyjeżdżam za miasto, trochę pobyć na łonie natury, najczęściej w ukochanych Borach Tucholskich. Staram się nie stać w miejscu, ciągle poszukuję jakichś nowych aktywności, które będą odpowiednie dla mnie i dla moich najbliższych, ale również którymi będę mogła zarazić dzieciaki. Kiedyś była to gitara i trochę takiego harcerskiego życia i stylu próbowałam im zaszczepić. Pod takim impulsem, który wyszedł od dzieci, postanowiłam nauczyć się szydełkować one mnie do tego zachęciły, bo gdzieś tam widziały jakieś filmiki na YouTubie, że to fajne można rzeczy zrobić, więc pomyślałam sobie - Czemu nie?

Żeby ich nauczyć, sama musiałam się tego nauczyć, więc to są takie ciągle nowe rzeczy, które gdzieś tam wynajduję i one dają mi energię do dalszego działania.





BEZ ŚWIETNEJ DRUŻYNY, TA PRACA NIE MIAŁABY SENSU

DOROTA CZERNIK

Gdyby miała zliczyć, ile ma dzieci, rachunek nie byłby wcale prosty...
- Na pewno od czasu rozpoczęcia pracy w fundacji...kilkadziesiąt i na pewno już kilkoro wnucząt.



Gdyby miała zliczyć, ile ma dzieci, rachunek nie byłby wcale prosty...
- Na pewno od czasu rozpoczęcia pracy w fundacji...kilkadziesiąt i na pewno już kilkoro wnucząt.

Odnieśliśmy wszyscy wspólnie, duży sukces. To nigdy nie jest praca indywidualna, ale zawsze zespołowa, fundacyjna.

Sukces, czy powód do smutku? - dopytuję

- Z jednej strony to jest duży powód do smutku, ponieważ tak naprawdę dzieci nie powinny trafiać do miejsc takich jak nasze. Dzieci powinny wychowywać się w swoich środowiskach rodzinnych, ale ponieważ ani dzieci, ani my nie mamy na to wpływu, to ja traktuję te dzieci, którymi się opiekuję, jak swoje. Zaangażowanie i więź i emocje, które towarzyszą nam w takiej codziennej pracy, pozwalają mi w ten sposób podchodzić do tego.

Pani Dorota w 1993 roku rozpoczęła pracę w charakterze pracownika socjalnego, wtedy jeszcze w Miejskim Ośrodku Pomocy Społecznej w Gdańsku. W MOPSie pracowała na różnych szczeblach do 2007 roku a w międzyczasie zaczęła współpracę z Gdańską Fundacją Innowacji Społecznej. W Fundacji pełni wiele ról i wiele funkcji. Jest członkinią zarządu, zastępczynią dyrektora do spraw merytorycznych, gdzie ma pod swoim skrzydłami dwa domy dla dzieci w Gdyni, jeden dom dla dzieci w Rumi, a tak na co dzień jeste koordynatorką domu przy ul. Malczewskiego w Gdańsku, gdzie wraz z zespołem wychowawców sprawuje opiekę nad czternastką dzieci od 9 do 20 roku życia.

- Działamy na szeroko rozumianym polu pomocy społecznej. Jedną gałęzią pracy i rozwoju naszej fundacji są właśnie domy dla dzieci. Kolejnym takim obszarem jest działanie środowiskowe, czyli mamy dom sąsiedzki i wszystkie działania, które wspierają i budują społeczność lokalną. Trzecią gałęzią są firmy społeczne, które prowadzimy: poprzez działalność hotelu So Stay, poprzez kawiarnię Kuźnia i Parowóz umieszczoną w Parku Oruńskim.

I na styku tych trzech obszarów wspieramy, budujemy koalicję, ale generalnie wspieramy nie tylko dzieci, które pozostają bezpośrednio pod naszą opieką, ale też tworzymy szeroką ofertę wsparcia dla mieszkańców dzielnicy Orunia, a także dzieci i młodzieży z dzielnicy.

- Wspomniała Pani, że to był świadomy wybór: przejście z Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej do Gdańskiej Fundacji Innowacji, co ma Pani na myśli mówiąc, że weszła Pani głebiej w pomoc społeczną?

- Z osobami, które zaczęły tworzyć naszą fundację, czyli z Piotrem, z Rafałem i z Marianną, znamy się od wielu lat i wiedziałam o ich zamiarach, wiedziałam czego chcą się podjąć.



Na początku z doskoku wspierałam te ich działania, a polegało to na tym, że tworzony był pierwszy 14-osobowy dom dla dzieci, który mieścił się na Jasieniu przy ulicy Cyprysowej. Ponieważ widziałam to dzieło od samego początku, bardzo mi się to spodobało i odniosłam wrażenie, że w takim miejscu i w takiej formule pomocy dziecku jest głęboki sens i podjęłam się tego wyzwania.

- Jednak mówi Pani o wyzwaniu.

- Tak, dlatego, że ta praca jest swego rodzaju misją. Ona bardzo mocno angażuje nie tylko tak osobiście, ale też i emocjonalnie. Bo to nie jest praca, gdzie po wyjściu można zamknąć drzwi, wyłączyć myślenie i jakby zapomnieć do następnego dnia pracy o tym, co się zdarzyło albo o tym, co się zdarzy. Pracujemy z drugim człowiekiem i na rzecz drugiego człowieka, a w sytuacji, w której pracujemy z dziećmi, które doznały wielu krzywd i przeżyły wiele dramatów, jest to niezwykle odpowiedzialne i wymagające dobrego poukładania wewnętrznego każdej osoby, która wykonuje tę pracę.

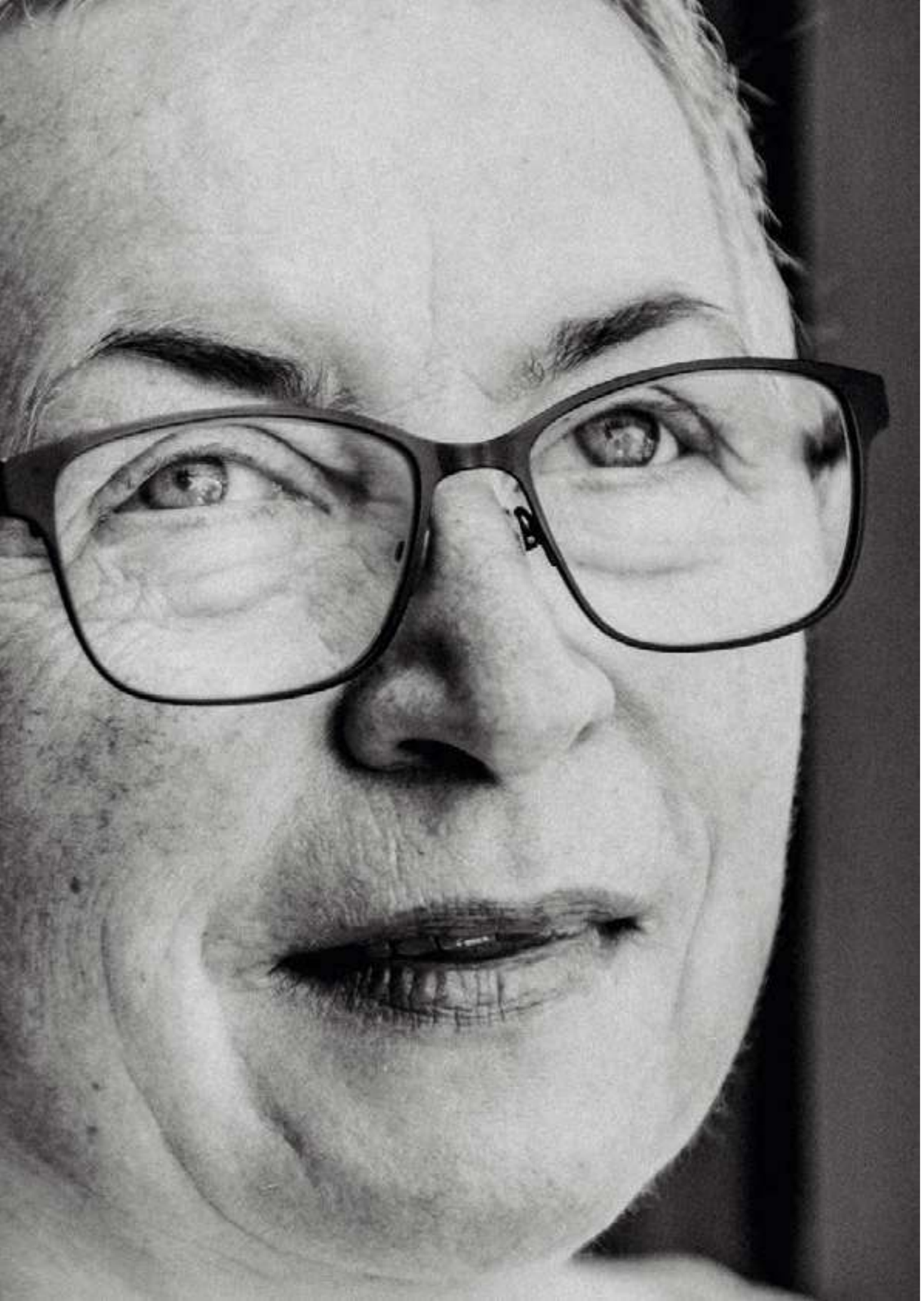
- Przypomina sobie Pani najtrudniejszy moment na drodze zawodowej? - pytam.

- To nie jest tak, że mogę powiedzieć o jakimś jednym najtrudniejszym momencie, ale trudnymi momentami są te, kiedy przyjmujemy dziecko, dzieci pod naszą opiekę, jest jakby przepracowanie i uświadomienie dziecku, że to, co się stało, czyli fakt umieszczenia dziecka w placówce opiekuńczo-wychowawczej, nie jest odpowiedzialnością dziecka, a odpowiedzialnością jego rodziców.

Przepracowanie tego z dzieckiem jest procesem, który jest bardzo trudno określić w czasie, bo to jest za każdym razem bardzo indywidualna sytuacja.

Kolejną trudnością i wyzwaniem jest towarzysze-

Działamy na szeroko rozumianym polu pomocy społecznej. Jedną gałęzią pracy i rozwoju naszej fundacji są właśnie domy dla dzieci.



nie dziecku w przeżywaniu tej trudnej sytuacji i wytłumaczeniu, dlaczego tak się stało, a nie inaczej.

- Jest tu miejsce też na Pani emocje?

- Jeżeli chodzi tak bezpośrednio o daną sytuację, to nie. Dlatego, że ja muszę stworzyć przestrzeń do tego, żeby dziecko mogło te swoje emocje wyrazić, a ja muszę podejść do tego z bardzo dużą wrażliwością, empatią i odpowiedzialnością. My od wielu lat mamy możliwość korzystania z superwizji zespołowych i indywidualnych. Korzystamy w zależności od potrzeb z superwizji koleżeńskich, gdzie my możemy sobie w takim bezpiecznym gronie omówić te trudne sytuacje, omówić nasze emocje, porozmawiać o frustracjach, to pomaga. Z perspektywy wielu lat nie było innego wyjścia. Trzeba było się nauczyć, tak to przepracowywać i tak wewnętrznie sobie te wszystkie sytuacje poukładać. Trzeba było przede wszystkim zrozumieć, że ja też nie mam na to wpływu. Tak jak dziecko nie ma na to wpływu, ja też nie mam, ale znajdujemy się w danym momencie w takiej sytuacji, że moją rolą, moim zadaniem jest pomóc, wspierać to dziecko i patrzeć jak mogę zadbać o przyszłość dziecka.

- Kiedy pani widziała albo widzi największy sens tej pracy?

- Tak na co dzień się nie zastanawiam nad tym, ale z perspektywy tych wszystkich lat, to każdy sukces dziecka potwierdza, że nasza praca ma sens, ale najbardziej dumna jestem z tych sytuacji, kiedy nasi podopieczni, którzy przychodzili do nas z różnymi problemami, usamodzielnili się, założyli rodziny, mają swoje domy, mają swoje dzieci, mają swoje życie i z większością mamy jeszcze sporadyczny kontakt i wiemy, że są po prostu szczęśliwymi ludźmi, więc tak naprawdę to jest, no to jest sensem naszej pracy. Kiedy nas odwiedzają, jest to bardzo miłe i bardzo fajne. Czasami wracają do nich kryzysy i potrzebują naszego wsparcia i oczywiście to wsparcie otrzymują. Natomiast w sytuacji, w której przychodzą się pochwalić swoimi sukcesami, swoimi dziećmi, swoimi mężami czy żonami ,to zawsze tak cieszy serce i fajne jest to, że się nie wstydzą tego skąd wyszli, bo budując to ich życie my zawsze powtarzamy dzieciakom, że to, że są w placówce nie czyni ich gorszymi. Są takimi samymi dziećmi i młodymi ludźmi, jak inni, tyle że są w innej sytuacji, o wiele trudniejszej od tych wszystkich, którzy mają na co dzień wsparcie rodziców. Zawsze przyświeca nam taka myśl, żeby budować w nich takie autentyczne poczucie wartości, że są wartościowymi ludźmi.

- Jakie wartości w tej pracy są dla Pani najważniejsze?

- Uczciwość i autentyczność w stosunku do wszystkich moich podopiecznych, do ich rodziców, do całego otoczenia ponieważ dla mnie są to takie podstawowe wartości, bez których ja sobie nie wyobrażam pracy z drugim człowiekiem.

- Nigdy Pani nie myślała o tym, żeby rzucić to wszystko i pójść na łatwiznę, do łatwiejszej pracy, która mniej jednak wymaga...?

- Pewnie kilka razy myślałam o tym w takich sytuacjach naprawdę trudnych, czy takiego poczucia przeładowania emocjonalnego i frustracji, że nie mam wpływu, bo ja jestem tylko człowiekiem, który lubi działać i który kieruje się racjonalnością. Zdarzały się więc sytuacje, w których miałam takie myśli, na szczęście tylko na króciutko, bo jednak zawsze przyświeca mi myśl, że to, co robię ma sens.

- A gdyby nie pomoc społeczna, gdyby nie praca na rzecz drugiego człowieka, to co? Mógłby być jakiś inny scenariusz? - dopytuję

- Jak byłam małą dziewczynką, chciałam być przedszkolanką. Podobała mi się praca w przedszkolu. Nie wiem, jakby się potoczyły moje losy, gdyby nie to, że przyjechałam do Gdańska, rozpoczęłam naukę w szkole dla pracowników służb społecznych i potem było to dla mnie naturalne, że chcę spróbować swoich sił w tym zawodzie, a ponieważ ja lubię ludzi i gdzieś tam jeszcze w czasach szkoły podstawowej i w czasach liceum zawsze udzielałam się w różnych grupach, więc tak naprawdę chyba nawet do końca nie myślałam, że mogłabym robić coś innego. Było to po prostu dla mnie naturalne.

Jestem osobą, która żeby odpocząć potrzebuje trochę ciszy, trochę spokoju i czasami potrzebuje pobyć sama, a czasami potrzebuje pobyć z bliskimi ludźmi.

Staram się aktywnie wypoczywać, dbać o swój dobrostan, choć różnie to wychodzi. Niestety tego czasu na odpoczynek jest mało, ale myślę, że chyba wszyscy, którzy pracują zawsze mają tego odpoczynku mało.

- Trzeba się szybko ładować - dopowiadam.

- Oj, tak! Czasami jest to łatwe, czasami jest to trudne, ale trzeba sobie znaleźć swój sposób na to, żeby w danym momencie zrobić dla siebie to, co jest najlepsze. Lubię gotować, lubię piec, lubię czytać, lubię obejrzeć dobry kryminał. W zależności od tego ile mam czasu i gdzie jestem, to staram się tak czas wolny sobie organizować, żeby najbardziej z niego skorzystać.

Na koniec pytam panią Dorotę o wyznaczanie granic miedzy pracą a życiem osobistym. Asertywność...

- To się buduje przez lata i gdybym miała sama przed sobą uczciwie odpowiedzieć, to jestem ciągle w tym procesie, bo albo ja nie potrafię, albo tego się nie da, ale nie można do końca postawić sobie takiej sztywnej granicy, ja po prostu tego nie umiem. Ale jestem tego świadoma i wiem, na co się pisałam i na co się każdego dnia piszę, więc nie mam o to do nikogo pretensji, do siebie już też nie, bo uważam, że na tyle, na ile mogę postawić sobie granice i na ile mogę zadbać o siebie, to to robię.

- Ma pani jakieś marzenie w kontekście pracy zawodowej?

- Moim największym marzeniem jest to, by takich miejsc, w których ja pracuję, nie było, bo zdaję sobie sprawę z tego, że najwłaściwszym miejscem dla dziecka jest jego rodzina i dom rodzinny.

Zdaję sobie jednak sprawę, że jest to marzenie nierealne, więc takim marzeniem, które być może się kiedyś spełni, no jest to, żeby system wsparcia dziecka był bardziej jasny, ale na to też nie mamy wpływu.

A sobie życzę przede wszystkim tego, żebym jak najdłużej była zdrowa i sprawna fizycznie i psychicznie, bo nie ukrywam, że czasami mi się przewijają myśli, że przyjdzie czas na to, żeby przejść na emeryturę, odpocząć, zająć się sobą i żebym w tym momencie była zdrowa i mogła z tej wolności i przywilejów emeryta czerpać całymi garściami. A dzisiaj? Jestem wdzięczna za ludzi, bez których moja praca byłaby bez sensu, za całą moją drużynę.



TRAKTOWALI MNIE JAK WNUCZKĘ

ALICJA DURBACZ

Pani Alicja to bardzo ciepła osoba, z kolorową duszą – jak sama wspomina już na początku naszego spotkania. Ma na sobie żółty sweter i pełną odcieni apaszkę.



Pani Alicja to bardzo ciepła osoba, z kolorową duszą – jak sama wspomina już na początku naszego spotkania. Ma na sobie żółty sweter i pełną odcieni apaszkę.

- Chciałam wyglądać dziś trochę bardziej kobieco niż jak jeżdżę rowerem. Bardzo lubię kolory, kiedyś dominowała czerń, a teraz szaleję!

- Nie przyjechała Pani rowerem? - pytam

Deszcz mnie zatrzymał. Ale jeżdżę bardzo często. Zarazili mnie koledzy, zwłaszcza jeden pracownik socjalny, który przyjeżdżał z Abrahama w Sopocie w niespełna godzinę na Wyspę Sobieszewską do Przegaliny. I nie było po nim widać zmęczenia. Już od pięciu, sześciu lat jeżdżę regularnie, ale pracuję na Żaglowej w Gdańsku, więc mam z domu do pracy 14 kilometrów. Na rowerze ten dystans jest możliwy do pokonania.

Pani Alicja pracuje w Towarzystwie św. Brata Alberta w Nowym Porcie.

- Pracuję tam od 14 lat, a zaczynałam w Przegalinie jako opiekun. Po urodzeniu drugiego dziecka zdecydowałam się na zmianę, chciałam pracować bliżej domu, bliżej rodziny i stąd właśnie Żaglowa.

- Jak wygląda Pani praca? - pytam

Jestem pracownikiem socjalnym na co dzień i zajmuję się koordynacją osób bezdomnych, kieruję osoby w kryzysie bezdomności do placówki. Kiedyś była to rola

Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie, a od 2014 roku, o ile dobrze pamiętam, zostało to scedowane na brata Alberta.

Każda osoba bezdomna, która chce skorzystać z placówki, najpierw zaczyna od kontaktu ze mną i myślę, że fajne jest i ważne to, że to faktycznie jest jedno miejsce i jedna osoba, więc ja jestem dla nich rozpoznawalna. Zawsze jest ta sama osoba, to samo miejsce.

- Jak zaczęła się Pani droga zawodowa? Co się wydarzyło w życiu, że postanowiła Pani zostać pracownikiem socjalnym?

Pani Alicja na chwilę zawiesza głos.

- To nie było takie oczywiste. Chodziłam do ekonomika w Starogardzie Gdańskim, nie potrafiłam podjąć decyzji, co w ogóle chcę na tym etapie życia robić. Wiedziałam tylko, że matematyka i rachunki to nie moja bajka, ja po prostu tego nie czułam i wiedziałam, że zdając maturę, znowu znajdę się na początku drogi, nie wiedząc, w którą stronę mam pójść.

I wtedy, za namową mojej koleżanki, poszłam do policealnej szkoły pracowników socjalnych, sugerując się tym, że zawsze lubiłam kontakt z ludźmi. Nie do końca wiedziałam, z czym to się będzie wiązało, jak to będzie wyglądało, po prostu skończyłam tę szkołę.

Fajnie się udało, że od razu po szkole znalazłam pracę w Smętowie w schronisku dla bezdomnych, ale niestety zabrakło tam funduszy , żeby utrzymać moje stanowisko.

Rozesłałam kilka CV i po jakimś czasie pojawiła się oferta w Przegalinie – szukali opiekuna.

Spróbowałam i tak jestem opiekunem cały czas.

- Mimo że ta praca łatwą nie jest – stwierdzam.

Nie jest, a ja wtedy nie miałam pojęcia, jak dużo rzeczy w moim życiu się zmieni. Jak będę musiała szybko dojrzeć i że tutaj trzeba podejmować ważne decyzje, trudne decyzje. Ale zawsze miałam takie szczęście, że koło mnie były osoby, które mnie wspierały, które mną wstrząsały, mówiły: „słuchaj, no już dość, już teraz wiesz co się wydarzyło, czas tupnąć nogą i iść do przodu!”. I tak powolutku, powolutku dojrzewałam i nabierałam doświadczenia.

Patrzę na mapę i liczę w głowie odległość między Smętowem a Wyspą Sobieszewską. Pani Alicja pochodzi ze wsi Kopytkowo, wyjazd do pracy do Gdańska wiązał się ze zmianą dotychczasowego życia. Miała wtedy 20 lat i zaczęła pracę z ludźmi w kryzysie bezdomności.

- Nie byłam gotowa na tę pracę, natomiast miałam bardzo dużo pokory i szacunku do drugiego człowieka. Myślę, że to, kim się stałam, to zasługa właśnie moich podopiecznych, którzy byli w tej placówce.

Wielu z nich traktowało mnie jak wnuczkę, bo byłam taka młodziutka.

Wtedy ta praca bardziej wiązała się z byciem opiekunem i utrzymaniem porządku, z takim towarzyszeniem, pomaganiem w różnych sprawach., najzwyklejszych. Wtedy też ta nasza pomoc społeczna nie była tak rozwinięta jak teraz, bo właściwie była Przegalina i był MONAR. Więc to tak powolutku ze mną szło.

Jestem pracownikiem socjalnym na co dzień i zajmuję się koordynacją osób bezdomnych, kieruję osoby w kryzysie bezdomności do placówki.



Ja się uczyłam od panów, oni ode mnie, ale zawsze gdzieś tam miałam na uwadze właśnie to, żeby moi podopieczni nie czuli tych różnic, że ja jestem tutaj ktoś, kto zaprowadzi porządek, kto będzie taką ostrą, mocną ręką trzymał placówkę, to też nie o to chodziło.

Pamiętam, że jak mnie zatrudniał kierownik, to wspominał, że mu zależało na pierwiastku damskim, cieple, wprowadzeniu domowej atmosfery poprzez prowadzenie ogródka, warzywniaka. Ja mieszkając na wsi robiłam takie rzeczy na co dzień, więc wydaje mi się, że było mi łatwiej, kiedy na przykład sama wychodziłam do ogródka, a potem chwilę ktoś się pojawiał i chciał mi pomóc. Czasami trzeba było zaangażować te osoby i nie zawsze się widziało chęć, ale po jakimś czasie ona się pojawiała, pomagali, przekopywali ogród. Już niczego nie komentowali. Teraz mamy trochę inną formę pomocy, nastawiamy się na to, żeby dokumentacja była uzupełniona, żeby były wnioski poskładane, a poza tym na Żaglowej nie ma już takiej przestrzeni, żeby zająć się ogrodem.

Przegalina była taką namiastką mojego domu rodzinnego, urokliwe miejsce, piękny stary budynek, poniemiecka szkoła z czerwonej cegły, w tle pola rzepaku, do tego jeszcze Martwa Wisła, cisza, spokój, w ogóle ilość zwierząt takich, których się na co dzień nie spotyka, jak bażanty, więc tam był klimat, mieliśmy zawsze mnóstwo kotów, psów, więc to było coś naprawdę fajnego.

Co dziś daje Pani największą satysfakcję w pracy?

Nigdy nad tym się tak nie zastanawiałam, przychodzę do pracy, robię to, co lubię, bo wydaje mi się, że nie potrafiłabym już robić niczego innego.

Ja tak przyzwyczaiłam się też do tego klimatu, tych osób, nie mam trudności z tym, że oni są inni, że na przykład inaczej pachną. Nauczyłam się cieszyć drobiazgami, bo często jest tak, że mamy jakiś zamysł dużych rzeczy, a niestety szybko dochodzimy do ściany i się okazuje, że to jeszcze za szybko, to nie ten moment, to chyba bardziej ja chciałam niż osoba, której pomagam chce.

Więc to są takie rzeczy, które mnie cieszą. Pracujemy w zespole. Ja jestem pierwszym ogniwem, pierwszym kontaktem dla człowieka. Może to brzydko zabrzmi, ale podrzucam moim koleżankom, asystentkom klienta, mówię im: „Słuchajcie, mam fajnego pana, wydaje mi się, że pan ma dużo chęci i jest nowy w systemie, warto by było nad nim popracować”.

I potem okazuje się, że Pan wszedł w tę asystenturę, w ten indywidualny program wychodzenia z bezdomności i mamy sukces.



Ale w moim zawodzie nigdy nie jest tak, że to jest coś mojego na 100%. Tylko mojego...

Czasem chodzi o takie drobiazgi, że dowód osobisty trzeba pomóc wymienić, że na przykład udało mi się zmotywować kogoś na pójście na terapię, albo żeby odnowić relacje z rodziną, albo żeby nawet zwyczajnie chciał się otwierać i mówić o swoich problemach, to już jesteśmy zawsze kroczek do przodu. A czasami mamy do czynienia z banałami: pan nie chce zgolić swojej brody czy włosów i z całej siły próbuję go do tego namówić. I kiedy potem widzę że ten sam Pan się spóźnia na spotkanie ze mną, bo musi się odświeżyć, to są też takie moje sukcesy, że fajnie, że wcześniej nie miał takiej potrzeby, nie chciał tego robić, a teraz uznał, że to jest ważne i to są te takie malutkie kroczki, które są też bardzo ważne i potrzebne w tym zmienianiu i postrzeganiu całej sytuacji osób w kryzysie bezdomności.

- A pamięta Pani sytuacje, że ktoś przyszedł po godzinach pracy? Co wtedy Pani robi?

Wpuszczam. Ktoś puka, chciałby się wykąpać. A mamy ustalone godziny i staramy się ich trzymać, ale sobie myślę, kurczę, nie mam nic do roboty. Nikt mi głowy nie urwie, że pozwolę się temu panu wykąpać, jest trzeźwy.

I wtedy towarzyszę w tym wszystkim, szukam czystych rzeczy i on wychodzi po kąpieli, a ja widzę drugą osobę, zupełnie kogoś innego. To zdarza się dość często, a potem ta osoba mi mówi: Pani Alu, jak ja Pani dziękuję za to, że dziś będę mógł jechać tramwajem, że nikt mnie nie wyrzuci, że nie śmierdzę, że będę mógł pójść do lekarza. Dla mnie tego typu rzeczy są takie naprawdę namacalne, takie widoczne. I to jest dla mnie duży sukces, bo wiem, że w przypadku tych osób to jest krok milowy.

Pani Alicja posiada umiejętność słuchania, ale też ogromną intuicję:

- Ta intuicja bywa czasem mylna, czasami ktoś przyjdzie taki nerwowy, agresywny, bo tych sytuacji też miewam trochę i mając świadomość, że często jestem na tym posterunku sama, muszę też zadbać o siebie, o swoje bezpieczeństwo.

I muszę takie sytuacje rozwiązywać. Na szczęście z biegiem lat ja już wielu moich panów znam, ale też widzę te progresy w ich samopoczuciu, w ich zachowaniu, że się starzeją, że chorują, że to co było nawet kilka tygodni temu już nie jest takie, bo na przykład pan był w szpitalu, coś się zmieniło i nie można wpadać w rutynę, że skoro on zawsze był w noclegowni, teraz też do niej pójdzie.

Nawet jeżeli wiemy, że znowu przyjdą osoby, że będą do zaopiekowania, to nie wpadamy w rutynę, bo wciąż spotykamy inne osobowości, charaktery, czasami to zależy też od dnia, że przychodzi po raz wtóry ta sama osoba, ale dzisiaj jest totalnie wkurzona, wyzywa mnie i tak dalej. Nie ma opcji, żeby się nudzić, absolutnie.

Pani Alicja uśmiecha się i dodaje:

Każdy niesie swój bagaż , jest indywidualną jednostką i musimy po prostu wykrzesać z siebie za każdym razem ten czas, żeby wysłuchać i żeby też przyjrzeć się tak z osobna, każdej osobie.

- A strach? Zna Pani to uczucie?

Na pewno jak zaczynałam pracę, to było go o wiele więcej. Ta bezdomność też trochę inaczej wyglądała, ponieważ my teraz zajmujemy się głównie osobami z Gdańska, wtedy w Przegalinie przyjeżdżali do nas i z Sopotu i z Gdyni, bardzo dużo osób po zakładzie karnym, mnóstwo heroinistów. W tej chwili mamy o wiele mniej tych osób, choć nadal jest bardzo dużo narkomanii i z tego wynikających zaburzeń i chorób psychicznych.

Teraz sporadycznie mam takie sytuacje, kiedy ktoś mnie gdzieś tak mocno zaskoczy, wystraszy, ale mam też bagaż praktyki, że potrafię sobie radzić z różnymi sytuacjami, dlatego tego strachu jest zdecydowanie mniej.

- Jak udaje się Pani nie oceniać swoich podopiecznych?

Staram się, bo ocenianie jest chyba najgorsze, staram się też zabezpieczać ich w takich pierwotnych potrzebach, czyli jak bywa, że widzę, że ktoś przychodzi po skierowanie, ale na przykład rzuca mi hasło, że on trzy dni nic nie jadł, więc jak mam do dyspozycji magazynek z żywnością i jakieś puszki mi zostają, czy czasami dobre osoby podrzucają nam na jakieś jedzenie długotrwałe.

Więc mówię: to poczeka Pan chwilę, to ja Panu coś zorganizuję, żeby miał Pan na przetrwanie, zanim Pan pójdzie do Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie, dostanie to skierowanie na posiłek, czy jakieś wsparcie finansowe, zachęcam też do skorzystania z kąpieli.

Czasami przychodzi pan i mówi: Pani Alu, ale ja bym się kawy napił. Ja mówię, to pan poczeka, ja panu zrobię. I wtedy koledzy mnie pytają, po co to robię. A ja przecież o tę jedną kawę nie zubożeję, a myślę, że dla niego jest to ważne, że on się poczuje, że jest na równi, że nie jest gorszy,

- Pani Alicjo, to jest misja, pasja czy praca po prostu? - pytam, zbliżając się do końca rozmowy.

Na początku myślałam, że praca, ale z każdym rokiem jestem przekonana, że to jest MISJA.

Jestem świeżo po rekolekcjach w Strzelcach Opolskich, na które jeżdżą pracownicy Towarzystwa w okresie właśnie świątecznym. Mieliśmy konferencję i był tam dominikanin, który wspominał właśnie o tym, że absolutnie tego, co my robimy nie można nazwać zawodem. I tak mi się też wydaje, że jak patrzę czasami na swoich kolegów czy koleżanki, osoby, które przychodzą do pracy, rotują się, widać te osoby zaangażowane, te, które realnie pomagają i widać te osoby, które przychodzą do pracy, ale z takim bardzo niefajnym nastawieniem. Przecież to nie jest zawód, gdzie te pieniądze są kuszące, więc sobie myślę, po co ty się tak męczysz i męczysz innych. Więc zdecydowanie dla mnie to jest nie tylko praca, ale i misja. Lubię tych moich panów.

- A kim jest pani Alicja, czy Alicja po przyjściu z pracy?

Staram się znaleźć równowagę. Kiedy nie miałam rodziny, to niestety wlokłam pracę ze sobą do domu, ale odkąd mam rodzinę, to ja już jadąc na rowerze jestem w takim ferworze. No więc jestem mamą na pełnym etacie, rodzina bardzo mnie napędza, daje dobrą energię i zawsze się chłopaki śmieją ze mnie że przyszłam z jednego miejsca, a teraz rządzę w drugim, oni mówią: „Mamo, nie jesteś w noclegowni!". Tak czasami nimi zawiaduję, zapominam się,

Cieszę się, że w miarę umiem oddzielić prace od domu i udaje mi się mieć porządek w jednym i w drugim miejscu, taki balans.

Ja myślę, że ja z każdym rokiem, z każdą sytuacją jestem bardziej uodporniona, ale też bardziej świadoma, jakie to wszystko jest ulotne, jakie to wszystko jest skomplikowane, jak uważni powinniśmy być na siebie, jak powinniśmy dbać o relacje. Myślę, że ta moja praca to jest niezła szkoła jazdy i szkoła życia.



Na początku myślałam, że praca, ale z każdym rokiem jestem przekonana, że to jest MISJA.

LUDZIE Z MISJĄ

POMAGAĆ CHCIAŁEM OD ZAWSZE

ADAM BRONK-ZDUNOWSKI

O Adamie czytam na kilka dni przed naszą rozmową. Z wywiadu, którego Adam Bronk-Zdunowski udzielił jeszcze jako nastoletni wolontariusz wiem, że taki a nie inny wybór ścieżki życiowej zakiełkował w nim bardzo wcześnie.



O Adamie czytam na kilka dni przed naszą rozmową. Z wywiadu, którego Adam Bronk-Zdunowski udzielił jeszcze jako nastoletni wolontariusz wiem, że taki a nie inny wybór ścieżki życiowej zakiełkował w nim bardzo wcześnie. Brał wtedy udział w projekcie „Starszy brat/Starsza siostra” w ramach którego był codziennym, emocjonalnym i edukacyjnym oparciem dla młodszego kolegi, którego matka przechodziła chorobę nowotworową. Tamten pierwszy impuls pojawił się niemal dwadzieścia lat temu. Dziś Adam jest doświadczonym pracownikiem socjalnym:

- W pomocy społecznej, dokładniej w Miejskim Ośrodku Pomocy Rodzinie, pracuję od 12 lat. Wcześniej zajmowałem stanowisko asystenta rodziny, następnie pracownika socjalnego, później pracownika socjalnego w projekcie. Teraz jestem pracownikiem socjalnym w Ośrodku Interwencji Kryzysowej.

Zazwyczaj pytam rozmówców, jak trafili do MOPR. Czy zawiodło ich tutaj powołanie czy przypadek. Ty na pracownika socjalnego wyrosłeś. Być tutaj było Twoim marzeniem?

Pomagać chciałem od zawsze. Myśl o pomocy społecznej pojawiła się w szkole średniej. Byłem w liceum profilowanym o profilu socjalnym, które miało na celu przygotować nas pod kątem wsparcia osób w różnych, trudnych sytuacjach. Spodobała mi się ta droga, poczułem, że to coś dla mnie. To w tej szkole zgłosiłem się do akcji, którą ogłaszano na plakacie na szkolnej tablicy ogłoszeń. Zostałem wolontariuszem wspierającym rodzinę objętą pomocą MOPR-u. W ten sposób moje drogi z tą instytucją skrzyżowały się po raz pierwszy. Moją mentorką została Pani Joanna Egierska-Mrożek. To było ciekawe i ważne dla mnie doświadczenie. Dzięki temu poznałem MOPR za czasów „analogowych”, kiedy jeszcze pracownicy mieli bardzo dużo teczek. Wszystkie dane o klientach nie były tak bardzo skomputeryzowane jak dziś i te wszystkie akta po prostu przygniatały biurka. Ośrodek Pomocy Społecznej znajdował się wtedy w tym samym budynku do przychodnia zdrowia.

Dzisiaj jesteś trochę zmęczony. Za Tobą dyżur telefoniczny w Ośrodku Interwencji Kryzysowej.

Dzisiejsza noc była dosyć łatwa. Ale zdarzają się takie dyżury, które są bardzo ciężkie. Prowadzę różne rozmowy, bo też dzwonią do nas różne osoby. Każda potrzebuje wsparcia, ale za każdą rozmową kryje się inna historia, inny życiowy zakręt. Na przykład ostatnio na linii miałem Pana, który jest uzależniony do alkoholu oraz narkotyków. Potrzebował rozmowy – takiej zwykłej szczerej rozmowy z drugim człowiekiem, który go wysłucha. Bo on zatracił siebie, zatracił wiarę we własne siły i możliwości. Trzeba było mu uświadomić, ile już udało mu się osiągnąć na drodze wychodzenia z kryzysu. By poprawić swoją sytuację zaczął uczestniczyć na spotkania grupy AA.

Niestety ten Pan nie dostrzegł w tym swojej siły, swojego zasobu. Niestety tej nocy, gdy do nas zadzwonił akurat trzeźwiał po kolejnym alkoholowym incydencie. Skupił się tylko na tym, że znów zawiódł, zadzwoniłby ktoś pomógł mu nie pójść po kolejną butelkę. Potrzebował rozmowy by się zatrzymać.

Innymi słowy, przez kilkadziesiąt minut rozmowy działałeś jako głos sumienia.

Myślę, że tak, że jestem wtedy trochę jak sumienie, trochę jak podpowiedź i trochę jak impuls do zastanowienia się nad własnym życiem.

Pomagam w zrobieniu „stop klatki”. Bo człowiek, który ma duże problemy, zmaga się z olbrzymimi emocjami. Nieogarnięcie tych emocji powoduje kolejne problemy. Trzeba pomóc się tymi emocjami zaopiekować.



Dziś już wiem, że nie rozwiążę każdego problemu, co nie oznacza, że nie warto działać tam, gdzie jest to możliwe. Liczy się każdy mały krok.

Czy ludzie nocą dzwonią do Ośrodka Interwencji Kryzysowej z innymi problemami niż za dnia? Czy noc otwiera trochę inne tematy? A może w ogóle: otwiera tych ludzi bardziej?

Noc jest takim momentem z ciągu całej doby, w którym człowiek ma na swoje myśli czas. Czasami sprawia to, że nie ma przed tymi myślami ucieczki, wtedy człowieka wszystkie te nieprzerobione sprawy przytłaczają najbardziej. Gdy zostaje się z swoją głową sam na sam łatwo o natłok myśli. Dodatkowo wieczorem i nocą osoby osamotnione w tym natłoku myśli nie mają z kim przegadać tego co w danym momencie czują.

Łatwiej jest wejść pracownikowi socjalnemu z interwencją do domu, czy łatwiej jest odbierać telefony?

Lubię i to i to. Kiedyś działałem w Stowarzyszeniu TOLERADO na rzecz osób LGBT+, gdzie także pracowałem w mieszkaniu interwencyjnym. To było jeszcze inne zadanie, które uzmysłowiło mi, że podstawą wszystkiego jest człowiek. Niezależnie od tego, czy trzeba wejść w to środowisko i zadziałać, czy też porozmawiać poprzez telefon. Zdarzyło mi się kiedyś, że np. jedna osoba, która mieszkała w mieszkaniu interwencyjnym zgłosiła się do OIK-u. Chciała porozmawiać na temat procedury niebieskiej karty i tutaj znów trafiła na mnie. Gdy usłyszała mój głos w słuchawce zapytała: Adam? Rozpoznała mnie a ja ją i byłem zdziwiony, że nasze drogi znów się skrzyżowały. Znowu rozmawialiśmy i znowu mogłem pomóc, choć nie twarzą w twarz, ale przez telefon. Rozmowa jest ważna.

Jestem takim pracownikiem socjalnym interwentem, który, jeżeli wymaga tego sytuacja, może jechać na miejsce i rozmawiać z ludźmi w terenie.





Po pierwsze ważne jest by wysłuchać, ścieżka jak to się odbędzie jest mniej ważna. Faktycznie trochę trudności sprawia to, że gdy kogoś nie widzę muszę poświęcić więcej uwagi by go „przeczytać". Nie widzę mimiki, nie czytam emocji przekazywanych gestem, muszę więc więcej dopytać, czytać między wierszami.

- Zaczynałeś swoją drogę z pracą socjalną jeszcze w liceum jako tzw. starszy brat. Towarzyszyłeś wtedy chłopcu, którego mama przechodziła leczenie onkologiczne. Odrabiałeś z nim lekcje, bawiłeś się, byłeś wsparciem. Spędziłeś z nim dużo czasu, takiego który młody człowiek zazwyczaj poświęca na odkrywanie samego siebie i na bunt. Czy z Robertem masz kontakt do dziś?

- Roberta poznałem, gdy miał 6 – 7 lat. Teraz ma 24. I cały czas.... (łamie mu się głos)

- Nie potrafisz chyba mówić o tym jak o pracy, bez emocji...

- Bo to jest już kawałek życia, nie pracy... Ale wracając: Roberta znam od dziecka. I cały czas mamy kontakt: z nim, z jego mamą, z jego siostrą i bratem. Bo Robert ma też swojego starszego, rodzonego brata. To dla mnie ważne osoby. Jeżeli będzie potrzeba by Robertowi pomóc do zawsze dla niego jestem. I dla jego rodziny także.

- Wspomniałeś, że Robert ma też swojego starszego, rodzonego brata. Ty także masz starsze rodzeństwo...

- Mam dwóch starszych braci, którzy byli dla mnie wzorem. Jeden był żołnierzem i jeździł na misje, a drugi jest strażakiem. To patrząc na nich chciałem pomagać. Zresztą ich wsparcie w moim dążeniu do zmieniania świata czułem zawsze – gdy jeszcze jako wolontariusz wspierałem Roberta jako przyszywany starszy brat, zabierałem jego i całą jego klasę do remizy do mojego rodzonego starszego brata.

- Czy czujesz, że zmieniasz świat?

- Myślę, że zmieniłem już niejedno życie, swoją obecnością i tak należy na to patrzeć. Pomaganie jest procesem a efekty nie przychodzą od razu. Dziś już wiem, że nie rozwiążę każdego problemu, co nie oznacza, że nie warto działać tam, gdzie jest to możliwe. Liczy się każdy mały krok. Za dzieciaka było trochę inaczej - myślałem, że będę miał magiczną różdżkę i pozmieniam na lepsze wszystko.

- Twoje pierwsze działania wolontariackie, jeszcze podczas zbiórek żywności przypadały jeszcze przed projektem „Starszy Brat/Starsza Siostra". Działałeś także w Chrześcijańskim Stowarzyszeniu Dobroczynności w Pruszczu. Z drugiej strony po latach pomagałeś w Stowarzyszeniu na rzecz osób LGBT Tolerado. To organizacje z zupełnie różnych planet. Za twoim poczuciem misji nie kryje się żadna kwestia wyznaniowa?

- Zawsze dla mnie drugoplanowe, że ktoś jest „z tej" czy „z innej" opcji. Dla mnie najważniejszy jest szacunek do danej osoby, nie do tego co ma, że tak powiem, za plecami. Nieważne jest to czy jest z ideologii, religii, partii politycznej. Każdy jest z nas człowiekiem i każdy z nas zasługuje na szacunek, nieważne, co się w jego życiu zadziało. Staram się być osobą empatyczną. Gdy dorastałem jako wolontariusz u pastora z kościoła Zielonoświątkowców. Mnie rodzice ochrzcili w wyznaniu rzymsko-katolickim, a zadziało się też tak, że pomagałem w Stowarzyszeniu na rzecz osób LGBT+ TOLERADO. Uważam, że pomaganie nie ma żadnych barw.





NA POCZĄTKU MOJA PRACA MARTWIŁA MOICH RODZICÓW

ANNA CHOBER

Nas trudno oszukać. Nie ma chyba takiej historii, której ktoś dla nas nie wymyślił. Śmieje się pod nosem Pani Anna Chober. Z drugiej strony w wiele prawdziwych sytuacji z którymi stykają się pracownicy MOPR, ktoś z zewnątrz na pewno by nie uwierzył.



Nas trudno oszukać. Nie ma chyba takiej historii, której ktoś dla nas nie wymyślił. Śmieje się pod nosem Pani Anna Chober. Z drugiej strony w wiele prawdziwych sytuacji z którymi stykają się pracownicy MOPR, ktoś z zewnątrz na pewno by nie uwierzył. Pani Anna pracowniczką socjalną jest od 1981 roku i mówi, że przez ten czas nabrała olbrzymiej pokory do tego co ludzi w życiu spotyka, do tego, że każdemu może przytrafić się inna historia. Od 1981 roku zajmowała się między innymi: pomocą osobom i rodzinom w przezwyciężaniu trudnych sytuacji życiowych, wspieraniem w procesie usamodzielnienia i integracji społecznej, współpracą z uchodźcami i osobami doświadczającymi przemocy domowej.

Co lubi robić Anna Chober gdy nie jest w pracy?

Bardzo lubię chodzić po lesie. Uwielbiam też góry i jeżeli tylko mogę, to chociaż raz do roku staram się w góry pojechać, pochodzić po nich, popatrzeć na ich majestat. Zawsze mnie to zachwyca i mnie wspiera.

Co jeszcze Pani lubi?

Lubię obejrzeć dobry film, poczytać dobrą książkę, pojeździć trochę na rowerze. Uwielbiam też kwiaty i pracę w ogrodzie.

Skąd zatem decyzja, że na emeryturze, zamiast oddać się tym przyjemnościom, wciąż pracuje Pani w MOPR?

Przez pół roku się naodpoczywałam. Brakowało mi jednak bycia między ludźmi i pomagania. Bo pomagać chciałam od zawsze.

To było Pani marzenie? Pracować w MOPR?

Gdy zaczynałam pracę nie było jeszcze MOPR a ja nie wiedziałam, że istnieje ktoś taki jak pracownik socjalny. Na początku swojej pracy zawodowej chciałam być pielęgniarką, właśnie ta chęć zaprowadziła mnie tutaj, gdzie dziś jestem. Kiedyś pomoc społeczna podlegała pod służbę zdrowia, była w jej strukturach. Pragnąc zostać pielęgniarką trafiłam do kadr w szpitalu i to tam zaproponowano mi pracę socjalną. Zdecydowałam się i pracując, równocześnie uczyłam się w studium pracy socjalnej. Doszłam do wniosku, że to jest moje miejsce i w tej pomocy społecznej zostałam na te wiele, wiele lat.

Jak problemy, które dotykają podopiecznych MOPR-u zmieniały się od osiemdziesiątego pierwszego roku?

Bardzo się zmieniły i problemy, i osoby, które potrzebują pomocy. Kiedyś było tak, że klienci mieli mniejsze roszczenia. Dziś wielu rzeczy się domagają i chcą gotowych rozwiązań. Chodzi oczywiście o rozwiązywanie problemów finansowych. Zupełnie w innymi miejscu jest też kwestia wrażliwości społecznej. Jesteśmy bardziej świadomi i mamy mniejszą tolerancję dla przemocy choć z drugiej strony odległość emocjonalna między ludźmi bywa większa. Pojawiły się też nowe narzędzia np. procedury niebieskiej kart. Kiedyś zgłaszanie przemocy domowej było bardzo sporadyczne. Może też ludzie nie potrafili o tym powiedzieć? Przedstawić? Może te z społeczeństwo mniej reagowało? Dziś zgłoszenia przemocy wobec dzieci i osób starszych są częste. Kiedyś też były, ale nie było tej świadomości i tych procedur by zgłosić się po pomoc.

Czy miewała Pani momenty zwątpienia co do wyboru drogi zawodowej?

Na pewno na początku, gdy dopiero uświadamiałam sobie czym w ogóle jest świadczenie pomocy społecznej. Z czasem przychodziły różne zadania, obowiązki, trzeba było temu podołać i po kolei zaczynałam rozumieć co i jak robić. Na początku moja praca martwiła moich rodziców. Doradzali czy może jednak nie chcę wybrać dla siebie czegoś innego, ale ja odpowiadałam, że to właśnie praca dla mnie, że mi się podoba i chcę w niej zostać. Potem, kiedy już założyłam swoją rodzinę i moje dzieci zaczęły dorastać, także pytały czy nie chcę poszukać czegoś innego, lżejszego. Zawsze jednak odpowiadałam, że to moje miejsce.

Może się po prostu do tej pracy przyzwyczaiłam? Trudno to ocenić. Wiem na pewno, że lubię to, co robię.



Najpierw na spokojnie wysłuchaj i dopiero wtedy – jeżeli to konieczne – zaoferuj pomoc lub pokieruj, gdzie szukać wsparcia.

A co Pani w tym lubi najbardziej?

Lubię na przykład, ten moment, gdy dostaję zgłoszenie i wchodząc do kogoś do domu czuję, że ta osoba chce rozmawiać. Podejmuję mnie w mieszkaniu. Bywa bowiem różnie – nieraz osoby nie chcą rozmawiać, nie chcą otworzyć drzwi, są niezadowolone, że ktoś je nachodzi... Cieszy mnie zatem każdy kto podejmuje ze mną rozmowę, kto chce nawiązać kontakt, opowiedzieć mi o swoich problemach i o swoich potrzebach.

Ile czasu potrzeba, żeby kogoś otworzyć?

To zależy od osoby. Nieraz to jest bardzo szybko, a nieraz dopiero, dwukrotne, trzykrotne spotkanie przynosi to, że dana osoba się do nas przekona. Bo klienci nie zawsze tej pomocy chcą i nie można ich do niej zmusić. Do każdej osoby znajdujemy inną ścieżkę, żeby mogła opowiedzieć o swoich problemach.



Praca socjalna to nie praca biurowa. To nie jest tak, że zamyka się biuro, rozliczenia wyłącza komputer i wraca dopiero o ósmej następnego dnia. Jak uczyła się Pani by oddzielać życie prywatne od zawodowego?

Z biegiem czasu to oddzielanie jest łatwiejsze, ale nigdy nie da się tego tak do końca posortować: tu praca, tu dom. Są takie dni, gdy człowiek rozważa co można było zrobić lepiej: może kogoś lepiej ulokować? Albo szybciej pomóc uwolnić z toksycznego domu. I te rozmyślania zabiera się poza pracę do swojego domu. Bywa, że pomimo chęci by nie przenosić tego ciężaru na rodzinę moi bliscy zauważają, że coś jest nie tak. Pomaga mi wtedy wyjście na podwórko, do ogrodu czy patrzenie na sklepowe witryny.

A co pracownik socjalny chciałby przekazać innym na temat tego jak patrzeć na drugiego człowieka? Jak mieć pewność, że nie jesteśmy głusi na krzywdę?

Myślę, że wystarczy uważnie i cierpliwie wysłuchać to, co ma do powiedzenia druga osoba.

Czasami się denerwujemy, nie mamy czasu na wysłuchanie. Trzeba poświęcić czas i starać się wejść w problem osoby, która się nim z nami dzieli. Najpierw na spokojnie wysłuchaj i dopiero wtedy – jeżeli to konieczne – zaoferuj pomoc lub pokieruj, gdzie szukać wsparcia.



PAMIĘTAM, ŻE CHCIAŁAM KIEDYŚ BYĆ.... PROKURATOREM!

DOROTA BASZKOWSKA

Przed spotkaniem wiedziałam, że na Panią Dorotę być może trzeba będzie poczekać – niedawno uszkodziła nogę i na wywiadzie pojawi się o kulach. Ku mojemu zaskoczeniu moja rozmówczyni pojawiła się na miejscu przed czasem.





Przed spotkaniem wiedziałam, że na Panią Dorotę być może trzeba będzie poczekać – niedawno uszkodziła nogę i na wywiadzie pojawi się o kulach. Ku mojemu zaskoczeniu moja rozmówczyni pojawiła się na miejscu przed czasem. Do pokoju weszła uśmiechnięta, energiczna, głośna choć nie hałaśliwa. Niczym kula energii, choć... o kulach. Po krótkiej wymianie zdań przeprosiłam, że ściągam ją do pracy w takim momencie...

- Ale ja już bardzo chcę wrócić do pracy! Dosyć mam siedzenia w domu! Jestem takim typem człowieka, który lubi rozwiązywać problemy „tu i teraz". Oczywiście nieraz, z różnych powodów jest to niemożliwe, ale ja i tak pędzę do przodu. Czasami koleżanki z pracy mówią mi: „ Spokojnie. Krok w tył. Nie takie tempo"... Ja jednak zawsze zachęcam by sprawy – czy to dotyczy pracownika czy klienta – rozwiązywać na gorąco. Wtedy siadamy, rozmawiamy i już jest mnóstwo pomysłów na to co „się da" już jutro albo jeszcze dzisiaj.

Jak więc z taką energią radzić sobie jako pracownik socjalny? Przecież w tej pracy często wraca się wciąż do tego samego problemu. Większość efektów zależy od klientów, od tego by to oni podjęli działania by nastąpiła zmiana. Należy być dla kogoś trenerem, impulsem do zmiany, ale większości działań nie można podjąć za kogoś...

- Cóż wydaje mi się, że mam bardzo dobrą pamięć i że cały czas mam w głowie wszelakie problemy danego klienta, nawet te małego kalibru. Jeżeli nie da się tych spraw rozwiązać w danym momencie, na podstawie nawet wielomiesięcznych wizyt i rozmów, to te nierozwiązane rzeczy mam ciągle gdzieś w głowie. Nawet po miesiącu czy kilku, mogę wrócić do rozmów na dokładnie ten sam temat i tak długo będę „wiercić dziurę w brzuchu" klientowi czy współpracownikowi, tak długo będę jeździła w to samo miejsce, aż w końcu posuniemy sprawę do przodu. Tu bardzo ważna jest motywacja.

Analityczny, ale też bardzo konsekwentny charakter jest bardzo ważny dla koordynatora. Pani Dorota Baszkowska w MOPR pracuje od 19 lat a od 13 jest koordynatorką Wydziału Reintegracji Osób w Bezdomności w Zespole Działań Interwencyjnych.

W tej pracy musi tworzyć sieć połączeń pomiędzy różnymi służbami – od medycznych poprzez mundurowe, ale też konstruować plan pomocy. Koordynator musi być trochę detektywem, trochę nauczycielem, trochę psychologiem a trochę trenerem.

Robię wszystko to, co pracownik socjalny, jeśli jest taka potrzeba. Oznacza to, że mam klientów, z którymi pracuję.
A jako koordynator układam współpracę z innymi służbami: policją, ratownikami medycznymi, lekarzami, ale także z NGO. Współpracuję ze wszystkimi organizacjami, które służą pomocą osobom bezdomnym. Podbijam też decyzje- niestety jakiś czas muszę też poświęcić papierkom, czego najbardziej nie lubię. Jako koordynator dbam byśmy usiedli w zespole, zrobili burzę mózgów i stworzyli plan pomocy. Musimy przy tym analizować różne scenariusze. Jako koordynator trzeba widzieć bardzo dużo ścieżek, bardzo wiele zależności o tworzyć kolejną sieć połączeń.

- Bycie pracownikiem socjalnym zawsze było Pani marzeniem. Kim chciała Pani zostać, jak była Pani małą dziewczynką, a potem nastolatką? I co się stało, że przyszła Pani do pracy tutaj?



To są małe kroki które przynoszą dużą zmianę, motywują, pokazują, że jest sens tego wysiłku.

- Dobre pytanie... W dzieciństwie i w życiu nastoletnim w ogóle nie wiedziałam, kto to jest pracownik socjalny. Pamiętam, że chciałam kiedyś być.... Prokuratorem! Jednak ostatecznie nie poszłam na prawo tylko na socjologię. Widocznie tak miało być. Mimo tego ten wymarzony w młodości prokurator gdzieś tam siedzi w mojej głowie – jest we mnie chęć rozwiązywania zadań i pochylania się głęboko nad dokumentami, w których opisane są sytuacje rodzin, problemy osób bezdomnych. Choć nie wyglądam na osobę, która potrafi usiedzieć w miejscu, to bardzo lubię szperanie też w dokumentacjach i szukanie przyczyn, rozwiązań. Może dlatego marzył mi się zawód prokuratora? A może też dlatego, że kocham adrenalinę. I tej mam pod dostatkiem!

Tutaj ciągle coś się dzieje, ciągle trzeba rozwiązywać jakieś sytuacje i to takie są sytuacje, które mimo wielu lat mojej pracy zaskakują mnie nadal.

- Jak ze swoją energią i olbrzymią potrzebą załatwiania spraw tu i teraz radzi Pani sobie na wizytach środowiskowych? Widzi Pani klientów w różnych okolicznościach życiowych – w bałaganie, zaniedbaniu, w totalnej rezygnacji. Jest Pani niczym kula energii, więc zastanawiam się, czy nigdy nie kusiło Pani, żeby np. zacząć sprzątać, samodzielnie coś naprawiać?

- Oczywiście że czuję pokusę by działać tak by widzieć natychmiastowe efekty, ale to wciąż ma na calu zmotywowanie klienta do samodzielnej zmiany. Ostatnio wdrażałam do pracy koleżankę, którą także rozpiera energia i wpadłyśmy na pomysł by wziąć worki, ścierki i w praktyce pokazać klientowi na miejscu, jak to się sprząta. Zawsze jestem chętna do tego typu działań, bo lubię pracować niekonwencjonalnie. Bardzo często, jeśli chodzi o kwestie higieniczne mówię klientom: to od razu wsiadaj do wanny, idź pod ten prysznic, myj się, obcinaj paznokcie, umyj głowę. Wszystko delikatnie i małymi krokami, wszystko w granicach naszych prawnych kompetencji. To są małe kroki które przynoszą dużą zmianę, motywują, pokazują, że jest sens tego wysiłku. Za każdym razem jednak trzeba widzieć nie schemat, ale tego konkretnego człowieka. Czasami np. robię klientom zakupy zawsze myślę o tym jacy są a nie tylko o tym czego potrzebują. Dla klientki, która miała długie włosy oprócz szamponu kupiłam też odżywkę. Zachęcałam – umyj włosy teraz, tymi specyfikami. Pochwaliłam jakie ma piękne włosy, zapytałam, czy widzi zmianę. Lubię takie działania. Nasza pomoc w wychodzeniu z kryzysu bezdomności powinna polegać nie tylko na dawaniu schronienie, posiłku itd., tutaj chodzi także o drobne gesty, które zbliżają człowieka do człowieka. Ważne jest takie działanie, dzięki któremu klienci widzą, że nie jesteśmy nadętymi bucami, urzędasami, tylko normalnymi ludzie, którzy nie boją się zmierzyć z problemem własnoręcznie. Tak - pomagamy, wspólnie sprzątamy, organizujemy ubrania pytając przy tym jaki kto nosi rozmiar. To też skutkuje taką „ludzką” rozmową. Myślę, że dzięki temu ludzie nas poznają, powstaje zaufanie. My widzimy z nich ludzi a oni widzą ludzi w nas. Przestajemy być „sztywnymi urzędasami”.

- Czuje Pani, że często jest Pani postrzegana jak „sztywny urzędas”?

- Niestety stereotypy o pracy socjalnej są różne i często krzywdzące. Jesteśmy by pomagać, by chronić, by zaopiekować a w Polsce często słyszy się, że MOPS czy MOPR się na kogoś naśle. Straszy się nami a przecież jesteśmy od tego by przestało być strasznie a zaczęło być normalnie.



TO PO PROSTU RODZINA

ALEKSANDRA I ANDRZEJ BARAN

Nie można zaplanować emerytury od rodzicielstwa. Z taką myślą wzrasta większość ludzi i stąd też dla kogoś kto nie miał do czynienia z systemem pieczy zastępczej dziwne jest pełne zrozumienie hasła „Rodzina Zawodowa”.

Nie można zaplanować emerytury od rodzicielstwa. Z taką myślą wzrasta większość ludzi i stąd też dla kogoś kto nie miał do czynienia z systemem pieczy zastępczej dziwne jest pełne zrozumienie hasła „Rodzina Zawodowa". Większość rodzin zawodowych planuje odpoczynek, gdy ich podopieczni się usamodzielnią – osiągną pełnoletność i dojrzałość, która pozwoli im na stanięcie na własnych nogach. Takie rozwiązanie nie wchodzi jednak w grę, gdy mowa o zastępczych rodzicach dzieci z niepełnosprawnością. Szczególnie taką, gdy o usamodzielnieniu się nie może być mowy. Aleksandra i Andrzej Baranowie mają 10 dzieci: biologicznych, dorosłych, usamodzielnionych, spełniających się życiowo, sprawnych, z niepełnosprawnością, głęboko niepełnosprawnych, żyjących i pozostających w pamięci, wszystkie kochane. W tej konstelacji ciężko wyznaczyć granice: rodzina biologiczna, rodzina zastępcza, rodzina zawodowa. To po prostu rodzina mówią mi moi bohaterowie, gdy odwiedzam ich mieszkanie, w starej klimatycznej kamienicy na gdańskim Dolnym Mieście.



Przedstawmy zatem wszystkich członków tej konstelacji...

Ola: Są nasze najstarsze biologiczne dzieci: Kacper, Ewelina i Maciej. Wszyscy są już dorośli i żyją swoim życiem. Do naszej rodziny dołączyli też: Radek, Marysia, Gosia, Wika, Paula i Arek. Pierwsza była Cyziu.

Była?

A: Tak. Bo Cyziu była dziewczynką. Miała na imię Ania, ale nazywaliśmy ją Cyziem.

O: Nie pamiętam już skąd się to wzięło. Ale takie było nasze rodzinne imię dla niej i tak się do niej pieszczotliwie zwracaliśmy: „Cyziu". Ania była głęboko niepełnosprawna, często chorowała. Zmarła, kilka lat temu.

Widzieliście Państwo, że będziecie musieli mierzyć się z tą stratą, gdy decydowaliście się na opiekę nad nią?

O: Ania miała wiele zaburzeń i schorzeń, nawet lekarzom ciężko było określić a co mamy się przygotować. Ania często chorowała, miała problemy z oddychaniem. Często spędzałam z nią wiele dni w szpitalu.

Nie baliście się jak to wpłynie na rodzinę?

O: Nie żałowaliśmy, bo Cyziu była w naszej rodzinie



Skąd w ogóle decyzja by zostać rodziną zastępczą

O: Moja mama prowadziła rodzinę zastępczą więc wiedziałam na czym to polega. Widzieliśmy w tym drogę także dla nas.

A: Poza tym wspólnie pomyśleliśmy, że to dobrze wpłynie nasze biologiczne dzieci. Ola będzie mieć więcej czasu także dla tej starszej trójki. Będzie się mogła skupić głównie na domu.

Czy Cyziu była pierwszym Waszym niebiologicznym dzieckiem?

A: Nie. Wcześniej były jeszcze dzieci, które zostawały u nas przed adopcją ale rozstania z nimi, oddawanie ich nowym rodzinom było dla nas trudne. I dla nas i dla naszych starszych dzieci. Chcieliśmy by Ci którzy dołączają do rodziny już byli tutaj u siebie.

Jak zwracają się do Was dzieci niebiologiczne?

A: Nie stawiamy granic. Dzieci mówią do nas „Mamo" i „Tato"

Cyziu była pierwsza. Jej odejście przysporzyło Państwu żałoby. Mimo tego zdecydowaliście się na kolejne dzieci.

O: Nie planowaliśmy przyjmować do rodziny aż tyle. Ale rodzin zastępczych nie ma wiele. Takich które decydują się na dzieci z niepełnosprawnością jest jeszcze mniej- często po prostu nie wiadomo jakie schorzenia ma dane dziecko potrzebujące pieczy, bo często jest jeszcze w procesie diagnostycznym, o wiele diagnoz walczą potem sami zastępczy rodzice. Kiedy dzwoni telefon, że dziecko potrzebuje domu często wiemy, że jesteśmy ostatnią deską ratunku. Ale gdy już kogoś przyjmujemy to nie na chwilę.

Kiedy dzwoni telefon, że dziecko potrzebuje domu często wiemy, że jesteśmy ostatnią deską ratunku.



A emerytura? Czy jako rodzina zastępcza macie plan na zakończenie działalności?

O: Mamy plan na to co będzie, gdy część dzieci się usamodzielni a część zostanie z nami.

Na jak długo?

O: Na zawsze. Część dzieci się nie usamodzielni i po prostu będziemy mieszkać razem.

Tu nie ma różnicy pomiędzy rodzina zastępcza a rodzina.

A: Nie ma i chyba nie można nastawiać się na to, że tak się to da zaplanować. Nawet te dzieci, które się usamodzielnią będą przecież tutaj wracać jak do rodzinnego domu. Żeby porozmawiać, pobyć, mieć kontakt.

A jakie są Wasze najważniejsze momenty w rodzinnym domu?

O: Gdy już ogarnę codzienny grafik: odwiozę na zajęcia, będę towarzyszyć w rehabilitacji, wypiorę, zagonię do sprzątania przywiozę, odprawię, ogarnę wizytę u specjalistów: neurologów, dentystów, pedagogów, trenerów itp... gdy już ogarnę to wszystko i mamy czas by wspólnie obejrzeć serial.

Wspólnie z mężem?

O: I z dziećmi. Wiele seriali oglądamy już razem.

A: A ja najbardziej lubię wigilię, kiedy przy stole zbiera się nas ponad 20 osób. Bo mamy już też wnuki.

O : Lubię też rozmawiać z dziećmi. Ostatnio córka opowiedziała mi, że w szkole rozmawiali o tym jaką pracę wybrać i że pracy nie trzeba kochać: Ale ja powiedziałam że przecież pracę można kochać bo my jesteśmy pracą naszej mamy. Takie rozmowy są dla mnie bardzo ważne. Wspominała Pani, że pierwszą osobą w rodzinie była Pani mama.

Czy Państwa córka Ewelina też planowała założenie rodziny zastępczej?

O: Nie. Myślę jednak, że to doświadczenie wiele jej dało. Szczególnie opieką nad Cyziem. Dziś moja córka opiekuję się osobami starszymi. Ma w sobie olbrzymie pokłady empatii.

A co Pani lubi robić dla siebie?

O: Uwielbiam układać puzzle. Jednak od kilku lat układam tylko pudełka jedno na drugim pod biurkiem i przekładam podczas sprzątania. Na więcej nie mam czasu.





TAK NAPRAWDĘ, TRAFIŁAM TUTAJ PRZEZ PRZYPADEK.

MAGDALENA MIKOSZA

Ma spokojny głos, mówiąc nie śpieszy się. Waży słowa. Dużo uwagi poświęca rozmówcy. Jest filigranowa i nonszalancko elegancka. Sprawia wrażenie osoby godnej zaufania i życzliwej, takiej do której podchodzi się w obcym mieście pytając o pomoc.

Ma spokojny głos, mówiąc nie śpieszy się. Waży słowa. Dużo uwagi poświęca rozmówcy. Jest filigranowa i nonszalancko elegancka. Sprawia wrażenie osoby godnej zaufania i życzliwej, takiej do której podchodzi się w obcym mieście pytając o pomoc. Właściwie to wrażenie nie bardzo mija się z rzeczywistością: Magda Mikosza jest od tego by wskazywać drogę, by towarzyszyć, być opoką. Jest koordynatorką rodzinnej pieczy zastępczej w Wydziale Pieczy Zastępczej. Współpracuje z 15 rodzinami zastępczymi: poszukuje wsparcia specjalistów dla dzieci, odbiera telefony by być emocjonalnym ratunkiem, a oprócz tego wykonuje niezbędną pracę biurową dotyczącą współpracy z Sądem, ośrodkami adopcyjnymi, sporządzania dokumentacji dziecka i rodziny zastępczej. Zanim jednak zaopiekuje się rodziną, sama musi ją sparować – znaleźć dziecku odpowiednią pieczę.

- W systemie idealnym koordynator mógłby wybierać dla potrzebującego dziecka spośród wielu rodzin wyszukując najlepiej pasujący dom. Rzeczywistość jest jednak inna – często najtrudniej jest po prostu znaleźć miejsce, bo rodzin zastępczych wciąż jest zbyt mało...

-To jest chyba najtrudniejszy moment naszej pracy: sytuacja, w której wiemy, że jak najszybciej trzeba dziecko zabrać ze środowiska rodzinnego a nie mamy dla niego nowego miejsca. Czasami w rozpaczy deklarujemy kierowniczce, że my takie dziecko weźmiemy do siebie. Oczywiście wiemy, że takiej możliwości nie ma, wtedy czujemy bezradność. Nie można jednak dać się temu uczuciu ogarnąć i trzeba szukać, szukać, szukać. Naszym zadaniem jest zrobić wszystko, żeby to miejsce po prostu znaleźć.

- To teraz wyobraźmy sobie sytuację idealną. Jest miejsce u kilku rodzin i trzeba to dziecko z tymi rodzinami sparować. Jak wtedy myśli koordynator?

To nie tylko rola koordynatora. Zespół pieczowy jest w bardzo duży i podzielony na podzespoły. Wśród nich jest też zespół umieszczania. To jest pierwsza linia frontu. Są osoby, które mają wiedzę o tym, że jest postanowienie sądu, czy też o tym, że rozpoczęto interwencja w środowisku i że jest potrzeba umieszczenia tego konkretnie dziecka. Na etapie zawiązania współpracy z konkretną rodziną zastępczą mamy też wiedzę kto, jakie ma możliwości i predyspozycje. Bo tak naprawdę każda rodzina zastępcza jest ukierunkowana w jakiś sposób w swojej pracy. Ja na przykład, jeśli chodzi o rodziny zawodowe, współpracuję z rodzinnym domem dziecka, który przyjmuje dzieci do trzeciego roku życia. Mam też inną rodzinę zawodową, która przyjmuje dzieci w wieku przedszkolnym i wczesnoszkolnym. Każda z tych rodzin ma jakieś szczególne predyspozycje, ale też stawia swoje wymagania. Dzięki temu wiemy, gdzie uda nam dziecko umieścić i w ogóle do kogo się odezwać.





Lubisz te swoje rodziny zastępcze?

Lubię. Naprawdę mogę powiedzieć, że jestem w takim momencie swojej pracy i otoczona takimi ludźmi, z którymi żyję naprawdę dobrze. Są to ludzie, z którymi mam naprawdę bardzo miłą relację. Nawet teraz jedna z moich rodzin jest na urlopie, a cały czas wysyła mnie jakieś radosne zdjęcia z czasu spędzonego ze swoją rodziną. Mam też rodziny, z którymi już nie współpracuję, bo na przykład odeszły na emeryturę, a mimo to piszemy do siebie, wymieniamy serdeczne wiadomości. Utrzymywanie relacji jest bardzo ważne: niedawno, przez czysty przypadek dowiedziałam się o dziecku, o którym słyszałam parę lat temu właśnie od swojej rodziny zastępczej. Chłopiec był w pieczy, został później adoptowany. Niestety rodzice adopcyjni zmarli i chłopiec znów trafił do pieczy. Niestety okazało się, że rodzina zastępcza nie jest w stanie podołać opiece nad nim i chłopiec trafił do szpitala psychiatrycznego. Żadna z placówek nie mogła się zdecydować na jego przyjęcie. I wtedy odezwałam się do ludzi, którzy już odeszli na emeryturę jako rodzina zastępcza. Była to nasza wieloletnia rodzina niezawodowa. I zapytałam tych państwa - którzy znali tego chłopca i wiele lat temu mi o nim opowiadali - czy wiedzą, co się z nim teraz dzieje i jakiej on pomocy potrzebuje. To była bardzo długa przeprawa, ale myślę, że najpiękniejsze jest to, że ten chłopiec dzisiaj jest u tych właśnie państwa. I jest tam najszczęśliwszy.

I myślę, że to jest taki moment, w którym czuję się takim super bohaterem w pelerynie.

Bardzo ważnym elementem naszej pracy jest właśnie bycie dobrym obserwatorem.

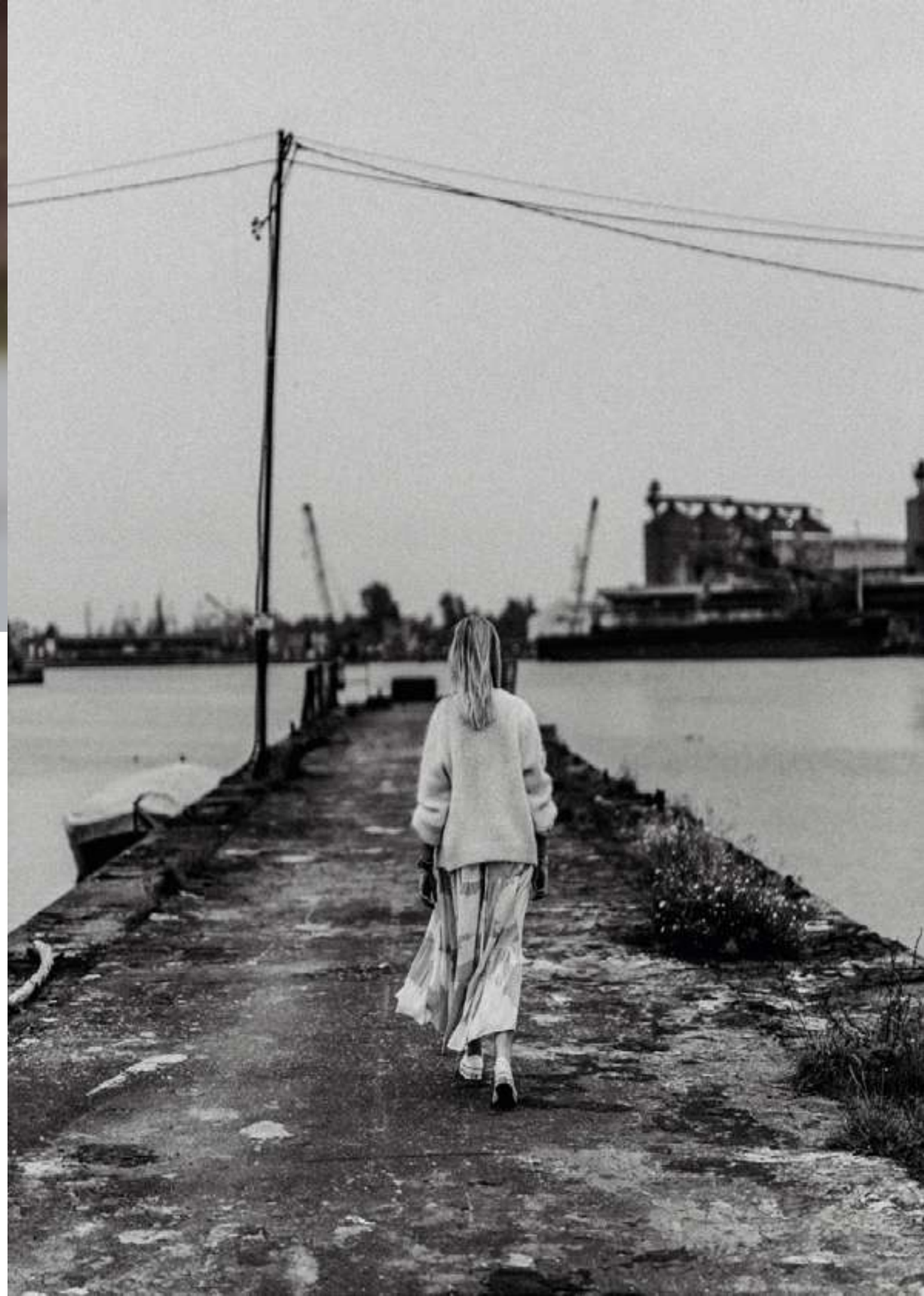


- Trzeba mieć dużą świadomość nie tylko tych, którzy teraz są w bazie, ale znać także ten kapitał, to bogactwo ludzi, którzy już nie są rodziną zastępczą, a jednak trochę jeszcze nią są, mimo tego, że na emeryturze.

To był czysty przypadek, ale ja sobie myślę, że miało na mnie trafić, bo byłam po prostu świadkiem zwykłej rozmowy To też pokazuje, że to nie jest tak jak czasami wyobrażają sobie pracowników socjalnych ludzie z zewnątrz - że nasz praca, to papiery, bazy, wypełnianie różnych formularzy... To pokazuje, że trzeba być uważnym na drugiego człowieka. Bo gdyby się przychodziło do tej pracy jak do biura, gdyby nie słuchało się rozmów, które się toczą obok, to tej sytuacji nie udałoby się rozwiązać. Bardzo ważnym elementem naszej pracy jest właśnie bycie dobrym obserwatorem.

Pracę w MOPR rozpoczęłaś 5 lat temu. O pracownikach socjalnych mówi się bardzo dużo: o tym, że to ciężka, niedoinwestowana praca. Co sprawiło, że wybrałaś ten zawód?

- Myślę, że tak naprawdę nie wiedziałam, gdzie przychodzę. Byłam tego trochę nieświadoma, a trochę ciekawa. Trafiłam tutaj szukając dla siebie miejsca po urlopie macierzyńskim, priorytetem byłoby pogodzić pracę z życiem rodzinnym – przedszkolem mojego syna i pracą mojego męża. Tak naprawdę, trafiłam tutaj troszeczkę przez przypadek. To jednak dla mnie bardzo dobre miejsce od dziecka byłam bardzo empatyczna. Miałam też bardzo dużą przygodę z wolontariatem: w gimnazjum byłam wolontariuszką w hospicjum im. ks. Eugeniusza Dudkiewicza. Teraz myślę, że gdy zaczynałam tutaj pracować nie byłam świadoma z czym będę się mierzyć. Do tego chyba jednak nie przygotowują żadne studia. Tego uczymy się na placu boju. Temat pieczy zastępczej generalnie wciąż jest mało znany społecznie – osoby, które nie mia-



ły do czynienia z rodzinami zastępczymi często mylą pieczę z adopcją.

Pamiętam sytuację z początku mojej pracy w MOPR – po kilku dniach od przyjęcia – akurat była wigilia - przyszła do mnie ówczesna Pani kierownik i zapytał się jak mi się podoba. Oczywiście powiedziałam jej, że podoba mi się bardzo, ale w głowie miałam taką jedną myśl: jak to można po prostu ogarnąć? Bo tego jest naprawdę dużo: ogrom pracy papierowej, ale to przede wszystkim praca emocjonalna. To jest praca z ludźmi. Z młodym człowiekiem, za którego czuje się cały czas odpowiedzialność, a świadomość, że ten młody człowiek trafił z trudnego środowiska i potrzebuje naszego wsparcia w sposób szczególny to olbrzymi psychologiczny ładunek.

- To co się stało, że po pięciu latach wciąż przychodzisz tutaj z uśmiechem?
Myślę, że to jest zespół pieczy. Mamy fenomenalnego kierownika, mamy wspaniałe osoby, tak naprawdę przeróżne osobowości w naszym zespole, które zawsze – szczególnie w najtrudniejszych momentach- grają do jednej bramki. Potrafimy nie tylko świętować swoje sukcesy, ale też, kiedy pojawiają się problemy, to zawsze możemy na siebie liczyć. Spotkałam tu wielu wspaniałych ludzi, którzy w ogóle pokazali mi inne spojrzenie na świat, na problemy, z jakimi się mierzymy, ale też z tym, jak możemy sobie z nimi radzić.

- Czujesz, że zmieniasz świat?

Na pewno czuję, że zmieniam świat tych młodych ludzi. Czuję, że nawet jeżeli mamy uratować jedno dziecko i stanąć na rzęsach, to jest to tego warte, bo szczęście, jak się to osiągnie, jest nie do opisania. Trzeba to poczuć, żeby to zrozumieć.

- A jak dbasz o siebie? Gdy przychodzisz z pracy do domu, to czy potrzebujesz swojego prywatnego „rytuału przejścia” z życia zawodowego do życia domowego?

-Myślę, że mam swój rytuał choć być może wcześniej nieuświadomiony. Zawsze po pracy odbieram syna z przedszkola. Ten nasz wspólny czas w samochodzie to taki moment, gdy jestem już tylko dla niego. Oczywiście, że zdarza się tak, że czasami trzeba wykonać jakieś rozmowy po godzinach pracy, ale myślę, że zazwyczaj wracam do domu i staram się skupić na swoim dziecku, który też jest takim promykiem i zawsze mnie rozweseli. I pokaże mi, że w życiu tak naprawdę najważniejsza jest miłość.

- A jaki był Twój rodzinny dom?

- Ciepły, dobry, pełen wsparcia. Jestem jedynaczką. Życie w takim domu z jednej strony sprawia, że myślisz, że tak jest wszędzie i trudno Ci uwierzyć, że na świecie są miejsca w których są inne domy z wielkimi problemami. Z drugiej strony taki dom to olbrzymia siła. Do pracy socjalnej nie można brać swoich „nieprzerobionych” traum, bo do Ciebie wrócą i nie pozwolą Ci wykonywać pracy. Dzięki mojemu domowi rodzinnemu przyszłam tutaj silna, z mocnym pozytywnym wzorcem.



NIE WYOBRAŻAŁAM SOBIE NIGDY PRACY INACZEJ NIŻ Z DRUGIM CZŁOWIEKIEM.

IWONA KRASOWSKA

Iwona Krasowska system opieki nad osobami z niepełnosprawnością intelektualną obserwuje i tworzy od niemal 3 dekad. Wie, jak się zmieniał, wie, ile pracy trzeba było włożyć w zmianę i ile wciąż jest do zrobienia.



Iwona Krasowska system opieki nad osobami z niepełnosprawnością intelektualną obserwuje i tworzy od niemal 3 dekad. Wie, jak się zmieniał, wie, ile pracy trzeba było włożyć w zmianę i ile wciąż jest do zrobienia. Jest psycholożką i socjoterapeutką, przez lata była też „kierowniczką do zadań specjalnych", czyli do rozruchu nowych placówek pomocowych. Od 1998 roku związana jest z warsztatem terapii zajęciowej, a później ze Stowarzyszeniem Przedsiębiorczości Rehabilitacji, którego jest prezeską

Dlaczego wybrała Pani pracę w ogóle w opiece? 1998 rok to był zupełnie inny czas funkcjonowania w tym systemie.

Jadąc tutaj na wywiad, zastanawiałam się, kiedy to się zaczęło, i pomyślałam sobie, że właściwie to chyba od zawsze drugi człowiek był mi bliski. Począwszy od szkoły podstawowej i odwiedzania seniorów z książkami w ramach koła PCK, potem działalności w grupie społecznych instruktorów młodzieżowych w szkole średniej. Chyba nie wyobrażałam sobie nigdy pracy inaczej niż z drugim człowiekiem. Również różne zajęcia artystyczne, rękodzielnicze były mi bliskie. To chyba właśnie stąd pomysł najpierw na terapię zajęciową, od której zaczęłam pracę. Później chciałam oczywiście człowieka poznawać coraz bardziej i dalej rozwijałam się również ja.

W pierwszym kontakcie z osobami z niepełnosprawnością intelektualną wielu ludzi czuje się niepewnie, nie wie, jak rozmawiać, jak się zachować. Często do osoby niepełnosprawnej intelektualnie zwraca się jak do dziecka. Czy Pani pamięta ten swój pierwszy kontakt?

Tak, to był okres szkoły średniej, właśnie okres mojej działalności w grupie społecznych instruktorów młodzieżowych PCK. Robiliśmy wtedy różne rzeczy: jeździliśmy do domów samopomocy, robiliśmy jakieś zajęcia z dziećmi z domów dziecka, organizowaliśmy wyjazdy z naszymi rówieśnikami z niepełnosprawnością ruchową.

Rozmowa z drugim człowiekiem, niezależnie od tego, jaki był to człowiek, zawsze była dla mnie naturalna.

Jak wygląda Pani edukacja pod kątem zawodowego „pomagacza"?

Zaczęłam od studium terapii zajęciowej i wtedy mogłam już zacząć pracę. Potem doszkalałam się, doszkalałam, doszkalałam... Teraz jestem tu, gdzie jestem, mam dyplom psychologii SWPS.

Jak się zmienił system opieki nad osobami z niepełnosprawnością i zmieniła się Pani praca przez te niemal 30 lat?

Zmieniło się bardzo, bo myślę, że zmieniła się sama grupa naszych odbiorców. To cały czas się zmienia, zmieniają się potrzeby. My też dostosowujemy swoją działalność do potrzeb społecznych. Te niemal trzy dekady temu z innego rodzaju niepełnosprawnościami trafiali do nas klienci. 30 lat temu to było tak, że potrzebne było uwierzenie w możliwości tej osoby, pokazanie drogi. Często też trafiały do nas osoby, które poza niepełnosprawnością borykały się też z zaniedbaniem w środowisku. Dzisiaj to już się zdarza znacznie rzadziej, system wsparcia jest znacznie bardziej rozwinięty, wyspecjalizowany, dostosowany do konkretnej osoby czy grupy osób. Stąd wiele osób, pomimo niepełnosprawności, może obecnie podjąć pracę, różne rodzaje aktywności i nie trafia do nas. Dziś w warsztatach terapii zajęciowej udział biorą osoby niżej funkcjonujące.

Zmieniła się też Pani praca bezpośrednio, bo od kilkunastu lat zajmuje się Pani już nie tylko osobami z niepełnosprawnością intelektualną, lecz także zajmuje seniorami, których dotykają choroby neurodegeneracyjne..

Z grupą seniorów nasze stowarzyszenie rozpoczęło pracę w okolicach 2011 roku i to oczywiście wynikło z potrzeb. Zostaliśmy poproszeni o zorganizowanie jakichś zajęć w jednej z dzielnic Gdańska, na Zielonym Trójmieście. Początkowo spotykaliśmy się z tą grupą w szkole. To były poradnicze zajęcia. Potem zbadano potrzeby i okazało się, że rzeczywiście konieczne jest stałe wsparcie tych seniorów. Udało się otworzyć najpierw zajęcia systematyczne, potem klub samopomocy dla osób w podeszłym wieku. Ten klub działa oczywiście do dzisiaj. Później zostaliśmy poproszeni o stworzenie wizji prowadzenia środowiskowego domu dla osób z demencją, w tym z chorobą Alzheimera. Przystąpiliśmy do konkursu i od pięciu lat tworzymy taki środowiskowy dom

Jakie były Pani początki w stowarzyszeniu?

Rozpoczęłam pracę jako instruktor terapii zajęciowej, w warsztacie terapii zajęciowej. Tam później awansowałam na kierownika. Jakiś czas miałam przerwę w pracy z stowarzyszeniem, dlatego że zmieniłam miejsce zamieszkania, później.



Praca w organizacji pozarządowej to trochę takie działanie, w którym musimy odnaleźć się na każdym stanowisku.

awansowałam na kierownika. Jakiś czas miałam przerwę w pracy z stowarzyszeniem, dlatego że zmieniłam miejsce zamieszkania, później miałam małe dzieci, chciałam pracować bliżej... Później, kiedy wróciłam, to od razu dostałam propozycję pracy w zarządzie. To było wyzwanie, bo pojawiły się nowe możliwości otwierania innych miejsc, innych placówek, wspierania kolejnych grup. No i tak powoli jakoś to się rozwijało. Dzisiaj pełnię rolę prezesa zarządu Stowarzyszenia Przedsiębiorczości i Rehabilitacji. Obecnie mam szczęście nie prowadzić żadnej z placówek. To mnie bardzo cieszy, bo w międzyczasie rozwoju stowarzyszenia ja oczywiście też się ro wijałam.W międzyczasie zostałam psychoterapeutą, więc był taki moment w moim życiu, kiedy bardzo czekałam na tego pacjenta w gabinecie, a trochę dosyć już miałam jakichś spraw organizacyjnych, kierowniczych. To był moment, kiedy postanowiłam, że już nie chcę być kierownikiem, że chcę dalej wspierać stowarzyszenie, naszych odopiecznych, czy ich rodziny i również pracowników, ale nie chcę już martwić się takimi bieżącymi rzeczami, jak to, czy gdzieś przecieka uszczelka czy nie. To był ten moment, kiedy przeorganizowałam swoją pracę. Dzisiaj jestem częścią stowarzyszenia, a część pracy wykonuję w gabinetach.

Z kim lubi Pani pracować najbardziej? Czy ma Pani swoją ulubioną grupę pacjentów?

Nie umiem wybrać, chyba nie potrafię też podzielić ich na konkretne grupy. Każdy człowiek jest inny. Bardzo pasjonuje mnie praca gabinetowa, kiedy mam kontakt z jedną osobą w pracy terapeutycznej. Czasami też jest to praca z parą czy z rodzinami. Z drugiej strony ogromną satysfakcją jest też dla mnie praca z zespołem, na przykład wtedy, kiedy szukamy nowych rozwiązań, kiedy wytyczamy nowe ścieżki rozwoju stowarzyszenia czy jakiegoś przedsięwzięcia. Myślę, że chyba do pełni szczęścia potrzebne mi są te dwie drogi, żeby się wypełniały.





Dzisiaj pracuje Pani z rodzinami osób dotkniętych Alzheimerem lub innym rodzajem demencji. To jest bardzo szczególny rodzaj wyzwania, bo to są osoby, które miały swoje życie i trochę po kawałku cały ten swój życiorys tracą.

Tak, wspieram ich rodzinę czy pracowników, którzy się nimi opiekują, bo to też wcale nie jest łatwe. W pracy z drugim człowiekiem często oczekujemy jakiegoś progresu, oczekujemy sukcesów, oczekujemy postępów, a w pracy z osobami z demencją czy z Alzheimerem widzimy, jak ten człowiek traci – i to jest trudne. Jestem świadkiem, jak rodziny zastanawiają się, czego właściwie by życzyła sobie ich mama czy tata kiedyś, a jak funkcjonuje dzisiaj. Stają przed takimi wyborami, patrząc na przykład, jak ich rodzic je i się zachowuje – czy ten rodzic, przed chorobą przewidując swój stan, chciałby brać udział na przykład w spotkaniach rodzinnych.

Jak wygląda wtedy Pani rozmowa z tą rodziną?

Próbujemy zachować tego rodzica, który jest ich rodzicem. Próbujemy w pamięci zachować to, co jest ważne, co mamy od rodzica – dostaliśmy. Z drugiej strony pomagam zrozumieć to, że dzisiaj to nie jest tylko rodzic, ale też choroba. Choroba, na którą ani ten rodzic, ani my nie mamy wpływu.

Wróćmy do Pani pracy jako kierownik placówek opieki – jakie zadania przed Panią stawały?

Wszystkie! Praca w organizacji pozarządowej to trochę takie działanie, w którym musimy odnaleźć się na każdym stanowisku. Pamiętam, jak malowałam łazienki, jak kładłam wykładzinę, bo taka była potrzeba, bo środki często są ograniczone. I to, co potrafimy zrobić sami, robimy sami – po to, żeby starczyło na puszkę farby więcej. Takie wyzwania też są ważne, bo one z kolei są trochę warsztatami budowania zespołu. Kiedy jest jakieś wyzwanie, na przykład organizujemy jakieś wydarzenie, czy robimy remont, to po prostu warsztat budowania zespołu, współpracy, poznawania siebie na zajęcie zespołu.

Wspominała Pani, że wielokrotnie zmieniała te placówki, ale zastanawiam się, czy ma Pani takich podopiecznych, których zna Pani już od lat?

Tak, oczywiście. To są osoby, które przyj-

mowałam do placówki, często gdy były bardzo młode. Pamiętam ich życie, a one pamiętają moje. Witamy się, opowiadamy, oni pytają, co u mnie, ja opowiadam, pytam, co u nich. Są osoby, które na przykład znam od czasów, kiedy ja rodziłam dzieci – i pamiętają mnie z wielkim brzuchem. Pytają, ile mój syn ma lat i wszyscy nie dowierzamy, że aż tyle. A z drugiej strony osoby te wspominają ze mną swoich bliskich, na przykład ich matki.

Czy czuje Pani w swojej pracy, że zmienia Pani świat?

Może nie zmieniam, ale towarzyszę zmianie. Bo to nie ja zmieniam, to moi klienci zmieniają. Zmiana nie jest możliwa, jeżeli to sam klient nie jest na nią gotowy. Samo towarzyszenie jest szczególnie przyjemne, bo to trochę tak jak kibicowanie, a ja mocno trzymam kciuki.

A czy my jako społeczeństwo jesteśmy dobrymi kibicami i czy wierzymy w drugiego człowieka w różnych obszarach?

Różnie bywa i tutaj pewnie chciałabym w tym momencie nie pamiętać o przedwczorajszych czarnych historiach, które złożyły się w gabinecie. Czasami rzeczywiście jest trochę za dużo tego czarnowidzenia. Natomiast my sami wyznaczamy sobie drogę, więc jeżeli klient uwierzy i zobaczy ten pierwszy krok, to za nim pójdzie.

Czy kiedykolwiek zastanawiała się Pani, co by było, gdyby Pani wybrała inną ścieżkę?

Chyba nie. Dobrze czuję się na obecnej ścieżce. Jedyne, co może kiedyś jeszcze bym chciała, to trochę tworzyć więcej rękodzieła. Zawsze sprawiało mi przyjemność, a obecnie trochę nie mam czasu, więc tworzę tylko okazjonalnie, na przykład dla jakiejś szczególnej osoby. To mnie uspokaja – być może jeszcze kiedyś będę mieć na to więcej czasu.

A jak jeszcze Pani odpoczywa? Oczywiście, gdy jest możliwość. Spacery są dla mnie bardzo ważnym punktem. Po pracy, dzięki nim, przewietrzam głowę, zanim zajmę się innymi rzeczami. Ważne są też wyjazdy, rodzina, kontakt z przyrodą – taki mały czas kontrolowanej ucieczki.



NIE WYOBRAŻAŁAM SOBIE NIGDY PRACY INACZEJ NIŻ Z DRUGIM CZŁOWIEKIEM.

MARTA FLIS-ŚWIECZKOWSKA

Mówiąc, nie podnosi głosu, ale już w krótkiej rozmowie słychać, że stanowczość i upór może też mieć brzmienie delikatne i uprzejme. To osoba, której łatwo powierzyć swoją historię.



Mówiąc, nie podnosi głosu, ale już w krótkiej rozmowie słychać, że stanowczość i upór może też mieć brzmienie delikatne i uprzejme. To osoba, której łatwo powierzyć swoją historię. Dziś to ona jest bohaterką opowieści – dzieli się nią, jakby robiła coś najzwyklejszego pod słońcem, a przecież mierzy się z historiami najtrudniejszymi, od których wielu ludzi woli odwrócić wzrok i słuch. Marta Flis-Świeczkowska jest doktorem nauk prawnych, nauczycielką akademicką, adiunktką w Katedrze Prawa Karnego Procesowego i Kryminalistyki Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego, radczynią prawną oraz koordynatorką zespołu interdyscyplinarnego Centrum Pomocy Dzieciom Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę w Gdańsku.

Pracuje Pani na Uniwersytecie jako wykładowca prawa. Widzi Pani młodych ludzi na początku ścieżki prawniczej, którzy chcą nauczyć się tego, jak funkcjonuje prawo – uczą się tego z książek i opowieści. Jak pamięta Pani z tego okresu siebie – bo z jednej strony była teoria, a potem nagle praca w Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę, która bardzo mocno zderzyła tę teorię z praktyką – i to zderzyła ją w miejscu szczególnie wrażliwym. Tam dzieci mogą być ofiarami, ale też czasami sprawcami przemocy.

O tak! Bardzo dziękuję w ogóle za to podsumowanie, chyba tego, czym się zajmuję, bo prawdą jest, że od 14 lat pracuję już na Uniwersytecie Gdańskim i myślę, że na styl tej mojej pracy na uniwersytecie bardzo mocno wpłynęła właśnie praca w fundacji. Bo nie dość, że z jednej strony skupiłam się na ochronie dzieci pokrzywdzonych przestępstwem, to z drugiej strony staram się moich studentów uwrażliwiać na temat ochrony dzieci w ogóle. Tłumaczę moim studentom nie tylko zawiłości prawne, ale opowiadam o specyfice funkcjonowania osób pokrzywdzonych przestępstwem po tym, jak już do tego przestępstwa doszło. Uczę adeptów prawa tego, jak istotne jest w wymiarze sprawiedliwości to, by tworzyć dla dzieci system przyjazny, w którym w bezpieczny sposób mogły przełamywać milczenie. W związku z tym zauważam duży wpływ mojej pracy w fundacji na to, jakim jestem nauczycielem i co studenci wynoszą z zajęć ze mną.

Tworzenie bezpiecznej przestrzeni dla dzieci w wymiarze sprawiedliwości to rzecz niełatwa. Żyjemy w rzeczywistości, w której – choć brutalnie to nie zabrzmi – od najmłodszych lat straszy się dzieci sądem. Teraz w szkołach są programy, w ramach których dzieci mogą zobaczyć, jak wygląda sala sądowa, czy też uczestniczą w pokazowych procesach postaci z bajek. Z drugiej strony jednak rodzice, czy generalnie dorośli, wciąż potrafią niegrzecznemu dziecku powiedzieć: „jeżeli będziesz tak robić, to przyjedzie policja i cię zabierze", albo: „pan sędzia daje ludziom karę w więzieniu". Dla dzieci sąd i sytuacja sądowa mogą po takich opowieściach stać się miejscem strasznym, niewzbudzającym zaufania.

I tutaj właśnie jest duży problem. Dlaczego? Dlatego, że dzieci bardzo często doświadczają krzywdzenia, czy to ze strony osób dorosłych, czy to ze strony innych dzieci. I będąc straszone – czy policjantem, czy sądem, czy nauczycielem, czy dyrektorem w szkole – mają potem trudność z tym, żeby pójść do tych osób i powiedzieć, że dzieje im się krzywda. W związku z czym ta narracja, która od najmłodszych lat jest prezentowana dzieciom, powinna być wręcz odwrotna. One powinny być zaprzyjaźniane z systemem sprawiedliwości właśnie po to, żeby – po pierwsze – się nie bać zawiadomić, gdy dzieje się coś złego, a po drugie – żeby nie bać się uczestniczyć w tych procedurach, w które będą uwikłane. Żeby wiedziały, że w sądzie nic im już nie grozi. Myślę, że powinna być większa edukacja już na etapie przedszkolnym.

Czy zajmuje się Pani w Centrum Pomocy Dzieciom?

W Centrum nie spotykam się z dziećmi, ale z ich opiekunami prawnymi – w praktyce najczęściej są to rodzice lub rodzic. To za ich pośrednictwem i za pośrednic-



Tworzenie bezpiecznej przestrzeni dla dzieci w wymiarze sprawiedliwości to rzecz niełatwa.



twem wymiaru sprawiedliwości próbuję stworzyć w wymiarze sprawiedliwości przyjazną przestrzeń dla przyjazdu dziecka. Zaczynam przede wszystkim od tego, żeby rozeznać sytuację ich reprezentacji prawnych. Co mam na myśli? Mam na myśli to, by ustalić, przez kogo zostały skrzywdzone: czy jest to osoba, która jest dla nich osobą najbliższą, czy jest to osoba, która jest po prostu osobą zewnętrzną. W kontekście tego weryfikuję, kto może być reprezentantem prawnym, bo ważnym elementem środowiska przyjaznego w wymiarze sprawiedliwości jest to, żeby dzieci były – po pierwsze – wysłuchane, czyli żeby miały prawo głosu, ale też – z drugiej strony – żeby były informowane o tym w sposób, który będzie dla nich jasny.

Bo dla dzieci bardzo ważne jest to, żeby wiedzieć, co się będzie działo, ale też żeby mieć wiedzę, jak długo będą musiały czekać. Nigdy nie możemy obiecywać, że się uda wszystko wyjaśnić szybko, że potrwa to miesiąc, dwa czy trzy, ale jakąś perspektywę czasową trzeba przed nimi roztoczyć – co najpierw, co potem.

To jest jedna rzecz, o którą dbam w pierwszej kolejności. Następnie dbam o to, żeby odbyło się przyjazne przesłuchanie – czy dziecko przesłuchiwane będzie np. na policji.

Staram się dopilnować tego za pośrednictwem pism i telefonów, żeby to przesłuchanie odbyło się w tym miejscu przyjaznym, w warunkach, gdzie to działa odpowiednio – np. w tzw. niebieskim pokoju. Te sprawy, które trafiają do nas do fundacji, najczęściej są sprawami dotyczącymi przemocy, najczęściej wykorzystania seksualnego. To zawsze są przesłuchania, które muszą mieć miejsce w przyjaznych warunkach. Zdarza się jednak czasami, że organy o tym zapominają. Moim obowiązkiem jest czuwanie nad tym, żeby nikt jednak o tym nie zapomniał. Trzeba też dziecko do przesłuchania przygotować. Od razu wyjaśnię, że to nie jest czynność, która polega na tym, że jakaś osoba, np. psycholog, mówi dziecku, co ma na przesłuchaniu powiedzieć. Jest to forma edukacji nt. jak takie przesłuchanie będzie przebiegać.

Rozumiem, że chodzi o to, żeby nie okazało się, że dziecko, które np. czeka rok na przesłuchanie, nie zasłoniło się nagle milczeniem lub niepamięcią – nie dlatego, że nie pamięta, ale dlatego, że chce zakończyć przesłuchanie zestresowane sytuacją?

Dokładnie tak. Ale też – co jest ważne w trakcie tego przygotowania do przesłuchania – chodzi o to, że psycholog sprawdza, czy dziecko w ogóle umie prowadzić narrację, czyli czy ono umie opowiadać. Wtedy ćwiczą razem tę umiejętność. Na przesłuchaniu chodzi o to, żeby dziecko powiedziało to, co wie, zgodnie z prawdą, żeby odniosło się do faktu. Jeżeli ono nie będzie wiedziało, że w tym miejscu można powiedzieć, że czegoś nie wie, nie pamięta lub że nie zrozumiało pytania, tylko poczuje, że jest to rodzaj testu, to z możliwości opowiedzenia swojej historii nie skorzysta. Więc też się z nim to sprawdza i uczy się tego, że na przesłuchaniu to jest jak najbardziej okej. Trzeba też dziecku pokazać, jak wygląda pokój przesłuchań – mamy taki w fundacji. Należy zapoznać je z przestrzenią, wyjaśnić, że są tam kamery i mikrofony, wytłumaczyć, po co one są, co się potem stanie z nagraniem. Dzieci bardzo często pytają o to, czy to nagranie, które będzie tworzone w trakcie procesu, nie trafi później do internetu – czy nie będzie go na TikToku, czy ono będzie na YouTubie. Te obawy trzeba rozwiać na długo przed przesłuchaniem.

A jak wygląda Pani współpraca z Miejskim Ośrodkiem Pomocy Rodzinie?

W Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę wyznajemy zasadę, że najlepszą, najbardziej adekwatną formą pomocy dzieciom jest praca interdyscyplinarna. Z jednej strony więc pracujemy interdyscyplinarnie w naszym ośrodku – mamy zespół różnych specjalistów, spotykamy się co tydzień i omawiamy nasze przypadki – ale też bardzo często spotykamy się interdyscyplinarnie z innymi instytucjami.

To otrzymanie perspektywy zdarzenia, ale też różnych informacji o dziecku i jego sytuacji z innych podmiotów, które widzą dziecko w rodzinie, w innym kontekście niż my, jest jakby bezcenne.

Moja współpraca z MOPR-em opiera się głównie na tym poziomie.

Kiedy wybierała Pani prawo, to czy od razu wiedziała Pani, w którą stronę pójdzie z karierą prawniczą? Można wybrać wiele ścieżek – intratniejszych i mniej obciążających psychicznie...

Gdy myślałam w ogóle o studiach prawniczych, to planowałam, że będę pracować w jakiejś wielkiej kancelarii, zarabiać bardzo, bardzo duże pieniądze i jeździć po świecie. Natomiast gdy już poszłam na studia, to zafascynowałam się prawem karnym. Miałam wspaniałego wykładowcę na drugim roku – profesora Warlewskiego, który zajmował się głównie zagadnieniami wykorzystania seksualnego i przepisami penalizującymi te czyny. W tamtym momencie wykorzystanie seksualne było tematem, który mnie przerastał. Nie byłam wtedy odpowiednio mentalnie przygotowana do zajmowania się kontratypami. Natomiast gdy potem miałam zajęcia z procesu karnego i w związku z tym praktyki w prokuraturach, to moje zainteresowania zostały bardziej w tę stronę ukierunkowane. Później, gdy byłam w trakcie aplikacji, to zostałam trochę wolontariuszem, a trochę współpracownikiem Centrum Interwencji Kryzysowej – i wtedy poczułam potrzebę pomagania osobom pokrzywdzonym. Równolegle pracowałam na aplikacji, pracowałam w kancelarii. Tam głównie reprezentowałam oskarżonych – też o pedofilię i o stosowanie innych form przemocy. Czułam się niesamowicie niekomfortowo w sytuacji obrońcy tych osób. Kończąc aplikację, postanowiłam, że ja będę zajmować się pokrzywdzonymi, ofiarami przestępstw.

Czy pracując z tak ciężkimi tematami możliwy jest work-life balance?

Odskocznią jest dla mnie rodzina. Nie da się czasami, będąc matką, nie myśleć w pracy o tym, co by było, gdyby ktoś skrzywdził moje dziecko. Ale w odwrotną stronę – będąc z rodziną – staram się nie przynosić pracy do domu. Uwielbiam jeździć z córką na rowerze, spędzać z nią czas. To jest mój azyl.



CHODZI O JEDNO – O BYCIE TAM, GDZIE POTRZEBNA JEST POMOC.

MICHAŁ GONDEK

Wygląda jak muzyk alternatywny, jest psychologiem, jeździ karetką, do tego studiuje ratownictwo. Wydaje się, że Michał Gondek jest w wielu miejscach jednocześnie.

Wygląda jak muzyk alternatywny, jest psychologiem, jeździ karetką, do tego studiuje ratownictwo. Wydaje się, że Michał Gondek jest w wielu miejscach jednocześnie. Jest wiceprezesem Stowarzyszenia na Rzecz Ratownictwa ADIUTARE w Gdańsku oraz koordynatorem projektu Daj Sygnał, w ramach którego udziela pomocy przedszpitalnej osobom w kryzysie bezdomności. W każdej z tych dziedzin chodzi o jedno – o bycie tam, gdzie potrzebna jest pomoc.

Jak zostaje się człowiekiem z misją? Pańska droga wydaje się bardzo kręta – jest w niej i ratownictwo, i psychologia, i społecznictwo. Sporo w tej misji specjalizacji...

Dokładnie tak. Droga nie była pewna. Za mną prawie 10 lat edukacji okołomedycznej, czy po prostu związanej z pomocą drugiemu człowiekowi. Tak naprawdę związałem się z ratownictwem, mając już 17 lat, czyli od bardzo młodego wieku.

Chęć pomagania poczułem jeszcze szybciej – między drugą a trzecią klasą gimnazjum. Chciałem związać tą pasją swoją przyszłość. Wydaje mi się, że jest to niesamowicie potrzebne, ale też po prostu satysfakcjonujące.

Zatem jest Pan ze Stowarzyszeniem na Rzecz Ratownictwa ADIUTARE już od 17 roku życia?

Tak. To właśnie ludzie z ADIUTARE pokierowali mnie dalej. Na początku, zaraz po liceum, wybrałem ścieżkę pielęgniarza i pojechałem na studia w Słupsku. Jednak duża odległość od Gdańska, a w związku z tym od rodziny, związku i innych relacji, sprawiła, że bardzo szybko podjąłem decyzję, że po roku muszę przenieść się z powrotem do Trójmiasta. Zaplanowałem, że albo uda mi się kontynuować edukację na Gdańskim Uniwersytecie Medycznym na drugim roku pielęgniarstwa, albo wybiorę jakąś inną ścieżkę właśnie w Gdańsku. Pomimo bardzo dobrych wyników na studiach w Słupsku, nie udało mi się przenieść na II rok na GUMed, więc zdałem na psychologię i ten kierunek ukończyłem.

Potem postanowił Pan mimo wszystko wrócić do korzeni i do ratownictwa.

Zdecydowanie tak. Moje ścieżki są naprawdę niesamowite i ja w pewnym momencie starałem się iść w zgodzie z tym, gdzie mnie wiedzie nurt życia. Bo mimo że nie wszystko poszło zgodnie z planem, to już od 10 lat jestem z ADIUTARE i przez cały czas moja droga jest medyczna, chociaż skręcała w różne ścieżki pomagania drugiej osobie. Wszystkie znaki cały czas wskazywały mi, że chcę się związać z medycyną – jest dla mnie, jest wokół mnie, na wyciągnięcie ręki. Naturalną koleją rzeczy było poddać się tej fali i z nią popłynąć. Na początku było ADIUTARE i do tych korzeni wróciłem. Mimo posiadanego dyplomu z psychologii, postanowiłem wrócić na studia jeszcze raz i już na stałe, definitywnie związać się z ratownictwem.





A dlaczego nie pielęgniarstwo? W końcu od tego Pan zaczynał.

To bardzo ciekawy, ale też bardzo kontrowersyjny temat, który dzisiaj w środowisku wzbudza dyskusję i nie ma dnia, nie ma spotkania, gdzie ta kwestia się nie pojawia.

Dlaczego?

Pielęgniarstwo jest świetne z tego względu na to, że pozwala na olbrzymi rozwój. W pielęgniarstwie z biegiem czasu ma się wiele ścieżek edukacji, możliwości kształcenia się, kwalifikowania w danych dziedzinach. Jednak ja chcę podążać w kierunku medycyny przedszpitalnej, ratownictwa jako takiego, a tutaj w pracy z pacjentem wymagającym natychmiastowej pomocy, większe możliwości i większe uprawnienia daje ratownictwo medyczne.

Jest Pan koordynatorem akcji Daj Sygnał. Jakie były początki tego projektu?

Projekt Daj Sygnał zaczął się od rozmów. Od sygnałów, jakie są potrzeby pracowników Wydziału Reintegracji Osób Bezdomności w Gdańsku. Wydział działa już bardzo długo i bardzo prężnie, jednak na co dzień w swojej praktyce zespół mierzył się z problemami, na które nie znał odpowiedzi. Była, a właściwie nadal jest w Polsce, pewna luka, która sprawia dodatkowe trudności w pracy socjalnej z osobami w kryzysie bezdomności. Osoba, która jest nieubezpieczona, która własnymi siłami nie dotrze do lekarza, nie dotrze do placówki, która z powodu skrajnego zaniedbania i braku środków nie dojedzie do szpitala, często nie skorzysta z pomocy na czas lub skorzysta z niej w ostatnim momencie. Nie oszukujmy się – osoby skrajnie zaniedbanej nie jesteśmy w stanie wsadzić do taksówki, nie jesteśmy w stanie wsadzić do autobusu bądź do prywatnego samochodu i gdzieś przewieźć. Bo jest to po prostu dla nas i dla innych osób bardzo duże zagrożenie. Pojawiały się więc pytania od pracowników Wydziału Reintegracji Osób Bezdomności i odpowiedzią na te pytania został projekt Daj Sygnał.

Jaka była Pana rola od początku?

Pacjent w kryzysie bezdomności jest szczególnym wyzwaniem także dlatego, że zazwyczaj nie wierzy w system, nie ufa mu.

Od początku moją rolą było wsparcie w stworzeniu tego projektu, stworzenie zarysu oraz koordynacja całego zespołu i projektu. Ponadto odpowiadam za bezpośredni kontakt z pracownikami socjalnymi. Działam też w terenie, bo pomimo pewnych czynności administracyjno-logistycznych, staram się być jak najczęściej na wyjazdach karetki i służyć pomocą.

Powiedział Pan, że zawsze chciał pomagać, ale pomagać można w różnych miejscach i różnym osobom. Można pomagać w hospicjach, można pomagać w szpitalach, na oddziałach dziecięcych albo na oddziałach onkologicznych. Pan wybrał pracę z osobami w kryzysie bezdomności.

Grupa osób w kryzysie bezdomności jest grupą szczególną – niestety są to osoby na marginesie, skrajnie wykluczone z wielu bardzo różnych powodów. Jest to wykluczenie społeczne, ale przede wszystkim także wykluczenie systemowe. Pacjent w kryzysie bezdomności jest szczególnym wyzwaniem także dlatego, że zazwyczaj nie wierzy w system, nie ufa mu. I system opieki zdrowotnej nie jest wyjątkiem.

W przypadku osoby żyjącej na ulicy zespół ratowniczy również musi wykazać się ograniczonym zaufaniem. Poziom konfabulacji, ukrywania niektórych faktów w przypadku osób w kryzysie bezdomności bywa szczególnie wysoki. Studia psychologiczne pomagają?

Tak, przydają się. Jestem zwolennikiem holistycznego postrzegania naszych pacjentów. Moje łączenie psychologii z medycyną przedszpitalną czy z ratownictwem tak naprawdę zaczyna się już na etapie spotkania zespołu, który wyjeżdża do pracy z osobami w kryzysie bezdomności. Moja praca polega między innymi na odpowiednim opisaniu tego, co może nas spotkać, na pewnym mentalnym przygotowaniu naszego zespołu. Musimy jako zespół mieć podstawowe informacje na temat tego, z czego pewne zaburzenia czy też zaniedbania wynikają.

Pacjent być może ich nam nie zdradzi, a my mamy zupełnie inne niż on życiowe doświadczenia. Życie na ulicy to często problem złożony, wynikający czasami już ze środowiska domowego czy rodzinnego. Kryzys bezdomności to nie jest coś, co zaczęło się przed miesiącem czy rokiem. To suma wielu kłopotów, z którymi niektórzy mierzą się od początku swoich dni. Zespół musi mieć tę świadomość. Mamy pacjentów zaburzonych, mamy pacjentów, którzy nie są spójni w wywiadzie, którzy konfabulują, opowiadają historie, które na końcu tej wypowiedzi nie łączą się ze sobą. I tutaj pojawia się pytanie – czy podążamy tą ścieżką ich opowieści, czy próbujemy zrozumieć tę osobę w inny sposób? Czy zakładamy, że jest to wytwór jakiegoś problemu i próbujemy do tej osoby podejść, czy zrozumieć ją w inny sposób?

Karetka, którą jeździcie w ramach projektu „Daj sygnał”, często opatruje pacjentów, nie zabierając ich do szpitala. Udzielacie pomocy doraźnej. Wiedza o tym, że wasz pacjent nie będzie mógł się normalnie umyć, że ze swoim opatrunkiem zostanie w pustostanie, że o wielu zaleceniach nie będzie pamiętał – także jest ważna.

Tak, oczywiście. Dlatego też nasze opatrywanie, to co my robimy, musi być trwałe i musi zapewnić zabezpieczenie i ochronę na dłuższy czas. Korzystamy z opatrunków specjalistycznych i wysokospecjalistycznych. Nie jest to standardowy plaster, gaza czy bandaż, lecz taki opatrunek, który u osoby z trudnymi ranami i w trudnej życiowej sytuacji sprawdzi się nawet do tygodnia, a więc do czasu, w którym znów się z nią spotkamy podczas objazdu naszej karetki. To rzeczywiście przynosi rezultat. To nie jest zamiennik szpitalnego oddziału ratunkowego, oddziału chirurgii, placówki, gdzie oni mogą być pielęgnowani tak naprawdę na co dzień i ta pomoc może być im codziennie oferowana. Jednak jest to pewien substytut, pewien ekwiwalent, ale taki, który pozwala przetrwać.



Jak często zdarza się, że ktoś nie chce dać sobie pomóc, nie chce dać wam do siebie podejść?

To się zdarza. I tutaj właśnie bardzo ważne, kluczowe wręcz jest zrozumienie, dlaczego tak jest.

Praca z osobami w kryzysie bezdomności, nawet w naszej strukturze medycznej czy przedszpitalnej, to jest zupełnie coś innego niż standardowa medycyna przedszpitalna.

Działamy w innych warunkach niż standardowy zespół ratownictwa medycznego. Przede wszystkim dlatego, że nasza praca nad konkretną jednostką to często jest proces. To nie jest tak, że my przyjedziemy, udzielimy pomocy i już nie wrócimy. Często, kiedy otrzymujemy zgłoszenie od mieszkańców o bytowaniu jakiejś osoby w danej przestrzeni, nikt nie gwarantuje tego, że nasza pierwsza interwencja będzie interwencją udaną, ale w naszym przypadku nie będzie jedyną. Mieliśmy już parę bardzo spektakularnych przypadków, w których praca nad jedną osobą to były tygodnie, a nawet miesiące. Często pierwsze spotkania, pierwsze interwencje to są rozmowy.

Drugie, czasem również trzecie spotkanie to jest również tylko i wyłącznie rozmowa, bo my musimy zdobyć zaufanie. Osoby bytujące na ulicy nie mają zaufania do środowiska medycznego, często nie mają zaufania do ludzi w ogólności. Niedawno mieliśmy pacjenta w stosunkowo ciężkim stanie, w 20-letnim ciągu alkoholowym. Przyszedł do nas już w trakcie trwania delirium alkoholowego, obie nogi miał w opłakanym stanie. Powiedział nam, że gdyby nie to, że koledzy mu przekazali, że tego i tego dnia będziemy tutaj i tutaj z naszą karetką, to prawdopodobnie nie skorzystałby z pomocy. Gdybyśmy mu wtedy nie pomogli, to następnym etapem byłaby prawdopodobnie amputacja obu kończyn.

Co uznaje Pan za sukces w pracy?

Jest wiele sukcesów – na przykład historia pewnego pacjenta z rodzaju trudnych, a nawet bardzo trudnych. To był człowiek, wobec którego podejmowaliśmy wiele prób pomocy, wiele interwencji, bo wiedzieliśmy, że jego sytuacja jest pilna. To był pacjent skrajnie obciążony kardiologicznie, z ciśnieniem, które było nieoznaczalne na automatycznym ciśnieniomierzu. Pacjent, któremu w najbliższym czasie groził udar albo zawał mięśnia sercowego. Wiedzieliśmy, że jeżeli my mu nie pomożemy, to on sobie sam nie poradzi. Dodatkową trudnością było to, że bytował w namiocie przy nasypie





kolejowym, absolutnie pośrodku niczego – nie było tam dojazdu i nie było ludzi. On wybrał sobie takie miejsce właśnie po to, . by dotarcie do niego było skrajnie trudne W okresie zimowym prosiliśmy patrol policji, aby nas dotransportował do tego miejsca swoim terenowym samochodem. Pomimo potrzeby hospitalizacji, ten pacjent po prostu nie wyrażał na to zgody. Bez problemu podpisywał wszystkie dokumenty o tym, że jest świadomy zagrożenia i ryzyka, ale na pomoc się nie zgadzał. To był po prostu pacjent zrezygnowany, który chciał zasnąć i już się nie obudzić. Był tak głęboko zdemotywowany, że nie chciał nawet wyjść z tego namiotu i gdziekolwiek się przejść. Nie pamiętam już dokładnie, ile razy interweniowaliśmy w jego przypadku. Prób było kilka, być może nawet dziesięć. I kiedy my jako zespół też już zaczęliśmy wątpić, że uda się go przekonać – nagle zgodził się pojechać z nami. Zapewniliśmy mu miejsce w placówce pomocowej. Zgodził się, został tam przewieziony i dwa tygodnie później, po być może pół roku pracy nad tą osobą, spotkaliśmy go w tej placówce. Minęły dwa tygodnie i z pacjenta skrajnie zaniedbanego, leżącego w namiocie, w śniegu, pośrodku niczego – spotkaliśmy mężczyznę, który w dżinsach i w koszuli leżał na swoim łóżku i rozwiązywał krzyżówki. Niesamowicie szczęśliwy, usatysfakcjonowany, pod opieką medyków, pod opieką psychologiczną i w towarzystwie innych współlokatorów. A jak często zdarzają się sytuacje niebezpieczne? Bo nie jest tajemnicą, że ratownicy medyczni często są ofiarami ataków.

Agresja to jest temat trudny. Osoby w kryzysie bezdomności to są ludzie, którzy bardzo często, a w jakikolwiek sposób są uzbrojeni, przygotowani do walki, bo w tym środowisku dzieją się różne rzeczy, więc oni też muszą po prostu o siebie zadbać. Jednak ja nigdy nie spotkałem się z agresją fizyczną choć często spotykam się z agresją werbalną. Nikt nam jako zespołowi nie groził, chyba że niestety mówimy o użyciu środków psychoaktywnych.

Osoby pod wpływem alkoholu bądź pod wpływem innych środków bywają agresywni. Niezależnie od kryzysu bezdomności?

Niezależnie od kryzysu bezdomności. Tutaj nie ma chyba różnicowania.

A jak dba Pan o siebie? W jaki sposób się Pan odcina od pracy?

Ponownie – jest to bardzo trudne pytanie. W tej pracy work-life balance jest waż-



ny, ale trudny do osiągnięcia, zwłaszcza kiedy obowiązki się przeplatają ze sobą, gdzie również działamy interwencyjnie i czasem, jak mówimy u siebie w pracy – trzeba gasić pożary. Coś się dzieje tu i teraz i trzeba rzucić wszystko, by ratować sytuację.

Przyznam jednak, że pomimo minusów takiej pracy, kiedy z minuty na minutę trzeba się zmobilizować i być już w innym miejscu – to daje to niesamowity zastrzyk adrenaliny i jest to coś, co rzeczywiście napędza i daje ogromną motywację.

Jak znajdować ten balans? Myślę, że przede wszystkim towarzystwem, relacjami, rodziną, przyjaciółmi i czasem, kiedy mogę odłożyć telefon, wyciszyć go i na chwilę nie myśleć o pracy.
Czy przy tego rodzaju adrenalinie w pracy jest jeszcze miejsce na inne pasje?

Pasją jest muzyka. Przez jakiś okres czasu tworzyłem muzykę, interesowałem się DJ-ingiem. Miałem też epizod z zagrania kilku koncertów. To także był niesamowity zastrzyk adrenaliny, bardzo przyjemne i satysfakcjonujące doświadczenie. Jednak w pewnym momencie trzeba było podjąć dojrzałą decyzję, że rzeczywiście na to nie ma już czasu.



BARDZO LUBIĘ TĘ PRACĘ, CZUJĘ SIĘ W NIEJ DOBRZE.

SIOSTRA SAMUELA

O habicie mówi, że jest jak peleryna superbohatera, ale że przychodzi z tym strojem wielka odpowiedzialność… Że habit wzbudza zaufanie, dla wielu osób szukających wsparcia jest zielonym światłem, sygnałem, że tutaj mogą poprosić o pomoc.



O habicie mówi, że jest jak peleryna superbohatera, ale że przychodzi z tym strojem wielka odpowiedzialność... Że habit wzbudza zaufanie, dla wielu osób szukających wsparcia jest zielonym światłem, sygnałem, że tutaj mogą poprosić o pomoc. I że bardzo lubi nosić ten strój – Siostra Samuela Ciesielska tą „peleryną" od wielu lat osłania kobiety przybywające do Domu Samotnej Matki w Gdańsku Matemblewie.

Czy siostrę zakonną może coś w pracy... wkurzać?

Lubię swoją pracę – to przede wszystkim. A czy ona mnie wkurza, czy coś mnie w niej denerwuje? Są takie momenty, kiedy człowiek musi troszkę wewnętrznie powalczyć ze sobą, niekoniecznie dając te emocje, które przynoszą spokój i ukojenie. Niemniej, nigdy tych złych emocji nie wyrażam w słowach, nie wypuszczam ich na zewnątrz. To wymaga dużo pracy nad sobą, żeby tych emocji nie pokazać – inaczej mogłabym ludziom, którym mam za zadanie pomóc, zaszkodzić.

A jak rozpoczęła się Siostry zakonna droga?

Będąc osobą, która skończyła liceum medyczne, zdecydowałam się na to, żeby pójść do Zgromadzenia Sióstr Kanoniczek Ducha Świętego, z którym już wcz śniej utrzymywałam kontakt. Z siostrami, jeszcze w liceum, udzielałam się jako wolontariuszka, mając jako bardzo młoda dziewczyna cały czas na uwadze to, żeby pójść do zakonu i żeby być tą osobą, która coś robi dla innych. Więc to mi towarzy-szyło przez całe moje pięcioletnie liceum, by podjąć decyzję. I cały czas gdzieś w trakcie szkoły próbowałam być obok tych ludzi, którzy potrzebują pomocy. Jak to było z pomocą? Czym się siostra zajmo-wała?

Z koleżankami i kolegami wyruszaliśmy do ludzi starszych, nasza szkoła miała taką swoją „bazę" osób potrzebujących wsparcia. Uczestnicząc w różnych akcjach szkolnych, czasem wyjeżdżałam z chorymi, z osobami niepełnosprawnymi na obozy. Wtedy pielęgnowałam moje pragnienie pomocy – wiedziałam, że tą drogą chcę dalej kroczyć. Poza tym podczas wyjazdów na rekolekcje poznałam osoby zakonne, siostry.

Czyli Siostry podopieczni to przez te lata zarówno osoby starsze, jak i dzieci?

Obecnie pracuję w Domu Samotnej Matki Caritas w Gdańsku Matemblewie. Pracuję i z samotnymi mamami, i z ich dziećmi.

Bardzo lubię tę pracę, czuję się w niej dobrze. Chcę, żeby osoby, które tam przychodzą, doświadczały miłości prawdziwej, żeby mogły odzyskać swoje siły, żeby mogły podjąć normalne życie.

Relacje zakonne, duchowe to jedno, ale w pracy socjalnej kontaktuje się siostra także z wieloma innymi instytucjami, na przykład Gdańskim Miejskim Ośrodkiem Pomocy Rodzinie.

Od momentu, kiedy zaczęłam pracę w Gdańsku, zawsze relacje z MOPR-em i w ogóle z osobami, z którymi współpracujemy, były dobre. To są osoby, które mnie wspierają, zawsze mogę się do kogoś zwrócić, mogę poprosić o wsparcie i zawsze je z życzliwością otrzymuję.

A jak wygląda ten kontakt?

Mamy jako organizacja prowadząca Dom Samotnej Matki umowę zawartą z MOPR, więc łączy nas wiele pracy dokumentacyjnej. MOPR pilnuje, byśmy mieli zrobione sprawozdania, to z nimi ustalamy też przyjmowanie do naszego domu mam. Zawsze, kiedy dzwonię z pytaniem, jak podejść do danej sprawy, MOPR służy pomocą.

Kiedy laik myśli o domu samotnej matki, to w pierwszym momencie stereotypowo myśli się o tym, żeby po prostu dać schronienie, dać dom kobietom z dziećmi, które nie mają domu. Ale z drugiej strony to też są kobiety, które często wcześniej były skrzywdzone, które być może wymagają pomocy prawnej, pomocy psychologicznej. Siostry też często pośredniczą, poszukują takich rozwiązań dla tych matek.

Cały zespół, który pracuje w domu samotnej matki, to nie tylko my – siostry, ale także psycholog, terapeuta... Wokół potrzebującej mamy zbiera się cały zespół. Właśnie to sprawia, że mamy odzyskują u nas siły i zaczynają inaczej myśleć. Gdybyśmy były tylko same, to jakąś część tej pomocy byśmy dały, ale nie całą. Każda mama, która przychodzi do nas, ma swoje przejścia, czasami bardzo mocne, które wymagają dużo pracy z jej strony, ale też z naszej. Do każdej mamy staramy się podchodzić bardzo indywidualnie, ponieważ wiemy, że każda trochę inaczej przechodzi swoje problemy. W przypadku każdej z mam wiemy, że było trudno i że po wyjściu może znaleźć się w różnych warunkach, czasem bardzo niebezpiecznych, jeżeli chodzi o dziecko. Dlatego podejmujemy tak zwany plan działania, czyli rozpracowujemy, co jest priorytetem



Do każdej mamy staramy się podchodzić bardzo indywidualnie, ponieważ wiemy, że każda trochę inaczej przechodzi swoje problemy.

dla niej, co musi najpierw zrobić, i dopiero potem staramy się jakoś konkretnie pomagać im w szukaniu mieszkania, pracy. Stopniowe pomaganie to nie jest to, że od razu mama przyjdzie do domu samotnej matki i od razu jej tam narzucamy jakieś trudne zadania. Trzeba wszystkie jej rany leczyć powoli, stopniowo. Nigdy nie da się tego zrobić szybko.

I musimy mieć dużo cierpliwości, dużo wyrozumiałości dla tych mam. Ponieważ wiemy, że nie jest im łatwo i z pewnością nie od razu wyrosną im skrzydła, w które będziemy mogły im „dmuchnąć”.

To w takim razie ile trwa hodowanie skrzydeł? Jaki czas spędzają u Was matki?

Panie przebywają u nas jeden rok, bo tak mamy w statucie. Nie jest to jednak ścisła reguła, ponieważ jeżeli dana mama rozpoczęła jakąś terapię, rozpoczęła działania w stosunku do siebie czy dziecka, to musimy dać jej szansę na zakończenie leczenia. Wtedy przedłużamy jej pobyt, bo wiemy, że to nie jest tak, że pewne rzeczy się dzieją zgodnie z harmonogramem. Wtedy mama zostaje u nas dłużej, zwłaszcza wtedy, kiedy widzimy, że ma ona dużo motywacji, chce zmienić swoje życie, że robi wszystko, żeby pomóc sobie i dziecku.



A w jakim wieku są – idąc tropem raz obranej metafory – pisklęta?

Nasze pisklęta i dopiero narodzone – najmłodsze ma teraz dwa tygodnie – a najstarszedziecko u nas to siedmiolatek. W statucie opiekujemy się dziećmi od urodzenia do siódmego, ósmego roku życia. Dużo dzieci teraz jest młodszych, są też mamy, które oczekują narodzin. Więc jesteśmy jako siostry obecne w różnych okresach życia dzieci i to jest dla nas miłe.

A czy zdarzały się w pracy z samotnymi matkami decyzje trudne? Wtedy, kiedy Wy jako siostry, ale także jako cała ta ekipa „pomagaczy”, widzieliście, że w tym przypadku skrzydeł nie da się wyhodować, że być może trzeba podjąć inne, trudniejsze decyzje?

Oczywiście, że były takie decyzje, które musieliśmy przeżyć i po prostu powiedzieć mamie, że lepiej będzie dziecku pod inną opieką. Najczęściej sama matka nie jest wtedy do końca świadoma tego, co się z nią dzieje, ponieważ zdarza się np. mocno zaawansowane uzależnienie od narkotyków czy alkoholu. Na tym etapie niemożliwe jest, żeby mama była z dzieckiem, więc musimy w takich przypadkach podjąć trudną decyzję i wytłumaczyć tej mamie, że to trochę nie ten czas, żeby ona to dziecko miała przy sobie. No, nigdy nie mówimy, że to dziecko jest jej zabrane na zawsze, że nie odzyska tego dziecka, ale priorytetem zawsze



jest to, że najpierw musi podjąć leczenie siebie i dopiero potem jest szansa na odzyskanie dziecka. Były u nas momenty, w których matka chciała to dziecko mieć przy sobie, bo wydawało jej się, że już da radę, ale niestety nie da się tak – często taka niegotowa mama zostawia u nas dziecko i długo nie wraca do domu.
I to już jest taki moment, gdzie musimy w Domu Samotnej Matki podjąć konkretne decyzje dla dobra dziecka.

Jakie stereotypy ciągną się na przykład za domem samotnej matki? Albo czego my, media, dziennikarze, nie powinniśmy powtarzać, bo sprawia, że mamy jakąś taką fałszywą narrację?

Wydaje mi się, że Dom Samotnej Matki jest takim miejscem, gdzie pewnie może wiele osób myśleć, że to są osoby, które nie zasługują na pomoc, że same sobie takie życie zbudowały... Natomiast według mnie każda osoba, która trafia do tego domu, już podjęła pierwszy krok, by zmienić swoje życie – pokazuje, że chce mieć dziecko przy sobie, że chce podjąć jakieś leczenie siebie czy dziecka. Stereotypy na temat naszych mieszkanek są – każdemu się wydaje, że to są osoby, które nie pracują, które niewiele robią, nie potrafią też na swoje życie zarobić. Alewydaje mi się, że tutaj ja dochodzę do czego innego – jednak nie da się tego tak przekreślić. Ale nie wiemy przecież, jako osoby z zewnątrz, co dana osoba przeżyła, gdzie ona była, dlaczego się znalazła w domu? Dlaczego potrzebuje pomocy? Warto więc najpierw zobaczyć z bliska, dlaczego ta mama tak się zachowuje, a nie inaczej. To są często konsekwencje życia, które miała w domu, gdzie często sama nie doświadczała miłości ze strony swoich najbliższych. Więc to wszystko na nią wpłynęło i wydaje mi się, że w którymś momencie człowiek już traci siłę.

I właśnie dlatego, jeżeli trafia do placówki mama i potrzebuje pomocy, to musimy jej udzielić, ale nie osądzać, bo nie wiemy do końca, dlaczego ta osoba jest w takiej sytuacji, a nie innej.

Czy zdarzają się momenty, w których siostry spotykają swoje mamy – te wcześniej samotne – po latach?

Czasem przyjeżdżają do naszej placówki już po jej opuszczeniu i mamy z nimi kontakt. Oczywiście w różnym wymiarze – czasem potrzebują dalszej pomocy, dalszego wsparcia, i my wciąż dla nich jesteśmy w gotowości. Ale są też takie mamy, które przyjeżdżają do nas, by się pochwalić tym, jak żyją teraz – że nie mieszkają na działkach, że mogą podjąć pracę, że mają dom, rodzinę. No i to nas bardzo cieszy, że nasza praca, nasza misja, którą podejmowałyśmy – czasami w wielkim trudzie i w której długo trzeba było czekać na owoce – przyniosła efekty.

A w jaki sposób siostra odpoczywa?

Uwielbiam pracę w ogrodzie. Mamy w Matemblewie ogródek i często spędzam w nim czas, dbając, by wszystko mogło wzrastać.



BO „POMAGACZEM” SIĘ JEST I JUŻ NIC TEGO W CZŁOWIEKU NIE ZMIENI

TOMASZ MARUSZAK

Mówi o sobie „zawodowy pomagacz”. Tomasz Maruszak tym, że chce nim być, wiedział już od liceum, choć wtedy jeszcze nie wiedział dokładnie, dokąd poniesie go droga. W swoim życiu miał przerwę od pracy socjalnej, ale na krótko. Bo „pomagaczem” się jest i już nic tego w człowieku nie zmieni.

Mówi o sobie „zawodowy pomagacz”. Tomasz Maruszak tym, że chce nim być, wiedział już od liceum, choć wtedy jeszcze nie wiedział dokładnie, dokąd poniesie go droga. W swoim życiu miał przerwę od pracy socjalnej, ale na krótko. Bo „pomagaczem” się jest i już nic tego w człowieku nie zmieni. Dziś jest kierownikiem noclegowni dla mężczyzn prowadzonej przez Towarzystwo Pomocy im. św. Brata Alberta.

Większość pracowników socjalnych to kobiety. Skąd pomysł na taką ścieżkę zawodową?

Już w szkole średniej angażowałem się w wolontariat – to była praca z osobami niepełnosprawnymi, szczególnie z dysfunkcją ruchu – mogłem pomóc kogoś przenieść, być oparciem w dosłownym znaczeniu tego słowa, więc dość wcześnie odkryłem, że praca dla innych osób sprawia mi przyjemność i że jako mężczyzna znajdę w niej dla siebie miejsce. Wybrałem studia w Słupsku – wtedy ta uczelnia nazywała się Wyższą Szkołą Pedagogiczną, dziś to już Uniwersytet Pomorski. Po ukończeniu uczelni wróciłem do Trójmiasta, niemal od początku odnalazłem się w pracy z różnymi środowiskami – między innymi z osobami w kryzysie bezdomności.

Nie było momentów zwątpienia?

Były, to jest praca obciążająca psychicznie i jednocześnie nie dająca perspektywy wielkiego zarobku, a ja jestem mężem i ojcem rodziny. Był w moim życiu czas, kiedy zrobiłem sobie przerwę i zacząłem pracę w... hurtowni elektrycznej.

To się nazywa przebranżowienie!

Po tej przygodzie do dziś nie mam problemu, by wymienić i wybrać gniazdko czy lampę. To była dobra praca, ale jednak jak się ma bycie „pomagaczem” we krwi, to ciężko o tym zapomnieć. Po roku wróciłem do pracy socjalnej. Pojawiła się propozycja pracy z osobami w kryzysie bezdomności. Od 2005 jestem kierownikiem noclegowni dla mężczyzn.

Bezdomność kojarzymy jednoznacznie – oczyma wyobraźni widzimy kogoś, kto żebrze na ulicy, wygląda niechlujnie, jest nietrzeźwy. Pan ma do czynienia z różnymi twarzami bezdomności i ubóstwa.

Myślę, że stereotypy są związane z tym, że te osoby, które żyją na ulicy, widzimy najczęściej i tak kojarzymy bezdomność. Natomiast to jest poniżej 20% ogółu osób bezdomnych, więc cała reszta tych osób, która jest w kryzysie bezdomności, mimo że mijana przez nas każdego dnia, pozostaje ze swoim problemem niezauważona.





Mówiąc „my”, mam na myśli społeczeństwo, bo potrafię sobie wyobrazić, że ktoś, kto nie pracuje z bezdomnymi, po prostu nie wie, na co patrzeć. To są ludzie schludni, czasami pracujący, ale nie mający gdzie mieszkać.

Część z waszych mieszkańców po prostu rano wychodzi do pracy?

Tak, ale nie zawsze to, co zarobią, wystarcza na samodzielność. Czasami problemem jest zadłużenie, bywa też – i to często – że brak jest zdolności podstawowej ekonomii. W tym kontekście staramy się przyglądać temu i reagować. Jeśli osoba wyraża taką chęć, to zatrudnienie jest stałe, staramy się wówczas wdrażać programy aktywizacyjne i mieszkaniowe.

A jak wygląda życie w noclegowni?

To jest miejsce na nocleg, nie do mieszkania. Staramy się, by było to miejsce do stawania na nogi, ale nie do zapuszczania korzeni. W jednej sali noclegowni może spać do 6 mężczyzn. Mają dostęp do łazienki i pryszniców. W noclegowni przy ul. Żaglowej w Gdańsku, a więc niedaleko centrum miasta, nie zapewniamy posiłków. Panowie mają dostęp do kuchni i sami, w godnych warunkach, mogą zatroszczyć się o swoje wyżywienie. Podkreślamy to, że noclegownia jest placówką tymczasową, to każdy jednak próbuje sobie skonstruować takie własne miejsce do życia. No i mimo że tej przestrzeni w salach nie ma dużo, to jest indywidual zacja – na łóżkach pojawiają się wlepki ulubionej drużyny, jakiś plakat, zdjęcie, magnes czy też inne pamiątki w okolicy miejsca do spania.

Co z warunkami abstynencji? Podobno niektórzy wolą żyć na ulicy, bo tam nie muszą walczyć z nałogiem.

Tak, noclegownia jest dla osób, które są trzeźwe, więc my też badamy tę trzeźwość. To nie jest tak, że badamy każdą osobę, raczej te osoby, które w jakiś sposób zachowują się trochę inaczej. Chodzi o to, żeby po prostu było w placówce bezpiecznie. No oczywiście regulamin mówi o tym, że zabronione są jakiekolwiek akty agresji czy sprzeczek. Niemniej, w przypadku kiedy mamy na naszym pokładzie 50 mężczyzn, to te konflikty się oczywiście zdarzają. Na przykład jakieś drobne wymiany zdań na temat zajętej kuchni czy zajętego krzesła. I to są takie zwykłe, codzienne sprzeczki. Jeśli są trochę większe, czy zaczyna się podniesiony głos, czy wyzwisko, to wtedy reagu-

Łatwo jest poświęcić 30 sekund na wyciągnięcie portfela i wręczenie 5 zł, ale w ten sposób nie pomagamy, tylko oszukujemy własne sumienie..



jemy. Natomiast w przypadku, kiedy to są jakieś ostre konflikty, jakieś zagrożenie fizyczną agresją, to wtedy interweniujemy – jeśli jesteśmy w stanie, to my sami, a w skrajnych przypadkach wzywamy też odpowiednie służby do pomocy. Zapewniacie nocleg, nie zapewniacie posiłków, żeby zmobilizować do samodzielności. Czy macie jeszcze jakieś inne narzędzia, warsztaty, spotkania?

Oczywiście współpracujemy zarówno z innymi organizacjami, jak też z innymi podmiotami w naszej organizacji. Prowadzimy na przykład cztery centra integracji społecznej i nasi mieszkańcy często są też klientami tych centrów. Są takie miejsca, gdzie osoby uczą się na nowo nawyku pracy, przygotowują się po prostu do zatrudnienia. Jest tam wiele zajęć i społecznych, i zawodowych. Mamy też w placówce zatrudnionego pracownika socjalnego, który jest do dyspozycji naszych mieszkańców. Służy informacją na temat dostępnych form pomocy. Na stałe prowadzimy w towarzystwie taki program asystentury, zmierzający do usamodzielnienia, więc każda zainteresowana osoba może podjąć taką współpracę i realizować swoje plany wyjścia z sytuacji bezdomności.

Jak powinniśmy reagować, widząc kogoś na ulicy, żyjącego na ulicy?

Warto jest przede wszystkim nie oceniać tych osób, bo przecież nie wiemy, jak życie tej osoby przebiegało, że jest w tym miejscu, w którym jest.

Zawsze zachęcam do tego, żeby poświęcić takiej osobie kilka chwil swojego życia na rozmowę, na zapytanie, co robi, dlaczego jest w tym miejscu, dlaczego prosi nas o pieniądze, jak sobie wyobraża spożytkować te pieniądze, które my jej damy na drodze do samodzielności. Bo najczęściej pieniądze przekazane na ulicy są przeznaczane na bieżące potrzeby, które nie przybliżają do samodzielności – na przykład związane z nałogiem. Łatwo jest poświęcić 30 sekund na wyciągnięcie portfela i wręczenie 5 zł, ale w ten sposób nie pomagamy, tylko oszukujemy własne sumienie. Zróbmy coś więcej, zapytajmy, czego ta osoba faktycznie potrzebuje, a jeśli chcemy wesprzeć finansowo – wspierajmy organizacje, które profesjonalnie zajmują się pomocą.

Można placówki dla osób bezdomnych wspierać finansowo. Niektórzy decydują się na pomoc rzeczową.

Warto zawsze zapytać o to, czego my potrzebujemy. Warto zatelefonować, zapytać do jednej czy drugiej placówki. Przestrzegam przed sytuacją, w której robimy porządek w szafie i przywozimy, co tam z tej szafy wypadło. Tu, w noclegowni, czasem mamy z takim darem więcej problemu niż pożytku. Na pewno cały czas potrzebujemy ręczników, pościeli, na pewno męskich ubrań, ale takich codziennych, niewizytowych: swetrów, kurtek, spodni, koszulek.

Mówiliśmy o kłótniach, a czy zawiązują się w noclegowni przyjaźnie?

Nie wiem, czy można by to nazwać przyjaźniami, natomiast na pewno jest to jakiś rodzaj znajomości, które widać w codziennym życiu – na przykład panowie pomagają sobie na mieście. Zauważam też, że część osób, pomimo że narzekają na współmieszkańców, to po wyprowadzce do mieszkania treningowego czy do innego samodzielnego lokalu, powraca, bo doskwiera im samotność. Wracają do placówek, odwiedzają kolegów, utrzymują jakiś kontakt z nimi, bo są przyzwyczajeni. Bo latami lub miesiącami przebywali w placówce. Przyzwyczaili się do tego, że cały czas coś się dzieje, że jest kilkunastu, kilkudziesięciu kolegów, z którymi w każdej chwili mogą porozmawiać lub się posprzeczać, wymienić poglądy.

Co Pan mówi osobie usamodzielniającej się? Wyprowadzającej się z noclegowni?

Do nie zobaczenia. Często wywołuje to zdziwienie, ale przecież o to chodzi – by nie powracać do sytuacji bezdomności. A gdy przypadkiem po latach spotkacie się na ulicy?

Często słyszę „dzień dobry”. Nikt z spotkanych przeze mnie panów nie udaje, że mnie nie zna. Czasami wymieniamy kilka słów i idziemy dalej.

Jak często zdarza się wyjście z bezdomności?

Wyjście z bezdomności zdarza się bardzo często. W każdym miesiącu ktoś z bezdomności wychodzi. Pewnie gdyby porównać skalę osób bezdomnych do skali usamodzielnień, to ona nie jest zbyt wielka, bo mamy tutaj w naszej placówce 50 osób, ale w pozostałych placówkach pewnie jeszcze około 200. Myślę, że w skali roku usamodzielnia się około 20 osób. I to jest też różna formuła usamodzielniania, różny stan.

Na pewno w swojej karierze mogę wymienić kilkadziesiąt przykładów osób, które z bezdomności wyszły na stałe. Więc to jest i dużo, i mało.



Lubi Pan swoją pracę?

Lubię swoją pracę. Pracuję już ponad 20 lat z osobami, które doświadczają bezdomności, i każdego dnia odkrywam nowe tego aspekty. Sukcesy naszych klientów to coś takiego, co buduje i motywuje do dalszej pracy. Tak, zdecydowanie lubię swoją pracę.

A co robi Pan, by się od niej oderwać?

Gdy jestem z rodziną, nie wracam myślami do pracy. Lubię jeździć na rowerze. Lubię też naprawiać rowery i mam do tego talent.



JA UWIELBIAM LUDZI, Z KTÓRYMI PRACUJEMY...

ALEKSANDRA CWOJDZIŃSKA-PIETRUSZKA

„Piecza zastępca daje życie. Daje możliwość bycia fajnym dorosłym" – tak mówi Aleksandra Cwojdzińska-Pietruszka Kierownik Wydziału Pieczy Zastępczej w Miejskim Ośrodku Pomocy Rodzinie w Gdańsku. Do tej pracy trafiła… przypadkiem. Miała przyjść na kilka miesięcy, została do tej pory.



„Piecza zastępca daje życie. Daje możliwość bycia fajnym dorosłym” – tak mówi Aleksandra Cwojdzińska-Pietruszka Kierownik Wydziału Pieczy Zastępczej w Miejskim Ośrodku Pomocy Rodzinie w Gdańsku. Do tej pracy trafiła... przypadkiem. Miała przyjść na kilka miesięcy, została do tej pory. A będąc nastolatką marzyła o pracy... w więzieniu. Aleksandra Cwojdzińska-Pietruszka jestem kierownikiem Wydziału Pieczy Zastępczej Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie w Gdańsku.

Przypadek rządzi twoim życiem, chociaż ja nie wierzę w przypadki. Raczej w przeznaczenie, ale z tobą tak było, że do tej pieczy zastępczej też trafiłaś przez przypadek.

Tak, trafiłam przez przypadek, miałam przyjść na parę miesięcy, dopóki nie zwolni się etat w jednym z centrów pracy socjalnej na stanowisku asystenta rodziny. No i tak zostałam już od 2014 roku w pieczy i myślę sobie tak, nie ma przypadków i wszystko dzieje się po coś. Po coś też na studiach już rozpoczęłam swoją przygodę z pieczą, gdzie wcale nie było to moim marzeniem, bo moim największym marzeniem była praca w więzieniu. Trafiłam do placówki opiekuńczo-wychowawczej, gdzie poznałam absolutnie cudownych ludzi. Koordynatora domu, który tak naprawdę pokazał nam blaski i cienie pieczy zastępczej, tego z czym borykają się te dzieciaki. Dostałyśmy tam z koleżankami szkołę życia, ale to był fantastyczny czas. No do dzisiaj wspominam tego koordynatora domu. Taki trochę mentor jednak.

Co ty czułaś, kiedy po raz pierwszy przekroczyłaś próg tego domu?

Myślę, że czułam smutek chyba. To był chyba smutek. Pamiętam, że wzięły nas dziewczynki na piętro i zaczęły nam śpiewać piosenkę z Titanica. I powiedziały, że śpiewają ją dla swoich rodziców. Ja mówię: „Boże, jakie to smutne wszystko” a tych rodziców nie ma. Już w tej chwili oczywiście mi nie jest smutno, bo myślę sobie, że piecza daje po prostu życie. Daje bezpieczne życie. Daje możliwość temu dziecku normalnego życia w przyszłości, tak naprawdę bycia fajnym dorosłym. I w ogóle życia w bezpieczeństwie, w zaopiekowaniu, w miłości, w przytuleniu, w zrozumieniu. To jest chyba najważniejsze i w takiej cierpliwości opiekunów. Bez tej agresji, bez przemocy, bez alkoholu.

Żeby te dzieciaki nauczyły się po prostu być zdrowym, dobrym, fajnym, dorosłym, który będzie w stanie budować swoją fajną rodzinę.

Do tej pieczy i do tych emocji to wrócimy za moment, ale bardzo zaskoczyłaś mnie dziś, kiedy opowiedziałaś o tym, że właściwie to chciałaś pracować w więzieniu. To była odpowiedź na moje pytanie, czy od początku swojego życia ta empatia była u ciebie na prowadzeniu. Okazało się, że numerem jeden było więzienie. Skąd to więzienie się wzięło?

I to jest chyba trudne pytanie, bo zaczęło się od tego, że do naszej klasy w liceum dołączył chłopak, który był w Młodzieżowym Ośrodku Wychowawczym. I jakoś tak nam opowiadał to życie i to jakoś mnie tak zaintrygowało. Jakoś w tym kierunku cały czas jakby zmierzałam. Stąd studia na pedagogice resocjalizacyjnej. Też cudowny czas, bo do dzisiaj mam fantastyczne przyjaciółki z tamtego okresu i absolutnie sobie życia nie wyobrażamy bez siebie. Ale to mnie chyba najbardziej kierowało. Fascynowało mnie też to czy resocjalizacja faktycznie działa. Czy można z więźniami coś fajnego wypracować i czy oni też mogą wyjść na wolność i nie być tymi ludźmi sprzed osadzenia.

Miałaś ochotę na to, żeby swoje praktyki odbyć w zakładzie poprawczym. To się nie udało, ale poszłaś wtedy do zupełnie innego miejsca.

Tak, poszłam do zupełnie innego miejsca. Poszłam do placówki opiekuńczo- wychowawczej, do domu przy Jaśkowej. Poznałam tam fantastycznego koordynatora domu. Do dzisiaj pamiętam przygodę z tym, żeby ten dom znaleźć. Przyszłyśmy z tymi moimi właśnie dwiema przyjaciółkami. Przeszłyśmy przez naprawdę jakieś bagna dookoła domu, który nie był tą placówką. Chodziłyśmy, to był śnieg, zima, błoto. Tragedia, masakra. I doszłyśmy takie ubłocone do kolan i ten koordynator otworzył nam drzwi z przerażeniem. Patrzył, no dzień dobry, my na praktyki. On jakby się tylko uśmiechnął i powiedział, chodź, zaopiekujemy się wami. Też był bardzo kochany. Tak, ja dobrze wspominam ten czas. Naprawdę to była masa godzin. My potem zostałyśmy tam jeszcze na wolontariacie. Bardzo związałyśmy się z tymi dzieciakami. Do dzisiaj jak przychodzą już jako dorosłe osoby do naszego zespołu, który zajmuje się już dorosłymi wychowankami, to tak przyglądam się tym już młodym ludziom.



I to jest chyba dla nas największe wyzwanie aktualnie, żeby te dzieciaki, które są już osobami dorosłymi metrykalnie, dalej mogły żyć w społeczeństwie. Żeby nie musiały być odizolowane albo żeby nie popełniły jakichś przestępstw. No to jest szalenie trudne.

To były takie malutkie dzieci, którym się człowiek pomagał kąpać, przebierać. A teraz to są osoby, które mają dziewczyny, chłopaków, własne rodziny, dzieci. Mimo tego, że ten czas płynie, to wydaje mi się, że można odczuwać satysfakcję, kiedy widzi się te dzieciaki od małego, a potem jako młodych dorosłych, którzy zaczynają sobie dawać radę. Dużo z tych dzieciaków daje sobie radę, ale niestety nie wszystkie. Jest gro dzieciaków, które wychodzą i niestety dalej nie potrafią funkcjonować. I to jest chyba dla nas największe wyzwanie aktualnie, żeby te dzieciaki, które są już osobami dorosłymi metrykalnie, dalej mogły żyć w społeczeństwie. Żeby nie musiały być odizolowane albo żeby nie popełniły jakichś przestępstw. No to jest szalenie trudne. Jesteśmy z dużą nadzieją na to, co czas przyniesie i że uda się wypracować jakieś fajne miejsce dla tych dzieciaków, które dalej będzie ich opiekować, które dalej będzie dla nich bezpieczne. I pozwoli im jakoś tak być zaopiekowanym i nieodrzuconym. Bo smutne jest to, kiedy dzieciak wychodzi z pieczy zastępczej, a i takie przypadki się zdarzają. I mimo to, że dużo dzieciaków wychodzi z ogromnymi zasobami, to smutne jest to, kiedy wychodzi dziecko i nie ma nikogo na świecie. Cała rodzina jest od niego odwrócona. Osoby, u których był, czy to placówka, czy rodzina, nie chcą mieć z nim nic wspólnego. Bo był trudny, był dzieckiem z niepełnosprawnością i został tak naprawdę zostawiony sam sobie, a najbliższą osobą dla niego jest pracownik naszego MOPR-u. Strasznie smutne to jest.

Czy ty się przywiązujesz do podopiecznych, do tych dzieci, do tej młodzieży, do tych młodych dorosłych, których spotykasz na swojej drodze?

Jako kierownik mam tę możliwość, żeby nie musieć się przywiązywać. Mnie jest zdecydowanie łatwiej, bo nie funkcjonuję z tymi dziećmi na co dzień. Myślę sobie, że koordynatorom jest dużo trudniej, bo oni odwiedzają regularnie te dzieciaki, rozmawiają z nimi, nawiązują relacje, więzi. Czasami ten pracownik MOPR-u jest najbliższą osobą dla tego dziecka. Aczkolwiek tak, ja mam dzieciaki, które są mi bliższe i które jak tylko widzę na koryta



rzu, to się uśmiecham. Odwiedzają, przychodzą razem z rodzinami zastępczymi. W ogóle cudowne jest to, że udało nam się wprowadzić to, że rodziny nie boją się przychodzić, że nasze drzwi są dla nich otwarte i przychodzą czasami po prostu usiąść, porozmawiać z dzieciakami, pobawić się.

Ja uwielbiam się z nimi wygłupiać wtedy na korytarzu. I to jest taka chwila, kiedy człowiek widzi, że to ma sens. I widzimy te dzieciaki uśmiechnięte, które jeszcze niedawno były wystraszone, brudne, zaniedbane, a przychodzą i są zupełnie inne dzieci.

Oczywiście to wszystko trwa latami i potem te traumy się w różny sposób odpalają tym dzieciakom i to nie jest tak, że sam ciepły dom i miłe otoczenie uzdrowi całą sytuację, ale bardzo pomaga w tym wszystkim ta akceptacja.

Jednym z zadań twoich jest poszukiwanie kandydatów na rodziny zastępcze. Jaki jest sposób na to, żeby nie popełnić błędu?

Myślę sobie, że chyba intuicja, bo tak naprawdę my tych ludzi poznajemy przez chwilę. My ich widzimy przy wstępnej kwalifikacji przez parę godzin, poznajemy ich najpierw w ośrodku, potem dziewczyny jadą do nich do domu. I tak naprawdę dużo pokazuje też wizyta w domu, jak ci ludzie się zachowują w swoim środowisku. No wiadomo, że opinia psychologiczna to wszystko, ale później cały proces szkoleniowy i trenerzy mają chyba najtrudniejsze zadanie, żeby przez 12 tygodni przyglądać się tym ludziom i ich poznać na tyle, żeby stwierdzić, że tak, oni są bezpieczni i że tak, dadzą radę z dzieciakami. I pomimo tego, że wiele osób myśli sobie, co za różnica dziecko



biologiczne czy dziecko w pieczy zastępczej to różnica jest ogromna. Ktoś może być cudownym rodzicem dla swojego biologicznego dziecka, absolutnie bezpiecznym, absolutnie fantastycznym i może być cudownym człowiekiem. Ale jak przyjmuje dziecko do pieczy swojej, do swojej rodziny, dziecko obce, które przeżyło wiele trudnych chwil, strasznych sytuacji, to jest zupełnie inny styl opieki, zupełnie inne wyzwania. To jest świat wywrócony do góry nogami. Ja jestem pod wrażeniem rodzin, które decydują się na przyjęcie, nie wiem, piątki, ósemki, jedenastki dzieci i to ogarniają. To jest coś jakby niesamowitego, bo mamy rodzinne domy dziecka, gdzie te dzieci są po prostu szczęśliwe, mimo tego, że ich jest tak wiele i ja bardzo podziwiam tych ludzi, że

oni są w stanie to wytrzymać. I że wytrzymują to, co te dzieci im oddają, a oddają bardzo trudne sytuacje, trudnymi zachowaniami, oni to wytrzymują i potem naprawdę są w stanie zacząć te dzieciaki funkcjonować, funkcjonować fajnie.

Poznajesz historie różnego rodzaju, bardzo często dramatyczne, trudne, trudne do uniesienia, trudne do zaakceptowania, trudne do pogodzenia się z tym, że do takich sytuacji wybitnie skrajnych dochodzi. W jaki sposób ty sobie radzisz psychicznie, żeby o siebie zadbać?

Myślę sobie, że w ogóle zadbanie o siebie jest czymś bardzo trudnym w tej pracy i jak odpowiadałam na twoje pytania w mailu, to uświadomiłam sobie, że jak rzadko człowiek myśli o sobie, tylko o sobie. Jak sobie radzimy? Myślę, że radzimy sobie ogólnie w pracy, to radzimy sobie śmiechem, żartując, troszkę jakby spłycając te sytuacje i nie wynika to z tego, że my je ignorujemy, tylko że w jakiś sposób musimy też przetrwać to wszystko, bo to są naprawdę tragedie, co do których większość ludzi nie ma w ogóle dostępu i całe szczęście. I całe szczęście, bo tak powinien świat wyglądać właśnie, że nie ma tego wszystkiego, czego te dzieciaki doświadczają. Często się spotykamy czy z Alicją czy z zespołem i po prostu obgadujemy to. Z innych sytuacji się śmiejemy. Myślę sobie, że my jesteśmy taką fajną, mini „pieczową” rodziną, bo myślę, że nikt z nas by nie przetrwał w tym sam.

Ja uwielbiam ludzi, z którymi pracujemy i bez nich byśmy absolutnie nie byli w tym miejscu z pieczą, w którym jesteśmy.

Jedna osoba nie da rady, więc to, że ktoś jest kierownikiem czy koordynatorem zespołu, tak, pełni pewną funkcję, no bo jest jakby hierarchia pewnego rodzaju, ale dla mnie bardzo liczy się zdanie każdego pracownika. On najlepiej zna swoją sytuację, są ludzie fantastyczni, którzy mają ogromne doświadczenie, często większe niż ja. I naprawdę to rozładowuje, jak sobie tak słuchamy siebie wzajemnie i pracujemy zespołowo i ta odpowiedzialność nie spoczywa na jednej osobie. Tylko kombinujemy, wymyślamy niestandardowe sytuacje i to naprawdę pomaga i to otwiera umysł. Oczywiście, że człowiek jak wraca do domu, to często dalej jest przy tym problemie. Chociażby wczoraj. Ja do 21.30 byłam z koleżanką na telefonie, bo była interwencja, coś się działo. I oczywiście, że mąż na mnie krzywo patrzy i jakby nie potrafi do końca tego zrozumieć, ale myślę sobie, że ja też dzięki niemu odpoczywam popołudniami, odpoczywam w weekendy. On wymyśla wiele rzeczy. On też taki spokój wprowadza. My się śmiejemy, że my nie musimy z sobą rozmawiać, ale wystarczy, że jesteśmy w jednym pomieszczeniu, już jesteśmy spokojniejsi. I to naprawdę pomaga, bo jak ja wracam do domu, on pracuje





do wieczora, to ja jestem taka cały czas napięta. A jak on wraca, to ten stres się obniża, przegadujemy te sytuacje. On oczywiście się śmieje, że mógłby różne rzeczy tym rodzicom zrobić, ale ja od lat mu tłumaczę, że ten rodzic też z jakiegoś powodu taki jest. I nie możemy się tylko złościć na niego z tego względu, że coś zrobił czy pije alkohol. Bo trzeba zagłębić się w jego historię, czego on doświadczył. Ale ten mój mąż, nie, nie, nie. On tu i teraz, dziecko jest krzywdzone i on nie jest w stanie tego przyjąć. Dlatego też sobie tak myślę, patrząc na niego, który bardzo przeżywa te sytuacje i patrząc na siebie, czy na moje kochane dziewczyny zespołu, to trzeba mieć te predyspozycje. Trzeba mieć to, że się to umie wytrzymać, obśmiać, pójść dalej i skupiać się na tym, jakie sukcesy małe, a jednocześnie olbrzymie wykonuje to dziecko. No i chyba to jest najważniejsze w tej pracy, bo jakbyśmy się skupiali tylko na tym, co jest złe, to byśmy nigdy nie ruszali do przodu. A jak widzimy te takie nawet małe rzeczy, że dziecko zaczęło na przykład chodzić, jest odpieluchowane, jakoś jego mimika twarzy wygląda inaczej, to daje takiego powera, że warto, bo to dziecko się odmraża. Bo to dziecko, na przykład jak się odmraża, to dopiero daje w kość, ale się odmraża i wygląda nawet zupełnie inaczej. Ja nie zapomnę historii takich trzech chłopców, którzy jak trafili, oni byli mali, 3, 4, 5 lata i mieli bardzo spięte buzie, strasznie napięte, wyglądali jak dorośli. Ja ich zobaczyłam po pewnym czasie pobytu u jednej z rodzin zastępczych, to zobaczyłam dzieci. To było niesamowite jak te buzie odtajały, jak te dzieci już nie były takie spięte, nie czekały na to, co się wydarzy, tylko były po prostu bardzo spokojne. Oczywiście, że różne sytuacje miały miejsce, ale te dzieci stały się dziećmi. Nawet po buziach, po oczach, po zacisku ust, no coś niesamowitego. To daje satysfakcję. Daje satysfakcję i dumę z tych rodzin, że dają radę. Bo myślę sobie, bo my często mówimy, że my jako Wydział Pieczy jesteśmy zespołem, ale ja myślę, że to nie jest tylko ta część zespołu. Rodziny zastępcze są z nami tym zespołem i tworzymy zespół nie 44-osobowy, tylko to ponad 200 osób.

Zespół cudownych, zakręconych, wariatów, którzy wytrzymują to wszystko i którzy chcą zmieniać świat tych małych istot.

Mówimy o blaskach i o cieniach tego zawodu, tej misji, bo twoją pasją i misją jest to pomaganie. Powiedzmy o tych blaskach. Co tobie daje satysfakcję?

Co mi daje satysfakcję? Satysfakcję mi daje to, że mogę i że wiele rzeczy mi nie zatrzymuje, tylko że możemy z zespołem pójść do przodu. Pomimo szalonych pomysłów nasza pani dyrektorka przystaje na to. Różne są te pomysły. Ja nigdy nie usłyszałam od niej, że absolutnie nie. Tylko, że pomyślimy, zastanowimy się, zobaczymy jak nasze fundusze, ale to daje chyba takiego powera, że możemy. I że możemy kombinować, że nie zostajemy w jednym miejscu, tylko że możemy brnąć do przodu. Kiedyś, to jest taka śmieszna historia, gdy chodziliśmy na różnego rodzaju festyny z promowaniem rodzicielstwa zastępczego, to mieliśmy na Whatsappie taką grupę. Nasz kolega założył i nazywała się „bieda festyn". Bo nie mieliśmy nic na samym początku. Ale z czasem udało się te różne gadżety zdobyć, które przyciągają ludzi. A jak oni przyjdą, to my ich wyhaczamy i możemy chociażby porozmawiać. I odkąd mamy te gadżety, to nasz kolega zmienił nazwę grupy na „nie bieda festyn". My nie chodzimy tylko na te festyny, czy na te różne imprezy, czy nie promujemy rodzicielstwa zastępczego po to, żeby tylko i wyłącznie pozyskiwać kandydatów, ale też po to, żeby szerzyć wiedzę o pieczy. Bo wiedza o pieczy jest bardzo mała na społeczeństwie. I potem ciężko ludziom zrozumieć, dlaczego dane dziecko się tak zachowuje, co się wydarzyło. Jak słyszą, że w klasie jest dziecko z pieczy zastępczej, no to już, o nie, tragedia będzie. Co to się wydarzy? Moje dziecko ucierpi, nie będzie z nim chodziło. No nie, to tak nie wygląda. Dlatego też sobie myślę, że szerzenie tej wiedzy. Szukanie odpowiedzi na pytania: skąd te zachowania u dzieci? Czym jest w ogóle piecza zastępcza? Dlaczego to dziecko trafia? Co to jest za instytucja? Jest bardzo ważne dla takiej wiedzy społecznej. W ogóle nauka społeczeństwa jest fajna, bo rozszerza horyzonty. I wiele osób jak zrozumie, to jest łatwiej przyjąć wiele rzeczy, nie?

Mówisz o szerzeniu wiedzy i o tym, że ta wiedza społeczeństwa jest niewielka, dotycząca pieczy zastępczej. Co ty chciałabyś, żebyśmy my wiedzieli na temat pieczy zastępczej?

To jest trudne pytanie, bo chciałabym, żeby ludzie wiedzieli dużo. Chciałabym, żeby nie patrzyli tak krzywo na dzieci. Na ostatnim szkoleniu usłyszałam od naszych kandydatów na rodzinę zastępczą zawodową, że dla nich trudne jest to, jak idą do sklepu, a ich dziecko się w tym czasie odpala, w tym sklepie na przykład. No i oni wiedzą, muszą wyczekać, w odpowiedni sposób zareagować, no przecież nie będą go ciągnęli do samochodu i koniec, nie? I słyszą takie komentarze ludzkie, że „jak on się zachowuje, Boże, on jest chyba chory". Albo dziecko zapytało mamę: „mamo, dlaczego on jest taki niegrzeczny? No wiesz, no chyba jest nienormalny". Chciałabym uniknąć czegoś takiego, bo słowa bardzo ranią.

Słowa ranią i potrafią naprawdę chyba zrobić coś gorszego niż krzywda cielesna,

bo tworzą ogromną rysę na naszej psychice, a te dzieciaki już są z bardzo niskim poczuciem własnej wartości i takie słowa, które się słyszy od obcych ludzi, którzy nie znają naszej historii, są bardzo trudne. Więc myślę sobie, że to zrozumienie to chciałabym, żeby ludzie nie patrzyli krzywo, nie oceniali, tylko się zatrzymali i niech przemilczą po prostu. Niech przemilczą i pójdą dalej.



ZAWSZE TO POWTARZAM. POMAGANIE MA SENS.

JOANNA EGIERSKA-MROŻEK

„Aśka zawsze się zgłosi” – tak mówią o niej koleżanki i koledzy. Energetyczna, z sercem na dłoni. Z takim podejściem w pomocy społecznej pracuje od pawie 40 lat. Spotykamy się w piątkowe wczesne popołudnie. Wyrywam ją z szeregu obowiązków. Ale nie pospiesza, jest uważna i skupiona. Rozmarza się, kiedy pytam o plany. Bo w tym tempie życia marzy o domu wśród zieleni.

„Aśka zawsze się zgłosi” – tak mówią o niej koleżanki i koledzy. Energetyczna, z sercem na dłoni. Z takim podejściem w pomocy społecznej pracuje od pawie 40 lat. Spotykamy się w piątkowe wczesne popołudnie. Wyrywam ją z szeregu obowiązków. Ale nie pospiesza, jest uważna i skupiona. Rozmarza się, kiedy pytam o plany. Bo w tym tempie życia marzy o domu wśród zieleni. Joanna Egierska-Mrożek jest pracownikiem socjalnym, specjalistą pracy socjalnej w Miejskim Ośrodku Pomocy Rodzinie w Gdańsku.

Ma pani na swoim koncie ponad 38 lat doświadczenia i bardzo jestem ciekawa, jak zmieniała się nasza rzeczywistość kiedy zmieniały się przepisy, kiedy zmieniało się podejście też do pomocy społecznej? Do jakich wniosków pani dochodzi? Idziemy w dobrą stronę?

Trudno powiedzieć, bo w 1988 roku przyszłam do pracy. Ta praca inaczej kiedyś wyglądała. Skupialiśmy się bardziej na pomocy stricte w środowisku, więc mieliśmy więcej czasu dla tego seniora, dla rodziny, dla osoby niepełnosprawnej. Później wyszło bezrobocie w latach, początek lat 90. I też już był inny rodzaj klienta. I było mniej biurokracji. Z uwagi na to mieliśmy więcej czasu dla środowiska, dla osoby potrzebującej. Często to była pomoc taka tu i teraz, czyli usługi opiekuńcze, pomoc finansowa, ale czasami porozmawianie po prostu z jakąś samotną seniorką czy seniorem. Teraz na przestrzeni tych wielu lat coraz więcej biurokracji wślizgnęło się. Klient jest już inny. Są to osoby często z depresjami po jakichś przejściach, z różnymi schorzeniami, czy też po prostu inne dysfunkcje wymagają wsparcia naszego czy gminy. Ubolewam nawet nad tym, że tego czasu dla klienta jest mniej i to właśnie się zmieniło. Przepisy też oczywiście. Ustawa o pomocy społecznej jest modyfikowana.



Jest dużo takich grantów, dofinansowań dla rodzin, dla dzieci plus jeszcze z różnych instytucji, takich dla osób niepełnosprawnych. Więc tutaj ta gama wsparcia jest duża. Dodatkowo jeszcze mamy psychologów, prawników, gdzie kiedyś tego nie było. No i też mamy rzesze pracowników socjalnych, tak? Specjaliści to już są w tej chwili wyszkoleni, wykształceni, oprócz tego z ogromnym doświadczeniem. Więc myślę, że to się zmienia. Chciałabym, żeby się prestiż też przy tym zmienił naszej pracy, naszego zawodu.

Pani opowiada o tym, że do pracy przyszła spontanicznie...

Tak. Chciałam zostać przedszkolanką, bo pochodzę z rodziny, gdzie moi dziadkowie i rodzice byli nauczycielami. No i chciałam powielić to, natomiast bardziej jako nauczyciel przedszkola. Lubię kontakt z dziećmi i lubię po prostu dzieci, natomiast koleżanka szła i mówi „a chodź tutaj zobaczymy tą szkołę”. Ja mówię, „ja jakieś biurokracja, nie, jakieś wywiady to nie dla mnie”, ale jak byłam już na praktykach, bodajże na drugim roku, to po



prostu tak mi się spodobała ta specyfika, bo jest taka różnorodność dzieci. Nie ma jednej ścieżki czy też osoby, z którą się stykamy, nie ma monotonii. Cała chwila coś się dzieje, jest jakaś akcyjność, interwencje. Oczywiście jest zakres obowiązków taki, który do nas zadaniowo podlega, natomiast możemy sobie na przykład zaplanować jakiegoś dnia od pierwszej godziny do ostatniej, bo często pracujemy interwencyjnie.

I to niesienie pomocy dało mi takiego bakcyla, że to na chwilę stało się tym 38 rokiem mojej pracy.

Mówi pani o tej takiej nieprzewidywalności czasami tego dnia, który pani towarzyszy, ale to chyba tak odpowiada pani charakterowi, prawda? Który jednak nie lubi nudy i lubi, kiedy coś się dzieje.

Tak, ja jestem takim niespokojnym duchem. Jest akcja, jest od razu spontaniczna moja reakcji. Dzieją się rzeczy takie nagłe, pod tytułem powódź, właśnie wybuch gazu tutaj w Gdańsku na Abrahama, nawet powódź w Polsce. Przeszliśmy przecież na przestrzeni tych ostatnich 20 lat czy więcej. Powodzie nawiedzały nasz kraj, więc pracownicy, inne służby, ale w tym pracownicy socjalni bardzo angażowali się i nieśliśmy pomoc na południu kraju. Między innymi rok temu nasz MOPR intensywnie zaangażował się i byłam z jedną z kilku koleżanek i kolegów, którzy gminę Głuchołazy wspierali.

Jest pani taką agentką do zadań specjalnych, bo jak przychodzi zadanie, to jak już nie ma kto pojechać albo ktoś się nie może zdecydować, to wiadomo, że pani Joanna będzie na tej pierwszej linii frontu.

Myślę, że tak, że właśnie koledzy, koleżanki wiedzą, że „Aśka zawsze się zgłosi” i robię to po prostu w sposób spontaniczny, bo lubię. To przynosi mi przede wszystkim kolejne doświadczenia, kontakt z nowymi ludźmi, kontakt z taką nową rzeczywistością, takim zetknięciem się naprawdę z dużym, dużym problemem, ale

To są osoby często z problemami, bo do nas raczej nie przychodzą osoby mega szczęśliwe i bogate, natomiast mają tak wiele doświadczeń w swoim życiu, że warto jest tego nawet posłuchać, pochylić nad tym i wspólnie, bo to też zależy nie tylko ode mnie, ale też od samego podopiecznego, żeby chciał zmienić coś w swoim życiu.



przy rzeszy ludzi, specjalistów, bo wtedy naprawdę angażuje się wiele służb i sztabów, no przynosi to taki wymierny efekt, tak? I to jest właśnie z tego frajda.

Wspominała pani o powodziach, które nawiedzają nasz kraj. Była pani właściwie przy wszystkich powodziach.

Myślę, że tak. Zaczęło się w 1987 roku. Wielka woda na południu Polski Wrocław, Kłodzko, Lądek Zdrój i następnie tutaj w 2001 była na Oruni, gdzie pracuję zawodowo. Mieliśmy ogrom pracy. Później w 2010 w Sandomierzu Wisła jak wylała. To też gminy wspieraliśmy pod Sandomierzem. No i teraz w ubiegłym roku, na południu Polski.

Co daje takie doświadczenie pracy w takim tak dużym kryzysie i w obliczu katastrofy?

Takie zetknięcie się z rzeczywistością. Bo oczywiście w mediach jest to dostępne, ale jak jest się już wśród tych ludzi, widzi się tę skalę zniszczeń to najpierw jest taka bezradność. Boże, to niemożliwe, że może do czegoś takiego dojść. Ktoś stracił życie, ktoś stracił dorobek całego życia i tam pracownicy socjalni, którzy też wspierali, też byli dotknięci, przecież wszyscy tym dramatem i zetknięcie się właśnie z tym problemem dodaje takiej energii. Kurczę, no trzeba, trzeba działać. Nie można biadolić, tylko trzeba działać.

I właśnie przy współudziale wielu osób to się udaje. I na pewno w pojedynkę byłoby bardzo trudno.

To dodaje skrzydeł kolejnym osobom, ludziom, którzy się z tym ścierają, tak samo i mnie, że jest tyle osób, tyle ludzi, którzy chcą pomagać. I przy współudziale takiej licznej grupy można zrobić naprawdę wiele, wiele dobrego.

I można wtedy iść przez życie z taką pani dewizą, czyli to, że pomaganie ma sens. Jak najbardziej. Tak, tak. Zawsze to powtarzam. Pomaganie ma sens.

Pomaga Pani na wielu różnych polach, no bo wspiera i dzieci, i seniorów, osoby bezdomne, osoby z niepełnosprawnością, nawet rodziny romskie. Wspiera pani także uchodźców. Dużo tego jak na jedną osobę, która oczywiście pracuje w zespole, natomiast to jest dużo takich zagadnień i takich pól, na których pani może realizować tę dewizę, czyli pomaganie ma sens.

Wcześniej wspominałam, że nie lubię jakiejś takiej monotonii, rutyny i dlatego takie nowe doświadczenia, czyli kolejne, zmierzanie się z uchodźcami, też byłam jedną z pierwszych osób zaraz po wybuchu, dosłownie w trzeciej dobie po wybuchu wojny w Ukrainie, Urząd Miasta i tak dalej, inne służby organizowały sztab w Gdańsku. Potrzeba było po prostu szybciutko pracowników, którzy umieją posługiwać się językiem rosyjskim bądź ukraińskim. To ja z kilkoma osobami zgłosiłyśmy się od razu. To było bardzo trudne dla mnie, wręcz wypalające takie doświadczenie. Rodziny romskie, tak, jest tutaj u nas projekt prowadzony kolejny rok. I też wspieramy. To też kolejne doświadczenia, zmierzenie się też z kulturą tych osób, co jest bardzo ciekawe. Jest to tak dla mnie niezmiernie ciekawe i interesujące. Więc ja w to wchodzę i jestem tym bardziej zaangażowana.

Co pani daje taką największą satysfakcję?

Myślę, że po prostu praca w ogóle z człowiekiem. Słuchanie go. To są osoby często z problemami, bo do nas raczej nie przychodzą osoby mega szczęśliwe i bogate, natomiast mają tak wiele doświadczeń w swoim życiu, że warto jest tego nawet posłuchać, pochylić nad tym i wspólnie, bo to też zależy nie tylko ode mnie, ale też od samego podopiecznego, żeby chciał zmienić coś w swoim życiu. Ma swoje zasoby, więc jakąś rozmową motywacyjną można go skłonić, tak? Pomału, pomału do jakiejś takiej zmiany. Natomiast musi sam chcieć, tak? Tej zmiany.

I to mi daje satysfakcję, kiedy widzę, że osoba sama dostrzega, że ma mimo wszystko potencjał i ludzie



przychodzą do nas po moc.
Moc, moc, którą my dajemy moc i przy okazji dostają tą pomoc. I to jest tak ie ciekawe, tak? Żeby jakby też kierunkując rozmowę, uświadomić klientom, że my jesteśmy po to, żeby pomagać, ale też dawać tą moc do działania.

Jest pani z natury sową, czyli lubi to nocne życie. Z czego to wynika i co pani daje to, że może sobie tak trochę w ciszy jednak posiedzieć?

Tak, jak jestem w ciągu dnia tak naładowana bateriami. Terminowość, spotkania i ciągle w biegu, ciągle coś trzeba dokończyć, poprawić, porozmawiać, przejechać z punktu A do B, więc wiecznie coś się dzieje i jestem jakby w ruchu takim dosyć dużym, więc jak już przychodzi chwila już w domu, po południu, odpoczywam sobie parę minut i później mogę pracować, czy też zająć się sobą, czymkolwiek, jakimś swoim zajęciem i chodzę późno spać. Pierwsza, druga w nocy, czasami trzecia i wtedy lubię posłuchać sobie muzyki jazzowej, przy której lubię sobie popracować bądź poczytać po prostu. Poczytać, pomyśleć, poanalizować, co jeszcze, czego nie zdążyłam, nad czym się muszę jeszcze pochylić.

Jednak w przypadku tych zainteresowań i muzycznych i literackich, to trzeba przyznać, że też jest taka ogromna różnorodność, prawda? To nie jest tak, że lubi pani jeden rodzaj muzyki i jeden rodzaj książek. Tutaj też jest całe spektrum.

Tak, jak potrzebuję się wyciszyć, to słucham sobie muzyki jazzowej, natomiast jak potrzebuję więcej energii, żeby we mnie jeszcze coś wstąpiło, no to właśnie lubię sobie rocka posłuchać. Lubię taniec też. Lubię tam nawet sama ze sobą gdzieś tam w mieszkaniu poskakać, żeby też wyładować pewne emocje, które gdzieś tam tkwią. Praca z ludźmi jest wypalająca, ale trzeba sobie z nią radzić właśnie. I robię to w ten sposób.

Lubi pani też robić zdjęcia. Zatrzymywać momenty w kadrze.

Tak, bardzo lubię. Już od dzieciństwa jeszcze były takie czarno-białe zdjęcia, wywoływało się. Szczególnie lubię naturę, architekturę. Dzieciom robiłam sporo zdjęć bądź zwierzakom. Nie jest to łatwe, bo są ciągle w ruchu. Tak, no też lubię wschody i zachody słońca dokumentować. Uwielbiam jeśli tylko mam możliwość poza miastem przebywać o tej porze, o tej tak zwanej „złotej godzinie". Wtedy wychodzą wspaniałe zdjęcia. I po prostu lubię. Nie publikuję tego nigdzie, natomiast lubię je zachowywać i chwalić się bliskim z takich ciekawych ujęć właśnie, które udało mi się sfotografować.

Pochodzi pani z Warmii. Co spowodowało, że wybrała sobie pani to Pomorze na miejsce do życia?

Mieszkała i mieszka tu moja rodzina, mojej mamy i od dziecka przyjeżdżałam nad morze. To imponowało mi właśnie Gdańsk, Trójmiasto i tutaj się uczyłam i tak już, no, przeszło 40 lat mieszkam w Gdańsku. Ale uwielbiam jeździć na moją Warmię, moją, naszą. Tam mam bliskich, najbliższych i moja starsza córka wyjechała i mówi, że „mamo, ja już tu zostaję na tej Warmii". Mój mąż i córka też uwielbiają przyjeżdżać. Każdą wolną chwilę, to jest dwie godziny drogi, więc jeździmy i w weekend, czasami spontanicznie, nawet w sobotę. Jezioro, las, natura, łąki. Ten zapach natury i taka błoga cisza, spokój, bo to jest nieduże miasto, Biskupiec, za Olsztynem, w okolicy Mrągowa. Jest cudnie o każdej porze roku.

Jest pani taką bardzo zajętą, energetyczną osobą i tak było właściwie przez całe życie. Ma pani dwie córki, już dorosłe i męża i tak sobie myślę, że potrzeba takiego dużego wsparcia i wyrozumiałości ze strony tej rodziny, żeby mieć w domu taką osobę, która też daje z siebie tak dużo dla innych.

Tak. Właśnie tej wyrozumiałości. To jest to, że z mężem tak dobraliśmy się. Córki też szanują to, co robię, zawsze szanowały. Ja też uwrażliwiłam bliskich, zresztą może nie jakoś, bo są na tyle wrażliwe, że wiedzą, że trzeba pomagać. Ale chodzi też o to, żeby to było szczere, niewymuszone. W różne akcje włączaliśmy się całą rodziną. Taka akcja jest od wielu lat, każdy może pomóc, paczki robiliśmy i to też przynosiło moim córkom taką przyjemność, że nie tylko branie, ale też dawanie daje taką energię.

I myślę, że właśnie ta wrażliwość, ale ta wyrozumiałość przede wszystkim bliskich pozwala mi na realizację swoich zadań zawodowych,

bo widzą, że jestem bardzo zaangażowana i poza tym nie zmieniłabym chyba swojego zdania, więc może nawet ulegli temu, że praca jest moją pasją.

Dużo radości pani to daje, prawda?

Tak, bo nie byłabym tutaj. Ja już mogłabym być na emeryturze, ale nie myślę wcale o niej, bo chcę się dalej realizować



zawodowo.

Ma pani jakieś takie swoje marzenia? Marzenia do spełnienia albo plany?

Marzeniem moim zawsze było mieć domek gdzieś na wsi, z dala od ludzi. Tak, żeby mieć taką chwilę dla siebie a później jakbym już sobie odpoczęła, założyłabym na pewno agroturystykę. Czyli chciałabym, żeby przyjeżdżali do mnie goście i miałabym jakąś gromadkę zwierzaków. Ale właśnie łono natury, tak. To jest marzenie moje, właśnie mieć swój taką bazę, takie siedlisko gdzieś. To jest moje marzenie.

To ciekawe, że odpoczynek i łono natury i spokój, ale jednak do tego człowieka cały czas ciągnie.

Tak, ciągnie. Lubię tak odpoczywać bez zegarka, bez telefonu, ale jak już jestem taka spokojna, wyciszona, to już mi brakuje właśnie tej drugiej osoby, czyli człowieka, z którym można porozmawiać, a przy okazji można mu pomóc. W czymkolwiek, chociażby dobrym wysłuchaniem, nawet drobną wskazówką.





CEL JEST POMAGANIE TYM DZIECIOM....

JOANNA I HENRYK LICZNERSCY

Ich dzień rozpoczyna się o 6 rano. Pan Henryk schodzi do kuchni, wstawia wodę na herbatę, robi kanapki. Z dwóch bochenków chleba. Pani Joanna budzi się pół godziny później. Razem z nią dzieci. Jest ich jedenaścioro. Potem dzieci są rozwożone do placówek a życie zaczyna nabierać tempa.



Ich dzień rozpoczyna się o 6 rano. Pan Henryk schodzi do kuchni, wstawia wodę na herbatę, robi kanapki. Z dwóch bochenków chleba. Pani Joanna budzi się pół godziny później. Razem z nią dzieci. Jest ich jedenaścioro. Potem dzieci są rozwożone do placówek a życie zaczyna nabierać tempa. Zakupy, poradnie, lekarze, gotowanie, sprzątanie. W organizacji pomaga kalendarz. Taki z dużymi kratkami, żeby wszystko mogło zmieścić się. Gdy nadchodzą święta do stołu zasiada około trzydziestu osób. - To takie małe wesele – śmieje się pani Joanna. - Ale my po prostu lubimy być wszyscy razem – po chwili dodaje. Joanna i Henryk Licznerscy od 10 lat są rodzinnym domem dziecka a od ponad 7 rodziną zastępczą.

Kiedy w waszych głowach zakiełkował pomysł, żeby pod swój dach przyjąć dzieci? Szczególnie, że to był ten czas, że wy jako rodzice trójki dzieci, mieliście już tak trochę spokoju, bo te dzieci odchowane, a tu nagle pojawił się taki pomysł - to stworzymy komuś dom.

Joanna: Jeszcze jak mieliśmy nasze dzieci małe, biologiczne, często oglądaliśmy to w telewizji. Pokazywali, że szukają gdzieś tam rodziny dla dzieci, coś tam się wydarzyło i zaczęliśmy już wtedy myśleć. Ja do męża mówiłam, może byśmy wzięli, mamy trójkę dzieci, mieszkanie było dość spore, ale mąż mnie tak troszeczkę zbił z tego. Że na razie mamy swoje jeszcze małe, zaczekajmy, odchowajmy nasze a wtedy zobaczymy co dalej. No i później ja wymyśliłam, żeby kupić dom, bo mieszkaliśmy w blokach. Zamieszkaliśmy więc w Kałdowie. Nasze dzieci już dorosły i obserwowaliśmy po sąsiedzku rodzinę, która była już rodziną zastępczą i mieli trójkę dzieci i ja wtedy do męża mówię, chyba nadszedł ten czas, nasze dzieci zaczęły wyfruwać nam z domu, usamodzielniać się, chłopcy ożenili się, córka za mąż weszła i mówię - zostajemy sami na tym dużym domu, co będziemy robić, choć spróbujemy też. No i zrobiliśmy szkolenie i tak dostaliśmy trójkę dzieci i tak się zaczęła cała przygoda z tymi dziećmi. A że kochamy ich, no to takich traktowaliśmy jak własne, wszędzie z nami jeździli, gdziekolwiek nie jechaliśmy czy do Anglii do naszych biologicznych dzieci, to wszędzie razem. I tak przez siedem lat mieliśmy tą trójkę. Potem zrodził się mi pomysł, żeby kupić tu w Kościeleczkach dom. Duża posiadłość, duże podwórko, duży dom. Zrodził się pomysł, by w przyszłości wziąć więcej dzieci. I mąż mówi, no bał się tego wszystkiego od nowa zaczynać, ale no w końcu dał się namówić, żeby kupić ten dom. Przyjechała do nas dyrektorka, nasza koordynatorka, sprawdzili warunki i mówią, że możemy zostać rodzinnym domem dziecka. I tak zaczęły do nas przybywać dzieci. Mieliśmy Adasia przez mniej więcej rok i trzy miesiące a zabraliśmy go, jak był noworodkiem ze szpitala. Nasze serca podbił tak bardzo, że płakaliśmy za nim jak odszedł od nas do adopcji. Potem po nim dostaliśmy trójkę dzieci następnych. No i potem znowu się zdarzyło, że znowu trójka była dzieci zabrana z domu. I tak zaczęliśmy przyjmować i doszliśmy do jedenaściorga dzieci.

Pan pamięta kiedy żona powiedziała, to może byśmy spróbowali i takie dzieci do nas przygarnęli? A pan powiedział: no to może jeszcze chwila, może najpierw zajmijmy się swoimi.

Henryk: To było tak, że nasze dzieci były małe. Ja sam pracowałem, żona nie pracowała. Kiedyś jak dorosną nasze dzieci, usamodzielnią się, to może podejmiemy tę pracę w wychowaniu dzieci i podzielimy się domem. No i tak jak żona mówiła, że w Kałdowie kupiliśmy dom, sprzedaliśmy mieszkanie.

Zostaliśmy rodziną zastępczą a ponad 7 lat temu przekwalifikowaliśmy na rodzinny dom dziecka.

Czy pamiętacie ten moment, kiedy ta pierwsza trójka do was przyszła?

Joanna: Tak, jak ich wzięliśmy do siebie, to były dwie dziewczyny, które już usamodzielniły się, odeszły. To były dwie dziewczyny z lekkim upośledzeniem, były bardzo trudne. Po pierwszej nocy byłam przerażona. Nie byłam pewna czy my damy w ogóle radę, bo to były dziewczyny chore. Wszystkiego musiały się uczyć. Zaczęłam się obawiać. Ale po jakimś czasie jakoś tak do nich się przyzwyczailiśmy i pokochaliśmy, bo one dały się szybko pokochać. Były takie dziewczyny, że naprawdę. No i chłopiec tak samo, ale ten jeden chłopiec po roku czasu odszedł do adopcji i wtedy pojawił się jeszcze Marcel, ten właśnie 18-letni, który jest z nami do tej pory. I cały czas mówi, że nie odejdzie od nas, traktuje nas jak rodziców. My mówimy, że w końcu musisz się usamodzielnić, bo kiedyś trzeba, ale on jakoś tak nie bardzo się rwie do tego usamodzielnienia. A że my go kochamy bardzo, dużo rzeczy mu wybaczamy ciągle i on to wie, że jestem taka, że mu wybaczam. Ciągle go ratowałam z tarapatów, bo wszędzie się pchał, gdzie złe towarzystwo, to on wszędzie. I ciągle musiałam, jak nie w szkole go ratować, to na policji, w sądzie, wszędzie musiałam prosić, żeby jeszcze tę jedną szansę i ciągle mu daję tę szansę. On też okazuje nam tą miłość, nawet



Trzeba mieć jedno do drugiego cierpliwości. Trzeba też czasami jedno drugiemu ustąpić.

w szkole, bo tam chodzi do pedagog. Więc pedagog do mnie nieraz dzwoni i mówi, pani Licznerska, my jesteśmy tutaj w szoku, w całej szkole. Ja mówię, co znowu nabroił, ja już nie mam sił do niego. A ona mówi, nie, nie, my tutaj, mówi, nie możemy tego pojąć, jak ten chłopak jest bardzo za wami – mówi. On nie da słowa powiedzieć na was. „Moja mamuśka, mój tatusiek, oni mnie kochają, to są moi rodzice i koniec”. I tak do dziś cały czas, chociaż nieraz dostanie ode mnie jakiś tam ochrzan, no bo różnie to bywa, ale za chwilę mi to przechodzi. No i on wie, że ja jestem taka miękka do niego.

Tacy rodzice z wyboru.

Joanna: Tak, tak, tak. Nasze biologiczne dzieciaki też jakoś tak traktują te dzieci tutaj, co przychodzą, jak naszą taka wielką jedną rodzinę. Kiedy święta robimy czy cokolwiek innego to zawsze razem. Kiedy przygotowujemy jedzenie to razem. Które dziecko na ile stać, co może zrobić, to angażujemy i pomagają. Czy sałatkę kroić czy dekorować gdzieś tam ciastka czy ciasto dekorować.

Wszyscy razem to robimy i jest tak wesoło.

Bardzo jestem ciekawa, jak ta wasza codzienność wygląda, natomiast ja wróciłabym jeszcze na moment do tej chwili, kiedy w waszym domu pojawił się noworodek, no bo to jednak jest wyzwanie.

Joanna: To było jak żenił się nasz syn. Dostaliśmy telefon z pytaniem czy przyjmiemy noworodka. Ja mówię: „Boże, jak dobrze, jak cudownie będziemy mieli noworodka w domu” i taka szczęśliwa krzyczę na cały dom „noworodka dostaniemy!”, ale za chwilę mówię: „przecież my mamy, wesele!” Nie pamiętam czy rozmawiałam wtedy z lekarzem z tego szpitala z Gdańska czy z kim, ale poprosiłam – jak mi go przetrzymacie trzy dni to my go od razu bierzemy. I tłumaczę, że mamy wesele syna. Śmiali się z nas później. No i pojechaliśmy po weselu odebrać. Cieszyliśmy się bardzo. Tak go pokochaliśmy, że jak później odszedł do adopcji to z mężem nie mogliśmy dać sobie rady. Płakaliśmy za nim, tęskniliśmy



i powiedziałam już do męża, że więcej noworodków nie bierzemy, bo tak nam było ciężko się pozbierać. Cieszyliśmy się, że znalazł rodziców adopcyjnych, ale ciężko było nam jak ludziom. Przebywaliśmy z nim, pielęgnowaliśmy. Jak miał kolki to po nocach go nosiliśmy na rękach. Kąpaliśmy w wanience, prasowaliśmy pieluszki. I tak się człowiek do niego przyzwyczaił to później bardzo nam do brakowało i już nie chcieliśmy noworodków.

To duże emocje.

Henryk: Tak, duże emocje zdarza się. Tak, że ona mówi, płakaliśmy i już dzisiaj bym miał 14 lat. Duży chłopczyk.

Jaki jest wasz cel taki w tej waszej działalności?

Joanna: Cel jest pomaganie tym dzieciom. Mamy na razie zdrowie jako takie. Miejsce mamy, dzieci kochamy.

Cieszy nas każdy sukces, jak się uczą, a uczą się też bardzo dobrze.

Mamy niektóre dzieci, które bardzo dobrze się uczą. Mają świadectwa z czerwonymi paskami, także też mieliśmy pochwałę tutaj w mieście od Starosty za to, że dobrze się uczy nasz wychowanek, no i stypendia też dostają niektórzy. Niektóre się słabiej uczą, ale znowu tak jak mówię, mają te serce do nas i jakoś tak szanują nas i my ich też szanujemy, nie? Pomagamy.

To jak wygląda wasza codzienność? O której wy musicie wstać, żeby ten wasz dom nabrał tempa?

Joanna: Mąż wstaje o szóstej i robi kanapki na dole.

A ile tych kanapek robi?

Henryk: O, dużo. Dwa chleby trzeba skroić, śniadanko do szkoły. O szóstej rano herbatę wstawiam. Żona wstaje w pół do siódmej. Hasło „wstajemy wszyscy” krzyczy. Dzieci u góry budzą się tego i zaczynają schodzić już do ubierania, do mycia a do szkoły zawożę o w pół do ósmej.

Joanna: Wtedy ja ich pakuję, jak mąż już kanapki porobi, chodzę na dół. Ja ich ubieram szczególnie tych małych, bo jeszcze tak się nie ubierają, no Kubuś to już w ogóle się nie ubiera, trzeba go przebrać. Później leki im rozdaję. Pakuję każdemu po kolei śniadaniówki i wtedy do tych śniadaniówek tam jeszcze dodatkowo do kanapek wkładam owoce, słodycze, co tam chcą, robię im soczki do picia w butelki i wtedy wyruszają. Po jednego przyjeżdża samochód z gminy, zabiera do szkoły, dwóch idzie na autobus, jadą autobusem, bo już są dorośli, mąż resztę bierze w samochód, pakuje i ich rozwozi. A później jak wraca to jedzie po zakupy. Ja na telefonie i tłumaczę co jeszcze potrzeba. Zaczyna się: a to obiad, a to pranie, sprzątanie, tu mam dziewczynę do pomocy, córkę i synową i zięcia. Także my wtedy tu w domu, nie? No i patrzymy co jest dzisiaj na przykład do załatwiania. Czy to lekarz czy jakieś tam inne wyjazdy.





W kalendarz się spojrzy i już wiadomo, w którym dnia co mamy do zrobienia i do jakiego lekarza, czy gdzieś. Tylko rano, duży kalendarz napisany pod każdym dniem, co jest i no i tak się toczy, dzień za dniem leci.

O ten kalendarz też chciałam zapytać. Jak taki kalendarz wygląda? Jak wygląda wasza logistyka, żeby nad tym wszystkim zapanować. Bo każde dziecko ma swoje potrzeby i ma swoje też obowiązki i zadania do zrobienia i gdzieś to wszystko trzeba spiąć, czyli w kalendarzu.

Zawsze jak kupuję sobie nowy kalendarz to szukam takiego, żeby miał duże rubryczki. Tak, żeby można było dużo zapisywać. A mało tego! Mam jeszcze karteczki i na tablicę korkową przypinamy, żeby czegoś tam gdzieś nie zapomnieć. No i tak się toczy to życie pomału, nie?

Pan pewnie dużym samochodem jeździ po zakupy?

Henryk: Busem dziewięcioosobowym i bagażnik duży. Wejdzie bardzo dużo zakupów.

A jak pan kupuje ziemniaki na przykład czy jakieś buraki, czy marchewki, to w workach?

Joanna: Tak, to workami. Patrzymy gdzie są promocje. Pilnujemy i wysyłamy męża, jedź tu do tego sklepu czy do tego. Tam są ziemniaki, tam jest marchewka i wtedy worami kupuje. Mamy tu kawałeczek swojego ogródka. Zatem buraczki czy marchew czy fasolkę to mamy swoje. Zasiejemy wiosną, córka obrabia warzywa, także później pod jesień to wykujemy buraki. A jak kapustę kupimy to też całą beczkę kisimy.

Także to jak wielka rodzina, nie?

To są takie potrzeby wielkie.

A jak pani gotuje zupę na przykład? Ile pani tego zużywa? Ma pani taki duży garnek?

Joanna: Mam, ja mam same duże garnki. Także małego garnka to u nas trzeba ze świeczką szukać. Duże garnki mamy i często wymieniamy, bo niszczą się, zużywają, także gary mamy duże po 15 litrów, nawet i 20 litrów. Jak bigos gotuje, no to wielki gar. Albo gołąbki, bo wszystkie dzieci za gołąbkami przepadają, także jak robimy gołąbki to wielki kocioł, to jakby w restauracji jakiejś było. Dzieciaki to uwielbiają, więc to robimy. Cieszymy się, że dzieciakom smakuje.

Zawsze mówią „mamuś twoje gołąbki to najlepsze i ten bigos to taki dobry", ja mówię to dobrze, to jedzcie.

Jak przychodzą święta i macie te swoje dzieciaki i plus jeszcze swoje dzieciaki biologiczne i dzieciaki, które mają już swoje dzieci, to ile osób zasiada przy takim wigilijnym stole?

Joanna: Jest 26, a jeszcze swatowie do nas przyjeżdżają. U nas jest zawsze tu gwarno, wesoło. Dużo nas tu siedzi. Dostawiamy jeszcze do tego stołu wielkiego, bo on jest rozciągany. Jest tu jak na weselu stół długi. Najlepszy moment jest wtedy, kiedy paczki otwierają. Tyle wtedy śmiechu, bo rozrywają to, szarpią. A później też jest tak samo przy dzieleniu się opłatkiem. Dzielimy się, życzenia sobie składamy. Mamy szopkę postawioną i różne dmuchane ozdoby, także ludzie przejeżdżając tu zatrzymują się, zdjęcia robią, wchodzą nieraz nawet na podwórko tutaj do szopki. Kiedyś nawet zdarzyło się tak, że pan się zatrzymał, przyszedł pod płot i chyba się modlił, bo te figurki mamy na Święta poustawiane. Miło jest i dzieciaki też uwielbiają. Stroją razem z nami, nie, że siedzą i czekają na gotowe. Wszyscy uczestniczą w tym.

Zapytam też was jako małżeństwo - jaki jest wasz sekret na to, że jesteście już razem ponad 40 lat. Trzymacie się dobrze, bo jak was się podgląda i obserwuje, to jest bardzo dużo czułości między wami.



Joanna: Nie wiem. Kochamy się jakoś tak. Trzeba mieć jedno do drugiego cierpliwości. Trzeba też czasami jedno drugiemu ustąpić. Nie jest tak, że zawsze się zgadzamy we wszystkim i jest fajnie, kolorowo, pięknie, też nieraz mamy jakieś zgrzyty, ale potrafimy się też zaraz pogodzić.

Nie ma czegoś takiego, żeby się obrazić i nie rozmawiać. My zaraz rozmawiamy i dalej się żyje, nie?

Henryk: Ja powiem, że żonę sobie to wychowałem. Na jednym piętrze mieszkaliśmy. Mama i teściowa. Domek był sześciorodzinny i dwie rodziny u góry. Jestem 8 lat starszy.

Czyli wy jesteście właściwie całe życie razem?

Joanna: Tak. Mieszkaliśmy razem jako dzieci. On jest starszy ode mnie 8 lat i cały czas byliśmy razem.

Henryk: Na jednym korytarzu byliśmy i zawsze jakoś tak było nam dobrze.

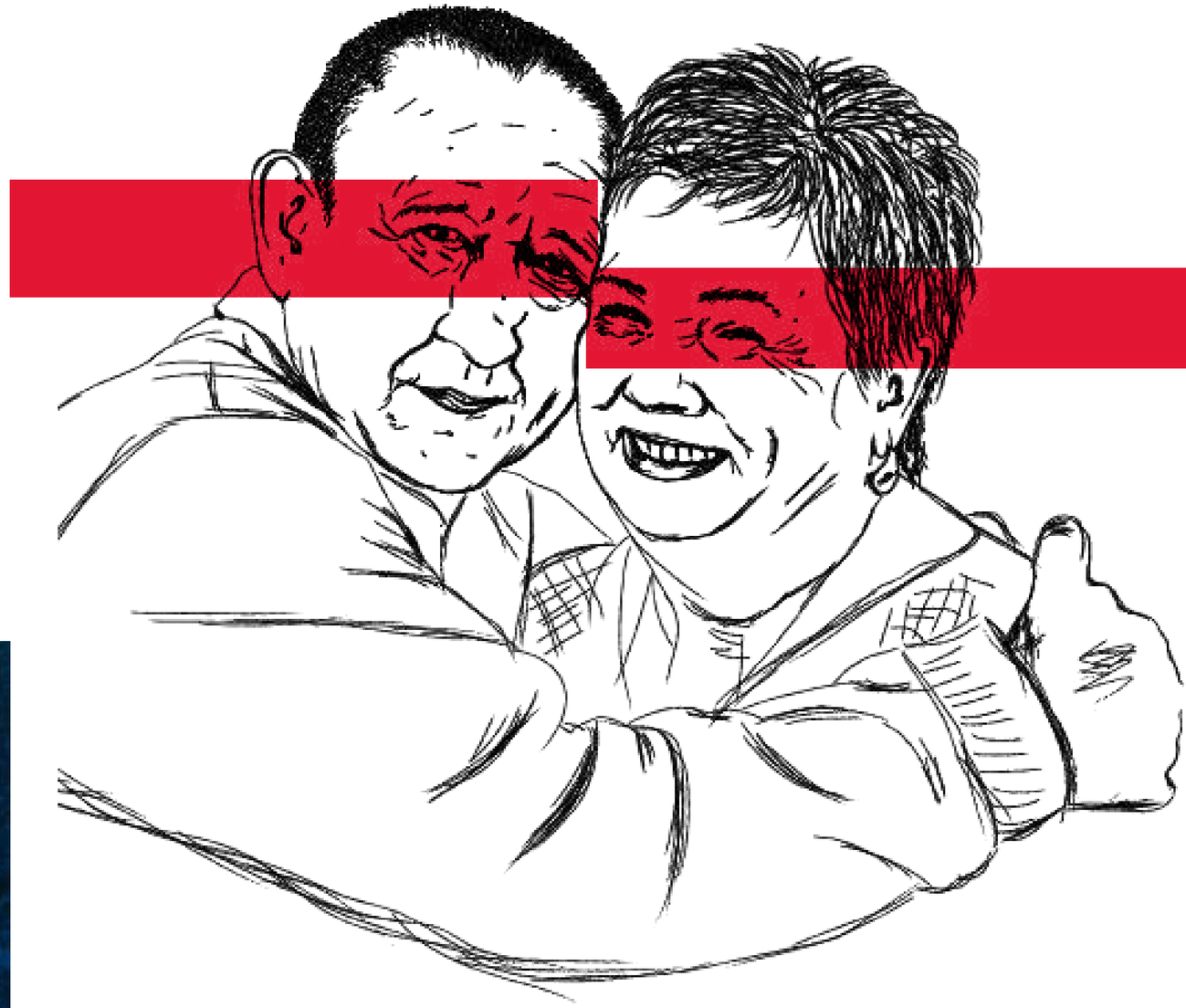
To pytanie na sam koniec: co wy najbardziej lubicie w swojej rodzinie?

Joanna: Lubimy spędzać ze sobą czas. Ja nie potrzebuję nigdzie na wczasy wyjeżdżać, bo nie wyjeżdżam, ale bardzo dobrze dogaduję się ze swoimi biologicznym dziećmi. Zawsze się do nas garną. Nie jest tak, że gdzieś tam się wyprowadzają i ukrywa się kontakt. Zawsze jesteśmy razem. Córka mieszka za płotem, ale jest od rana do wieczora ze mną. Zięć tak samo. Nigdy się nie kłócimy. Mieszkali też z nami parę lat, też nigdy się kłóciliśmy się. Synowa też mieszka blisko, w Kałdowie. Jest też od rana, bo jest pomocową i wnuki też są tutaj. Czasami z dziećmi mamy różne poglądy, ale ja swoje powiem. Dziewczyny gdzieś tam to w sobie przegryzą. Mówią, że mam rację. No czasem nie mam racji. To mówią: „o mamuśka dzisiaj obrażona". Ja mówię, no chyba mam prawo czasami być obrażona? Ale to taka obraza na chwilę. Uwielbiamy ze sobą przebywać i nas to nie męczy. Zawsze mamy jakiś temat ze sobą do przegadania. A to na podwórku uwielbiamy siedzieć. Jak jest lato, to siedzimy na podwórku ze wszystkimi dzieciakami. Nawet te duże dzieciaki twierdzą, że im jest tu dobrze i oni nie potrzebują zmian. Latem mają tu baseny porozstawiane, trampoliny, swoje zabawki, rowery. Mają swój świat. A jak na kolonie pojadą to trzeba się jednak podporządkować. A tutaj robią sobie praktycznie co chcą. Oczywiście pod naszą opieką, ale są u siebie. Zatem nie chcą nawet gdzieś tam wyjeżdżać.

Henryk: Mamy działkę za Kwidzynem. Domki postawione, dwie trampoliny, basen na 40 tysięcy litrów, mały basen dla dzieci, plac zabaw. No nie chcą wyjeżdżać nigdzie. Czy wyjeżdżamy nad jezioro czy tu koło domu, to zawsze razem.

Joanna: A mało tego. Tu jedenaścioro dzieci, ale wnuki też są zawsze z nami. Także my jak gdzieś się razem ruszamy, to zaraz oni tak samo. Nie ma, że my tylko z naszymi dziećmi tymi co przysposobione. Tylko one tak samo, bo też chcą z babcią i dziadkiem.





JA TAK CHYBA „POMAGACZA” W SOBIE MIAŁAM JUŻ OD DZIECKA.

ALEKSANDRA WOŁKOWICZ

W swoim życiu zawodowym nie zajmowała się wyłącznie opieką społeczną. Sprzedawała walizki, ubrania, pracowała jako urzędnik administracji rządowej. Ale chęć pomocy innym była tak silna, że po kilku latach przerwy wróciła do zawodu. Aleksandra Wołkowicz pracuje w Wydziale Reintegracji Osób w Bezdomności Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie.



W swoim życiu zawodowym nie zajmowała się wyłącznie opieką społeczną. Sprzedawała walizki, ubrania, pracowała jako urzędnik administracji rządowej. Ale chęć pomocy innym była tak silna, że po kilku latach przerwy wróciła do zawodu. Aleksandra Wołkowicz pracuje w Wydziale Reintegracji Osób w Bezdomności Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie. Ten wydział pieszczotliwie nazywany jest „wrobkiem". Prywatnie jest wegetarianką, uwielbia zajmować się roślinami, słuchać muzyki rockowej, tańczyć i chodzić po górach. W jaki jeszcze sposób rozładowuje napięcie? Gotując. Na przykład obiady na dwa dni.

Pracownicy tego wydziału mówią o sobie „wrobki". Dlaczego tak pieszczotliwie? Co to oznacza?

Nie wiem. Kiedyś podczas jakiejś rozmowy w pracy, chyba kolega tak rzucił, założyliśmy sobie taką naszą grupę wewnętrzną, na której piszemy sobie różne informacje o różnych akcjach i tak pieszczotliwie „wrobki" o sobie mówimy.

Współpracujesz z kobietami. Jesteś tą osobą, która wykonuje decyzję sądu wtedy, kiedy trzeba to dziecko rodzicom, matce odebrać.

Czasami tak. Jest to taka duża część mojej pracy. Kiedy sąd wystawia postanowienia o zabezpieczeniu dziecka w pieczy zastępczej razem zajmujemy się tym z koleżanką, bo mam swoją partnerkę, tak jak policja w serialach. Razem ze swoją partnerką Pauliną musimy panią powiadomić, że jest takie postanowienie, bo nie zawsze dochodzi w terminie. Oferować pani pomoc, wesprzeć ją, poinstruować jak ma przekazać tą informację dziecku i wyznaczyć termin, kiedy po to dziecko przyjdziemy i razem z mamą zaprowadzimy je na spotkanie z rodziną zastępczą. Ale to jest tylko część mojej pracy. Robię jeszcze wiele innych rzeczy. Kieruję panie samotne do placówek dla osób bezdomnych. Układamy razem plan pomocy. Często są to panie, które nie mają doświadczenia zawodowego, więc kieruję je do Centrum Integracji Społecznej. Pomagamy znaleźć pracę. Jeżeli mają problemy zdrowotne, podpowiadamy, że mogą dostać orzeczenie. Następnie troszkę podbudować swoje zdrowie, troszkę pobyć sobie na naszym zasiłku stałym i wrócić na rynek pracy, kiedy to zdrowie na to pozwala. Pracujemy też z mamami pod kątem podjęcia aktywności zawodowej. Pomagamy mamom znaleźć odpowiedni żłobek. Piszemy mamom te rekomendacje do żłobka, żeby miały dodatkowe punkty. Staramy się wysłuchiwać ich problemów i starać się je rozwiązać. Każdy z nas ma telefon służbowy, więc te mamy w każdej chwili w ciągu dnia mogą do nas zadzwonić, zwierzyć się. Zazwyczaj, kiedy nie jesteśmy na żadnej interwencji, bo to kolejna część mojej pracy, te telefony odbieramy i wtedy staramy się jakoś wesprzeć. Bo duża część pracy to również interwencje i to nie zawsze zaplanowane

Która część twojej pracy, w twoim odczuciu, daje ci najwięcej satysfakcji?

Kiedy widzę, że mamy zaczynają sobie lepiej radzić w opiece nad dziećmi. Niestety w ostatnim czasie to tak mało miałyśmy takich sytuacji, ale jednak są.

Nas cieszą takie malutkie sukcesy naszych klientów, jakiekolwiek by one nie były.

A to, że jakaś pani podejmie pracę, a to, że jakaś pani nie pracowała 40 lat i nagle poszła na przykład na jakieś szkolenie. Że w ogóle coś zrobiła. A to, że ktoś skończył terapię uzależnień. To czasami są naprawdę takie małe rzeczy, ale nas bardzo cieszą. Mamy klientów, którzy się usamodzielniają. Nie ma ich zbyt wielu, niestety, bo pracujemy z osobami bezdomnymi. To są osoby, które potrzebują naprawdę dużego wsparcia, długofalowego i to tych sukcesów nie będzie od razu. Ale mimo to mamy jakieś takie sukcesy, że panie wyszły z tej bezdomności. I bardzo się z nich cieszymy.

Czy masz jakieś takie swoje historie związane oczywiście ze swoim życiem zawodowym, z tymi osobami, które stanęły na twojej drodze? Z tymi osobami, którym pomagałaś. Które teraz jak sobie o tym pomyślisz, to robi ci się tak ciepło na sercu?

Tak. Nawet przed swoim urlopem w sierpniu w swojej osiedlowej Żabce spotkałam panią, którą pamiętam jeszcze z 2014 roku. Przybywała już wtedy w ośrodku dla bezdomnych kobiet w domu samotnej matki. Radziła sobie kiepsko. Natomiast przeszła metamorfozę i naprawdę teraz radzi sobie świetnie. Pani od kilku lat w ogóle nie korzysta z pomocy społecznej. Pracuje, wynajmuje mieszkanie, więc tutaj taka bardzo fajna sytuacja. Czasami spotykam ją jeszcze, bo ja w Wydziale Reintegracji Osób Bezdomności pracuję trzy lata. Wcześniej wiele lat byłam asystentem rodziny w Centrum Pracy Socjalnej 8 i też spotykam z tego centrum jeszcze swoich klientów, którzy już dzisiaj nie korzystają z pomocy ośrodka. I to jest takie fajne, bardzo budujące.

Można powiedzieć, że jak się żegnasz



Myślę, że bez tego, że jesteśmy tak fajną drużyną, to nikt z nas by nie dał rady, bo tutaj naprawdę trzeba robić czasami kilkanaście rzeczy naraz i się jeszcze do tego nie pomylić. I jeszcze wspierać, i jeszcze odpisać na pismo, i jeszcze przyznać pomoc, wydać skierowanie i to wszystko trzeba zrobić w ciągu ośmiu godzin pracy.

z taką osobą, to masz ochotę mu powiedzieć, mam nadzieję, że nie zobaczymy się już w takich okolicznościach.

Tak, jest tak śmiesznie teraz, bo ja w takich różnych sytuacjach życiowych spotykam tych klientów. Parę miesięcy temu też spotkałam taką panią. Byłam ze swoim dzieckiem na zakupach, kupować buty i patrzę, oj, idzie ta moja pani Kasia. I zupełnie inna osoba, nawet wizualnie wygląda naprawdę dobrze, zupełnie inaczej, niż wyglądała te kilkanaście lat temu. I widzę, że prosperuje jak normalny, zdrowy człowiek. I to jest naprawdę super.

To był jak 2008, kiedy zaczęłaś pracę. Skąd wiedziałaś, że to jest to miejsce, że to jest ten zawód, że to jest właśnie taka forma zawodowa, którą ty chcesz uprawiać, czyli pomagać?

Ja tak chyba „pomagacza" w sobie miałam już od dziecka. Troszkę ukształtowała mnie kultura punkowa i tam jest takie inne podejście do człowieka, jest tolerancja. Angażowałam się wtedy w pomoc różnym organizacjom. I na czas studiów stwierdziłam, że nie chcę na razie pracować w Ośrodku Pomocy Społecznej. Wolę porobić sobie jakieś tam inne rzeczy, bo ja w życiu robiłam naprawdę dużo rzeczy. Pracowałam chyba dosłownie wszędzie. W biurze, w sklepie. Sprzedawałam walizki, sprzedawałam odzież, pracowałam w DPS-ie. Także pracowałam jako urzędnik administracji rządowej. Miałam właśnie taką przerwę tutaj w pracy w ośrodku. Po urodzeniu mojego dziecka byłam taka troszkę wypalona zawodowo. Stwierdziłam, że już chyba nie chcę patrzeć na to cierpienie tych dzieciaków. I odeszłam z pracy. To było chyba 2017 czy 2018 rok. I poszłam do pracy w administracji rządowej. Byłam sobie panią urzędnik nie chodzącą w teren.

Nie miałam kontaktu z podopiecznym, ale bardzo mi tego brakowało.

I mimo tego, że miałam umowę na czas nieokreślony, mogłam tam być do emerytury, po tych kilku latach stwierdziłam, że wracam. No i nie żałuję tego.



A jak wyglądał ten powrót z tej funkcji urzędnika, z funkcji tej osoby, która nie ma kontaktu jednak z innymi ludźmi do takiej pracy, która psychicznie może być obciążająca?

Te kilka lat przerwy chyba spowodowały u mnie coś takiego, że ja już się pogodziłam z tym, że ta pomoc społeczna we mnie siedzi. Ja trochę odpoczęłam i trafiłam w miejsce do naszego „wrobka" i czułam się troszkę jak małpka w zoo, bo ja pracowałam w różnych miejscach też w naszym ośrodku. Byłam asystentem rodziny, pracowałam w różnych projektach. U nas we „wrobie" bardzo dużo się dzieje, bo praktycznie codziennie mamy nowych klientów. Jest u nas strasznie duży harmider. Jak ktoś popatrzy czasami z boku, to może sobie pomyśleć je, no wariatkowo. Naprawdę, trzeba robić



czasami kilkanaście rzeczy jednocześnie. Natomiast mamy mega fajne kierownictwo, charyzmatyczną koordynator, mam super kolegów, z którymi się wspieramy. Myślę, że bez tego, że jesteśmy tak fajną drużyną, to nikt z nas by nie dał rady, bo tutaj naprawdę trzeba robić czasami kilkanaście rzeczy naraz i się jeszcze do tego nie pomylić. I jeszcze wspierać, i jeszcze odpisać na pismo, i jeszcze przyznać pomoc, wydać skierowanie i to wszystko trzeba zrobić w ciągu ośmiu godzin pracy.

Więc tutaj taki pozytyw, że my jesteśmy naprawdę mega zgrani.

Jesteś też osobą, która ma bardzo dużo zainteresowań. Taniec i muzyka były w twoim życiu od zawsze.

Tak, tak. Ja kocham muzykę, szczególnie rockową, głośną, natomiast już jako dorosła osoba zaczynam słuchać też muzyki klasycznej, otwieram się na różne inne gatunki. Taki taniec i muzyka to zawsze była dla mnie taka odskocznia od tego przybodźcowania w pracy. Ale w trakcie nabyłam też różnych innych takich „odbodźcowaczy", jak ja to nazywam. Ja uwielbiam grzebać w ziemi. Mam swój mały ogródek, w którym sadzę kwiatki, godzinami patrzę się na drzewa, na te kwiaty jak rosną, hoduję różne warzywa. Oprócz tego planuję cały rok wycieczki w góry, bo kocham chodzić po górach. Zaraziłam też moją rodzinę, więc wyjeżdżamy sobie razem w takie miejsca, które jeszcze nie są tak uczęszczane przez turystów, nie w Tatry. Kochamy Beskidy i co roku, od kilku lat jeździmy właśnie w te Beskidy. Jeździmy też z taką myślą, żeby zjeść, bo kocham jeść, kocham gotować i też czasami są takie dni, kiedy wracam na przykład po pracy, mamy dwie interwencje, jakiś taki harmider, to ja rozładowuję napięcie, na przykład, że gotuję obiady na dwa dni. Mam takie sposoby.

A co najbardziej lubisz gotować?

Ja lubię najbardziej gotować jakieś zapie-

kanki warzywne, różne rzeczy z cukinii. Nie jem mięsa, więc jako osoba nastoletnia, która przestała jeść mięso, nie było wtedy u nas stylu produktów wegetariańskich, musiałam się wcześniej nauczyć gotować różne innych rzeczy i teraz myślę, że jestem w tym taką nawet specjalistką. Pewnie gdybym nie pracowała w pomocy społecznej i miała troszkę funduszy, to otworzyłabym restaurację.

Z tym wegetarianizmem jest tak, że wiąże się z tym taka dosyć trudna i traumatyczna historia z dzieciństwa. Proces uśmiercania zwierzęcia zrobił na tobie tak duże wrażenie, że ty przestałaś jeść mięso, czyli jako młoda nastolatka podjęłaś decyzję, że to mięso już na twój stół nie trafi.

Tak, byłam wtedy w sumie jeszcze dzieckiem. Miałam 10 albo 11 lat. To były czasy komuny, gdzie ja pamiętam mama stała jeszcze za kawą w kolejkach na kartki, a tutaj córeczka nagle nie chce zjeść szynki na śniadanie, którą z trudem się zdobyło. Tak, która była luksusem. Natomiast mieliśmy to szczęście, że dziadkowie mieli działkę, na której hodowali warzywa. Hodowali też króliki i kury, które też wcześniej trafiały na stół w moim domu. Natomiast od kiedy ja przestałam jeść mięso, moi rodzice też przestali z tego korzystać. I no miałam troszkę łatwiej. Ta krzywda zwierząt, w ogóle krzywda zwierząt i ludzi jakoś od dziecka robiła na mnie takie wrażenie, że ja

zawsze starałam się pomóc i rozwiązać jakoś problem, żeby nie doprowadzać do tego cierpienia tych ludzi i zwierząt.

I tak już mi zostało chyba.

Kto ci dał takie największe wsparcie, kiedy ty przeszłaś na ten wegetarianizm? Jak to wyglądało?

Moja mama. Moja mama po roku chyba przestała jeść mięso, moja siostra również





i tak sobie w trójkę gotowałyśmy.

Mama i siostra były dla mnie największym wsparciem.

Teraz też my już mamy swoje dzieci z siostrą, nasze dzieci też nie jedzą mięsa, uczymy je szacunku do zwierząt i to jest przekazywane następnemu pokoleniu.

A co najbardziej lubisz uprawiać? Tak troszkę kręcimy się wokół tych takich twoich zainteresowań, bo mam takie wyobrażenie i takie przeświadczenie, że to są takie przestrzenie, które przy tak trudnych historiach, z którymi ty się stykasz w twojej pracy, to one mogą przynosić ulgę.

Ja lubię takie rustykalne ogrody. Taki ogród, jaki miała moja babcia na działce. Często jako mała dziewczynka jeździłam z dziadkami na wieś. Wówczas nie było takich możliwości, żeby jeździć na wakacje za granicę, więc ja swoje wakacje wspominam najczęściej na Kaszubach gdzieś i zawsze podobały mi się te rustykalne ogrody i staram się, żeby mój ogród też tak wyglądał. Kocham kwiaty, kocham motyle. Teraz mam taki śmieszny bluszcz, który kwitnie pod koniec sierpnia i tam zalęga się z 200 motyli. Ja potrafię godzinami siedzieć na leżaku, czytać książkę i gapić się na te motyle, bo sprawia mi to mego frajdę. W ogóle kocham zieleń, kocham przyrodę. Mam małe mieszkanie. Ostatnio policzyłam, że w moim salonie jest 18 kwiatów. Mam całe mieszkanie w kwiatach, cały balkon w kwiatach. Lubię hodować warzywa. W tym roku udało mi się wyhodować pyszny bób i myślę, że w przyszłym roku zrobię troszkę większą plantację, bo zszedł bardzo szybko.

Czy są jakieś sekrety na to, jak ten bób można hodować, żeby to wyrosło w domu?

Ten bób to akurat na działce. Z powodzeniem na balkonie hoduję od kilku lat fasolę strączkową i się udaje. Trzeba podlewać i mówić do kwiatów i strączków i wtedy jest wszystko ok. Ja też czerpię z wiedzy starszych ludzi. Mam koło swojej działki takich dwóch starszych panów, którzy dużo rzeczy mi podpowiadają. Też pamiętam, jak dziadkowie uprawiali warzywa, więc też stąd czerpię wiedzę. W pracy mam koleżankę Mariolę, która również uprawia ogród i też tutaj dostaję wskazówki i inspiracje od koleżanki.

I znowu współpraca.

Bez tej współpracy myślę, że nic na co dzień by nam się nie udawało. I to nie tylko współpraca tutaj między nami też w naszym „wrobku", ale też z placówkami, bo my na co dzień współpracujemy z domami samotnej matki, z placówką też dla kobiet samotnych, ze szpitalami, z przychodniami. My czasami w biegu na przykład musimy klientce załatwić ginekologa, bo przychodzi do nas upośledzona dziewczyna, twierdzi, że jest w ciąży, chcemy jej pomóc. Wiadomo, na wizytę też czeka się bardzo długo, więc chwytamy za telefon, uprzejmym głosem prosimy panią, siostrę środowiskową, czy nie dałoby rady jednak szybciej tej wizyty i zazwyczaj się to udaje. Bo chodzi właśnie o współpracę. Czasami potrzebujemy szybko notatki na przykład na temat funkcjonowania dziecka do sądu, więc dzwonimy do przedszkola. Te wszystkie placówki też najlepiej trzeba objeździć, żeby zobaczyć się face to face, żeby ludzie ci zaufali.

I tak naprawdę w tej pracy współpraca z ludźmi jest najważniejsza. Bez tego nie dalibyśmy rady.



TO JEST PRACA BAZUJĄCA NA RELACJI.

DAMIAN MARKIEWICZ

O motoryzacji może opowiadać godzinami. Nasze spotkanie zaczyna się od krótkiej opowieści o ukochanym samochodzie. Jak przyznaje – samochodziarzem jest od zawsze. Damian Markiewicz jest psychologiem i pracuje w Środowiskowym Domu Samopomocy w Gdańsku. Dba o to, by nie tylko uczestnicy ale i pracownicy dążyli do wykorzystania całego swojego potencjału.

O motoryzacji może opowiadać godzinami. Nasze spotkanie zaczyna się od krótkiej opowieści o ukochanym samochodzie. Jak przyznaje – samochodziarzem jest od zawsze. Damian Markiewicz jest psychologiem i pracuje w Środowiskowym Domu Samopomocy w Gdańsku. Dba o to, by nie tylko uczestnicy ale i pracownicy dążyli do wykorzystania całego swojego potencjału. Uwielbia historię, szczególnie Gdańska, czyta książki, ogląda filmy, gotuje i zbiera gadżety motoryzacyjne. W pracy terapeutycznej lubi kreatywne i pozytywne podejście. Przyznaje, że lubi czasem odpiąć wrotki.

Gdybyśmy mieli zacząć od początku, to czy przypuszczał Pan, że będzie pracował w takim miejscu w jakim pracuje?

Zawarłem to w przemówieniu odbierając nagrodę. Nigdy się tego nie spodziewałem. Nie sądziłem, że trafię do sektora pomocy społecznej, bo jak wielu studentów psychologii nie miałem szczególnego pomysłu na siebie. Wyjechałem jeszcze na jeden sezon pracy fizycznej do Holandii. No i tak ktoś ze znajomych podrzucił mi informację, że w tamtym czasie akurat szukało terapeuty w Stowarzyszeniu Pomocy Osobom Autystycznym do Centrum Aktywizacji w Gdańsku Wrzeszczu. Byłem tam kiedyś na praktykach to uznałem, że skoro wiem jak to wygląda mniej więcej, to czemu nie? Tak się zaczęło. Jesienią 2016 roku zostałem zatrudniony jako terapeuta dorosłych osób z autyzmem właśnie w Centrum Aktywizacji prowadzonym przez Stowarzyszenie Pomocy Osobom Autystycznym. Tam popracowałem dwa lata. Po dwóch latach trafiłem do Środowiskowego Domu przy ulicy Wajdeloty, gdzie właściwie jestem do dziś z małą przerwą, bo miałem też kiedyś fantazję, że będę oficerem służby więziennej. Nieszczególnie mi się tam spodobało, więc po trzech miesiącach w Zakładzie Karnym w Malborku szczęśliwie nikt mnie nie zastąpił na Wajdeloty i mogłem tam wrócić. Później pojawiła się pandemia. W tym czasie przegrupowaliśmy, zmieniliśmy model pracy. W ten sposób zacząłem rozwijać się też w kierunku koordynacji zadań, pisania projektów. Oczywiście w dalszym ciągu pracuję na tej, powiedzmy, pierwszej linii, w kontakcie bezpośrednim z uczestnikami, ale w każdej wolnej chwili próbuję poszukać czegoś, co by nas usprawniło czy przeorganizowało. Pracy, co prawda, mniej nie będzie, ale żeby była ona przyjemniejsza. I tak to toczy od sześciu lat.



Na czym na co dzień polega Pana praca?

Na co dzień jako psycholog z wykształcenia staram się kombinować co zrobić i jakie kolejne nowe oddziaływania na naszych uczestników wprowadzić, żebyśmy jak najwięcej kreowali u nich tych zachowań pożądanych, a postarali się eliminować te niepożądane. Mam tu na myśli agresję słowną, bardzo głośne zachowania, czy różnego rodzaju natarczywości. Staram się też organizować narzędzia pracy dla moich koleżanek i kolegów tak, żeby ich praca też była jak najbardziej przyjemna.



Bo jest to taka branża, w której trzeba kombinować dla własnego dobra.

Według mnie nie można w tej pracy być wyrobnikiem, bo wyrobnik po prostu zamęczy się, znudzi i bardzo szybko wypali. Dlatego chciałbym, żeby każdy z nas miał taką przestrzeń do rozwoju w tym, co go bawi, pasjonuje. Zatem wymiana żarówek w samochodzie z uczestnikami to jak najbardziej. [śmiech] Szukamy odskoczni. Sprawdzam, dogaduję z kierownikiem, czy i jak, kiedy możemy dokonać zakupów, kiedy możemy ruszyć z czymś kolejnym, nowym, czy to w ogóle ma sens. Poza tym oczywiście karmienie, toalety, dbanie o czystość uczestników, rozmowy psychologiczne i te przyjemniejsze, i te mniej przyjemne.

To jakie nietypowe rzeczy, które okazały się terapeutyczne, miał Pan przyjemność robić z uczestnikami?

Osoby z niepełnosprawnością mają wahania nastrojów codzienne. W tym momencie jest dobrze, za pięć minut już jest atak paniki. To jest praca bazująca na relacji. Nie można wejść z ulicy i nagle zacząć rządzić i rozpychać łokciami. Uczestnik musi nas poznać. Jemu to też zajmuje czas. Uczestnicy nie skarżą się na mnie, więc w mojej ocenie ta relacja jest zbudowana i oni wiedzą, że kiedy jestem srogi, to wynika to z tego, co zrobili. A kiedy się wydurniam, to będę się wydurniał tak długo, jak będę miał ochotę, ale jednocześnie nie spowoduje tego, żeby oni się poczuli zagrożeni. Wydaje mi się, że to mamy już w tej relacji wyjaśnione. Pamiętam taki dzień, kiedy jednej z uczestniczek na wózku inwalidzkim coś nie zagrało w jakiejś relacji społecznej w ośrodku. Bardzo się przejęła tym, co powiedziała jej któraś z koleżanek. Poszedłem po kartkę papieru, narysowałem na niej znaczek BMW i po prostu kręciliśmy bączki na środku sali, a na koniec jej powiedziałem, że kierowcy BMW się nie przejmują tym, co inni o nich myślą. Na ten moment zadziałało. Wyszliśmy z tego impasu, że świat jest okropny i ludzie są



To jest praca bazująca na relacji. Nie można wejść z ulicy i nagle zacząć rządzić i rozpychać łokciami. Uczestnik musi nas poznać. Jemu to też zajmuje czas.

okropni. Przeszliśmy od martyrologii do zabawy.

Kiedy Pan odczuwa taką największą satysfakcję?

Właśnie w najdziwniejszych momentach. To są jakieś zderzenia z własną ambicją, z jakimś własnym pomysłem na siebie, kiedy człowiek się już zapętla, że tego jest za mało, tamto jest nie takie, to jest nie tak, jak chciałbym.

Wchodzi się do tej pracy i patrzy się na człowieka właściwie takiego samego jak my, tylko że ten człowiek może jeszcze mniej, bo na przykład jest to osoba z dziecięcym porażeniem czterokończynowym.

Według mnie to jest osoba w normie intelektualnej. Ale ona nie ma żadnych narzędzi, żeby nam pokazać, że rozumie i chce być traktowana jak człowiek. To są właśnie takie zderzenia, kiedy nam, osobom powiedzmy w normie wydaje się, że świat się uwziął i jest zły. Wystarczy rozejrzeć się porządnie i zobaczyć, że i tak dzisiaj świeci słońce i tak śpiewają ptaki. I tak znowu jest wiosna i tak znowu jest zielono. Więc ten krąg się toczy i to tylko od nas zależy, co uda nam się zdobyć w tym życiu. Oczywiście, zachęcam do tego, żeby to wynikało z ciężkiej pracy. Chcemy żyć dobrze to bądźmy dobrzy. Pracujmy dobrze. Zachowujmy się dobrze. Rozmawiajmy z ludźmi dobrze. To są chyba te momenty największej satysfakcji. Oczywiście też takie, kiedy uda mi się te wroteczki trochę odpiąć. Kiedy to z całego tego pana Damiana, który dba o wszystko, gdzieś coś się ulewa i przelewa się ta czara i po prostu jest odłączenie systemu. Kończymy z całą tą papierologią i dokładnością. Sytuacja taka: wy dwie się pokłóciłyście. Macie tu linę, teraz macie przeciąganie liny. Tak to rozwiążemy. Po tym wszystkim proszę się przytulić i kończymy te wasze kłótnie o to, kto komu płytę CD zabrał na przykład.



W jaki sposób znajduje Pan odskocznię, żeby zadbać też o siebie?

W moim przypadku jest to przede wszystkim motoryzacja. Samochodziarzem jestem od zawsze. Nie wiem jak, nie wiem kiedy to się zaczęło. Po prostu zostałem samochodziarzem. Czy to się zaczęło od pierwszego modelu, który dostałem w dzieciństwie, a nawet go nie pamiętam? No po prostu wtedy to się potoczyło. Ja już w tamtym momencie wiedziałem, że mój konik to są samochody. Później już poszło. Zaczynało się oczywiście od kolekcjonowania modeli większych, mniejszych, różnych, wszystkich. Najpierw też służyły jako zabawki, pięć lat później trochę większy Damian zdał sobie sprawę, że gdyby mały Damian tego nie rozwalił o ścianę, to teraz by zdecydowanie lepiej na półce wyglądało. Długi czas zbierałem małe samochodziki. Później trochę podrosłem, a że tata zawsze miał mnóstwo pracy, to na początku frajdą, później już trochę mniejszą było na przykład czy umyć mu auto, czy je odkurzyć. Jak nikt nie patrzy posiedzieć za kierownicą, poudawać, że już mogę. Chociaż pierwsze próby były żałosne bardzo. Prawie wjechałem w śmietnik. Tata zareagował odpowiednio szybko, przekręcił kluczyk, zgasił silnik i zaciągnął ręczny. Obyło się bez szkód. To było takie kombinowanie, marzenie i dokupowanie modeli. A jak będę miał więcej modeli, to się będę czuł dobrze, ale to i tak nigdy nie wystarczyło. Prawo jazdy udało mi się zdać za pierwszym razem, więc wtedy się zaczęło. A tata, a jakbym sam zatankował, to czy mógłbym pożyczyć samochód i się tam z kolegami pobujać? No i wtedy się zaczęły mniejsze, większe wycieczki. Mam też wrażenie oczywiście jak typowy Polak za kierownicą irytuję się bardzo, bo przecież umiem jeździć najlepiej i nikt wokół mnie potrafi tak jak ja. Ale realnie prowadzenie samochodu mnie też odpręża. Ja po prostu lubię wsiąść. Teraz robię to rzadziej. Kiedyś to było trochę częściej. Na przykład sobota wieczór, dwudziesta trzecia, kiedy stereotypowo większość ludzi jest w przybytkach



rozrywkowych, a ja wtedy wsiadałem do samochodu i nawet nie wiedziałem, kiedy miałem dodatkowe dwieście kilometrów na kołach. Z Gdańska do Gdyni. Skoro pojechałem teraz obwodnicą, to wrócę przez miasto. A w tę ulicę jeszcze nigdy nie skręcałem. No to dzisiaj jest ten dzień. Przy okazji zacząłem też poznawać Gdańsk. Sprawdzałem, jeździłem, zobaczyłem to, zobaczyłem tamto. Od zawsze zresztą mnie do Gdańska ciągnęło, bo ja pochodzę z wioseczki w województwie warmińsko-mazurskim. Zawsze mnie ciągnęło nad morze. Owszem, jeziora w Olsztynie też są fajne, ale akurat wtedy, kiedy ja zaczynałem studia, Olsztyn jeszcze nie miał kierunku psychologii. A ja sobie wymyśliłem, że to na pewno po psychologii to już będę wiedział, co ja chcę ze swoim życiem zrobić. I tak trafiłem do Gdańska. Przy okazji motoryzacji zostałem samozwańczym gedanistą. Czytam, patrzę, oglądam, ale też pomagała mi w tym przez długi czas praca z osobami niepełnosprawnymi. Bo jeżeli już idziemy

na spacer, to dlaczego ja też mam z tego spaceru nie skorzystać? Więc wtedy rozety tramwajowe, a tu stary napis, a to w ten zaułek jeszcze nie wchodziliśmy. No to dawaj Krzysiu, Filipie czy inny Tomeczku, idziemy teraz tędy, nie? A później to mnie zainteresowało. Zrobiłem zdjęcie. Zaczynam wertować. Zatem motoryzacja, Gdańsk. Od czasu do czasu lubię właśnie zostawić za sobą całą tę technologię i gdzieś po prostu pobyć, odciąć się gdzieś na wsi.

Francuska motoryzacja jest dla Pana też bardzo ważna.

Francuska jak najbardziej. To jest jakiś taki przedziwny splot okoliczności, bo pierwsze zachodnie auto u nas w domu to było auto francuskie, czyli Renault Express. Później była przesiadka w Volkswagena, później tata wrócił do „renówek". W międzyczasie mój brat kupił auto marki Renault Vel Satis, które okropnie wygląda na zdjęciach, ale zdecydowanie zyskuje przy poznaniu na żywo. No i jakoś zażarło. Bratu się ten Vel Satis znudził. Ja go odkupiłem. To było też pierwsze moje własne auto. Mógłbym godzinami mówić o Vel Satisie, ale to jest samochód, którego nie da się porównać, bo w takim budżecie bardzo trudno jest kupić tak przestronny i tak wygodny samochód. Więc jak już mnie też zaczął ten pierwszy Vel Satis denerwować, to było parę opcji, ale wszystkie były poza budżetem, więc skończyło się kolejnym Vel Satisem, trochę młodszym, który jest też ze mną do dzisiaj. Później przez tego przeklętego YouTube'a zdałem sobie sprawę, jak wspaniałym samochodem jest Renault Twingo. No i po dwóch latach poszukiwań w końcu się udało takie sprowadzić z Holandii. I akurat, o ile w Vel Satisie nie udało mi się wszystkich moich punktów odznaczyć, no to w Twingo udało mi się odznaczyć parę, o których nawet nie pomyślałem. Miał być z jasną tapicerką, ze szklanym dachem panoramicznym i z mocniejszym silnikiem. Dodatkowo właśnie się okazało, że jeszcze ma hak i jest w błękitnym kolorze. Błękitnym, ale nie błękitnym, bo dzisiaj jak tam na niego słońce padnie, to on będzie nawet mienił się na złoto. I wtedy zaczęło się grzebanie na ile mogę, na ile umiem. Cała ta kosmetyka, całe to kombinowanie, szumnie nazywane projektem, bo to owszem, projektem jest, jeżeli ktoś własnoręcznie buduje zderzaki do samochodu, modyfikuje go w jakiś sposób, spawa i tak dalej, to wtedy można by to nazwać projektem. Ja to raczej myślę o tym jak o modyfikacji. Znalazłem model felg, który mnie interesował, więc wtedy znowu pół roku wertowania ogłoszeń, żeby w ogóle je znaleźć, bo niestety nie występują. A jeszcze zanim kupiłem ten samochód to zaczęło się kompletowanie rzeczy do niego. A Twingo jest też pod tym kątem bardzo ciekawym pojazdem, bo było to jedno z pierwszych takich tak małych aut a jednocześnie miał wiele wariantów wyposażenia. Czy to klimatyzacja, skórzana tapicerka czy otwierane okna dachowe. I miało ono mieć, według Renault, charakter lifestyle'owy. Więc do tego wyprodukowali tony gadżetów, plecaki, torby, plecaki z pierwszej kolekcji w czterech kolorach, później kolekcja z Tintinem, inny plecak, kolekcja z'95 roku, jeszcze inny plecak, jeszcze inne wzory, kieliszki do martini Twingo w kolorach pierwszej kolekcji. To zaczęło mi wpadać w oko. I zaczęło się gromadzenie. W tym momencie modeli Twingo nie liczę, ale myślę, że trzydziestka jest przebita. Trzy komplety kieliszków, belki dachowe, dywaniki gumowe, dywaniki welurowe oryginalne. To w ogóle jest też świetna historia. Jakaś pani w Toruniu je trzymała. Przynajmniej od 2007 roku, bo to były oryginalne dywaniki do Renault Twingo. Welurowe z metkami prosto z butiku Renault. Łut szczęścia, trochę samozaparcia, bardzo dużo czasu zmarnowanego przeglądając ogłoszenia i oto jestem kolekcjonerem rzeczy związanych z Twingo. Lubię przeczytać też ciekawą książkę. Ciekawa to nie znaczy, że to zawsze musi być inteligentnie. Czasami lubię pójść do biblioteki, wziąć sobie kolejną książkę o Richerze i poczytać, jak ktoś komuś wyjaśnia, dlaczego pewnych rzeczy nie należy robić. A





ostatnio zaskoczyła mnie japońska taka seria "Zaleca się kota". Także bardzo polecam. Troszeczkę taki melodramacik, trochę o ludziach, trochę o zwierzętach, trochę o psychologii też. Krótkie książeczki na dłuższą podróż w pociągu, żeby się oderwać i sobie głowę zająć czymś innym. Lubię film, lubię muzykę, lubię muzykę filmową. W ogóle to był też kiedyś taki mój konik. Spędzanie czasu na nauce w akademikach. No to RMF Classic i jedziemy, bo Classic jest głównie jednak stacją z muzyką filmową, ale jest taki poprzeplatany też muzyką klasyczną. I wtedy się zaczęło. Kto to jest Hans Zimmer, kto to John Williams, Danny Elfman i tak dalej. Lubię też czasami uprawiać sport, ale w związku ze stanem medycznym niestety życie mnie chwilowo odpięło od biegania. To był taki miejski jogging, ale miał na celu to, żebym się czuł trochę lepiej. To bieg typu OCR Obstacle Course Racing, czyli te wszystkie Runmageddony, Bieguny czy Gladiator Race. To mnie zafascynowało z uwagi, że to nie było takie bezsensowne bieganie. Bardzo szanuję osoby biegające maratony. Sam nie byłbym w stanie na pewno. Ale co bieg z przeszkodami to bieg z przeszkodami. Ja rozumiem wyzwanie w maratonie, ale ja bym się chyba tam po prostu zanudził. Muszę to trochę urozmaicić. Stąd właśnie te biegi z przeszkodami. Okazało się jednak, że przeszkody nie były problemem. Problemem było tempo biegowe, więc wtedy jeszcze jeden start. Znowu tempo biegowe było problemem. No i wtedy się zaczęło faktycznie regularne, takie trzy, cztery razy w tygodniu po siedem kilometrów. Niestety tam się później podziały sprawy medyczne. Chwilowo jeszcze czekam na pozwolenie od lekarza. Mam nadzieję, że uda mi się ten czas wygospodarować, żeby do tego wrócić, bo zdecydowanie lepiej się czułem też wtedy.

Każda odskocznia od rzeczywistości jest właściwie dobra, nie?



JA SIĘ STARAM PO PROSTU BYĆ OBOK.

IWONA WOŹNIEWSKA

Kiedy Iwona wchodzi do pomieszczenia razem z nią pojawia się energia. Dobrego humoru, zrozumienia dla otoczenia i… zadziorności. Iwona Woźniewska jest założycielką i prezeską Stowarzyszenia 180 Stopni w Gdańsku. To miejsce, w którym młodzi ludzie mogą tworzyć, ćwiczyć kompetencje społeczne, integrować się. Jest autentyczna i bywa obok, gdy młodzież tego potrzebuje. Sama wychowana w Nowym Porcie wychodzi z założenia, że młodzieży po prostu należy nie przeszkadzać.



Kiedy Iwona wchodzi do pomieszczenia razem z nią pojawia się energia. Dobrego humoru, zrozumienia dla otoczenia i... zadziorności. Iwona Woźniewska jest założycielką i prezeską Stowarzyszenia 180 Stopni w Gdańsku. To miejsce, w którym młodzi ludzie mogą tworzyć, ćwiczyć kompetencje społeczne, integrować się. Jest autentyczna i bywa obok, gdy młodzież tego potrzebuje.

Sama wychowana w Nowym Porcie wychodzi z założenia, że młodzieży po prostu należy nie przeszkadzać.

Każda osoba, z którą spotykamy się, ma do wypełnienia specjalny kwestionariusz. Twój kwestionariusz był bardzo krótki. W doświadczeniu zawodowym napisałaś intrygująco: "Tego jest tak dużo, że ja wolałabym to przegadać". Naprawdę jest tego tak dużo?

Ja mam takie poczucie, że bardzo ciężko jest mi znaleźć taką swoją rolę zawodową, która byłaby na tyle szeroka, żebym mogła zawrzeć to, co robię w jakiejś spójnej opowieści. Zazwyczaj są to opowieści niespójne i bardzo chaotyczne. Przedstawiam się w takiej roli, która w moim odczuciu jest najbardziej potrzebna i wiedza o niej jest najbardziej potrzebna. Więc jestem suicydolożką i współpracuję najczęściej z młodymi ludźmi, którzy nie chcą żyć takim życiem, jakim żyją. I to jest ta moja rola, o której najczęściej rzeczywiście opowiadam. Ale chyba omnipotentnie mogłabym powiedzieć, że byłam wszystkim, ale na pewno nie byłam. Ale bardzo dużo rzeczy rzeczywiście w swoim życiu robiłam. Od drukowania ulotek, do leków, po zakładanie stowarzyszenia, po bycie animatorką kultury. Rzeczywiście jest tego dosyć dużo i jak zobaczyłam kwestionariusz, to doszłam do wniosku, że to jest za trudne, żeby wszystko napisać. Więc po prostu opowiem.

Doszło do tego podczas zbierania doświadczenia zawodowego, że teraz stajesz obok dzieci i młodzieży. Właściwie to ramię w ramię. Pomagasz im zmienić ich życie, zmienić ich podejście, a nawet ratujesz.

Ja chyba towarzyszę po prostu. Jestem w miejscach, momentach, bardziej bywam niż jestem, w których ci młodzi ludzie potrzebują towarzystwa. A myślę, że im jest trudniej, im jest bardziej kryzysowo, tym to towarzyszenie jest potrzebne. I ja staram się rozumieć co oni do mnie mówią po prostu i z tym w ogóle nie dyskutować, bo mam takie poczucie, że mamy taką olbrzymią tendencję w ogóle do dyskutowania z ludźmi, a jeszcze większą tendencję wykazujemy w dyskusjach z młodymi. I bardzo lubimy powiedzieć: "tak, ale". I młodzi rzeczywiście w moim doświadczeniu mają takie poczucie bardzo dużego niezrozumienia, a za tym idzie wtórnie poczucie samotności. A jak to poczucie samotności jest takie duże, to już jest bardzo blisko do bardzo dużego kryzysu, po prostu, w tym do kryzysu samobójczego. Mam takie poczucie i taką dużą wdzięczność tym młodym, że oni jakoś tak mnie wpuszczają do tego swojego życia i my razem wchodzimy do tego ciemnego lasu. I ja mówię: "Jezu, co to jest w ogóle tutaj?" I sobie oglądamy to, gdzie oni są, czego doświadczyli, a potem wchodzimy na jakąś polanę „czego potrzebują” i już robi się jakoś lepiej. Zresztą ja zawsze uważam, że o wiele trudniej jest podjąć na przykład próbę samobójczą, kiedy ktoś jest obok. Więc ja się staram po prostu być obok. To wcale nie jest taka trudna robota.

Jak nie doprowadzić do tego, żeby dzieci i młodzież trafiły do tego lasu samotności?

To jest chyba w ogóle o obecności ważnych ludzi w naszym życiu. Nam się zmieniła struktura rodziny. Mamy inną relacyjność niż kiedyś. Ja jak się pokłóciłam z mamą, to poszłam do taty. Jak się pokłóciłam z tatą, jak tata nie stanął po mojej stronie, to poszłam do babci i tutaj już było dużo nadziei. A jeżeli babcia stwierdziła no nie, no Niunia, rodzice mają rację, to zawsze był wujek Piotrek, który mówił: "no przecież wiadomo, to twoja matka, Iwona, daj spokój". Więc miał mnie kto wyregulować. A teraz ci młodzi są naprawdę często sami. Czasami ten rodzic jest gdzieś tam za ścianą, ale doświadczenia wcześniejsze z kontaktu z tym rodzicem często temu młodemu podpowiadają: "dobra, nawet już nie będę próbować podzielić się tym, co jest trudne”, bo na przykład zostanie to ocenione". Żyjemy w takich trudnych czasach. My jesteśmy relacyjni, w ogóle potrzebujemy ludzi, a szczególnie młodzi ludzie potrzebują wspólnotowości. Kiedyś bardzo lubiłam obserwować te takie bandy młodzieżowe. Tacy młodzi to się przechodziło na drugą stronę. Bardzo mi tego brakuje. Coraz rzadziej widzę taki fenomen, a myślę, że jest bardzo potrzebny. To Wygotski mówił, że stajemy sobą w relacjach i uczymy się siebie w relacjach. Jak tych relacji jest mało, one są niewystarczające, niedostępne albo już w ogóle, nie daj Bóg, ich nie ma, to my nie jesteśmy w stanie się siebie nauczyć. To jest bardzo trudne. A w relacji z telefonem czy z ekranem no co ja się o sobie dowiem? No nie za wiele.



Więc ja chyba chciałam się stać dla tych młodych ludzi, których bardzo mocno gdzieś rozumiałam poprzez swoje doświadczenie, taką osobą, która jeżeli nawet ich nie zrozumie, to będzie udawać. Po prostu będzie słuchać, nie będzie z nimi dyskutować.

Jak to się stało, że doszłaś do tego momentu, że to dzieci i młodzież stały się twoim głównym zadaniem?

Ja chyba się boję starości i uważam, że współpraca z młodymi ludźmi konserwuje. Ale tak całkowicie na poważnie. Ja jak byłam młodzieżą nowoportską w jakimś 2003 roku powiedzmy, byłam młodzieżą, a całe moje życie jest z tym Nowym Portem związane. Moi rodzice byli młodzieżą nowoportską w latach siedemdziesiątych, wcześniej dziadkowie w latach pięćdziesiątych, więc my transgeneracyjnie jesteśmy osadzeni w tej dzielnicy. To pamiętam swoje doświadczenie takiego, takiego braku zauważania mnie. Ja byłam dosyć taka opozycyjna, buntownicza, lubiłam różne substancje, więc byłam taką młodzieżą typu „ojojoj, chyba cię nie lubimy do końca". Chyba byłam oceniana jako słabo rokująca. Czyli okej, będzie miała siedemnaście lat, pewnie, jakieś używki, substancje psychoaktywne i pewnie pierwsze dziecko. No nie udało się. Mam dziecko, co prawda, ale urodziłam je w wieku trzydziestu siedmiu lat, więc myślę, że dużo osób mimo wszystko zawiodłam gdzieś. I bardzo brakowało mi w tamtym czasie jakiegoś mądrego dorosłego, może nawet nie do końca osoby z rodziny, tylko kogoś, kto chyba by w ogóle mnie zaakceptował. I bardzo brakowało mi jakiegoś miejsca, które mogłabym współtworzyć, mogłabym w nim jakkolwiek być, bo takich miejsc wówczas nie było. My byliśmy tacy mocno streetartowi. Byliśmy przeganiani, nawet wyrzucono nas z salki katechetycznej, a chcieliśmy tam tańczyć. Więc tak pomyślałam sobie o tym, że jakby mi jest do tej młodzieży blisko, bo ja chyba nie do końca dorosłam i mam w sobie bardzo dużo takiego buntu i oporu. I myślę, że jakbym przestała czuć ten gniew na rzeczywistość, to pewnie moja kariera zawodowa by się od razu skończyła.

Ja bardzo nie lubię norm, bardzo lubię wartości.

Nigdy nie przekonywało mnie to, jeżeli ktoś mi mówił, że mam zrobić tak, bo tak po prostu należy, ale jakby się powołał, z jakiego powodu, to pewnie by to do mnie dotarło. Ale nikt na to nie wpadł jak byłam młodzieżą, żeby w taki sposób ze mną rozmawiać. Więc ja chyba chciałam się stać dla tych młodych ludzi, których bardzo mocno gdzieś rozumiałam poprzez swoje doświadczenie, taką osobą, która jeżeli nawet ich nie zrozumie, to będzie udawać. Po prostu będzie słuchać, nie będzie z nimi dyskutować. Ci młodzi ludzie to jest adolescencja. Tu trzeba sobie wygenerować swoją tożsamość. Ona ma być jeszcze autonomiczna. To jest jakiś straszny czas. Ani dzieckiem nie jestem, ani dorosła. Jakoś tak najgorzej w swoim życiu wyglądam. Już nigdy w życiu nie będę tak brzydka jak w okresie dorastania. Czyli obraz siebie w ogóle tu wchodzi w grę. A ja chyba lubię kryzysy, jakkolwiek to zabrzmi. Więc ta grupa wiekowa jest mi bliska po prostu. Dzieci mniej de facto. Teraz specjalizuję się z psychoterapii dzieci i młodzieży i te dzieci zaczynają się też pojawiać w przestrzeni Youth Pointu, bo nasza animatorka Dorti założyła grupę „kidosów". Więc mamy takie bąble w Youth Poincie, które mają siedem lat. I tak coraz bardziej się do nich uśmiecham. Ale rzeczywiście serce jest przy takiej rebelianckiej młodzieży albo takiej młodzieży, której tak się nie chce albo która tak nie widzi sensu. I dziwnie to zabrzmi, ale jakoś mi tak dobrze z nimi. Tak chyba do siebie pasujemy.

Jakie były najbardziej przełomowe momenty albo przełomowi młodzieżowi towarzysze w twojej karierze zawodowej?

Miałam takie szczęście trafiać na takich cudnych ideowców, hardcore'owców. Z pierwszą grupą, z którą zaczęłam współpracę szlajaliśmy po Nowym Porcie. Na tym polegała ta nasza współpraca. To był 2016 rok i to był Olej, Karinka, Marzenka, Wiktoria, Patrycja, Ola, Agata, Lulek. Było dużo tych młodych ludzi. To oni de facto założyli stowarzyszenie. Zrobiliśmy taki projekt, który się nazywał „Zrozumieć Sierpień". On był finansowany ze środków



Europejskiego Centrum Solidarności i my w ramach tego właśnie projektu zrobiliśmy „Zrozumieć Młody Port”. Projekt polegał na tym, że my zapytaliśmy się młodych, jak im w tym Nowym Porcie, w tym 2016 jest. I okazało się właśnie, że im jest bardzo podobnie jak nam wszystkim, tylko tak z piętnaście lat wcześniej. I że, mówiąc brzydko, niewiele się zmieniło, bo nawet spoty i miejscówki, w których oni tam sobie przebywali w jakichś różnych detoksykacyjnych wątkach, są dokładnie te same. I ja zostałam zmobilizowana przez Kasię Werner, która jest genialną animatorką społeczną, też bardzo mocno osadzoną w Nowym Porcie a wcześniej już działała placówka wsparcia dziennego w Gdyni Dąbrowie. My wtedy ją prowadziliśmy jeszcze w ramach działania Fundacji Zmian Społecznych Kreatywni. I pamiętam, jak Kasia Werner do mnie powiedziała, że to w ogóle jest takie straszne, że Gdynia ma taką miejscówkę, a w tym Porcie to po prostu nic. A ja jednak z tego portu jestem. I wtedy poczułam ten taki lokalny patriotyzm. Mówię: „no kurde, to jest taki argument, z którym ja już nie mogę dyskutować”. Więc mówię: „dobra, to zróbmy jedno działanie, zobaczymy, co z tego wyjdzie”. I młodzi nakręcili reportaż „Zrozumieć Młody Port”, który opowiadał o ich doświadczeniu bycia w dzielnicy. O tym, jak dzielnica na nich wpływa, jak zabija w nich jakiś potencjał i marzenia, co wzmacnia. Nakręcili świetny materiał. Jak już nakręciliśmy ten materiał, to młodzi się mnie zapytali: „i co my z tym robimy? Jest nakręcony, zrobiliśmy tę robotę”. Ja sobie pomyślałam, że to jest chyba taki pierwszy moment, w którym ja mam taką możliwość, żeby ten głos młodych, taki autentyczny, tak jak oni sobie opowiedzieli o swoim doświadczeniu, jakoś wybrzmiał. I zrobiliśmy premierę w Centrum Sztuki Współczesnej Łaźnia na czerwonym dywanie. Dziewczyny w moich sukienkach, chłopcy w jakichś gajerach ściągniętych od znajomych. I oni byli przekonani, że nikt nie przyjdzie. Przyszło ponad dwieście osób. Impreza była niesamowita. Oni ją prowadzili w takiej bardzo wysokiej emocjonalności od początku do końca. I jak sobie już tak gratulowaliśmy, to młodzi mnie tak okrążyli i powiedzieli: „no dobra, i co teraz? Chyba nas nie zostawisz, nie?” Pomyślałam bardzo niecenzuralne słowa mówiąc: „no to nie zostawię”. I tak powstało stowarzyszenie. Młodzi je sobie sami założyli, a ja naprawdę byłam w takiej roli: „ojej, co tu się dzieje? No dobra, jak już jakaś energia poszła to ja w tej energii też chcę być”. I rzeczywiście, w 2016 roku miał miejsce ten projekt. W 2016 chyba już zostaliśmy partnerem społecznym procesu rewitalizacji. Młodzi sobie wychodzili miejscówkę jaką jest Youth Point i zaprojektowali ją w Simsach. Ona została przeniesiona naprawdę 1:1 z tego projektu. To jest chyba w ogóle o tym, że jak się tym młodym towarzyszy, to się piękne rzeczy dzieją.



Ja w ogóle uważam, że młodzieży należy nie przeszkadzać [śmiech] i oni naprawdę mają niesamowitą moc.

Zdarzały ci się momenty trudne kontaktu z młodzieżą?

Chyba dla mnie trudniejszy kontakt był instytucjonalny. Był taki moment, że finansowanie Youth Pointu zostało wstrzymane. Ja zachorowałam wówczas na depresję. Miałam takie poczucie, Boże, że ja tych młodych bardzo zawiodłam. Ale jeżeli chodzi o taką współpracę z młodymi, to oczywiście bywały trudne momenty, naprawdę jakieś takie ekstremalne nawet. Szukanie tych młodych gdzieś czy też informacja o podejmowaniu przez nich prób samobójczych, kiedy jeszcze nie byłam suicydolożką i tak nie do końca wiedziałam co mam robić. Ale ja im dziękuję za tę specjalizację. Naprawdę przydatna jest. I chyba najtrudniejsze są dla mnie takie momenty, że ja widzę cierpienie tego młodego człowieka, a nie wiem jak podbić. Czyli widzę ten ogrom, ale ten młody tam mnie w ogóle nie chce, bo on albo ma takie doświadczenia z osobami dorosłymi, że w ogóle lepiej trzymać się w dystansie, albo chodzi o mnie, albo chodzi o brak gotowości. Ale ja widzę, że tam dużo rzeczy jest po prostu. To są te trudne momenty. Ale ja zawsze jakoś spróbuję zagadać. Ja myślę, że warto jest



próbować zagadać.

Zdarzają się takie jednostki, które nie chcą jednak przepuścić przez ten mur?

To są chyba najczęściej ci młodzi, którzy tego najbardziej potrzebują, żeby ktoś tam był. Ale oni mają tak mało zaufania albo w ogóle go nie mają. I ja też to szanuję. I wtedy myślę, że jedyne, co ja mogę zrobić, to nękać, czyli o sobie przypominać co jakiś czas i próbować jakoś być w tym, co jest. Czyli tak zaczepiam, zaczepiam, zaczepiam. Czasem mi się uda, czasem mi się nie uda. Odpuszczam już tam po jakimś czasie. Ale mam takie poczucie, że ja bym bardzo chciała w ogóle wiem, że to zabrzmi jak jakaś taka nieracjonalna ideowość, żeby młodzi ludzie nie musieli być sami, żeby byli jacyś towarzysze po prostu.

To jest o tym, że jak my jesteśmy razem, to jest bezpieczniej.

Niezależnie w czym my jesteśmy, nie? A



jak jesteśmy sami, to jest tak przerażająco.

A jak jest z tobą i z twoją regulacją, z twoim wolnym czasem? Masz tak, że lubisz się szwendać.

Ja mam bardzo dobrą superwizorkę, którą serdecznie pozdrawiam. Dagmara Gimenez naprawdę genialna kobieta i to jest moja regulacja. Jeżeli chodzi o czas wolny to szwendam się z moją córką trochę. Chodzimy na spacery. Ja tego czasu nie mam zbyt dużo rzeczywiście, bo jest dynamicznie. I też sobie myślę, że jeżeli w ogóle już mam jakąś przestrzeń, to i tak idę do tego Youth Pointu. Niezależnie czy to są to moje godziny grafikowe. Mam bardzo duże wsparcie w grupie, która się dwa lata temu hucznie nazywała "Sigmusie Iwonki" i się śmieję, że to się stała taka ekipa Blanki. Czyli piękne są takie momenty, kiedy piszę: "słuchajcie, wychodzę z Blanką na plac zabaw, czy chcecie wbić?" I naprawdę oni podbijają i ta moja trzylatka siedzi pomiędzy takimi piętnastolatkami i jest najbardziej zadowolona, po prostu zajarana na świecie. A ja sobie myślę: „Boże, jak to wszystko buja, można to wszystko połączyć”. Ja nie wiem, czy to profesjonalne, ale mi się podoba. [śmiech]

Jakie jest twoje ulubione miejsce?

Ja w ogóle lubię nasz Youth Point. Lubię Nowy Port. Ostatnio zaczynam lubić, to chyba na starość w ogóle jest, ciszę, zieleń i tak mi bliżej do natury. Gdzie ja rzeczywiście byłam takim człowiekiem ze starego portu, starych kamienic, starego domu albo ewentualnie PRL-owskich bloków. A teraz mam takie poczucie, że tak fajnie tak w zielonym koło jakiegoś jeziora gdzieś. Kiedyś mieliśmy taki genialny projekt. Myślę, że warto byłoby do niego wrócić. To był projekt streetworkingu rówieśniczego i to młodzi po przeszkoleniu przy asyście psychologów, pedagogów, pedagożek, psycholożek szwendali się po Nowym Porcie i wyłapywali inne młode osoby potrzebujące wsparcia, pomocy.

I to było najlepsze szwendactwo jakie w życiu uprawiałam,

bo wchodziłam na takie squaty i w tak różne miejsca, o których istnieniu naprawdę nie miałam nie miałam pojęcia. Ja chyba jestem taka z ulicy de facto. Mi jest dobrze na ulicy, jakkolwiek to zabrzmi. [śmiech]

To miejsce stworzone przez ciebie i przez młodzież na jakich działa zasadach?

Formalnie jesteśmy placówką wsparcia dziennego, więc określa nasze działanie ustawa o pomocy społecznej. Od poniedziałku do soboty realizujemy w godzinach 14-20 albo 13-19 działania placówkowe. Mamy grupy socjoterapeutyczne, konsultacje indywidualne, współpracujemy z rodzicami, ale mam wrażenie, że jesteśmy jak na sformalizowanych mało formalni. Mamy też tak zwany open space, gdzie każdy sobie może podbić i w tym Youth Poincie być. Mamy też dużą dostępność do Youth Pointu. Jeżeli młodzi chcą w nim pobyć, siedzieć po godzinach, przed godzinami. Oczywiście w granicach normy jakiejś edukacji też ich, ale też mamy młodych w chmurze. My im udostępniamy to miejsce. Mamy fenomenalnych animatorów młodzieżowych, animatorki, dlatego możemy być otwarci zdecydowanie częściej i dłużej niż ustawa przewiduje i w harmonogram pracy placówki. Mamy grupę muzyczną, mamy grupę taneczną, mamy grupę social mediową, mamy w Youth Poincie studio nagrań, mamy studio foto wideo. Więc jeżeli młody człowiek ma na coś zajawkę albo chce sobie pobyć, to to miejsce jest dostępne. Dużo osób wpada, dużo osób korzysta. Kiedyś robiłam takie statystyki - to tak przez Youth Point w tygodniu przechodziło, korzystało z niego, było w nim, tworzyło go z osiemdziesiąt osób. I myślę, że gdzieś jesteśmy na tej fali cały czas. Trochę się zmieniamy rzeczywiście, bo też profil młodego człowieka się zmienia, jest więcej lęku. To już nie jest takie, że ten młody człowiek tak sobie wejdzie z buta i po prostu powie: "dobra, co wy tutaj macie?" Raczej to jest o tym, że trzeba po niego wyjść, powiedzieć: "chodź, zobacz, ja ci pokażę". I oczywiście ci młodzi się też świetnie wiążą. Zmienił nam się profil. Ten młody człowiek nam się zmienia. Też bycie w relacjach, bycie w kontakcie jest dla niego w dłuższym kontakcie trudne, wymagające, przebodźcowujące. Więc mniej mamy już takich młodych rebeliantów. Oczywiście oni się cały czas zdarzają. Więcej mamy zaburzeń obrazu siebie, niepewności, takiego: ja nie wiem,

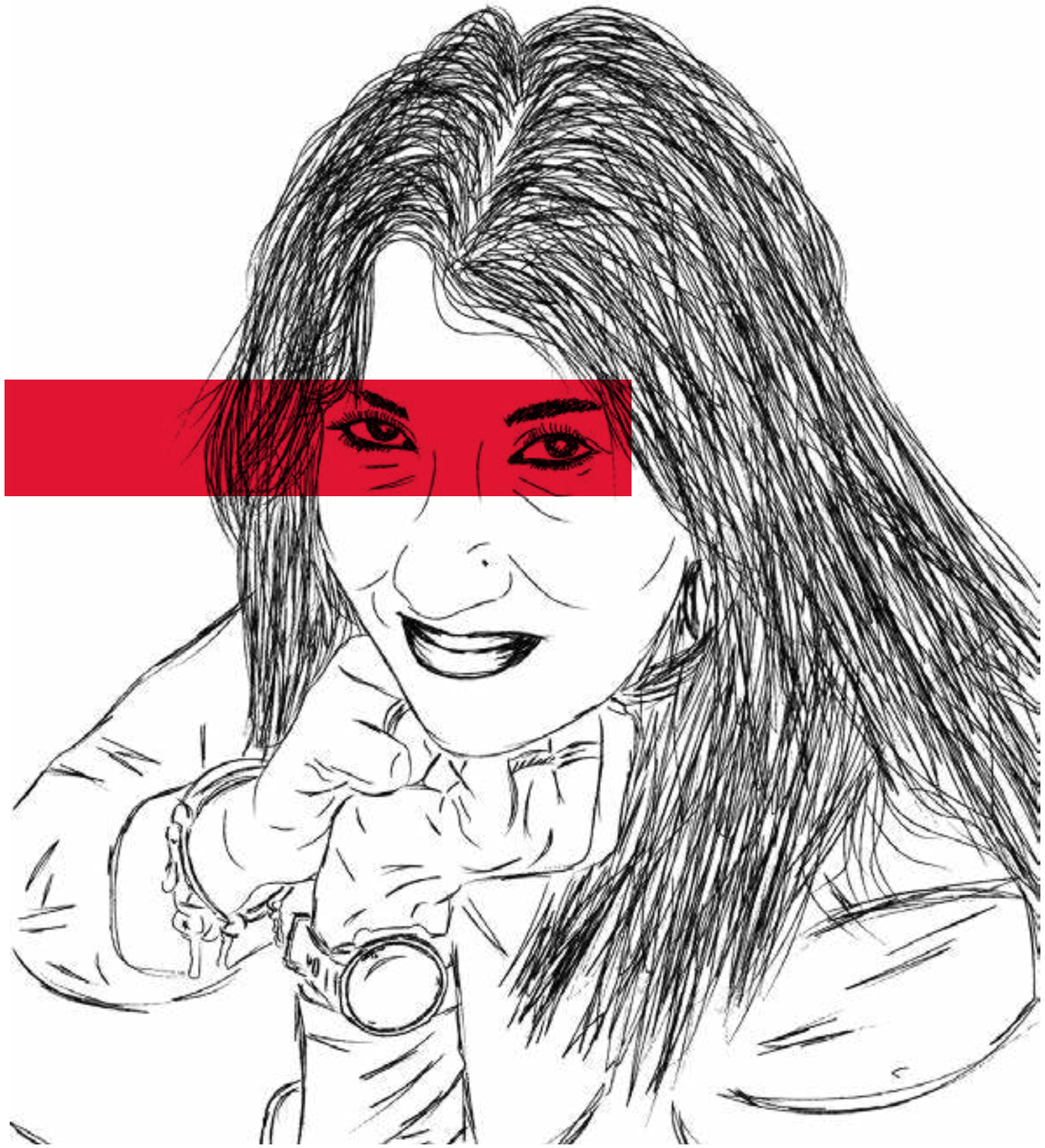
czy ja tu mogę być. Ja nie wiem, jak ja się tu czuję. Jest dużo lęku i to się zmienia też, nie?

A mimo wszystko jak patrzysz na to miejsce, to co czujesz?

Ja myślę, że jeżeli cokolwiek mi się w życiu udało, to to. [śmiech] Naprawdę. Ale nie pod kątem tego, że ten Youth Point, jest taki odpicowany. Mamy nawet drogie ogrzewanie podłogowe, bo tak młodzi wymyślili. Straszne rachunki za prąd. Ale tak sobie myślę, że, rzeczywiście to zrobiłam dobrze. Nie wiem, na ile to był przypadek, na ile zbieg okoliczności, na ile jakaś, nie wiem, misja, którą tutaj sobie na siebie przyjęłam, ale jak ja chyba dumę czuję z tego. Czuję dumę też z tego, że Youth Point ma kontynuatorów. Czyli ja wiem, że jeżeli bym się zawinęła z tego świata, oczywiście nie planuję w żaden sposób taki intencjonalny, to ja wiem, że miejsce przetrwa, idea przetrwa. Ostatnio miałam takie super spotkanie, bo moi młodzi już mają też swoje dzieci. Ja już mam czterdzieści lat, więc ci młodzi już naprawdę są dorośli. I zrobiliśmy sobie spotkanie ostatnio już z grupami, które obecnie nie są w Youth Poincie. Mamy dla nich nowy projekt Centrum Rozwoju Młodych. Będziemy im skillować umiejętności zawodowe. Jest zatem tak, że jak nasi młodzi dojrzewają, to też nam dojrzewają różne projekty. Mam wrażenie, że jesteśmy w kryteriach nieskończoności za moment i będziemy jakieś Senior Pointy otwierać. Zrobiliśmy sobie właśnie takie spotkanie, gdzie młodzi byli ze swoimi dziećmi. Ja byłam ze swoją Blanką i miałam takie: „Jezu, jakie to jest super, że ta relacja jest ponadczasowa, że ona nie musi się dziać w czasie rzeczywistym”. My nie musimy tego kontaktu podtrzymywać. "Halo, bąbelki, jak się dzisiaj czujecie?" Tylko możemy się spotkać po pół roku i nic się nie zmienia, bo relacja jest i istnieje.

Te relacje, mam wrażenie, mają cały czas taki potencjał chroniący. Bo ja wiem, że jakby coś się działo, byłoby grubo, to oni sobie przypomną, że tam jest Iwona. I dadzą być może znać. Oczywiście pewnie nie wszyscy, ale chyba z tych relacji jestem dumna. Lubię tą miejscówkę. Ona fajna jest po prostu.

Więc ja jestem dumna z relacji jakie potrafię budować z młodymi osobami.



JA NIE BYŁAM TAKĄ OSOBĄ, KTÓRA RZUCIŁA SIĘ NA WOLONTARIAT W MŁODOŚCI.

KATARZYNA LITTWIN

Według Japończyków każdy ma swoje ikigai. To jest to, co stanowi siłę napędową do życia. Filozofia polega na docenianiu codzienności i jej małych dobroci. Katarzyna Littwin dyrektorka Gdańskiej Spółdzielni Socjalnej, uwielbia Japonię. Fascynuje ją kraj, obyczaje, uczy się języka. Jej siłą napędową jest natomiast rodzina. To z nimi podróżuje, z nimi zmienia się w turystę we własnym mieście, bo Gdańsk jest jej miejscem na ziemi.

Według Japończyków każdy ma swoje ikigai. To jest to, co stanowi siłę napędową do życia. Filozofia polega na docenianiu codzienności i jej małych dobroci. Katarzyna Littwin dyrektorka Gdańskiej Spółdzielni Socjalnej, uwielbia Japonię. Fascynuje ją kraj, obyczaje, uczy się języka. Jej siłą napędową jest natomiast rodzina. To z nimi podróżuje, z nimi zmienia się w turystę we własnym mieście, bo Gdańsk jest jej miejscem na ziemi. W Gdańskiej Spółdzielni Socjalnej, choć musi chować się czasem za komputerem i dokumentami, dostrzega zawsze człowieka. Czy to pracownika czy osobę, której trzeba pomóc. - Trochę nie pasujemy do tych czasów – zauważa, ale nie to nie szkodzi. Bo ludzie z misją są zawsze gotowi do działania.

Co Pani najbardziej lubi w swojej pracy?

To jest bardzo trudne pytanie. Tak naprawdę chyba pomagać innym, wspierać i rozwijać innych. Myślę, że to.

Czy to pomaganie było od początku ważne czy pojawiło się na jakimś etapie Pani życia?

Wydaje mi się, że tak naprawdę to gdzieś się już zapowiadało, jak byłam dużo młodsza. Ale rzeczywiście człowiek do czegoś takiego chyba dojrzewa. Ja nie byłam taką osobą, która rzuciła się na wolontariat w młodości. Bardziej poszłam w takim kierunku zawodowym. Chciałam pracować na rzecz drugiego człowieka, ale niekoniecznie bezpośrednio z klientem. Wolałam tworzyć warunki dla innych, żeby mogli pomagać. Kiedy byłam starsza, wydawało mi się, że to jest dla mnie coraz ważniejsze. I muszę powiedzieć, że jak zaczęłam pracować w spółdzielni, a było to w 2014 roku, we wrześniu, było to dla mnie bardzo naturalne. Nawet z zewnątrz przychodziły informacje takie zwrotne na mój temat, bo człowiek czasami u siebie pewnych rzeczy nawet nie widzi. Ludzie twierdzili, że mam taką naturalną umiejętność z jednej strony pomagania a z drugiej patrzenia na przykład na finanse czy organizację.

I jak pani z tym, że przychodził taki feedback?

Wtedy było to dla mnie bardzo dużym zaskoczeniem, bo w taki sposób o sobie nie myślałam. Tak samo jak też nigdy na co dzień ja czy mój zespół nie myślimy



o tym, że niesiemy olbrzymie wsparcie dla ludzi. Po prostu robimy to, co robimy. Staramy się robić to jak najlepiej. Myślę, że mamy bardzo wiele sukcesów, ale mamy też dużo pracy i nie zawsze mamy ten czas, żeby na to tak popatrzeć, przeanalizować, spotkać się. Mamy oczywiście spotkania organizacyjne i wtedy o tym mówimy, ale na co dzień po prostu robimy robotę. Była kiedyś taka reklama wózków widłowych i było coś takiego: "Robią robotę". I my o sobie chyba w taki sposób tak naprawdę myślimy.

A ta nasza robota przekłada się na pomoc ludziom,

bo mamy niesamowite przekroczenia wskaźników, a to wychodzi jakby przy okazji. Widzimy to na etapie zdawania sprawozdań. A tak naprawdę na co dzień widzimy człowieka, któremu trzeba pomóc i nie jesteśmy po prostu obojętni. Tak samo nie jesteśmy obojętni w naszych życiach prywatnych. Nie da się być człowiekiem, który nie jest otwarty na drugiego człowieka, który nie jest otwarty na środowisko naturalne, który nie jest otwarty na zwierzęta. Muszę powiedzieć, że to jest niesamowite, bo praktycznie prawie wszyscy, którzy są z nami, pracują bądź współpracują, mają zwierzęta albo się opiekują, albo starają się być jeszcze wolontariuszami. I nikt nie mówi, że to jest wielka sprawa. Po prostu to robimy. Tacy widocznie musimy być. I rzeczywiście, część środowiska mówi nam o tym, że trochę nie pasujemy do tych czasów. Ale jesteśmy w otoczeniu ludzi, którzy są otwarci na innych i coś robią i nam się wydaje, że wszyscy są tacy. Pewno nie, ale, my takich ludzi mamy wokół siebie i też staramy się też być tacy dla innych.

Na czym dokładnie polega taka codzienna praca?

Generalnie organizuję i wspieram moich pracowników po to, żeby oni mogli bezpośrednio wsparcia udzielać osobom potrzebującym. Przychodzą też takie dni, kiedy ja też bezpośrednio pracuję z



klientem, pracuję z osobami z zaburzeniami psychicznymi. Przychodzą do mnie osoby, które wychodzą z bezdomności, które mają na przykład problemy w realizacji swoich zadań. Ale też ślęczę przy biurku, przerzucam masę dokumentów. Zajmuję się sprawozdaniami, przygotowuję wypłaty. Jest to bardzo różnorodne. U nas trudno pracować tylko w jednym obszarze. Rzeczywiście myślę, że to jest w ogóle domena organizacji pozarządowych i przedsiębiorstw społecznych. Ktoś, kto potrafi być elastyczny i potrafi pracować w wielu różnych miejscach, na wielu różnych stanowiskach, pewnie się odnajduje najlepiej. Chociaż rozumiem, że wąska specjalizacja też jest potrzebna. Ale u nas czasami to się tak wymyka i różnie te dni się układają. W maju mam bardzo dużo sprawozdań do sporządzenia i głównie się skupiam na dokumentacji, ale też już myślimy o tym, że spółdzielnia będzie miała swoje piętnaste urodziny i chcemy o tym przypomnieć i z zespołem pocieszyć się tym faktem, że jesteśmy tak długo na rynku. Codziennie są nowe wyzwania. Nigdy tak naprawdę nie wie-

A tak naprawdę na co dzień widzimy człowieka, któremu trzeba pomóc i nie jesteśmy po prostu obojętni.



my, czy coś się nie wydarzy takiego, gdzie będziemy musieli ruszyć z dużo większą pomocą. Na przykład się okaże, że spalił się gdzieś budynek, są pogorzelcy, potrzebują wsparcia i wtedy tak naprawdę nikt nie patrzy, kto jakie funkcje i kto jakie role pełni w organizacji, tylko po prostu idziemy z pomocą. Tak samo można powiedzieć, że pracownicy są też darczyńcami dla spółdzielni. Jest to dla nas takie, bym powiedziała, naturalne i normalne. Coś bardzo oczywistego.

Jak poradzić sobie z takimi kryzysami, które spotykają osoby, które zgłaszają się do państwa po pomoc? Wszyscy jesteśmy ludźmi. Pracownicy socjalni mają to do siebie, że mają ogromną wrażliwość, ogromną empatię, oczywiście też taką determinację do działania. Jak sprawić, żeby ta psychika była w formie?

To jest jedna z najtrudniejszych rzeczy, bo u nas nie są zatrudnieni pracownicy socjalni. To są ludzie, którzy mieli chęć, żeby nieść pomoc innym. I rzeczywiście bardzo łatwo w tej w próbie pomocy każdemu się jest zatracić. Jedną z takich rzeczy, które było dla nas bardzo problematyczne, było to, że rozciągaliśmy czas pracy praktycznie kosztem oczywiście naszego życia prywatnego. Przekraczaliśmy wszystkie granice i tak naprawdę zaczęło się od zmiany u mnie, bo powiedziałam w którymś momencie, mówię: "słuchajcie, wypalamy się, narażamy siebie, narażamy naszych bliskich, musimy zacząć to ograniczać". I to ja zaczęłam tak naprawdę powodować to, że coraz bardziej dochodziliśmy do ośmiogodzinnego dnia pracy. Czterdzieści godzin w tygodniu. Nie zawsze to nam się jeszcze udaje, ale rzeczywiście walczymy też o to, żeby była przestrzeń na odpoczynek, na to, żeby był urlop, na to, żeby czasami był jakiś właśnie moment na celebrację, na to, żebyśmy mogli coś tam poświętować. I to jest trudne. Myślę, że to jest kwestia tego, że trzeba być uważnym, trzeba być świadomym. Też trzeba umieć zauważać u siebie różnego rodzaju sygnały. Ja staram się być takim przełożonym, który to też widzi. Oczywiście najtrudniej jest mi zobaczyć to u siebie, ale rzeczywiście staram się być wyczulona na współpracowników. Widzę czy mają trudniejsze momenty, czy coś się dzieje takiego, że gdzieś tam będą potrzebowali tego odpoczynku i tej przestrzeni. Ale tak dopiero teraz coraz głośniej się o tym mówi. My jesteśmy też z pokolenia takiego, że pracowało się dużo, bo jak człowiek powiedziałby, że jest zmęczony albo potrzebuje chociaż trochę odpoczynku, to przecież byłoby od razu, że jest leniwy, czegoś mu się nie chce.

Te narzucone zasady funkcjonowania mieliśmy kiedyś wpojone.

Więc u nas nikt nie mówił, że potrzebujemy jakichś przerw regeneracyjnych. Mój syn w szkole teraz ma takie rzeczy i jest zadziwiony, że w pracach tego nie ma. Mają dużo kontaktów z psychologami, rozmawiają na różnego rodzaju tematy. Mówi się o emocjach. My nie jesteśmy może do tego tak przyzwyczajeni, ale staramy się gdzieś tego też nauczyć i to wdrażać. Może nie zawsze nam idzie z wielkimi sukcesami, ale staramy się i jest z roku na rok coraz lepiej. Aczkolwiek jest to rzeczywiście bardzo trudna praca, bo też nie zawsze jesteśmy gotowi na te wyzwania, które ona przynosi, a jednak staramy się pomóc, więc my musimy sprostać, prawda? Troszeczkę, jednak czasami dość sporym naszym kosztem.

Pamięta pani jakąś taką historię, która dla was też była takim dużym kosztem emocjonalnym?

Byliśmy kiedyś partnerem w takim projekcie dla osób z zaburzeniami psychicznymi. To był pierwszy raz, kiedy na taką skalę weszliśmy we wsparcie takich osób. Trochę zaburzyło się nasze funkcjonowanie, bo my zajmujemy się normalnie aktywizacją zawodową i wspieraniem. I te osoby były codziennie z nami, pomiędzy nami. I to było wtedy trudne. Szczególnie że jedna młoda dziewczyna miała próbę samobójczą. Przez moment myśleliśmy, że coś to było związane z nami. Okazało się, że jednak nie i ona na szczęście przeżyła. Wszystko później szło w dobrym kierunku, ale baliśmy się bardzo tego, że ona mogła myśleć, że czegoś nie zauważyliśmy. To była jej sytuacja prywatna z tym związana. Ona później bardzo chciała do nas wrócić i wróciła. I ja miałam z nią wiele rozmów, ale to było rzeczywiście takie bardzo trudne. Bo to były nasze początki w tym obszarze i to wiadomo jest, że człowiek tak sobie czasami myśli, czymś może zawiniliśmy. Na szczęście





się okazało, że nie. Od nas dostała takie wsparcie, jakiego tak naprawdę potrzebowała. To był jeden z takich momentów, który dla mnie wtedy był bardzo trudny. Ja też pracowałam wtedy z osobami z zaburzeniami psychicznymi. Różne to były osoby, które miały bardzo różnorodne problemy i to było trudne. Również kiedy rozpoczynaliśmy projekt „Meble od serca" mieliśmy takiego pana. Wtedy ten projekt ruszał tym, co mieliśmy jako pracownicy spółdzielni do zaoferowania. Daliśmy między innymi prześcieradła, a one były kolorowe i pan był zachwycony i sobie to tak poukładał jako obrusy na stołach. A to było wszystko z darów, ale było używane. Wtedy ta sytuacja tego człowieka to było coś niesamowitego. Na początku trochę baliśmy się tego projektu. Nie wiedzieliśmy czy damy radę, jak to będzie wyglądało. Czy damy radę pomagać tym ludziom? Czy znajdziemy darczyńców? Czy w ogóle są ludzie, którzy potrzebują takiej pomocy? Kiedy zobaczyliśmy właśnie tamtą sytuację i to jak to wszystko wyglądało i jak zmieniliśmy życie, zmieniając mu mieszkanie, wyposażenie to powiedzieliśmy sobie, że zrobimy wszystko, żeby zawsze ten projekt mieć u siebie. I jest to jeden z naszych wiodących projektów, w którym widać jak jakość życia zmienia się na naszych oczach. Jest to niesamowite jak potrafimy zrobić czasami te metamorfozy w mieszkaniach. Coś wspaniałego. To jest niesamowita satysfakcja, bo ten efekt jest ogromny. Czasami są to drobne rzeczy, ale są na przykład uciążliwe dla osób, które się zgłaszają do nas o pomoc. Czasami są spektakularne, jak na przykład okazuje się, że wyposażamy komuś całe mieszkanie. Dzieci po raz pierwszy mają pokoje takie dedykowane dla dzieci. Potrafimy też w jakiś sposób wpłynąć na te osoby, że one zrobią remont u siebie, bo akurat my się tym nie zajmujemy. Że to się wszystko zmienia. Jest to naprawdę olbrzymia satysfakcja. Wyciska czasami z nas łzy. Później te osoby też często polecają nas innym osobom, które też potrzebują naszego wsparcia. Jest to naprawdę super i tak naprawdę o to to chodzi, tak?

Więc czasami nawet jest tak, że księgowa powie: "ojejku, ile my mamy faktur w tym miesiącu" albo" ile my mamy dokumentów i trzeba to gdzieś tam przewalić". Tak jest.

Ale tak naprawdę za tymi wszystkimi dokumentami kryje się drugi człowiek.

Bo u nas to jest to związane z tym, że pomagamy, wspieramy. Może mniej jest to widoczne i mniej spektakularne są usługi opiekuńcze w miejscu zamieszkania, a tam zatrudniamy około stu sześćdziesięciu opiekunów środowiskowych. To wsparcie osób, które są zależne od osoby trzeciej i gdzie my jesteśmy i bardzo często przeciwdziałamy osamotnieniu. Naprawdę te osoby mają większą chęć do życia, gdy mogą zostać u siebie w domach. Prawda jest taka, że one nie mają bardzo długiej perspektywy, jeżeli chodzi o czas życia, ale mogą być w tym środowisku, w którym żyły przez wiele lat w jak najlepszej formie. Jest to też coś niesamowitego i naprawdę wielki szacunek dla opiekunów środowiskowych i dla zespołu, który koordynuje bezpośrednio usługami opiekuńczymi, bo to jest tak naprawdę bezcenne. Uważam, że to jest to, co jest naszym tak naprawdę trzonem naszej działalności, a często nie ma tam fajerwerków. Bo jak tutaj komuś pomożemy, widzimy to, że ta zmiana jest szybka, nagła. Jest zupełnie inaczej. A tam jest po prostu wieloletnia praca i ona jest bardzo trudna i ciężka, ale też daje olbrzymią satysfakcję.

Praca jest wymagająca właściwie pod każdym względem. Natomiast prywatnie lubi Pani chodzić, zwiedzać. Lubi Pani czytać książki. Jakie są Pani ulubione aktywności?

To jest to, co pani wymieniła. Tak, bardzo lubię być turystą w Gdańsku. Muszę powiedzieć, że jak była ta kampania "Zostań turystą w swoim mieście", to ona bardzo do mnie trafiła, bo kocham to miasto i

bardzo dobrze się tutaj czuję. Rzeczywiście podziwiam architekturę. Podziwiam jak się rozwija.

Lubię zwiedzać Polskę.

Może też dlatego, że akurat mamy zaadoptowanego psa, który jakbyśmy mieli gdzieś polecieć za granicę, to musiałby być w luku bagażowym, a na to się nie godzimy. Jest to wykluczone. Więc jeździmy pociągiem. Jeździmy pociągiem po Polsce i odkrywamy Polskę. Przy okazji wtedy prowadzę dzienniki podróży. Zbieram różnego rodzaju wspomnienia. Książki towarzyszyły mi od kiedy nauczyłam się czytać. I to jest niezmienne. Oczywiście zmieniały się zainteresowania i różna tematyka była tych książek, ale to rzeczywiście jest coś, co mi towarzyszy. To też coś co próbuję też zaszczepić u mojego syna, chociaż trochę stawia stawia opór, ale dopiero będzie miał dziesięć lat, więc może jeszcze tak do końca nie załapał tego bakcyla. Ja się interesuję Japonią. Jest to moje wielkie marzenie, żeby kiedyś tam pojechać, ale może ze względu na psa nigdy to się nie uda, więc podróżuję tak naprawdę czytając bardzo dużo. Nawet ostatnio wpadłam na taki pomysł, że skoro tak się interesuję tą kulturą, tym społeczeństwem, to przecież tak naprawdę nie można się interesować tak jakimś państwem, nie znając całkowicie języka tego państwa. Więc robię takie pierwsze kroki w uczeniu się jednego z sylabariuszy. Mam nadzieję, że za jakiś czas z pięć, dziesięć słów po japońsku też będę umiała powiedzieć.



ZAWSZE INTERESOWAŁ MNIE DRUGI CZŁOWIEK...

MAGDALENA NISKI

Najtrudniej jest, kiedy trzeba odebrać dzieci rodzinie. I choć jest to długi proces i wiadomo, że słuszny, to nie da się tego nie przeżywać. Magdalena Niski jest pedagogiem w PCPB Monar- Markot w Gdańsku. Pracuje z kobietami, pracuje z rodzinami. Tak jak w życiu zawodowym mimo wielu starań nie zawsze wychodzi tak jak planuje, tak w życiu prywatnym uwielbia sprawczość. Realizuje się w...ogrodnictwie. To tam – jak zauważa jej mąż – zachowuje się jak dziecko w sklepie z cukierkami. Spełnia marzenia i daje życie.



Najtrudniej jest, kiedy trzeba odebrać dzieci rodzinie. I choć jest to długi proces i wiadomo, że słuszny, to nie da się tego nie przeżywać. Magdalena Niski jest pedagogiem w PCPB Monar- Markot w Gdańsku. Pracuje z kobietami, pracuje z rodzinami. Tak jak w życiu zawodowym mimo wielu starań nie zawsze wychodzi tak jak planuje, tak w życiu prywatnym uwielbia sprawczość. Realizuje się w... ogrodnictwie. To tam – jak zauważa jej mąż – zachowuje się jak dziecko w sklepie z cukierkami. Spełnia marzenia i daje życie.

To nie są łatwe zagadnienia, z którymi mierzy się Pani na co dzień obserwując podopiecznych. Czy taki życiowy optymizm pomaga?

Myślę, że jest konieczny. Bez tego nie dałoby się pracować. Optymizm, ale też realizm. Bardzo często jest potrzebny, bo możemy mieć wiele planów i pragnień, marzeń na naszych podopiecznych, ale tak naprawdę to oni podejmują ostateczną decyzję i gdzieś trzeba też to uszanować.

Trzeba mieć dużo też takiej wyrozumiałości i otwartości, żeby przejść przez ten proces. Kiedy jest jakiś pomysł, są rozwiązania, a podopieczny jednak na samym końcu, tuż przed metą mówi, że to chyba jednak nie dla mnie.

Tak. I powiem szczerze, że to jest dość trudne, ponieważ czasami nam się wydaje, że mamy patent na mądrość, biorąc pod uwagę też i swoje doświadczenie i pracę zespołową. Gdzieś zawsze dzielimy się swoimi opiniami na temat podopiecznych, z którymi pracujemy. A podopieczny ma inny pomysł na siebie i też musimy mieć jakoś dużo uważności w tym, na ile to jest trochę na bazie wyobraźni, marzeń, pragnień, a na ile czegoś realnego, co można zrealizować właśnie tu i teraz. Więc tak, to są bardzo trudne decyzje. One na pewno wymagają czasami dłuższych rozmów, sprawdzenia tego, z czym tak naprawdę w danym momencie osoba, z którą pracujemy jest. Bo to też bywa bardzo różnie.

Kiedy to pomaganie i wspieranie innych pojawiło się w Pani życiu?

To jest dobre pytanie, bo jak tak się nad tym zastanowić, to chyba od zawsze. [śmiech] Bo nawet jak sięgnę pamięcią do szkoły podstawowej, to byłam tą, która chodziła z lekcjami do koleżanek, które były chore, więc zawsze też miałam chyba w sobie jakąś taką uważność i wrażliwość na osoby, które odstawały trochę od grupy. Jak sobie tak sięgnę pamięcią, to faktycznie pamiętam takie osoby w mojej klasie. Czy to była szkoła podstawowa, czy to później wszystkie inne szkoły, które kończyłam.

Myślę, że cechuje mnie duża wrażliwość i uważność na drugiego człowieka.

Więc tak jak sobie pomyślę to faktycznie towarzyszyło mi to od zawsze.

I kiedy Pani wiedziała, że z tej swojej wrażliwości można zrobić zawód?

Może nie będę oryginalna, bo jak większości przyszło to do mnie zupełnie znienacka. [śmiech] Mimo tego, że gdzieś zawsze byłam wrażliwa na potrzeby drugiego człowieka, to szczerze mówiąc nie miałam sprecyzowanych planów co będę robić. Ukończyłam resocjalizację. Kiedyś koleżanka powiedziała mi, że to jest ciekawe, że nie wybrałam pedagogiki opiekuńczo-wychowawczej, bo chodziło o takie powiedzenie, że ci co poszli na resocjalizację, to wyrywają chwasty, a ci co idą na opiekuńczo-wychowawczą to sadzą kwiatki. Więc jakoś nie mogłam do końca się z tym zgodzić, bo wydaje mi się, że to nie jest do końca prawdziwe. Ale myślę sobie, że podświadomie chyba dokonałam takiego wyboru, że poszłam w tym kierunku. Zawsze interesował mnie drugi człowiek, zawsze interesowała mnie też jego historia. Moja pierwsza praca była tak naprawdę zaproszeniem do współpracy, bo zostałam zaproszona na zastępstwo za koleżankę. Ówczesna pani dyrektor powiedziała: "Chodź do mnie do pracy". Znałyśmy się z osiedla. "Ja potrzebuję ludzi optymistycznych, a ty taka jesteś, więc [śmiech], więc zapraszam cię do współpracy". Miałam być na zastępstwo na dwa lata za koleżankę, która pełniła funkcję kierownika placówki właśnie i szła na macierzyński. No i zostałam dłużej. I tak to się zaczęło.

Kiedy zaczyna się od takiej funkcji na zastępstwo i zostaje się dłużej i zaczyna się swoją zawodową ścieżkę to co Panią zaskoczyło najbardziej?

Tak szczerze mówiąc, to mnie wiele rzeczy zaskoczyło, [śmiech] bo wydaje mi się, że to czego uczą w szkołach a to co spotyka nas w życiu codziennym, zawodowym, jest zupełnie czymś innym. Więc ja nie ukrywam, że jak przyszłam do pracy to wszystko mnie zaskoczyło.



Staramy się oczywiście ze wszystkich sił, całym zespołem zrobić wszystko, żeby pokazać właściwą drogę...



Miałam zupełnie inne wyobrażenie o pracy, zupełnie inne też myślenie o tym, co mnie spotka.

Więc faktycznie wszystko mnie zaskoczyło. Zaskoczyły mnie historie, że potrafią być tak okrutne, że potrafią być tak nieprzewidywalne, że potrafią być takie smutne, prawda? Bo to trochę wokół tego się kręcimy. Chyba to mnie najbardziej zaskoczyło w tej pracy, która mnie jakoś spotykała tak na co dzień. Bo na co dzień to jest taki spory ładunek tych takich krzywd, które mogą wydarzyć się człowiekowi. Tak myślę, że za dużo nawet. Nawet czasami się zastanawiam ile człowiek jest w stanie znieść. Bo mamy do czynienia z kobietami, z dziećmi, z całymi rodzinami, które doświadczyły wielu krzywd, ale też były sprawcami wielu krzywd. Często jest tak, że nawet jeżeli przychodzi do nas ofiara przemocy, to później bardzo szybko okazuje się, że ona też jest sprawcą i niestety wyładowuje swoją wściekłość na dziecku. I to jest chyba najtrudniejsze, bo jesteśmy tego świadkami. I z tym jest najtrudniej, bo gdzieś mamy świadomość, że to jest jedyny opiekun, który sprawuje tę opiekę. Staramy się oczywiście ze wszystkich sił, całym zespołem zrobić wszystko, żeby pokazać właściwą drogę tej kobiecie, jakoś towarzyszyć jej właśnie w tym, żeby stała się dobrym, świadomym, odpowiedzialnym rodzicem. I to jest chyba nasze główne zadanie za które odpowiadamy.

Najtrudniejsze momenty związane z życiem zawodowym to są jakie?

Takich momentów też jest sporo. Myślę, że najtrudniejsze nie tylko dla mnie, ale też dla całego zespołu, z którym pracuję, to są zabezpieczenia dzieci. Osobiście uważamy to trochę jako porażkę i trochę jako zawodzący system. Ale też takie sytuacje się zdarzają i szczerze mówiąc ich jest coraz więcej. Tłumaczymy sobie też to, że robi się to dla dobra dziecka. Bo taka jest też prawda. Jeżeli pracuje się z rodzicem dłuższy czas i nie widać efektów. Albo, co gorsze, rodzic nie posiada zasobów, żeby też pracować na czymś. A widzimy, że dziecku dzieje się krzywda, no to idziemy za dobrem dziecka. Często mówi się, że matkom trzeba dawać po kilka szans. A ja się zawsze pytam a ile dajemy szans dzieciom? Bo często jest tak, że dziecko przychodzi na świat już z podciętymi skrzydłami w rodzinach, które mają bardzo mało zasobów. I jeżeli matka chce pracować nad sobą, bo to widać, czuć, i taka matka przychodzi, pyta się, rozmawia z nami, jakoś chce, żebyśmy towarzyszyli w życiu to wtedy widzimy, że jest potencjał. Nawet jeżeli jest to trudne, bo zdarzają się mamy, które naprawdę przychodzą bez elementarnej wiedzy. Czasami zaczynamy od higieny osobistej, dosłownie jej i tych dzieci, więc to naprawdę jest poziom podstawowy. Ale te matki są często właśnie wdzięczne za to, że się im pokazuje różne rzeczy. Starają się kontynuować wyuczone zachowania i to widać, że idzie do przodu. Ale są też mamy, które właśnie przychodzą jakby z poziomu troszkę wyższego, a jednak to nie idzie do przodu. To oczywiście nie my podejmujemy taką decyzję, tylko to jest decyzja całych zespołów, sądów. To jest proces. To bardzo długo trwa, zanim taka decyzja zapadnie. Ale myślę, że te decyzje są najtrudniejsze i bardzo to przeżywamy.

Naprawdę czasami wydaje nam się, że osoby, które są jakoś zaangażowane w to myślą, że to nic nam nie robi, ale jednak nam to dużo robi.

Po takich zabezpieczeniach naprawdę czujemy się niedobrze z tym.

Jak złapać balans? Jak złapać dystans po takiej historii?

Myślę, że przede wszystkim rozmowa. To jest to pierwsze i podstawowe. Jak już wspomniałam, pracuję z bardzo fajną kadrą. Są to ludzie wysoko zaangażowani w swoją pracę. Pracują tak jak ja ponad dwadzieścia lat w tej samej firmie, więc to chyba o czymś świadczy. To są osoby, z którymi już się porozumiewamy spojrzeniem, gestem. Już nawet nie musimy nic mówić. Są to na szczęście też osoby, które lubią rozmawiać, nie zamykają się w sobie. Ale jak coś się dzieje, jak jest jakaś akcja, adrenalina, jakaś trudna sytuacja to faktycznie siadamy, rozmawiamy i zanim wyjdziemy do domu, to jest potrzeba, żeby się wygadać. W taki sposób ten ciężar z siebie zrzucamy. Wiadomo. Myślę, że nieprawdą jest, że zostawia się coś w pracy, bo to jest zbyt duży kaliber, żeby to zostawiać w pracy. Ale myślę, że idę do domu z dużo mniejszym obciążeniem. Jak już człowiek zrzuci z siebie ten pierwszy ciężar, to później już jest łatwiej, nie? Także ten pierwszy ciężar faktycznie zostawiam w pracy i myślę, że dotyczy to zarówno mnie jak i koleżanek, kolegów, z którymi pracujemy. To jest ważny element. W ogóle rozmowy są ważnym elementem. Zawsze mamy taki zwyczaj u siebie w pracy, że jak przychodzimy to zaczynamy od porannej kawy. Rozmawiamy co u nas, jak nam, czy się wyspaliśmy, jaki mamy dzień, czy mamy jakąś trudność w domu. To też daje nam taką przestrzeń do tego, żeby się zorientować



kto w jakim jest dzisiaj nastroju.

Bo faktycznie w tej pracy trzeba mieć nastawienie. To jest trudna praca.

Rozmawiamy też, omawiamy, co się wydarzyło ważnego, na co warto zwrócić uwagę, kto potrzebuje jakiegoś większego wsparcia. Sporo rozmawiamy o naszych podopiecznych, a mamy o czym rozmawiać, bo przebywamy z nimi dwadzieścia cztery na dobę. Jest to taka przestrzeń, w której widzimy się w każdej sytuacji. O ile przed kuratorem, pracownikiem socjalnym czy osobami, które odwiedzają takie domostwa można coś ukryć i wydaje mi się, że można pokazać się jakoś tak szczątkowo, to u nas po prostu się nie da. Często obserwuję takie sytuacje, że kobiety, które przychodzą chcą jakoś na początku się zaprezentować, zaistnieć. To takie naturalne, nowe środowisko, więc chce jak najlepiej wypaść. Ale śmiejemy się, że ta maska szybko spada. Bardzo szybko osoby pokazują, co mają na swoim wyposażeniu. I bywa bardzo różnie. Nie da się udawać. I to działa w dwie strony oczywiście. Nasi podopieczni też nas obserwują w różnych sytuacjach i jak jesteśmy zdenerwowani i jak jesteśmy zadowoleni. Myślę, że to jest też fajne, bo dość naturalne. To czego się nauczyłam przez lata, to nie udawać, że czegoś nie widzę albo nie mówić, że coś mnie nie denerwuje, bo wydaje mi się, że to jest bardzo ważny element i jak na coś zwracam uwagę, to mówię, że coś mnie zdenerwowało albo że coś mnie niepokoi. Po prostu wyjaśniam co to jest i zapraszam do zmiany tej sytuacji. To jest bardzo pomocne, że my jesteśmy bardzo naturalni w tym, co robimy i też mamy świadomość, że sami nie możemy pokrywać się, tylko musimy po prostu być sobą także w stu procentach.

Bywają takie momenty, kiedy Pani patrzy na to dwudziestoletnie doświadczenie albo wspomina historie, kiedy było na przykład trudniej i pamięta, że tej osobie udało się i to był sukces?

Tak, oczywiście. Myślę, że bez takich historii to nie byłoby sensu pracy. Myślę, że takie historie nas właśnie budują i jakoś tak pokazują, że to co robimy ma sens. Takich historii jest mnóstwo. My nawet kiedyś śmiałyśmy się właśnie z moją ekipą z pracy, że powinniśmy spisać takie książki, bo to są naprawdę historie o których się pamięta. Wywołują w nas bardzo różne emocje i śmiech, i stres. Ale to są historie, które są jakoś ważne. Taką historią z ostatniego czasu jest historia dość smutna a zarazem piękna. Zmarła nasza wolontariuszka, która była też mieszkańcem naszej placówki, pani Ula. No i smutne było to, że na tym pogrzebie nie było nikogo z rodziny. Natomiast na pogrzebie było mnóstwo osób i bardzo wzruszający moment był taki, gdzie ksiądz zapytał: "Czy jest ktoś z rodziny? Czy ktoś chce coś powiedzieć?". I nagle się okazało, że nie ma nikogo z rodziny. I wtedy pomyśleliśmy sobie, nawet głośno to powiedzieliśmy, że to my jesteśmy tą rodziną. Więc ksiądz jakoś tak wzruszył się tym. Powiedział, że to jest piękne iż mimo tego że ktoś może być samotny, to jednak nie jest samotny. I muszę przyznać, że przyszło mnóstwo ludzi. Te osoby, które były naszymi podopiecznymi, które już nie mieszkają z nami, które się już usamodzielniły, przyszły ze swoimi rodzinami. Więc był to piękny pogrzeb. Smutna okazja, ale zarazem piękna, bo pokazująca jak potrafimy budować więzi z ludźmi.



Tworzymy taką zastępczą rodzinę nawet powiedziałabym.

Często trafiają do nas kobiety, które tych rodzin nie mają po prostu. Albo te rodziny są tak rozbite i tak z taką historią, do której nie chcą wracać. Czują, że w tej rodzinie nie będzie wsparcia i nie było wsparcia, więc my stajemy się taką rodziną. My się stajemy tymi ciociami, wujkami. My stajemy się właśnie tymi osobami, do których przychodzą się pożalić, pochwalić, pokazać. Opowiedzieć o jakimś swoim cierpieniu czy swojej radości. I później to trwa, bo to się jakoś nie kończy po wyjściu tylko faktycznie podopieczne są z nami w kontakcie, dostajemy mnóstwo życzeń na święta, czasami się pytają, czy mogą przyjechać na Wigilię, jak faktycznie jest im smutno. To są takie sytuacje, które budują, pokazują, że można. Nawet jeśli dotyczy to takich przypadków, gdzie ktoś powiedział, że z tą kobietą się nie da pracować. Że ona już tyle razy wracała do tej placówki, tyle razy powtarzała ten sam schemat, że to jest nierealne. A okazuje, że jednak realne, że po prostu potrzebowała więcej czasu. Potrzebowała uwierzyć, że ma to bezpieczne miejsce w swoim życiu. Potrzebowała uwierzyć, że jest ktoś, kto się o nią troszczy. Potrzebowała uwierzyć, że jest ktoś kto, kto o nią dba. I to dało jej taką siłę i przestrzeń do tego, żeby zbudować coś na nowo. Mamy takie podopieczne, które mają rodziny, powychodziły za mąż, które sobie dobrze żyją. Takich sytuacji jest sporo i to jakoś cieszy. Oczywiście bywa różnie. Zdarzają się też kobiety, którym po usamodzielnieniu życie totalnie burzy się. To też jakoś pokazuje, że jest grupa kobiet, która samodzielnie nie potrafi funkcjonować. Funkcjonują fantastycznie jak są mieszkankami placówek, mieszkań wspomaganych, chronionych. Po prostu muszą mieć kogoś nad sobą. Człowieka, który trochę im podpowie co mają robić. I w ten sposób funkcjonują bardzo długo. W momencie, gdy idą na swoje mieszkanie to wszystko gdzieś czasami się psuje. Dlatego zastanawiamy się co takiego się wydarza? Niby wszystko idzie we właściwym kierunku, niby człowiek został wyposażony w nowe umiejętności społeczne, kompetencje rodzicielskie, a jak zostaje sam i ma to życie przejąć w swoje stery, to pojawia się duża trudność i jednak nie udaje się. Więc są happy endy i są smuteczki. Ale myślę sobie, że te happy endy chyba tak jakoś nas wzmacniają, że jednak warto. Kolejny raz i kolejny raz, i kolejny raz. Może kiedyś się uda.

Prywatnie Pani taką siłą napędową, ale też miejscem, gdzie może Pani ochłonąć i złapać dystans i balans to jest dom i Pani rodzina.

Tak. Mam kochającego męża, kochane dzieci, więc udało mi się stworzyć dom, rodzinę, dosłownie dom z ogródkiem, w którym w wolnym czasie uwielbiam grzebać. To mnie też odstresowuje. Mój mąż zawsze się śmieje, że w ogrodnictwie trochę jestem jak dziecko w sklepie z cukierkami, bo nakupuję, nakupuję i później cały weekend sadzę. Ale myślę, że to jest trochę o dawaniu życia. Myślę, że to jest tak psychologicznie patrząc chęć dawania życia. Jestem tak dużo w tych trudnych, chwilach i momentach, że jak mam czas wolny, to jakoś chyba sprawdzam moją sprawczość. Te rośliny właśnie są jakimś takim elementem nadawania nowego życia, pielęgnacji i tego, że coś się udaje. Myślę, że to ma dużo głębsze znaczenie niż by nam się wydawało. Także tak, dom i rodzina. Na pewno. Dom i rodzina. Ale ja sobie też myślę, że mi w ogóle ludzie dają dużo energii. Nie jestem typem absolutnie samotnika.

Zawsze lubiłam być wśród ludzi i myślę, że tę energię też jakoś tak biorę od ludzi.

Nawet się śmiałyśmy ostatnio z koleżankami, że ja się zawsze chwalę, że jestem fanką Jarmarku Św. Dominika i wszyscy się łapią za głowę mówiąc: "Boże, jak, gdzie na ten jarmark? Przecież tam taki jest gwar, jak ty się tam w ogóle odnajdujesz?" A ja kocham Jarmark św. Dominika. Kocham rzemiosło, kocham ludzi, którzy za tym stoją. Ja nawet jak o tym sobie myślę, to teraz sobie zdałam sprawę z tego, że ja tych ludzi nawet znam. Ja bardzo lubię z tymi ludźmi rozmawiać. Czyli można powiedzieć, że ja z tymi ludźmi się widzę co roku i rozmawiamy sobie o tym, co nowego stworzyli, co nowego im się udało przywieźć na ten jarmark. Odwiedzam stałe stoiska. Zawsze coś też kupię oczywiście. Dla mnie Jarmark św. Dominika ma też inny wymiar. To jest jakaś taka energia, rzemiosło, coś związanego z tworzeniem, z jakąś sprawczością. Więc chyba to jest taki element, który właśnie być może spostrzegam trochę inaczej niż inni.



NASZA DZIAŁALNOŚĆ JEST BARDZO TAKA SKROMNA, MAŁA, LOKALNA.

WOJCIECH ŻAK

Z fermentacją jest tak, że jest zjawiskiem spontanicznym. Odcinamy tlen i zaczyna dziać się magia. Ekspertem od tego procesu stał się Wojciech Żak współtwórca i lider merytoryczny Fundacji Twoja Rola. Jest jednym z tych, którzy rozwijali projekt Osiedle Sitowie. Pokazał, że życiem nie rządzi jednak przypadek a to od czego uciekamy, może wrócić i umożliwić czynienie dobra.



Z fermentacją jest tak, że jest zjawiskiem spontanicznym. Odcinamy tlen i zaczyna dziać się magia. Ekspertem od tego procesu stał się Wojciech Żak współtwórca i lider merytoryczny Fundacji Twoja Rola. Jest jednym z tych, którzy rozwijali projekt Osiedle Sitowie. Pokazał, że życiem nie rządzi jednak przypadek a to od czego uciekamy, może wrócić i umożliwić czynienie dobra. W dzieciństwie nie przepadał za pracą w ogrodzie. W dorosłym życiu ogrodnictwo wróciło. Powstała Manufaktura Ogrody Sitowie oraz przedsiębiorstwo społeczne Siejemy Ferment. Kto stoi za zakwasem z buraków i czarnym czosnkiem? Oczywiście Wojciech Żak.

Zaczynając od tematów zawodowych, bardzo teoretycznych, które mają niezwykłe przełożenie na praktykę. W jaki sposób można pomóc? W jaki sposób można wspierać osoby, które mierzą się z wykluczeniem społecznym?

To osoby włączane społecznie, bo generalnie ta nomenklatura troszeczkę się zmieniła. Odchodzimy od takich określeń, które mogą stygmatyzować. Zauważamy to także w nomenklaturze pisania projektów wspierających osoby borykające się z różnymi problemami społecznymi czy zdrowotnymi na rynku pracy.

Moim podejściem do wspierania osób i pracy z tymi osobami jest dawanie wędki a nie marchewki.

Staramy się stworzyć czy to miejsce pracy czy przestrzeń do aktywizacji takich osób poprzez działania zawodowe włączające, czyli po prostu dawanie pracy w różnej formie. My się zajmujemy ogrodnictwem miejskim, zajmujemy się produkcją żywności. Tutaj jest ta przestrzeń, w której osoby, które chcą się zaangażować, chcą być aktywne i chcą coś zmienić w swoim życiu, są zapraszane do współpracy. Wiemy, że jest to dosyć trudne wymagać od kogoś kto boryka się z różnymi problemami, często z takimi, z których my nawet nie zdajemy sobie sprawy, z osobami bardzo często bezrobotnymi, z osobami mało aktywnymi i zawodowo, ale również społecznie, jakiegoś zaangażowania się w pracę. I to jest trudne. Stąd też nasza działalnoś jest bardzo taka skromna, mała, lokalna. Nie aktywizujemy jakiejś niewyobrażalnej liczby osób, ale mamy grupę odbiorców, dla których prowadzimy takie działania związane z rozwojem umiejętności ogrodniczych, produkcji żywności. To chyba jest też ważne w dzisiejszych czasach.

Jak to było z Tobą i z Twoją misją pomagania i wspierania?

Zawsze wzbraniałem przed ogrodnictwem, bo miałem jakieś wcześniej za młodzieniaszka niestety przyjemność pomagania rodzicom w ogródku w tej pracy polnej, która dla dzieciaka nie była zbyt atrakcyjna,ale kształtowała z drugiej strony charakter i taką etykę pracy. Pomaganie, nie chcę powiedzieć, że przez przypadek, ale wiązało się to trochę też z podjęciem czy wyborem studiów. Na początku, gdy kończyłem studia, byłem zainteresowany pisaniem projektów aktywizujących, edukacyjnych, zmieniających rzeczywistość czy też projektów kulturalnych. Na studiach mieliśmy bardzo fajne, studiowałem socjologię w Gdańsku. Mieliśmy bardzo fajne ćwiczenia, podczas których trenowaliśmy, uczyliśmy się pisania projektów unijnych. Wchodziliśmy wtedy do Unii Europejskiej i te perspektywy finansowe pojawiły się. I to była też przestrzeń do rozwoju zawodowego. Skończyło się na tym, że wybrałem specjalizację najmniej popularną z całego roku. Specjalizacja nazywała się „Praca socjalna i problemy społeczne". Jakoś tak. I to był kierunek studiów, który dawał też uprawnienia zawodu pracownika socjalnego. Siedem osób z całego roku wybrało ten kierunek, więc byliśmy w elitarnym gronie, bardzo ekskluzywnym. Wszyscy inni szli albo na HR albo na specjalizację dziennikarską. Zawsze szedłem pod prąd, więc mi to bardzo mocno pasowało. Interesowałem się też tematyką subkultur młodzieżowych, tematyką uzależnień, alkoholu, narkotyków.

Zawsze ten świat mnie jakoś interesował od strony takiej kulturotwórczej. Trochę pasowało do tego wykluczenia społecznego. Gdzieś tam na początku myślałem, że ta bezdomność to jest właśnie taka bezdomność jak ci francuscy kloszardzi. Wydawała się z wyboru. Praktyka i studencka, później zawodowa zweryfikowała te popularne wtedy tezy dotyczące wykluczenia społecznego. Więc to była edukacja, ale uparcie szedłem w kierunku pisania projektów. Byłem na stażu w Urzędzie Marszałkowskim w tak zwanym Departamencie Bogów, Referat Strategii Analiz DEFS, czyli Departament Europejskiego Funduszu Społecznego. No ale tam spotkałem się z pracą za biurkiem. A jednak mnie nosiło w teren i bardzo szybko znalazłem pracę w Centrum Integracji Społecznej w Gdańsku w Nowym Porcie. I chyba to był strzał w dziesiątkę. Tam ta moja kariera zawodowa w obszarze wsparcia społecznego rozpoczęła się. Później też byłem blisko projektów unijnych, bo jednego projektu byłem ewalu-



Staramy się stworzyć czy to miejsce pracy czy przestrzeń do aktywizacji takich osób poprzez działania zawodowe włączające, czyli po prostu dawanie pracy w różnej formie.

atorem. Jestem też, nie chcę, żeby to nieskromnie zabrzmiało, ale jestem jedną z niewielu osób, które powiązały wykształcenie z tą praktyką zawodową. Chyba to jest też taki mój mały sukces. Dlatego też nie szukam na razie nigdzie pracy w jakiejś korporacji, poza systemem wsparcia społecznego. Później już się to nakręcało. To środowisko osób wspierających, pracujących z osobami wykluczonymi społecznie czy jako instytucje publiczne czy organizacje pozarządowe, czasami współpracuje a czasami konkuruje. Wiadomo, jak to jest. To też jest rynek usług, usług społecznych. Ale znamy się i jestem częścią tego systemu.

Skąd się wzięło ogrodnictwo? To jest jednak temat, który dominuje w Twoim życiu zawodowym, ale pewnie też prywatnym. Jak to było z ogrodnictwem, skoro w dzieciństwie nie kliknęło a w życiu dorosłym owszem?

To też przypadek. Jestem tym klasycznym, co się zawsze wzbraniał przed czymś, że czegoś jak będzie starszy, nie będzie robił. A jednak to przyszło do mnie, wróciło ze zdwojoną siłą i nawet obszarowo, bo tam rodzice mieli dwie takie działeczki, trzeba było latać i pomagać. W którymś momencie pojawiłem się w takim projekcie mieszkaniowym mieszkań treningowych w projekcie Osiedle Sitowie na gdańskich Rudnikach. I tam z kolei byłem właśnie z ramienia Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie w Gdańsku koordynatorem projektu, który skupiał, wokół siebie osoby włączane społecznie, osoby z niepełnosprawnościami, osoby w kryzysie bezdomności. To głównie były mamy samotne z dzieciakami. Działało wtedy sześć organizacji pozarządowych na jednej ulicy w Gdańsku. Mieszkalnictwo treningowe, takie deinstytucjonalne, jest bardzo popularne. Jest to dobra metoda wsparcia osób z różnymi problemami. I działaliśmy na tych Rudnikach. Rudniki historycznie to była dzielnica rolnicza Gdańska. To był tak zwany spichlerz i Łąki Gdańskie. Delta Wisły, czyli wysokiej jakości ziemia. I to było widać od razu, jak tam się w tych ogródkach poruszało, bo każdy domek miał swoje ogródeczki i tam faktycznie wszystko tak dosyć dobrze i ładnie rosło. No a teraz na Rudnikach jest bardzo przemysłowo. Jest rafineria, bardzo duża stocznia jachtowa, sporo magazynów. To też wylotówka Gdańska i blisko portu. Tej ziemi rolnej i ogrodniczej praktycznie w ogóle nie ma. Był tam potencjał, żeby wprowadzić takie ogrodnictwo przydomowe na własny użytek jako formę pewnej aktywizacji zawodowej i społecznej mieszkańców projektu Osiedle Sitowie. Tutaj wchodzimy w obszar przedsiębiorstwa społecznego, ekonomii społecznej, całej filozofii biznesu. Przedsiębiorstw, które myślą nie tylko w sposób biznesowy, ale również w sposób społeczny,. Tworzą bezpieczne warunki i bezpieczne miejsca pracy dla osób, które są wykluczone społecznie z jakichś powodów. Ten potencjał tam był. Był też potencjał ludzki. Złożyło się na to kilka fajnych rzeczy. Współpracowaliśmy z Radą Dzielnicy. Mąż jednej z pań z członkiń Rady Dzielnicy był zaangażowanym ogrodnikiem lokalnym. I tutaj to też zagrało, bo moja wiedza ogrodnicza jednak nie była zbyt duża i posiłkowaliśmy się więc wiedzą kogoś innego. Udało się tam zrekultywować kawałek ziemi i zaczęliśmy uprawiać warzywa. Część społeczności osiedla Sitowie włączała się w te prace polowe. Część tych osób zaczęliśmy aktywizować zawodowo. Oprócz warzyw mamy do dzisiaj kury, które są elementem pewnego treningu rehabilitacyjnego i każdy z tych domków przez jeden miesiąc opiekuje się tymi kurami. To też jest dla nich trening obowiązkowości. Przychodzą mamy z dzieciakami, więc też te dzieci mają kontakt ze zwierzętami. Niezależnie czy jest słoneczko i fajnie czy jakiś zwykły szary, ponury dzień. Trzeba tym kurom otworzyć. Zawsze gdzieś te kury w mniejszym lub większym stopniu poprawiają humor, bo są naprawdę urocze i inteligentne.

To taka nasza farma.



Dwa lata uprawialiśmy te warzywa i sprzedawaliśmy w kilku miejscach do kilku sklepów. Czasami wystawialiśmy się na Bazarze Natury na Garnizonie we Wrzeszczu. Tam też były bardzo fajne doświadczenia kontaktu z klientem. Też się tego sporo uczyliśmy. Część osób chętnie włączała się w taką sprzedaż. To było to też dla nas wyzwanie, tworzyliśmy też mikro rozmowy. To znaczy ci nasi klienci przychodzili, zwierzali się ze swoich problemów. To były historie, że w rodzinie na przykład jest osoba, która zmaga się z jakąś chorobą, z jakimś uzależnieniem. Oddziaływanie było nie tylko biznesowe ale i terapeutyczne. Niemniej jednak efekt finansowy takiej sprzedaży bezpośredniej świeżych produktów był praktycznie nijaki. No i po dwóch latach, w 2021 roku siedzieliśmy na fali tego, że kiszonki, zakwasy wróciły do łask. Stały się bardzo modne, popularne i promowane jako te produkty prozdrowotne i lifestyle'owe. Pojawiły się marki premium. Padł taki pomysł, żebyśmy po prostu uprawiali tylko te warzywa, które będziemy przetwarzać i później sprzedawać już w formie właśnie produktów takich probiotycznych. I to robimy do dzisiaj ze skutkiem różnym. Jesteśmy z jednej strony bardzo znaną marką tu lokalnie, w Trójmieście, sporo osób już nas kojarzy. Regularnie wystawiamy na targach Klimaty, czyli takich targach twórców. Zatrudniamy osoby w ogrodzie, a także w naszej przetwórni domowej. Nie zawsze to są mieszkańcy projektu Osiedle Sitowie, ale to są bardzo często absolwenci lub osoby w jakiś sposób powiązane z Miejskim Ośrodkiem Pomocy Rodzinie w Gdańsku czy z organizacjami, które są na Sitowie.



I takim sposobem stałeś się ekspertem od fermentacji.

Jakoś tak się stało, prawda? Takim bardzo spontanicznym, tak jak ta fermentacja. Bo fermentacja ta tradycyjna czy w ogórkach, czy w kapuście to jest tak zwana fermentacja spontaniczna, dzika, czyli beztlenowa. Odcinamy tlen a tam później co się dzieje ta cała przemiana. I to powinno zamieniać się w coś jeszcze lepszego niż świeży produkt. Specjalista to zbyt duże słowo pewnie. [śmiech]

Dzisiaj na nasze spotkanie przyniosłeś zakwas z buraków. Przyniosłeś też czarny czosnek. Co to jest czarny czosnek i dlaczego warto to spożywać?

Oj, to mogę reklamę zrobić. [śmiech] Czosnek też był naszym konikiem jako warzywo do uprawy. Ono ekonomicznie być może byłoby opłacalne w warunkach nawet półprofesjonalnych, bo w miarę dobrze się je uprawia i jest to takie proste w pielęgnacji.

Praca w ogrodzie jest dosyć ciężka, nie każdy ją lubi, nie każdy przepada.

To trzeba od razu powiedzieć. Ale czosnek jak już wyrośnie i go widać, i nawet jak są chwasty, to można to pielić w sposób tak bezpieczny, że osoby, które nie mają doświadczenia w ogrodzie to jednak będą widziały te kilka pędów tego czosnku i postarają się tego nie skosić razem z innymi chwastami. A ten nasz



ogród już niejedną rzecz widział. Tutaj anegdot mógłbym przytoczyć parę na ten temat. Proces sadzenia jest na jesień, kiedy już też ogród przycicha. Kończymy prace ogrodowe i możemy na spokojnie sobie poświęcić kilka dni na sadzenie tego czosnku. Później jest zima, ten czosnek zimuje sobie i następnie na wiosnę po roztopieniu śniegów widać pierwsze pędy. Kiełkuje. I to jest też taki fajny widoczny efekt. Ten proces uprawy możemy poprowadzić do lipca, kiedy trzeba jeszcze w międzyczasie pędy obciąć. Więc jest taka sezonowość i czosnek akurat może jest raz mniejszy, raz jest większy, ale nas nie zawiódł. Ale są inne rośliny, które nie zawsze po wysianiu wschodzą. Czosnek jest takim naszym konikiem. No i jest bardzo zdrowy. Ma sporo takich tam mikro i makroelementów, które stanowią o tym, że on jest naturalnym antybiotykiem. I to jest naukowo potwierdzone. Czarny czosnek rośnie u nas w ziemi i jest poddawany procesowi właśnie fermentacji. On jest też przebadany naukowo. Nie przez nas i nie na nasze zlecenie, więc nie mogę się powołać na jakieś konkretne badania, ale w przestrzeni publicznej coraz częściej dostaję od różnych osób SMS-a z artykułem o czarnym czosnku jaki on to jest super. Faktycznie on jest dziesięć razy zdrowszy niż zwykły czosnek, więc ostatnio nawet pojawiły się artykuły o tym, że jest bardzo dobrym suplementem diety. To jest dosyć ciekawy aspekt. Smakowo jest umami. Wykorzystywany w kuchniach fine diningowych, szczególnie w Hiszpanii, na Półwyspie Iberyjskim, w Portugalii. A wymyślili go prawdopodobnie Chińczycy, którzy jednak znają się troszeczkę na tej diecie i na zdrowym odżywianiu. I tutaj mówimy o smaku. To jest piąty smak umami. Zachęcam do spróbowania. Można nas zawsze na jakichś targach spotkać. Zawsze robimy degustację czy to zakwasu z buraków czy czarnego czosnku. Można poznać nowe smaki.

Relaksuje Cię z pewnością praca w ogrodzie, jakkolwiek magicznie to brzmi. Natomiast to nie jest wszystko. Są też takie inne aspekty, na przykład aktywności różnego rodzaju, które umozliwiają Ci złapanie dystansu i balansu.



Oj na pewno. Jest to ogród, lubię wysiłek fizyczny, nie ukrywam. Z wiekiem też ten organizm troszeczkę inaczej się zachowuje. Ale jestem aktywny. Od małego gram w piłkę i do dzisiaj w nią kopię. Może już nie z efektem i skutkiem, ale cały czas te endorfiny i przyjemność są. Poziom zadowolenia z tego wysiłku jest ten sam. Nie zmienia się. Pozdrawiam ekipę Tri City moich serdecznych kolegów po piłce. Od momentu, kiedy bardzo mocno zaangażowałem się w pracę w ogrodzie i w przedsiębiorstwo społeczne, czy to Manufakturę Ogrody Sitowie czy Siejemy Ferment, to tak naprawdę tylko raz miałem urlop dłuższy niż siedem dni. Tylko raz. I jak byłem nawet ten raz to żałowałem, że tak długi ten okres byłem poza ogrodem. Z różnych względów, ale głównie chodziło o prowadzenie upraw i prowadzenia tej działalności aktywizującej społecznie, zawodowo naszych współpracowników. Zasadniczo nie mam takiego długiego urlopu w roku, więc szukam jakichś takich różnych sytuacji, które mogą mnie gdzieś tam zrelaksować i pozwolić mi na jakiś taki reset. To coś pojawiło się w postaci takich krótkich wyjazdów w góry. Ta turystyka wysokogórska, troszeczkę też wspinanie, bo akurat też mam tą przyjemność mieć przyjaciół, którzy chodzą na ściankę czy jeżdżą w skały. Mam więc taką przyjemność zrobić sobie taki tak zwany city break. I faktycznie, jak pierwszy raz wchodziłem na Kozi Wierch, czyli element Orlej Perci, to przysporzyło mi mnóstwo pozytywnych emocji a to był wyjazd trzydniowy. Wracając do Gdańska czułem się, jakbym tydzień spędził na jakiejś wyspie samotnej, bezludnej. Byłem też z dystansem do tych bieżących spraw, które zostawiłem w Gdańsku, w Trójmieście. I naprawdę taki wyjazd polecam każdemu. Zdobyć jakąś górę, gdzieś tam przełamać swój lęk. Wysokościowo nigdy nie byłem jakoś wybitnie mocny. Z racji tego, że mieszkałem na parterze w bloku na Przymorzu to nie byłem jakoś taki obyty z wysokościami. Nawet windą nie lubiłem zbytnio jeździć. No a tutaj nagle musiałem sobie pochodzić i to jeszcze w takim okresie słabszym. Nie ukrywam, że nie byłem przygotowany do tej wyprawy. To był okres też przejściowy, były śniegi i tak dalej, więc tam brakowało kilku elementów ekwipunku, ale no tutaj też była z tym związana adrenalina. Było to dosyć mocne przeżycie dla mnie. Złapałem jakby bakcyla troszeczkę. Od tamtego momentu gdzieś tam staram się co najmniej raz w roku na taki krótki wypad gdzieś w góry się udać, tudzież w skały. Poza tym skłamałbym, gdybym nie powiedział, że jestem szczęśliwym mężem. Mam dwójkę dzieci Jasia i Franciszkę, które mi też dodają tutaj takiego kopa do życia, do pracy. Żona również, która bardzo mocno zaangażowana jako wolontariuszka w Siejemy Ferment. To przekłada się też trochę na nasze życie prywatne, bo dużo rzeczy robimy też poza pracą.

Żyjemy pracą, żyjemy tym projektem,

widzimy w nim też perspektywę, że to się rozwinie. Stworzymy więcej miejsc pracy.



BO MISJA NIE ZAWSZE POLEGA NA TYM, BY MIEĆ WSZYSTKIE ODPOWIEDZI.

AGNIESZKA CHOMIUK

Już jako licealistka wiedziała, że chce pomagać innym. Z grupą przyjaciół założyła stowarzyszenie. Dziś, po niemal 25 latach pracy w pomocy społecznej, Agnieszka Chomiuk dyrektorka Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie w Gdańsku, wie, że pomaganie rzadko przypomina romantyczną opowieść o ratowaniu świata. Częściej oznacza bezradność, trudne decyzje i mierzenie się z tym, na co nie mamy wpływu.

Już jako licealistka wiedziała, że chce pomagać innym. Z grupą przyjaciół założyła stowarzyszenie. Dziś, po niemal 25 latach pracy w pomocy społecznej, Agnieszka Chomiuk dyrektorka Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie w Gdańsku, wie, że pomaganie rzadko przypomina romantyczną opowieść o ratowaniu świata. Częściej oznacza bezradność, trudne decyzje i mierzenie się z tym, na co nie mamy wpływu. Ale też chwile, w których jedno uratowane życie, jeden człowiek, który odzyskuje swój dom, przypominają, że ta praca ma sens. W swojej działalności Agnieszka Chomiuk przypomina, że granica między tymi, którzy pomagają a tymi, którzy potrzebują pomocy, jest znacznie cieńsza niż nam się wydaje. Bo misja nie zawsze polega na tym, by mieć wszystkie odpowiedzi. Czasem polega na tym, by mimo wszystko być obok.

To nasze spotkanie zaczęłabym od słowa „zaskoczenie" i to ma bardzo duże przełożenie na historię tych naszych spotkań pt. Ludzie z misją. Jaka była ta historia?

To była koncepcja uhonorowania pracowników, którzy pracują w naszej organizacji. Mamy takie poczucie, że jednak ta pomoc instytucjonalna nie ma takiego uznania społecznego jakie powinna mieć.

To bardzo trudna i bardzo odpowiedzialna praca.

Praca, za którą stoją konkretne osoby z ich różnymi trudnościami, potrzebami, problemami. Bo nie zwracają się do nas osoby w dobrych, szczęśliwych momentach swojego życia, tylko raczej te osoby, które z różnych powodów znajdują się w tych kryzysowych momentach swojego życia. I o ile pomoc osób, które zajmują się pomaganiem, wspieraniem innych ludzi w taki sposób społeczny w organizacjach pozarządowych, albo właśnie z takich odruchów serca w sposób charytatywny, jest traktowana jako taka działalność misyjna i ma takie duże uznanie i prestiż społeczny, to myślę, że ta pomoc instytucjonalna, świadczona przez urzędników, nie ma w świadomości społecznej takiego uznania. Nie ma prestiżu i docenienia. Pomyśleliśmy sobie, że chcielibyśmy zacząć sami od siebie. Żebyśmy nauczyli siebie doceniać nawzajem. Żebyśmy zauważali u siebie wewnętrznie w organizacji, że są osoby, które się wyróżniają. Są osoby, które postrzegamy jako te, które są osobami z misją. Ta misja jest na co dzień dostrzegana przez nas, że ją widzimy i że o takiej osobie możemy powiedzieć, że to jest człowiek z misją. Ten pomysł narodził się, żebyśmy nie czekali na to, że zauważą to osoby z zewnątrz, żebyśmy zaczęli zauważać siebie nawzajem i umieli uhonorować siebie nawzajem. Żebyśmy umieli trochę celebrować tę naszą pracę i sukcesy i umieli honorować nasze dokonania. Może nawet nie dokonania, bo to czasami nie chodzi o to. Bardziej chodzi o postawę, o misję, o serce, o wrażliwość, empatię, odwagę, entuzjazm, pasję, bardzo różne cechy i elementy, które powodują, że patrzymy na kogoś i po prostu widzimy, że to jest człowiek z misją do pomagania. To pomysł zespołowy. To nigdy nie jest tak, że coś od początku do końca jest dziełem jednej osoby w naszej organizacji. Nawet jeżeli iskra pojawia się u jednej osoby, to ktoś ją podejmuje, ktoś dodaje do tego cegiełkę. To w naszym zespole dyrektorskim zostało ułożone w taki sposób, by stworzyć konkurs na uhonorowanie pracowników. Ale też osoby spoza pracowników, którzy są formalnie powiązani z naszą organizacją, bo zaczęliśmy honorować też rodziny zastępcze. Za chwilę też organizacje pozarządowe, które realizują zadania na zlecenie Miejskiego Środka Pomocy Rodzinie w Gdańsku, więc ta kategoria pracownik, współpracownik trochę szerzej definiowana niż ściśle podpisana umowa o pracę z Miejskim Środkiem Pomocy Rodzinie w Gdańsku. Wszyscy wiemy, że identyfikujemy te osoby jako te, które pracują w obszarze pomocy społecznej na rzecz Gdańszczanek i Gdańszczan.



Mówi Pani o iskrze, która pojawia się w głowie. O iskrze, która jest pomysłem. A z Panią i tą pracą społeczną jest tak, że ta iskra pojawiła się bardzo wcześnie. Pani bardzo szybko wybrała pracę na rzecz innych, bo już w liceum założyła stowarzyszenie. Tak było. To rzeczywiście tak jest, że ta moja historia jest historią o pracy społecznej. Może mam cechy, dzięki którym



miałam zajmować się pracą społeczną. Rzeczywiście pierwsze stowarzyszenie, które założyłam wraz z grupą przyjaciół, to było stowarzyszenie Ważna Róża. I tam ja rzeczywiście wymyśliłam tę nazwę. I to było stowarzyszenie na rzecz dzieci, młodzieży, ale też osób dorosłych z niepełnosprawnością. I pamiętam, że wszyscy byliśmy wtedy nieletni, bo byliśmy w liceum, chyba w pierwszej klasie. Pamiętam jak szukaliśmy takich mądrych, życzliwych dorosłych, którzy użyczyliby nam tej osobowości prawnej, bo niestety my nie mogliśmy być jeszcze założycielami stowarzyszenia. Przekonaliśmy do siebie kilkoro dorosłych osób, żeby zgodnie z przepisami prawa mogli stanowić tę grupę założycielską. Założyliśmy to stowarzyszenie i robiliśmy naprawdę wspaniałe rzeczy. To były lata '90, więc dla tej młodzieży z niepełnosprawnościami, dla osób dorosłych, dla dzieci, to czasami były naprawdę pierwsze wyjścia z domu na jakieś



Mamy takie poczucie, że jednak ta pomoc instytucjonalna nie ma takiego uznania społecznego jakie powinna mieć. To bardzo trudna i bardzo odpowiedzialna praca. Praca, za którą stoją konkretne osoby z ich różnymi trudnościami, potrzebami, problemami.

wydarzenia, do teatru, później wycieczki. Pamiętam wyjazdy nad morze. Ja wtedy mieszkałam w centralnej Polsce. Naprawdę to były niezwykłe przeżycia dla nas i my, grupa młodzieży, nieprzeszkolona. Tak naprawdę dzisiaj to by było niemożliwe, ale wówczas było możliwe. Jeździliśmy i robiliśmy różne wspaniałe rzeczy wspólnie a organizacja przetrwała, działa do dzisiaj.

Coś co powstało tak naprawdę na podwalinach wówczas entuzjazmu i chęci pomagania grupy młodych ludzi trwa i rodzi kolejne owoce, więc jest to wspaniałe.

Jak ta iskra się pojawi, coś co ma fajny potencjał i coś dobrego w sobie, to rzeczywiście jak już się zapali, to płonie silnym ogniem. Więc tak, to u mnie się zaczęło wcześniej. Już w ogólniaku miałam takie różne romantyczne pomysły na siebie związane z pomaganiem. Myślałam, że może będę na przykład wyjeżdżała na misje. Pomaganie wydawało mi się takim jedynym możliwym dla mnie sensem i rozwojem. Oczywiście to musiało być romantyczne, dramatyczne, najlepiej powiązane z jakimiś trudnościami. To pomaganie nie mogło być takim zwykłym pomaganiem, czyli jakiś taki prosty zawód „pomagacza". Miałam więc w głowie różne pomysły na pomaganie. Pamiętam też najpierw książkę, później film „Czekolada". Tam też był taki motyw, gdzie główna bohaterka grana przez Juliette Binoche, gdy wiał północny wiatr ona wyciągała taką czerwoną pelerynę, zakładała sobie i swojej córce i wtedy ruszała gdzieś w świat na przykład do takiego miasteczka, gdzie otworzyła sklep z czekoladą. Dzisiaj jako dorosła osoba wiem, że to trochę było o zmianie, o lęku i niepokoju. Ale wtedy w ten nastoletni, romantyczny sposób wyobrażałam sobie, że jak wieje ten północny wiatr, to jest to ten poryw serca, gdzie ona czuje, że musi ruszyć w świat, bo gdzieś ktoś potrzebuje jej pomocy. I ja sobie też tak pomyślałam, że chciałabym wyruszać komuś na pomoc, gdy zawieje ten północny wiatr. Tak trafiłam do gdańskiego MOPR-u.

Trochę jak taka bohaterka z peleryną.

No właśnie. Chociaż nie każdy bohater nosi pelerynę. W tamtym roku nagrywaliśmy taki filmik na naszą galę z okazji Dnia Pracownika Socjalnego. Cóż, na pewno nie jest to ta romantyczna peleryna, którą sobie wyobrażałam będąc w liceum. Nasza praca jest odarta z romantyzmu często. Jest dużo trudniejsza. Często okupiona frustracją, smutkiem, czasami bezradnością, dochodzeniem do ściany. Ale na pewno ma też twarz człowieka, któremu się pomaga i często też ma bardzo namacalne doświadczenie ratowania ludzkiego życia i wpływu na nie. Jest to o ludzkim życiu i o doświadczeniu tego, że jest się bardzo blisko człowieka, który tego potrzebuje. Niestety często jest tak, że my nie mamy rozwiązań albo nie mamy dokładnie tego, czego ten człowiek potrzebuje. Natomiast to, co mamy, to to, że możemy być. Nawet jeżeli nie mamy wszystkich odpowiedzi. Nie mamy wszystkich narzędzi świata albo dokładnie tego, co ta osoba potrzebuje. Możemy za to powiedzieć: jestem, widzę cię, będę tutaj. Czasami to jest wszystko, czego ta osoba potrzebuje.

Co dla Pani jest najtrudniejsze w tej pracy?

To są takie dwa rodzaje trudności. Jedna trudność jest związana z tym, że nie wszystko ode mnie zależy. Jak kończy się mój zakres wpływu, czyli bez względu na to, ile zrobię jeszcze, to i tak już nie zmienię tej sytuacji. Zależymy od pewnego systemu, od przepisów prawa, od gotowości i od woli osoby. Pracujemy zgodnie z wolą każdej i każdego z nas. Chyba, że mówimy o zagrożeniu zdrowia i życia. Wtedy już kończy się nasze sprawstwo a zaczyna decyzja sądu na przykład. Drugą trudnością są sprawy ostateczne. To wtedy, kiedy dzieci nie wychowują się w swoich rodzinach, opuszczają swoje rodziny biologiczne i są zabezpieczane poza środowiskiem rodzinnym w pieczy zastępczej. To też sytuacje, kiedy osoby umierają mimo

udzielonej pomocy. Czasami nie docieramy na czas z pomocą albo czasami ktoś nie zdecyduje skorzystać z pomocy. Bycie przy tych ostatecznych rzeczach jest trudne. Trudnością jest zarządzanie tak dużą organizacją, tyloma osobowościami i podejmowanie decyzji, które zawsze są obarczone pewnym ryzykiem, niezadowoleniem czy zadowoleniem części osób.

Nie jest to na pewno łatwa praca.

I jednocześnie jest to praca z misją, więc nie wyobrażam sobie innej. Pracy, która każdego dnia nie daje tego poczucia sensu. To jest dla mnie coś niesamowitego, że każdego dnia wstając wiem, że wstaję do pracy, która naprawdę ma znaczenie. I jednocześnie coś, za co mam ogromną wdzięczność, to fakt, że mogę być po tej stronie. Bo los jest nieprzewidywalny. I nigdy nie wiemy, kiedy możemy znaleźć się po drugiej stronie. Kiedy to my będziemy potrzebować ludzkiego serca, życzliwości i pomocy. Więc fakt, że można być po tej stronie, po stronie pomagającego, jest ogromnym przywilejem. Pamiętam taką kampanię w 2008 roku dotycząca bezdomności prowadzoną przez Pomorskie Forum na Rzecz Wychodzenia z Bezdomności. Ich hasło brzmiało: „I ty możesz zgubić klucze od własnego domu". Pamiętam, że tak trafne wydawało mi się to hasło. Dzisiaj pracując w Miejskim Środku Pomocy Rodzinie w Gdańsku myślę, że też tego właśnie się uczę - że tak łatwo jest znaleźć się po tej drugiej stronie. Nam się wydaje, że te kryzysy dotykają osoby takie daleko poza nami. Praca tutaj pokazuje, że tak łatwo zgubić klucze do własnego domu. Nigdy nie wiemy, kiedy los może odwrócić się i to my będziemy potrzebować czyjejś pomocy. Miało być o trudnościach, ale ja właśnie jestem nastawiona na rozwiązania, więc mi o trudnościach pewnie trudniej. Ta praca pokazuje mi, że to jest jednak przywilej. Być po tej drugiej stronie i móc wspierać, a nie być tą osobą, która tego wsparcia potrzebuje.



Kiedy patrzy Pani na zakres obowiązków i na te prawie 25 lat doświadczenia, które momenty są dla Pani najbardziej satysfakcjonujące?

Bardzo lubię tworzyć nowe rozwiązania. Najbardziej lubię jak możemy coś zrobić nowego, jak możemy coś zrobić inaczej. Jak możemy znaleźć rozwiązanie na coś, na co wydawało nam się, że nie możemy go znaleźć. To jest zawsze dla mnie bardzo satysfakcjonujące. Jak już się wydaje, że nic się nie da i nagle na drugi dzień okazuje się, że jeszcze coś można wprowadzić nowego i to przynosi skutek. Jest to dla mnie niesamowicie satysfakcjonujące. Bardzo lubię jak mamy taki efekt synergii. Uwielbiam pracować z ludźmi i bardzo lubię jak ta praca zespołowa idzie. To mnie bardzo buduje. Czasami jak są właśnie takie trudne dni, to taka praca w zespole daje mi bardzo dużą satysfakcję. To też każdy przypadek, kiedy kogoś udaje się uratować. Każdy przypadek tej sytuacji, która wydawała się beznadziejna



a okazała się sytuacją do uratowania. Sytuacją, gdzie udało się pomóc, udało się komuś okazać wsparcie, usamodzielnić, wyprowadzić na prostą każdy pojedynczy przypadek. Jedna osoba. Nie mówimy w procentach, w setkach. To są pojedyncze przypadki. Jedno dziecko, które miało nie przeżyć a chodzi, rozwija się świetnie. Osoba w bezdomności, która mieszkała na ulicy a otrzymała mieszkanie, utrzymuje to mieszkanie, wychodzi ze swoich problemów i zaczyna super funkcjonować. Pojedyncze przypadki osób, które wyszły z uzależnienia, naprawiły swoje relacje rodzinne. Pojedyncze przypadki to są przypadki, które potrafią budować na lata. Tak czasami jest, że jak są takie momenty, kiedy naprawdę jest trudno, to potem pojawiają się pojedyncze drobinki, takie małe sukcesy. A jak one jeszcze nam nie wystarczą, to są takie całe korowody tych dobrych przykładów i kolejnych. Pojawiają się a to osoby, a to zdjęcia albo jakieś takie dowody na to, że ta praca ma sens. Zdarzają takie cuda, które pokazują nam, że to naprawdę działa. Mimo obarczenia trudami, to naprawdę ostatecznie gdzieś na końcu przynosi ludziom dobro. Trzeba mieć dużo przestrzeni i wiele pomysłów, żeby zadbać też o siebie, kiedy stykamy się z takimi trudnymi historiami w swoim życiu zawodowym i swojej misji, powołaniu. Co u Pani działa?

Żeby móc pomagać innym, to trzeba mieć przede wszystkim taką pewność, że się nie jest samemu. Ja mam zawsze takie powiedzenie, że gdy się odwrócisz przez prawe lub lewe ramię, to zawsze wiesz, że ktoś za tobą stoi. Dla mnie to jest szczególnie ważne. Ja jestem dosyć taka i samodzielna, i odważna, i lubię działać, i umiem, i lubię to robić. I jednocześnie bardzo tego potrzebuję. Bardzo potrzebuję tej pewności, że gdy odwrócę głowę, to ktoś będzie za mną stał. Bardzo tego potrzebuję i na szczęście to mam. Tak się to moje życie układa, że zawsze jak się odwrócę czy przez lewe czy przez prawe ramię, to ktoś za mną stoi. I to mi daje pewność, chęć do działania, poczucie bezpieczeństwa. Myślę, że to jest ważne dla każdego z nas. Myślę, że to jest też to, co my dajemy innym osobom. Jesteśmy, widzimy ich i będziemy tam. Dobrze też jest mieć takie swoje rzeczy, swoje przestrzenie, które dają trochę głowie od-

począć, są takim oddechem. Ja jestem osobą wielu pasji, więc mnie różne rzeczy w życiu cieszą i zawsze znajduję czas na to, żeby to moje serce znalazło ukojenie w przyjemnościach. Bardzo lubię słowo w każdej postaci. Lubię czytać, lubię teatr, lubię sama coś napisać, stworzyć. Jakoś bardzo mnie to relaksuje. Lubię jogę, ayurwedę, więc to taki mój świat, który daje balans. Jestem też blisko świata zwierząt i natury. To jest moją harmonią.



I myślę, że w pracy „pomagacza" to jest bardzo ważne, żeby mieć coś, co będzie równowagą.

Nawet jeżeli to nie będzie w równowadze ilościowo, bo u mnie na pewno nie jest w równowadze, ale ja tak zawsze mówię: szybko żyję i szybko odpoczywam. Chodzi o to, żeby to po prostu mieć. Mieć te swoje miejsca w głowie i w sercu, które będą balsamem dla nas. Będą naszymi miejscami odpoczynku. Ja takie mam.





PRACA ZESPOŁOWA DAJE POCZUCIE BEZPIECZEŃSTWA.

KATARZYNA KALINOWSKA

Ponad 25 lat w pomocy społecznej to ogrom doświadczeń, historii i spotkań, które uczą pokory. Katarzyna Kalinowska jest starszą specjalistką pracy socjalnej i koordynatorką zespołu umieszczania w Wydziale Pieczy Zastępczej MOPR w Gdańsku. Dobrze wie, że w tej pracy nie da się działać w pojedynkę. Jej własna droga prowadziła ze Śląska nad morze.



Ponad 25 lat w pomocy społecznej to ogrom doświadczeń, historii i spotkań, które uczą pokory. Katarzyna Kalinowska jest starszą specjalistką pracy socjalnej i koordynatorką zespołu umieszczania w Wydziale Pieczy Zastępczej MOPR w Gdańsku. Dobrze wie, że w tej pracy nie da się działać w pojedynkę. Jej własna droga prowadziła ze Śląska nad morze.

Co Pani czuje opowiadając o funkcjach, które pełni zawodowo?

Co czuję? Czuję radość. Na pewno czuję pokorę czuję, że przez tyle lat udało mi się wytrwać w zawodzie. W takim stylu też życia. Zawód pracownika socjalnego, który pełniłam na początku, był kontynuacją innych funkcji w miejskich ośrodkach pomocy rodzinie. Najpierw w Zabrzu, potem w Gdańsku, nie były łatwymi funkcjami. To nie jest łatwy zawód i rzeczywiście trzeba pewnie mieć jakieś predyspozycje, które powodują, że człowiek trwa. Ja już trwam w tym zawodzie ponad 25 lat, więc nie wiem kiedy to minęło.

Mówi Pani o specjalnych predyspozycjach. Kiedy patrzy sobie Pani na swoje życie zawodowe i swoje kompetencje, to jak Pani uważa, które cechy przyczyniają się do tego, że ten zawód jest Pani misją?

Jestem osobą pracowitą, systematyczną, wytrwałą w swoich dążeniach. Mam swoje przekonania, swoje zdania i wydaje mi się, że też chyba najważniejsze jest to, że każdego dnia potrafię spojrzeć sobie w lustro.

No i daję z siebie po prostu wszystko.

A co Pani sprawia największą przyjemność w wykonywaniu tych wszystkich zadań?

W tych wszystkich zadaniach przyjemność sprawia mi współpraca z moimi cudownymi dziewczynami z zespołu. Jesteśmy małym, sześcioosobowym zespołem, ale podlegamy pod większy wydział. Praca zespołowa daje poczucie bezpieczeństwa. To jest też takie rozłożenie odpowiedzialności.

Każda z nas jest inna, każda ma inne doświadczenia życiowe, inne predyspozycje.

Jako koordynator staram się dostrzegać i wyciągać z dziewczyn te cechy, które powodują, że dana osoba jest w stanie sobie poradzić z zadaniem. Bo oczywiście zadania mamy podobne i zajmujemy się w zasadzie tym samym, natomiast pewne predyspozycje powodują, że jedna z nas ma predyspozycje do tego, żeby występować właśnie publicznie, żeby udzielać wywiadów, druga jest dobra w sprawozdawczości, więc staram się te mocne strony wykorzystywać i to daje chyba poczucie takiej właśnie radości, bezpieczeństwa. Ale też na co dzień oczywiście jest trudno i mierzymy się z różnymi trudnościami.

Te trudności to jest codzienność w tej pracy nie da się tego uniknąć. W jaki sposób Pani dba o siebie, dba o ten swój dystans i o swoje dobre samopoczucie?

Kocham muzykę. Słucham dużo muzyki. Jeżdżę na koncerty. Muzyka na żywo daje mi bardzo dużo takiej radości, satysfakcji. Bardzo lubię wędrówki po górach. Jak tylko mogę jadę na południe i idę w góry. To też daje takie poczucie wolności, swobody. Lubię obcować z przyrodą. Kocham ptaki. Ostatnio staram się poznać te różne gatunki ptaków, które przylatują do nas na naszą działkę. Działka też jest taką odskocznią. Od kilku lat uprawiamy nasz kawałek ziemi. Bardzo lubię kontakt z przyrodą, ale też lubię po prostu sadzić kwiaty, warzywa. Staramy się mieć ładnie. To też nam daje takie poczucie właśnie dużej radości z uprawy swojego kawałka ziemi.

Powiedziała Pani o muzyce, a z tą muzyką wiąże się to, że Państwo kolekcjonują różnego rodzaju płyty. Policzyła Pani ile tego jest?

Nie przygotowałam się, nie policzyłam, ale obiecuję, że po nagraniu to zrobię (śmiech). Rzeczywiście mamy taki fajny nałóg kolekcjonowania czarnych płyt winylowych. Jeździmy na giełdy muzyczne, ale kupujemy płyty przy okazji koncertów czy festiwali. To jest nasza taka pasja i w zasadzie na każde takie święto nasze, czy jakąś rocznicę, bądź z okazji różnych świąt, robimy sobie taki wspólny prezent i wtedy kupujemy jakąś fajną płytę.

To jakie perełki, Pani zdaniem oczywiście, zupełnie subiektywnym, znajdują się w tej kolekcji?

Dużo jest tych płyt. Rzeczywiście nie wiem, która by była taka najważniejsza. Ciężko powiedzieć, jest tego sporo i jest to muzyka rockowa, ale to też są inne płyty różnego rodzaju muzyki. Jest kilka takich ważnych płyt w moim życiu. Ostatnio taką bardzo starą płytę kupiliśmy Czesława Niemena i to też pewnie jest taka wartość zarówno historyczna. Widać po prostu ten bieg czasu po okładce.

Zostając w temacie muzyki, udało się Pani spełnić koncertowe marzenie...



Mamy takie poczucie, że jednak ta pomoc instytucjonalna nie ma takiego uznania społecznego jakie powinna mieć. To bardzo trudna i bardzo odpowiedzialna praca. Praca, za którą stoją konkretne osoby z ich różnymi trudnościami, potrzebami, problemami.



Tak, pojechałam na festiwal Opener. Tak, spełniłam swoje marzenie. Byłam na The Cure w tym roku, więc nie spałam do rana. Rzeczywiście fantastyczny koncert. Zespół w formie... Kocham Roberta Smitha. Było pięknie, byłam z Marcinem.

A propos Marcina! Tu są też różnego rodzaju przygody motoryzacyjne, no bo Pani wskakuje na motocykl i jako pasażerka przymierza kilometry!

Tak, staram się wspierać w pasji. W zeszłym roku Marcin kupił motocykl i postanowiłam być jego plecakiem. Jeździmy, odkrywamy nowe miejscowości. To są zarówno miejscowości na Kaszubach, jak i jedziemy czasem nad otwarte morze. To daje też takie poczucie wolności, innego doświadczenia tej drogi. Wszystko widać, wszystko czuć dookoła. Niestety nie wytrzymuję na długich trasach. Na razie kilka godzin to jest dla mnie optymalna odległość, ponieważ zaczyna mnie boleć głowa. Później to już nie jest komfortowe. Ale tak, rzeczywiście wspieram swojego partnera w jego pasji.

Ale to też jest takie podtrzymywanie relacji, prawda? To, że mogą Państwo spędzać razem czas w tej pasji.

Tak, bo to jest ta bliskość bycia razem. Ostatnio, kiedy mieliśmy oboje urlop, chciałam zrobić niespodziankę i pojechać w miejsce, którego Marcin jeszcze nie zna, a ja znam. Umówiliśmy się, że ja będę mu po ramieniu czy to prawym, czy lewym, dawać mu znaki, w którą stronę ma skręcić. Nie powiedziałam, dokąd jedziemy i to była niespodzianka. I bardzo mu się to podobało i pewnie musimy to powtórzyć.

Jak to jest zmienić tak zupełnie miejsce zamieszkania, czyli przenieść się z gór nad morze?

Przeniosłam się ze Śląska, z Zabrza do Gdańska w 2019 roku. To nie była taka szybka przeprowadzka. Nie spakowałam wszystkiego od razu, ponieważ mamy dzieci i przez dwa lata układaliśmy tę naszą historię. Pomyśleliśmy sobie, że okej, jesteśmy ważni, nasze uczucie jest ważne, nasz związek jest ważny, ale najważniejsze w tym wszystkim są nasze dzieci.

Jeżeli nasze dzieci nie zaakceptowałyby naszej decyzji, to nie byłoby mnie tutaj. To było niezwykle trudne, ale też bardzo pomogli mi bliscy, moi rodzice, którzy w tej całej sytuacji przyjechali do Gdańska, pokazali wnukom, że akceptują tę decyzję. Udało się. Jestem tutaj już od 7 lat.

I jak Pani z tym mieszkaniem na Pomorzu, mieszkaniem w Gdańsku?

Dobrze, przyzwyczaiłam się, natomiast bardzo często też jeździmy do siebie. Moja córka po ukończeniu liceum długo wybierała pomiędzy Uniwersytetem Gdańskim a Śląskim i trafiła na Śląski. Na ten uniwersytet, na którym ja studiowałam lata świetlne temu. Mamy kontakt. Kilka dni temu moja córka zrobiła niespodziankę: przyjechała z chłopakiem do nas w odwiedziny, na dwie noce. Piękne jest to, że żyjemy trochę na dwa światy. Nie odcięłam korzeni.

Korzenie są niezwykle ważne, ale też akceptacja, bliskość ważnych osób w moim życiu.

Mam znajomych zarówno na Śląsku, jak i tutaj. Mam szczęście do ludzi. Otaczam się dobrymi ludźmi w życiu i to jest takie bardzo ważne. To też pomaga.

A jak Pani obserwuje tę naturę? Dlatego, że podkreśla Pani, że ta natura, przyroda są dla niej ważne. Jak to jest, kiedy przyjeżdża się nad morze i jest ta otwarta przestrzeń i wolność?

Jest, ale ona jest nieco inna, ponieważ w górach jak człowiek wchodzi podczas wędrówki na jakiś szczyt, to jednak jest ten widok taki bardziej urozmaicony. Jest tego troszkę więcej. Te góry zawsze były bliżej. Pasją do gór zarazili mnie moi rodzice. Spędzaliśmy praktycznie każdy weekend, kiedy byłam dzieckiem w górach. Pewnie dlatego tam wracam, ale też kocham je i czuję się tam dobrze. Natomiast morze też jest fajne. Bardzo lubię spacerować brzegiem, lubię nad to morze chodzić. Chociaż nie bywam tak często jak na samym początku. Kiedy się przeprowadziłam, to brałam kije i chodziłam na codzienne spacery. Wdychanie jodu, wow, zdrowo, teraz będę codziennie chodzić. No niestety życie potem weryfikuje. Śmieję się czasami, że najczęściej bywam nad morzem jak ktoś przyjedzie z południa Polski.

Czyli można powiedzieć, że jest już Pani klasycznym mieszkańcem Pomorza, który nad morzem bywa bardzo rzadko (śmiech).





Tak, ale bywam.

W górach natomiast była Pani ostatnio w wakacje. Jak wraca się w te miejsca?

Cudownie się wraca. Pochodziłam trochę tymi starymi szlakami. Byłam z moją córką, której się bardzo podobało, bo nie była jeszcze w tych miejscach razem ze mną. Chodzimy takimi szlakami dzikimi. To są takie jeszcze dziewicze, nieodkryte miejsca. Gdzieś tam po drodze, kiedy tylko sobie pomyślałyśmy, wow, jak to pięknie i magicznie, gdzieś wyleciała sarna. Przecięła nam drogę, więc naprawdę było pięknie. Byłam w sierpniu. Ładuję wtedy baterie.

Co te góry dają?

One dają bardzo dużo takiej energii. To jest chyba najważniejsze, co wnoszą te góry w moje życie. Ja się po prostu tam najszybciej i najpiękniej ładuję. Mam wtedy siłę, energię, wracam z taką supermocą.

Kiedy jest Pani tutaj i trzeba ładować energię, to wtedy działka?

Tak, wtedy działka od piątku do niedzieli. Zabieramy też psa. Nasz pies też jest szczęśliwy, bo w bloku wiadomo, nie ma tyle przestrzeni. Ja się zajmuję ogrodem, Marcin zajmuje się pracami remontowymi a nasi chłopcy już prawie pełnoletni są też szczęśliwi, bo zostają wtedy w domu i mają więcej wolności. Mogą sami gospodarować, sami robić zakupy, gotują w ostatnim czasie, więc to też jest takie fajne. Jesteśmy oczywiście cały czas w kontakcie z nimi, niedaleko mamy działkę. Każdy bierze coś dla siebie z tego wolnego czasu.

Pani podkreśla też, że jest bardzo dumna ze swoich dzieci, że są takie samodzielne.

Tak, niezwykle ważna sprawa. Dla mnie chyba najważniejsze w życiu było to, żeby wyposażyć dzieci w takie umiejętności, żeby one później w życiu dorosłym radziły sobie. Więc moja córka 3 lata temu postanowiła wrócić na stare śmieci. I sama rządzi, sama gospodaruje. Wspieramy ją oczywiście. Jesteśmy cały czas w kontakcie jako rodzice. Natomiast rzeczywiście jest samodzielna. Pracuje, studiuje i to jest cudowne jak patrzę na nią. Jestem niezwykle z niej dumna. Syn za chwilę będzie miał 18 lat. Też fajny chłopak. Nie mówię tego dlatego, że jest moim synem, ale jest rezolutny, samodzielny, dobry chłopak. Zarówno córka jak i syn mają swoich, tu partnera, tu dziewczynę, to też są cudowne osoby. Naprawdę chciałabym, żeby tak już zostało (śmiech).

Aż kusi, żeby zapytać jakie ma Pani wskazówki, żeby uczyć samodzielności na miękko.

Nawet podczas szkolenia dla kandydatów na rodziców zastępczych, które prowadzę zazwyczaj z Alicją u nas w ośrodku, podkreślamy, żeby wraz z tym jak dzieci wzrastają, jednak dawać tej wolności przestrzeni więcej. Często mamy tak, że jak dzieci są małe, to pozwalamy im troszeczkę na więcej, a potem z wiekiem, kiedy widzimy zagrożenia z zewnątrz, które gdzieś tam





nasze dzieci czekają, to my boimy się i za wszelką cenę chcemy uchronić nasze dzieci. Nie mówię, żeby nie było w ogóle zasad.

Zasady bezpieczeństwa trzeba ustalić z dziećmi.

Ja też na przykład mówię moim dzieciom, że nie będzie mnie tyle i tyle, że gdzieś tam jadę i wrócę wieczorem. Dzieci pewnie naśladują w związku z tym trzeba być przykładem. Ale myślę sobie, że danie większej przestrzeni, wolności, w przypadku moich dzieci się sprawdziło. Ja nie byłam grzeczną nastolatką, ale nie dostałam rykoszetem i moje dzieci są naprawdę super.

Podkreśla też Pani swoją pamięć o tożsamości i o korzeniach. To też jest ważne.

Bardzo ważne. Tak, urodziłam się w Katowicach. W Katowicach studiowałam. Mieszkałam przez wiele lat w Zabrzu. Pracowałam w tamtejszym Miejskim Ośrodku Pomocy Rodzinie. Moje korzenie to Śląsk. Czuję się mocno związana z tym regionem. Jest on mi bliski i czasami tak się śmieję, że właśnie jadę wypocząć właśnie tam. Jest on bliski mojemu sercu, choć ja już nie mówię gwarą śląską, ale jeszcze moja babcia, prababcia owszem. W domach moich dziadków była gwara śląska i poszanowanie do tej kultury.

Czuje się Pani spełniona?

Tak, jestem spełniona, jestem spokojna. Wydaje mi się, że to dobry czas teraz dla mnie. Jestem pogodzona z upływającym czasem i nawet nie wiem, kiedy to wszystko się zadziało i minęło. Tak, czuję spełnienie.



NIE WYOBRAŻAM SOBIE TAKIEJ PRACY W POJEDYNKĘ.

MAGDALENA KRAMEK-PENKSYK

Nie każdy dzień da się zaplanować. Jeden telefon potrafi zmienić wszystko. W pracy Magdaleny Kramek-Penksyk, psycholożki Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie, nie ma dwóch takich samych dni. Wspiera osoby mierzące się z uzależnieniami, kryzysem bezdomności i trudnościami psychicznymi. Uczestniczy w interwencjach, dostrzega nadzieję tam, gdzie na początku trudno było ją znaleźć.



Nie każdy dzień da się zaplanować. Jeden telefon potrafi zmienić wszystko. W pracy Magdaleny Kramek-Penksyk, psycholożki Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie, nie ma dwóch takich samych dni. Wspiera osoby mierzące się z uzależnieniami, kryzysem bezdomności i trudnościami psychicznymi. Uczestniczy w interwencjach, dostrzega nadzieję tam, gdzie na początku trudno było ją znaleźć. Bo sukcesem nie zawsze jest wielka zmiana. Magdalena Kramek-Penksyk opowiada o codzienności, w której nie ma gotowych recept na ludzkie problemy, o sile zespołu i o tym, jak po trudnym dniu odzyskać spokój, przemierzając kilometry wśród natury.

Czy takim słowem, które opisuje Pani pracę, codzienne zadania, jest różnorodność?

Myślę, że tak. Praca jest dosyć dynamiczna. Mamy do czynienia tutaj z różnymi przypadkami.

Nigdy nie da się zaplanować następnego dnia.

Czym się Pani zajmuje na co dzień? Jakie to są wyzwania? Jakie to są działania?

Zajmuję się wspieraniem klientów w ich codziennych trudnościach. Pracuję z osobami uzależnionymi, w kryzysie bezdomności, z kryzysami psychicznymi. Biorę udział w interwencjach przy zabezpieczaniu dzieci.

Czyli to jest tak, że przychodzi Pani do pracy i tak właściwie to nie wiadomo co się wydarzy a wydarzyć może się wszystko?

Bywają dni takie, kiedy wszystko idzie zgodnie z planem i mogę zrealizować wszystkie konsultacje, które sobie zaplanowałam na dany dzień. No a bywa tak, że jest telefon i trzeba działać.

I skąd to się wszystko wzięło? Skąd to przyszło do Pani, że akurat taki zawód i taką misję będzie Pani wykonywała w swoim dorosłym życiu?

Od zawsze zajmowałam się pomaganiem. Wychowywałam się w takim sąsiedztwie, gdzie głównie zamieszkiwali seniorzy. I zawsze angażowana przez swoją babcię w pomoc osobom potrzebującym. No a później już sama kontynuowałam taki rodzaj tutaj wsparcia i stąd też chyba wybór kierunku studiów. Potem praktyki w czasie studiów, które były dobrowolne, też odbywałam w domach pomocy społecznej towarzysząc seniorom.

Co daje największą satysfakcję w tej pracy?

Chyba obserwowanie tego procesu zmiany, nawet tych małych kroków, dzięki którym osoba staje się bardziej samodzielna, ma takie większe poczucie sprawczości. No i że po prostu żyje jej się lepiej.

Pamięta Pani jakąś taką historię, która zrobiła na Pani jej wrażenie?

Wiele jest takich historii, które wspominam. Na początku wydawało się, że sytuacja jest na tyle trudna, że zakończy się dla danej osoby w taki sposób, w jaki ona by tego nie chciała. Ale na tyle udało się zmotywować ją do działania, podejmowała kroki i kończyła etapy terapii, stawała na nogi i do dzisiaj funkcjonuje świetnie. Wychowuje dzieci, ma je przy sobie, więc to są takie sukcesy.

Czy jest jakiś taki katalog zadań, motywacji czy takich podpowiedzi dla osób w kryzysie, które one mogą spełnić? Czy dla każdego klienta to jest takie indywidualne podejście?

Do każdego klienta staram się podchodzić indywidualnie, ponieważ każdy z nich ma swoją własną historię. Myślę, że to jest bardzo ważne w tej pracy, żeby z taką uważnością i z szacunkiem podchodzić do drugiej osoby,. Tak, aby klient czuł się wysłuchany, zrozumiany i aby mógł stopniowo z moją pomocą szukać sposobów na rozwiązywanie problemów.

A co jest dla Pani najtrudniejsze w tej pracy?

W pracy chyba najtrudniej mi jest jednak w tych interwencjach dotyczących zabezpieczania małoletnich dzieci. Zawsze mam na uwadze najbardziej to ich bezpieczeństwo i dobro tego małoletniego dziecka, ale jednak jest to dość wymagające, ponieważ wspieram je bezpośrednio podczas tej interwencji, która ma miejsce w różnych miejscach, sytuacjach.

Chodzi o to, żeby obniżyć jego ten lęk i poczuć zagrożenia, bo one są wyrywane ze swojego środowiska.

Nieważne, jakie to środowisko jest, ale ono jest dla nich przewidywalne. A dla nas jest najważniejsze zapewnienie mu bezpieczeństwa w tym momencie.





Ja pracuję z takim bardzo zaangażowanym zespołem. Wspieramy się i często to też jest współpraca z policją, z innymi służbami, Strażą Pożarną i Pogotowiem Ratunkowym.



Jak sobie radzić w takich sytuacjach, kiedy takie dziecko trzeba odebrać, bo to jest dla niego lepsze rozwiązanie?

Zawsze myślę sobie o tym, żeby ono było jednak bezpieczne i miało właściwe warunki do rozwoju i do nauki, żeby było odpowiednio zaopiekowane. I to jest dla mnie najważniejsze w takich momentach.

A w jaki sposób Pani łapie dystans? W jaki sposób znajduje ukojenie dla siebie po zetknięciu z tak ogromną ilością trudnych historii?

Zazwyczaj chodzę na długie spacery. Kilometrami po prostu, żeby wywietrzyć głowę. Uwielbiam kontakt z naturą. Często do pracy chodzę pieszo. Około 9 kilometrów. A jak po takim trudnym dniu mam możliwość wrócić do domu właśnie też pieszo, to przychodzę już taka naładowana inną energią.

To jest imponujące, że Pani wybiera właśnie taką drogę pieszo, no bo to nie jest kilometr czy dwa, tylko dziewięć. To jest taki już porządny dystans!

Tak, ale wbrew pozorom to jakoś bardzo szybko ta droga mija. Mam też takie ładne krajobrazy po drodze. Zależy, którą drogę wybiorę, to idę gdzieś nad wodą albo w parku, więc jest pięknie o każdej porze roku.

A co Pani w tej swojej pracy lubi najbardziej?

Chyba tę dynamikę. Wcześniej pracowałam z seniorami i te dni były takie bardziej przewidywalne i bardzo lubiłam tę pracę. Zostałam w drodze awansu przeniesiona tutaj do pracy w rejon po urlopie macierzyńskim.

Nie ukrywam, że na początku obawiałam się wejścia w środowisko.

Nigdy tak nie pracowałam wcześniej. Ale teraz z perspektywy czasu, to ta praca bardziej mi odpowiada z uwagi na tę dynamikę.

Opowiadała Pani o interwencjach. To jest rzeczywiście taka bardzo dynamiczna część Pani pracy i generalnie osób pracujących w sektorze pomocy społecznej. Jak te interwencje wyglądają?

Ja pracuję z takim bardzo zaangażowa-





nym zespołem. Wspieramy się i często to też jest współpraca z policją, z innymi służbami, Strażą Pożarną i Pogotowiem Ratunkowym. My z zespołem znamy się już tak, że rozumiemy się bez słów i po prostu uzupełniamy się. Dużo łatwiej jest pracować z takimi ludźmi równie zaangażowanymi i ze zrozumieniem dla drugiego człowieka. Wiemy co mamy robić.

To często się pojawia w Państwa opowieściach - zespół jest niesamowity. Pojawiają się te historie o rozumieniu się bez słów i ogromnym wsparciu. To ważne.

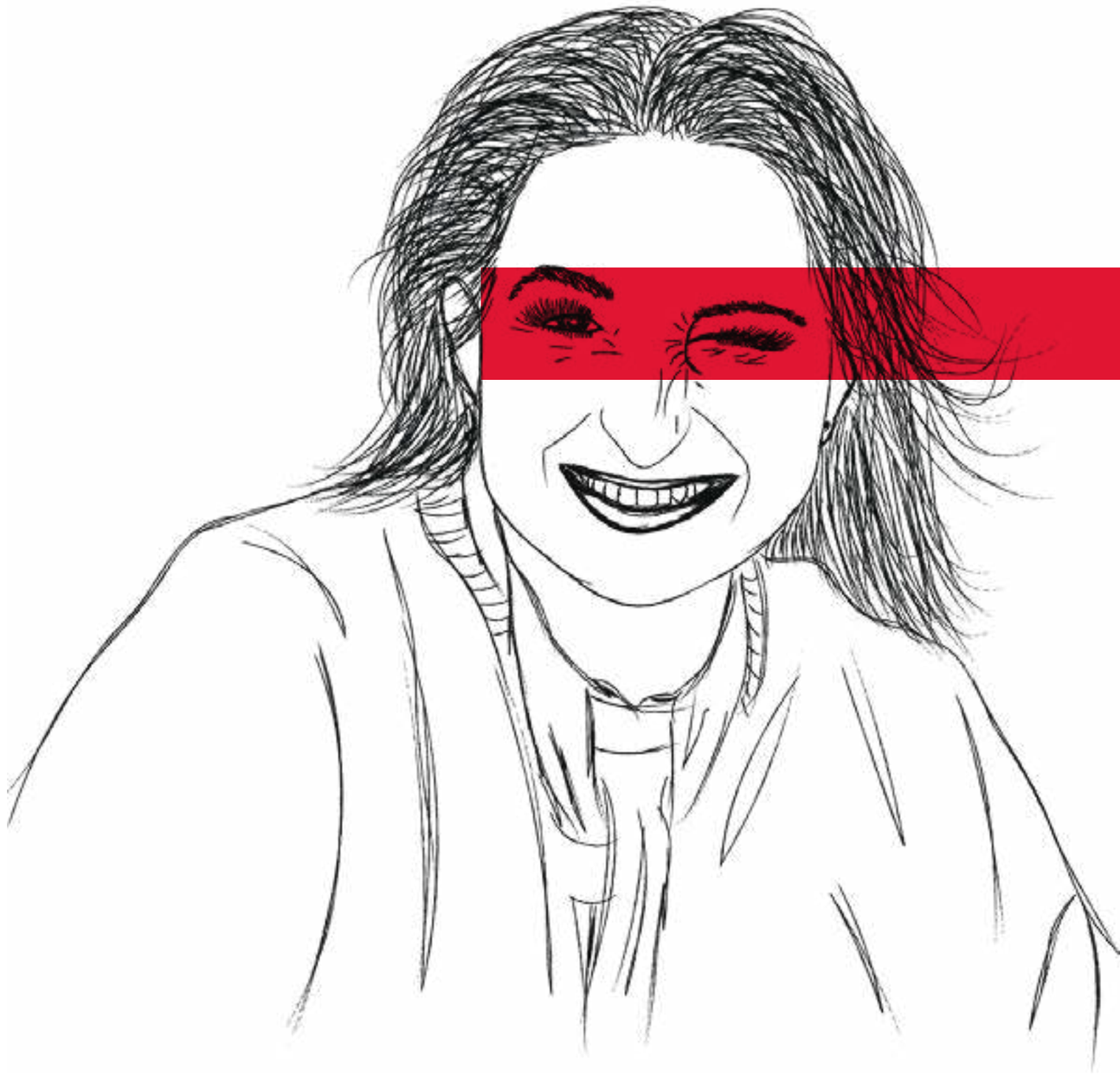
Tak, to jest bardzo ważne. Nie wyobrażam sobie takiej pracy w pojedynkę.

Bardzo ważne jest wsparcie tego zespołu,

bo często problemy rodzin są złożone i wymagają wieloaspektowego wsparcia. Ważną rolę odgrywają pracownik socjalny, pedagog, współpraca ze szkołami. To jest bardzo ważne.

Wracając do prywatnej strefy. Co Pani w swoim życiu lubi najbardziej?

Najbardziej lubię spędzać czas wolny z moimi synami. Tak aktywnie, spacerując, rozmawiając, czytając wspólnie. Lubię być w gronie rodzinnym.



CHYBA BEZ TEGO NIE POTRAFILIBYŚMY JUŻ FUNKCJONOWAĆ.

IRENA I MARIUSZ MAŁEK-PODJASCY

W ich domu zawsze ktoś czegoś potrzebuje, ktoś opowiada o swoim dniu a lista obowiązków zdaje się nie mieć końca. Irena i Mariusz Małek-Podjascy od 15 lat tworzą rodzinny dom dziecka. Dają dzieciom nie tylko dach nad głową, ale przede wszystkim poczucie bezpieczeństwa i szansę na lepszą przyszłość. Za ich codziennym gwarem kryją się historie, które wymagają cierpliwości i ogromnego serca.

Wich domu zawsze ktoś czegoś potrzebuje, ktoś opowiada o swoim dniu a lista obowiązków zdaje się nie mieć końca. Irena i Mariusz Malek-Podjascy od 15 lat tworzą rodzinny dom dziecka. Dają dzieciom nie tylko dach nad głową, ale przede wszystkim poczucie bezpieczeństwa i szansę na lepszą przyszłość. Za ich codziennym gwarem kryją się historie, które wymagają cierpliwości i ogromnego serca. O tym, jak wygląda życie w tak dużej rodzinie, co daje im najwięcej radości i dlaczego mimo zmęczenia wciąż potrafią powiedzieć, że lubią swoje życie - opowiadają Irena i Mariusz.

Jak jest w Waszym domu? Podejrzewam, że bardzo dużo życia i radości.

Irena: Mamy bardzo duży dom. Cała góra jest zajęta przez dzieci. W tej chwili jesteśmy z mężem na dole. Jest gwarno. Codziennie coś się dzieje, zawsze jest coś do zrobienia. To trzeba pojechać do lekarza, to do poradni, to gdzieś daleko na jakieś badanie do Gdańska.



A do Gdańska mamy sto kilometrów. Do tego wywiadówki. Tego jest naprawdę bardzo, bardzo dużo. Ale jest fajnie.

Jak było z Waszą decyzją dotyczącą tego, że chcecie swój dom otworzyć na dzieci?

Mariusz: To była taka decyzja właściwie trochę spontaniczna. Mój kuzyn miał taką rodzinę zastępczą i przyglądaliśmy się z boku jak to wygląda i gdzieś nas to pociągnęło. Ja właściwie od dziecka opiekowałem się też własnym rodzeństwem dużo i to tak we mnie tkwiło. Razem z żoną byliśmy na kursie organizowanym przez MOPS. Po skończeniu tego kursu zaproponowano nam dzieci z Gdańska i zgodziliśmy się.

Irena: Ja pamiętam to tak, że byliśmy na działce i przyjechał do nas kuzyn męża i jego żona, Rafał i Kasia. I mieli taką dziewczynkę Majkę, ona była niepełnosprawna. I Kasia z tego tytułu miała wynagrodzenie, była w domu, a że ja szukałam pracy, bo w wypadku złamałam kręgosłup i mówię, no może ja bym tak spróbowała kiedyś. A jak nasze dzieci biologiczne były małe oglądaliśmy w telewizji serial „Rodzina zastępcza". I taka fajna ta rodzina zastępcza, może my też kiedyś będziemy taką rodziną. Poszłam zapytać w Bytowie do MOPS-u czy jest jakieś szkolenie organizowane. Powiedziano nam, że tak. Przeszliśmy przez te wszystkie badania psychologiczne. No i tak się zaczęło. W Bytowie jednak nie było dzieci takich żebyśmy mogli się od razu zaopiekować. A ja chciałam już. Poprzez swoją koleżankę zgłosiłam się do Gdańska. I w Gdańsku trwało to dosłownie chwilę. Chcieliśmy tylko jedno dziecko. Nie chcieliśmy więcej. Ale zdarzyło się tak, że zadzwonili, że jest trójka do wzięcia. Wiadomo, że zanim podjęliśmy decyzję, to najpierw zapytaliśmy naszych biologicznych dzieci. Dzieci powiedziały - no pewnie, że tak. I tak to się zaczęło. Pojechaliśmy po trójkę dzieci. A potem było ich coraz więcej i więcej.

I trwamy w tym już tyle lat.

Pamięta Pani, w jakim wieku były pani dzieci i w jakim wieku do waszego domu przyszła ta kolejna trójka?



Irena: Najmłodsze dziecko, Karolina - miała 15 lat, o ile dobrze pamiętam. Potem jest Ola, która miała 19 lat i Marcin 20 lat. No to już duże dzieci. Pojechaliśmy z córką najmłodszą, bo syn studiował w Gdańsku, a Ola wybierała się do pracy do Niemiec. Pojechaliśmy z Karoliną i to było takie trudne, ciężkie przeżycie. To był bardzo duży płacz tych dzieci. Tam była właściwie piątka dzieci, trójka trafiła do nas, dwójka miała pójść do placówki, bo nie było w ogóle możliwości, żeby to zrobić inaczej. I to było trudne przeżycie. Ja byłam załamana na początku. Ale przez tę drogę do Bytowa, przez te 100 kilometrów, to jakoś uspokoiło się we mnie to wszystko. Gorzej było z mężem, bo on to bardzo przeżywał. Mówił, że chyba nie da rady. Dwie dziewczynki płakały mocno a chłopiec w ogóle nie płakał. To trwało trzy dni. I potem wyciszało się coraz bardziej.

Mariusz: Przeżywałem to mocno, ale w końcu jakoś to przetrwałem i trwałem w tym do teraz.

Jak wyglądały pierwsze dni z tą pierwszą trójką, jak Pan to wspomina?

Mariusz: Przyglądałem się, obserwowałem, uczyłem się. Były to jednak na początku dzieci jak gdyby nie nasze, więc musiałem się wszystkiego uczyć. Te dzieci miały swoje trudności wychowawcze. Dla mnie to był szok, jak te dzieci przyszły bez butów, niekompletne ubrane. To dla mnie było trudne. Nie wyobrażałem sobie, że tak może być. Ubraliśmy, kąpaliśmy, załatwiliśmy szkoły, przedszkola, wszystko co trzeba było. Zajmowaliśmy się nimi. W tej chwili jedna dziewczynka jest już po studiach.

Irena: Ta, która tak płakała teraz tutaj niedaleko mieszka. Bo jak przyjęliśmy tę trójkę dzieci, to po roku czasu zgodziliśmy się, żeby przyjąć jeszcze siostrę. Zrobiliśmy większy remont i było miejsce, żeby ją przyjąć. I to jest właśnie ta. To jest ta dziewczyna, która skończyła studia, już się usamodzielniła, mieszka w Bydgoszczy, ma chłopaka, będą kupować sobie mieszkanie. Swoje własne. I to jest taki naprawdę duży sukces.

I teraz jak Pani wraca do tej Waszej pierwszej drogi samochodem i do tego, co Pani widzi teraz - to była dłu-

Trzeba lubić swoje życie. Jak można nie lubić? Trzeba się cieszyć każdym dniem. Trzeba żyć tu i teraz. Nie oglądać się za siebie, tylko tu i teraz.



ga droga, oczywiście przez wiele lat - co Pani czuje widząc już dorosłą kobietę?

Irena: Satysfakcję. Cieszę się bardzo. Cieszę się też, że Iwona tutaj sobie daje radę. Mieszka w Gdańsku, mimo swoich trudności. Też jesteśmy z niej dumni. Z Agaty jesteśmy dumni. Z każdego z tych dzieci. Bo każde z nich ma jakieś traumy i sobie jakoś radzą. Jakoś pomagamy wspólnie, bo teraz kolejny brat będzie się usamodzielniał. Teraz chce pójść na prawo jazdy, bo już skończył 18 lat. Jego siostra właśnie urodziła maluszka. Potem są jeszcze inne dzieci. Mamy łącznie trzy rodziny u siebie. Jedna z dziewcząt ma 15 lat. Dostała się do szkoły, będzie fryzjerką. Ona to lubi, uwielbia makijaż, fryzury. Ja jestem z tego bardzo, bardzo dumna.

Wiadomo, że z niektórymi się nie da. Jest tak, że z niektórymi się da.

Jak wygląda wasza codzienność? Dzwoni budzik rano, u kogo najpierw?

Irena: Ja nie mam budzika. Nie nastawiam budzika, ja się sama budzę. No i pierwsze co? Siadam, piję kawę w spokoju. Jak mąż jest w pracy, to piję sama. Jak jest w domu, no to pijemy razem tą kawę. I piję ją bardzo długo. Mam taki duży kubek, żeby tej kawy było naprawdę dużo, żebym dłużej mogła siedzieć. A tak o 6.30 budzę dzieci. I wtedy poranny rytuał w szybkim tempie. Kanapki, śniadanie, zęby i wychodzimy, bo dowozimy dzieci sami. Nie ma u nas żadnego autobusu, bo mieszkamy na obrzeżach Bytowa, więc sami wozimy dzieci. I robimy taką rundę, chyba w trzy miejsca. I wtedy jak przyjeżdżamy, to jest chwila spokoju. I wtedy wiadomo: sprzątanie, gotowanie i znowu trzeba pojechać. Albo jest jakaś akcja w szkole i trzeba pojechać. I tak to się kręci. To jest taka adrenalina trochę. Jak coś szybko, szybko i to tak nas napędza. bo tak sobie przypomnę moich rodziców, czy mojego taty, który w wieku 55 lat już poszedł na emeryturę. Ja mam 58 i jeszcze nie chcę iść na emeryturę.

Pracuje Pan zawodowo. Wracając z pracy do domu, to na co Pan się nastawia?

Mariusz: Nastawiam się na to, co tam może mnie spotkać w dzisiejszym dniu. Co tam te dzieci nawywijały, ale zazwyczaj jest dobrze. Wracam do domu i przeważnie pomagam im przy odrabianiu lekcji, przy jakichś zabawach. Dzieci chętnie pomagają mi na podwórku, gdzieś przy koszeniu trawy, przy takich pracach porządkowych. W ten sposób motywuję i pochwalę za to, co robią. One są wtedy szczęśliwe. Fajnie. Taką pracą poniekąd nieraz bawimy się. Staram się wychowywać poprzez zabawę z dziećmi. No i widzę, że ma to jakiś sens. My z żoną ciągle pędzimy. Mamy dużo zajęć, obowiązków. Kiedy sobie odpoczniemy? Nie wiem kiedy. Ale to nas napędza. Chyba bez tego nie potrafilibyśmy już funkcjonować.

Jaki jest ulubiony moment w ciągu dnia?

Irena: Dla mnie poranna kawa. Zakupy, ale w samotności. Nawet te spożywcze. Wiadomo, że dzieci też zabieram, ale jak idę sama, to ja mam tak coś dla siebie. Poranna kawa dla mnie jest naprawdę czymś bardzo ważnym, przyjemnym. To jest dla mnie ten najlepszy moment w ciągu dnia.

Mariusz: Dla mnie to wtedy, kiedy dzieci położą się spać. Wszystkie obowiązki spełnione, zaczyna być spokój w domu. Wtedy mogę usiąść gdzieś na kanapie, spojrzeć w telewizor czy gdzieś tam w internet, z żoną porozmawiać. To jest dla mnie taki moment odpoczynku i spełnienia go dnia.

Irena: Ja jeszcze lubię wieczorami, jak mąż zaśnie, to jakiś film obejrzeć sobie na Netflixie. Albo jakieś takie filmy, które lecą w telewizji a ja nie zdążyłam obejrzeć, to sobie na aplikacji wieczorami obejrzę. Albo rano przy kawie. To też jest taki mój moment dla siebie.

Lubią też Państwo chodzić na grzyby?

Irena: To chyba bardziej ja. Mieszkamy co prawda przy przy lesie, ale nie mam czasu teraz na te grzyby chodzić. Byłam dwa razy w tym roku tylko. Dużo ludzi chodzi i wszystkie wyzbierane te grzyby (śmiech). Ja też lubię pobyć sama w tym lesie. Z dziećmi też chodzę na grzyby, tylko te kleszcze... one ciągle mają te kleszcze, muszę ciągle sprawdzać. I nie zawsze dzieci chcą pójść. Lubię w deszczu chodzić po lesie. Grzyby to uwielbiam, nawet jak mało znajdę. Ale lubię, bardzo to lubię. Jagód nie lubię zbierać, ale grzyby tak.

Mariusz: No tak - ona to uwielbia chodzić po grzyby. Ja się śmieję, że ona po grzyby, po kurki, po jakieś do sosu, tak jak do sklepu. Wychodzi faktycznie pół godziny i przychodzi z koszykiem grzybów i mówi już można robić sos. Pod tym względem ma taki dar, że faktycznie umie znaleźć, dojrzeć te grzyby. A ja też lubię na grzyby chodzić, gdzieś tam na spacery wspólne z dziećmi. Poza tym, wyjeżdżamy często na rowery z dziećmi. Mamy piękną trasę u nas rowerową, zatem korzystamy z tego. Dzieci uwielbiają ze mną zresztą jeździć rowerami. Po drodze zatrzymujemy się. Zbieramy



jagody czy grzyby. Wracamy do domu, posypujemy cukrem np. jagody i sobie jemy

Irena: Na rowerze to jeździ mój mąż. Ja naprawdę boję się z nimi jechać. U nas jest taki nasyp kolejowy i tam trasa rowerowa zrobiona, pobocze strome. Ja się tego boję. Ja się cieszę, że on ich zabiera, bo wtedy mam chwilę czasu, żeby coś ugotować. Jak z nimi pojedzie, to chwila jest też takiego spokoju, takiej ciszy, nie? Naprawdę tyle dzieci ogarnąć... bo to jeszcze wnuki. Czasem to trójka, czwórka, czasem to siódemka dzieci. To jest co ogarniać. Ale daje radę. Jedzie, wracają cali i zdrowi.

I wszyscy w komplecie.

Irena: Tak. I wszyscy w komplecie, tak.

Jak wyglądają Wasze święta, na przykład Bożego Narodzenia?

Mariusz: Święta to fajne są. Mamy długi stół. Pięć metrów ma. Przy takich świętach przy stole siada około trzydziestu osób. Święta przeważnie żona przygotowuje z córkami. Kupujemy sobie, nawzajem, dzieciom jakieś prezenty, kładziemy pod choinki. To znaczy Święty Mikołaj (śmiech). Jest na pewno rodzinnie. Atmosfera miła. Przyjeżdżają też dzieci, które już od nas odeszły. Te, które się usamodzielniły. I tak żonie mówię: patrz, nie jadą gdzieś tam, tylko nas odwiedzają.

Irena: W święta jest masa przygotowań dla wszystkich. Mikołajowi pomagamy i te prezenty pakujemy, no ale tego jedzenia ile trzeba przygotować. Ale wszyscy razem, wspólnie. Jest nas naprawdę bardzo dużo, ale co by było, gdyby tego nie było? Nie wyobrażam sobie tego.

Wszyscy zawsze w komplecie jesteśmy.

Teraz może tak nie w komplecie, bo syn się ożenił, to tak jest różnie, bo wiadomo, chce być tu i tam. Jakoś córki tak... Córka jedna mieszka bardzo blisko nas - trzy minuty samochodem. Druga mieszka sto kilometrów dalej. No ale zawsze wszyscy jesteśmy. Nie wyobrażam tego, żeby oni do nas nie przyjechali. A kiedyś, jak rodzice żyli, pamiętam jak byłam młoda i nie mogłam pojechać do domu na Wigilię, to płakałam. Nie mieliśmy samochodu, autobus nie przyjechał, to idę pieszo. A to było ponad 20 kilometrów, ale w końcu zawsze jakoś się udało pojechać do tej mamy.

Jak Państwo patrzą tak na siebie to jak Państwo siebie widzą nawzajem?

Irena: Widzę taki spokój. Bo Mariusz to jest taka... ostoja spokoju. Nie wiem czy inny facet by wytrzymał tyle tego, że przyjdzie z pracy, żeby było cicho, spokojnie. U nas tego nie ma. Nie żeby było cały czas gwarno, ale ciągle coś się dzieje. Ciocia, ciocia, wujek, wujek. I tylko czekają, żeby odpowiedzieć: słucham. I tej miłości tyle potrzebują. Mój mąż może przez żonę przez to trochę zaniedbany jest, bo jednak tyle tych dzieci... Widzę w nim taką oazę spokoju. I bez niego to by się też nie udało. Wsparcie jest duże.





Mariusz: Ja podziwiam moją żonę. Radzi sobie z taką liczbą dzieci, szczególnie jak jestem w pracy. Rano zawozi do szkoły, potem obiad. Gdzieś tam pójście znowu do lekarzy, specjalistów, psychiatrów, psychologów... tego jest mnóstwo. A ja jestem w pracy 12 godzin. Jestem pełen podziwu. Na pewno nie dałbym sobie rady. Ona w międzyczasie jeszcze zrobi obiad, a mało! Jeszcze gdzieś tam słoiki zawekuje! Dla mnie to jest niepojętne, za to podziwiam. Potrafi te dzieci ustawić odpowiednio, przywrócić do porządku. Ja to spokojem, poprzez zabawę próbuję załagodzić wszystkie napięcia, które są pomiędzy dziećmi czy nami. A żona tu nie - ona tak bardziej stanowczo stawia.

I tak się uzupełniamy. Na tym to polega.

Lubicie swoje życie?

Irena: Ja lubię. Bardzo lubię swoje życie. Trzeba lubić swoje życie. Jak można nie lubić? Trzeba się cieszyć każdym dniem. Trzeba żyć tu i teraz. Nie oglądać się za siebie, tylko tu i teraz.



MOJA PRACA POLEGA PO PROSTU NA OBECNOŚCI...

JOANNA SCHROEDER-GUTKOWSKA

Nie zawsze wielkie rzeczy gwarantują sukces. Czasem wystarczy pomóc rodzicowi usłyszeć dziecko, spojrzeć na świat z jego perspektywy i dostrzec to, czego wcześniej nie potrafił zauważyć. Joanna Schroeder-Gutkowska, asystentka rodziny w Miejskim Ośrodku Pomocy Rodzinie w Gdańsku, od lat towarzyszy rodzinom w ich najtrudniejszych momentach. Przychodzi po to, by pomóc budować relacje.



Nie zawsze wielkie rzeczy gwarantują sukces. Czasem wystarczy pomóc rodzicowi usłyszeć dziecko, spojrzeć na świat z jego perspektywy i dostrzec to, czego wcześniej nie potrafił zauważyć. Joanna Schroeder-Gutkowska, asystentka rodziny w Miejskim Ośrodku Pomocy Rodzinie w Gdańsku, od lat towarzyszy rodzinom w ich najtrudniejszych momentach. Przychodzi po to, by pomóc budować relacje. Na to nie ma gotowych recept, ale pomagają cierpliwość, uważność i autentyczność. O tym dlaczego najważniejsze jest dla niej dobro dziecka, skąd czerpie siłę oraz o... tańcu, który pomaga zostawić zawodowe emocje za sobą, opowiada w rozmowie.

Jakie są Pani zadania na co dzień?

Trudno to opisać jednym zdaniem, dlatego że moje zadania to cały przekrój. Od kwestii związanych z pomocą rodzinom przez codzienne sprawy po te formalne, urzędowe. Są też te, które lubię najbardziej, czyli związane z wychowaniem, doradztwem, psychoedukacją, towarzyszeniem. Moja praca polega na po prostu na obecności, obserwacji i bieżącym reagowaniu na to, co się dzieje w rodzinach.

Czyli takim słowem, które określa Pani życie zawodowe jest „rodzina"?

Tak, rodzina a dla mnie przede wszystkim dziecko.

Dlatego zawsze staram się stawiać dziecko w centrum.

Odkąd zaczęłam pracę, myślałam właśnie o tym, że chciałabym podwyższać jakość życia tym dzieciom, z którymi będę miała styczność. Chciałam dawać im dobre doświadczenia. Natomiast nie ze mną a z rodzicami. I to na tym ta asystentura polega. Czyli nie ja tam jestem główną aktorką, która ma coś wnieść w życie dzieci, ale mam pomóc rodzicom budować taką relację, która będzie wystarczająco dobra. Taką, która będzie ich budować później na przyszłość, która pomoże im też rozwijać się w życiu dorosłym. Taką bazę, która w przyszłości w ich życiu dorosłym będzie procentować. I to jest sens chyba tej asystentury.

To wsparcie, które Pani daje jest doświadczeniem już od dawna, prawda?

Tak. Już na studiach zaczęłam współpracę z MOPR-em jako wolontariuszka. Usłyszałam o tym, że można zostać właśnie taką osobą wspierającą w ramach projektu. Więc zgłosiłam się. Przyszłam na rozmowę o pracę z jedną z osób objętych wsparciem MOPR-u. I tak zaczęła się ta moja przygoda z indywidualnym wsparciem. Natomiast już wtedy miałam chyba coś takiego z tyłu głowy, że wspieram nie tylko moją, można powiedzieć, koleżankę, bo my byłyśmy w bardzo podobnym wieku. Ada jest ode mnie raptem kilka lat młodsza. Ale też wspieram jej mamę. Daję jej czas dla siebie, żeby mogła złapać oddech i miała poczucie, że jej córka bezpieczna.

W centrum zainteresowania zawsze było właśnie to dziecko, była rodzina. To są takie główne obszary działalności?

Tak i to też chyba w mojej pierwszej pracy, którą miałam w MOPS-ie jako organizator społeczności lokalnej, gdzieś tam się wybijało. Nawet dostawałam takie informacje zwrotne od mojego kierownika, który mówił, że to nie do końca jest ta animacja, tylko praca z rodziną. Widział, że mnie po prostu do tego ciągnie. To był pierwszy taki projekt, który realizowałam dla MOPR-u. Nazywał się „Rodzinna Sfera" i jestem z niego bardzo dumna. To był taki pierwszy pomysł w na siebie w tej pracy. Myślę, że taki dosyć odważny. Tam było dużo stresu, dużo emocji. Dużo się działo. Razem z koleżanką to wszystko wymyślałyśmy. Przy wsparciu innych osób, partnerów, kierownika, kolegów z zespołu. Tam już te moje ta tendencja do pracy z rodziną ujawniła się. Wspierałyśmy mamy z małymi dziećmi i dawałyśmy im taką przestrzeń na budowanie relacji w różnych sytuacjach. To były zajęcia sportowe, czy jakieś artystyczne, czy po prostu zwykły czas przy kawie, herbacie, śniadaniu. Czułam, że to jest dla mnie ważne, żeby pomagać ludziom budować te relacje, inaczej rozmawiać, inaczej się komunikować ze sobą, poszukiwać jakiegoś porozumienia, zdejmować te bariery.

No i ja tak z boku tym osobom w tym towarzyszę do dzisiaj.

Zastanawiała się Pani kiedyś, skąd wzięła się ta chęć wspierania, pomagania? Skąd ta wysoka empatia?

Myślę, że wszystko pewnie ma jakieś podłoże w naszym dzieciństwie, w naszych przeżyciach. I pewnie mogłabym to tak głębiej, pod kątem psychologicznym przeanalizować, bo pewnie wiem z czego to wynika. Natomiast myślę, że wszystkie doświadczenia w jakiś sposób mnie budowały. Moi rodzice zawsze dużo ze mną rozmawiali, uczyli mnie empatii. Swoją postawą też taką empatię wobec innych pokazywali, modelowali.



Czyli nie ja tam jestem główną aktorką, która ma coś wnieść w życie dzieci, ale mam pomóc rodzicom budować taką relację, która będzie wystarczająco dobra. Taką, która będzie ich budować później na przyszłość, która pomoże im też rozwijać się w życiu dorosłym.

I myślę, że po prostu ja mam taką potrzebę, żeby wykonywać pracę, która ma jakiś taki sens.

To znaczy coś więcej niż tylko, nie umniejszając też pracy innych osób, bo każda praca ma wartość, ale żeby ta praca była też czymś takim, co ma jakiś taki społeczny sens. W takim sensie, że coś więcej wnosi, może zmienia jakoś społeczności czy choćby te rodziny, jednostki. Daje coś poza zarabianiem pieniędzy, czyli taką standardową funkcją, dla której wykonujemy pracę. Jeszcze daje taki sens, poczucie, że ja jestem tutaj po coś.

Czyli skupia się Pani na podnoszeniu kompetencji rodzicielskich, bo to jednak dziecko jest źródłem, prawda? Tego, w jaki sposób możemy dorosłego ukształtować. To jest Pani główne zainteresowanie i taki konik?

Tak, właśnie to podnoszenie kompetencji wychowawczych to jest coś, co mi daje największą satysfakcję. Ja mam z tego radość. Kiedy mamy konsultacje rodzicielskie, ja przychodzę do domu, do moich rodzin i rodziny opowiadają mi o tym, z czym mają trudność, co gdzieś ich gniecie, co jest dla nich trudne, co wywołuje złość, jakąś frustrację, bo to najczęściej są takie emocje. No i wówczas towarzyszę im, rozmawiam z nimi o tym, wspieram. Czasem to też są rozmowy w obecności dzieci i te chyba dają mi największą satysfakcję. To, kiedy mogę trochę zamodelować tę rozmowę między rodzicem a dzieckiem. To, co natomiast odkryłam kilka lat temu, to szkoła dla rodziców, którą prowadzę razem z koleżanką, świetną specjalistką. I razem sobie tutaj działamy i grupowo udzielamy wsparcia rodzicom. To jest dodatkowa funkcja, dlatego że ci rodzice też mogą wymieniać się między sobą doświadczeniami. Tam jest trochę inna dynamika. Ja też nie wchodzę tam tak głęboko, jak w tej asystenturze, tylko jestem tu i teraz. To, co mówi ta osoba w danym momencie, to co wnosi, to jest dla mnie ważne, tak? Nie analizuję tego tak głęboko jak w asystenturze. To sprawia, że jest to troszeczkę mniej obciążające dla mnie psychicznie niż praca jako asystent rodziny, a daje naprawdę ogromną satysfakcję.

Doszłyśmy zupełnie automatycznie do tematu obciążenia psychicznego, z którym



Pani też musi jakoś sobie radzić. Trzeba jakoś wspierać swoją psychikę, tę swoją odporność. Pani metoda, taki złoty środek na to, żeby przetrwać, to jest jaki?

Relacje i rozmowa, czyli moje koleżanki z zespołu i koledzy, kierownicy, którzy na co dzień mnie wspierają w codziennych bolączkach, emocjach, które mi towarzyszą. Mogę przyjść i po prostu się wygadać przy kimś. To jest bardzo ważne, że ja mam takie poczucie, że nie jestem sama. My działamy zawsze zespołowo. Kiedy są takie standardowe rozmowy, jakieś konsultacje wychowawcze, takie rzeczy, które nie są dla mnie jakieś bardzo obciążające i wymagające, to oczywiście idę sama. Wiem natomiast, że kiedy będzie taka trudniejsza sytuacja, wymagająca interwencji czy wsparcia drugiej osoby, to zawsze mogę liczyć, czy na koleżankę, która jest pracownikiem socjalnym, czy na koleżankę, która jest psychologiem, no ale też na osoby, z którymi współpracujemy. My jednak w Gdańsku mamy dosyć duży szereg specjalistów różnych form wsparcia środowiskowego rodzin. Z tego też korzystam. To jest pierwsza linia frontu, z której zawsze korzystam. Druga to jest mój mąż. On słucha o moich emocjach i czasem pewnie ma tego dosyć, no ale słucha i chodzi ze mną na spacery i jest jakiś taki w tym cierpliwy. Podziwiam go za to. Nie wiem czy ja bym była aż taka cierpliwa. Dla mnie też taką formą rozładowania się jest sport. Najbardziej lubię taniec. To jest coś, co mnie ładuje i w zasadzie taniec jest jedyną formą ruchu, która mnie odcina w stu procentach. To znaczy odcina mi głowę. Ja skupiając się na technice, na ruchu, na krokach, które muszę wykonać, całkowicie odcinam myślenie. I wtedy to jest czas dla mnie i wtedy nie ma myśli o rodzinach, z którymi współpracuję. Żadnych.

To są dwa konkretne tańce, prawda?

Tak, kiedyś to była salsa, teraz to jest bachata. Natomiast wracam też do salsy. Kiedyś chodziłam więcej, bo chodziłam jeszcze na zumbę. I na zumbę chodziłam naprawdę bardzo dużo i bardzo często. Natomiast ze względów zdrowotnych niestety musiałam troszeczkę ograniczyć ten taniec w takim zakresie jak to było kiedyś. Ale od jakiegoś czasu już wracam i teraz już od września wraca salsa, także się cieszę bardzo z tego powodu.



Oprócz tego, że to jest taka chwila dla Pani i to, że umysł skupia się na zupełnie innych rzeczach, to co jeszcze Pani daje ten taniec? Mówiąc przekornie – jest przecież tak wiele form ruchu. Dlaczego wybrała Pani taniec?

Myślę, że to jest moje marzenie z dzieciństwa. Ja zawsze chciałam tańczyć. Zobaczyłam to kiedyś na pokazie szkolnym. Mieliśmy otwarcie sali gimnastycznej. Nawet chyba pan prezydent Adamowicz wtedy jeszcze przyjechał. I tam były też pokazy tańca. Pamiętam, że uczniowie z naszej szkoły tam tańczyli. I tańczyli właśnie ten taniec towarzyski. Jak ja to zobaczyłam! Zachwyciłam się. Naprawdę pamiętam te emocje, które mi wtedy towarzyszyły. No i wtedy nie miałam takiej możliwości, żeby na takie zajęcia taneczne chodzić. Natomiast jako dorosła osoba



zaczęłam spełniać to i mogę sobie na to pozwolić. To jest hobbystyczne, to nie jest jakiś poziom zaawansowany, nie ma tam mowy o żadnych konkursach, turniejach i tak dalej, ale na pewno to jest taka forma ładowania baterii, którą uwielbiam.

Jest też siłownia?

Bywa. Czasem. Ze względów zdrowotnych od jakiegoś czasu musiałam ten ruch ograniczyć. Potem musiałam do niego wracać i zmagać się też ze sobą, ze swoimi ograniczeniami. Natomiast jeżeli mogę, to ćwiczę. Teraz bardziej pilates, zdrowy kręgosłup, joga. To są moje formy wyciszające, ale one nie są zgodne z moją energią, mówiąc szczerze. Bardziej właśnie zumba, czy taniec, czy jakieś ciężary, to jest moja energia. Uczę się po prostu, z pokorą to przyjmuję. Muszę się uczyć cierpliwości, bo cierpliwą osobą nie jestem.

To jak to jest z tą energią? Jak jest z tym motorem do działania? Co Panią nią napędza?

Napędza mnie na pewno to, co się dzieje w rodzinach. Kiedy widzę jakąś potrzebę danej rodziny, widzę jakąś sytuację, widzę dzieci, które nie zawsze wszystko mogą powiedzieć. A ja widzę dużo, widzę dużo szczegółów. Nie wyobrażam sobie pracować inaczej niż tylko patrząc przez ich pryzmat. Zawsze pokazuję rodzicom świat dziecka. Z jego perspektywy. Żeby ci rodzice spojrzeli, jak to jest jak to dziecko może czuć w takiej sytuacji. Czego może potrzebować. I to jest dla mnie priorytet. I to jest coś, co mnie napędza, bo czasem naprawdę jest ciężko, tak? Bo to są często bardzo trudne sytuacje. Bierzemy na siebie kawał historii. Ludzie opowiadają nam naprawdę bardzo trudne, intymne kawałki swojego życia. Wtedy czasem jest ciężko po prostu. To jest obciążenie. Zastanawiamy się czy to ma sens. Czy jakoś jestem w stanie jeszcze to dźwignąć. Czy to nie jest za dużo. Ale wspaniale patrzy się na dzieciaki, które budują też z nami relacje. My jako asystenci pracujemy głównie z osobami dorosłymi. Natomiast przychodząc tam to te dzieci nas widzą. Widzą, jak my do nich mówimy. Widzą, że się interesujemy, przychodzimy do szkoły, załatwiamy jakieś zajęcia dodatkowe, staramy się o jakieś stypendia dla nich, czy jakieś różne programy, projekty.

Dzieci widzą, że są dla kogoś ważne.

To wtedy nie można zawieść po prostu. Myślę, że to jest takie bardzo duże poczucie odpowiedzialności. Że jest ktoś, dla kogo moje działanie naprawdę może być ważne i może coś zmienić w jego życiu. Ja tak na to patrzę.

A w jaki sposób pracować z takimi osobami w kryzysie? Jakie Pani ma metody?

Na pewno trzeba zbudować relacje. To jest pierwsza rzecz. Trzeba spróbować spojrzeć na tę sytuację, na tego człowieka i dostrzec jak on to widzi, żeby postarać się jakoś zrozumieć. To jest pierwsza rzecz. Druga rzecz, to też trzeba być autentycznym. Jeżeli my nie będziemy autentyczni, będziemy coś udawać, to zaraz ludzie to wychwycą. Będą czuć od nas ten fałsz. Ja też nie ukrywam tego, że to często są trudne rozmowy. To asystentu-



ra to nie jest taki kawałek, gdzie my się przyjaźnimy z rodzinami i zawsze jest tak różowo. My tym ludziom naprawdę czasem mówimy bardzo trudne rzeczy. Towarzyszymy w bardzo trudnych momentach w ich życiu. Czasem są to też takie momenty konfrontacyjne, nieprzyjemne. Natomiast jeżeli ja jestem szczera i mam zbudowane to zaufanie i ten człowiek wie, że ja mówię trudne rzeczy, ale dlatego, że chcę, żeby on się rozwijał, chcę, żeby to poszło do przodu, mówię mu też szczerze o jakichś konsekwencjach, o jakichś trudnych rzeczach, które mogą go spotkać, no to myślę, że jest w stanie to lepiej przyjąć. Ten opór jest wtedy troszeczkę mniejszy. Ale bywa też trudno. Moim takim sposobem jest po prostu być szczerym i autentycznym. Po prostu taka, jaka jestem tak wchodzę do tych rodzin i staram się też pokazywać tym osobom, z którymi pracuję, siebie taką właśnie. No ale to czasem też bywa to trudne... To jest taka praca, w której nie można powiedzieć tak naprawdę, że jest jakaś jedna metoda. Ile rodzin, tyle metod. Wydaje mi się, że jeżeli mielibyśmy wykorzystywać jakieś narzędzia, czy rozmowy według jakiegoś schematu, to to byłoby po prostu nieautentyczne i ci ludzie zaraz by to zauważyli. Ta relacja nie byłaby taka prawdziwa. Trzeba być sobą i jakoś cały



czas analizować to, czy ja na pewno działam zgodnie z potrzebami tej osoby, z potrzebami tej rodziny. Chociaż czasem też zdarza się tak, że to jak ja widzę sytuację i jak widzi to rodzina, jest rozbieżne. I to dobro dziecka też czasem widzimy zupełnie inaczej. No i to są te trudne momenty.

A które momenty dają najwięcej satysfakcji?

Na pewno takie, kiedy widzę jak się zmienia relacja między rodzicem a dzieckiem. To jest największa satysfakcja dla mnie. Kiedy widzę, że ktoś zaczyna inaczej rozmawiać ze sobą. Używa jakichś takich metod czy jakichś technik, o których ja mówiłam, w taki swój sposób po prostu zaczyna zauważać potrzebę tego dziecka. Albo kiedy dziecko chce rozmawiać z rodzicem, że zaczyna do niego przychodzić, zaczyna mówić o tym, co go boli. Albo kiedy dziecko zaczyna nazywać swoje emocje a wcześniej bało się na przykład, że spotka się to z jakimś krzykiem, z jakąś agresją być może, a nagle potrafi to zrobić. To są takie momenty satysfakcji. Już nie mówię o takich dużych rzeczach, gdzie dziecko zaczyna się rozwijać edukacyjnie, osiąga sukcesy. To są takie bardzo mocne rzeczy. Duże. One też się zdarzają. Natomiast takie małe zmiany właśnie w komunikacji to dla mnie to jest największy sukces. Są jeszcze momenty dużej refleksji. Po paru latach jak kończymy asystenturę. Ostatnio usłyszałam od jednej mojej pani, z którą miałam okazję współpracować: „ze mną to tak na początku nie było łatwo”. To taki moment refleksji, zatrzymania się, że ja teraz jestem w zupełnie innym miejscu niż byłam na początku. Ten proces jednak idzie do przodu. To jest ta satysfakcja. I tego naprawdę się nie da zastąpić niczym innym.

LUDZIE Z MISJĄ



NIE ZAMIENILIBYŚMY TEGO ŻYCIA...

DEBORAH I STANISŁAW SYLWESTROWICZ

Nie każde dziecko można zatrzymać. Ale każde można pokochać. Dom Deborah i Stanisława przez lata był przystanią dla siedemnaściorga dzieci, które potrzebowały czegoś więcej niż dach nad głową. Były noworodki prosto ze szpitala, dzieci po trudnych przejściach. Faye i Stanisław Sylwestrowiczowie wiedzą, że w rodzinie zastępczej miłość czasem oznacza także rozstanie.

Nie każde dziecko można zatrzymać. Ale każde można pokochać. Dom Deborah i Stanisława przez lata był przystanią dla siedemnaściorga dzieci, które potrzebowały czegoś więcej niż dachu nad głową. Były noworodki prosto ze szpitala, dzieci po trudnych przejściach. Faye i Stanisław Sylwestrowiczowie wiedzą, że w rodzinie zastępczej miłość czasem oznacza także rozstanie. I że nie każde pożegnanie da się przeżyć bez złamanego serca. Poznali się dzięki wspólnej wierze — ona przyjechała z Memphis w Stanach Zjednoczonych jako misjonarka, on studiował elektronikę na Politechnice Warszawskiej. Dziś Stanisław jest pastorem, oboje angażują się w pomoc dzieciom i lokalnej społeczności na gdańskiej Oruni Dolnej. Wychowali własne dzieci, adoptowali córkę, otwierali dom dla kolejnych podopiecznych, a dziś tworzą rodzinę także dla nastolatka.

Punktem wyjścia tego naszego spotkania i naszej rozmowy może być



miłość. Kiedy wchodzi się Państwa domu, to pierwsze co widać to właśnie miłość. Jak Państwo poznali się?

Stanisław: To jest długa historia, więc ja opowiem w skróconej wersji. Żona przyjechała jako misjonarka w ruchu studenckim. Będąc w Warszawie studentem politechniki poznałem ten ruch, zacząłem się angażować i w końcu zauważyłem, że jest taka Amerykanka. Bardzo skromna, fajna. Przez jakiś czas funkcjonowaliśmy na stopie przyjacielskiej. Później już byłem później zaproszony, żeby być pracownikiem tej misji. Wtedy zaczęliśmy częściej spotykać się i współpracować na polu modlitwy, a to bardzo zbliża.

Deborah: Mąż właśnie lubi mówić, że to pierwszy raz, kiedy my się poznaliśmy, to było na takim obozie studenckim. Tam było chyba ponad 300 osób. On myślał, że jest gwiazdą tego obozu, no ale ja w ogóle go nie pamiętam (śmiech). Ale to dlatego, że po raz pierwszy miałam prowadzić taką małą grupę studium biblijnego w języku polskim. Siedziałam i przygotowywałam się, nie rozglądałam się, to i nie zauważyłam. Potem poznaliśmy się będąc już w tym ruchu razem. Zawsze w różnych miastach, więc spotykaliśmy się tylko na zjazdach.

Stanisław: To była najlepsza droga do małżeństwa, bo najpierw zaprzyjaźniliśmy się a później dopiero zaiskrzyło. Weszły te emocje i myśl: czemu by nie współpracować na bardziej osobistej stopie?

Jak to jest z tym językiem polskim? Pary międzynarodowe muszą się zacząć jakoś dogadywać, jak to było u Państwa?

Deborah: Kiedy poznaliśmy się, ja już dobrze znałam polski, więc to my raczej ze sobą rozmawialiśmy i rozmawiamy po polsku. Chyba, że jesteśmy w Stanach, to wtedy tam w towarzystwie rodziny czy znajomych, to po angielsku. Ale nasze dzieci zawsze mówią, tato, nie mów po angielsku, mów po polsku.

Stanisław: Tak, żona dużo lepiej mówi po



polsku niż ja po angielsku. Muszę przyznać, że znając innych Amerykanów, to Faye ma po prostu dar do języków. Bo inni są kilkadziesiąt lat i ledwo mówią po polsku.

Skąd wziął się pomysł, taka potrzeba tego, żeby Wasz dom otworzyć na to, żeby zamieszkały z Wami dzieci?

Stanisław: To można powiedzieć, że była taka inspiracja z zewnątrz. Myślę, że Pan Bóg stał za tym, że On planował to dla nas. Natomiast my chcieliśmy mieć trójkę dzieci swoich. Pochodzimy z takich rodzin, że każde z nas miało dwójkę rodzeństwa. Mieliśmy dwie trudne ciąże, porody. Nawet młodszego syna lekarz uszkodził lekko przy porodzie. Całe szczęście dało się to naprawić. Pomyśleliśmy, że mamy dwóch chłopców. Teraz szanse trafić na dziewczynkę nie są takie stuprocentowe, ale to nie był główny powód. Myśleliśmy o tym, że fajnie by było mieć trzecie dziecko i fajnie byłoby przygarnąć jakąś sierotę. Zwłaszcza, że mieliśmy przyjaciół ze Stanów, którzy byli naszymi dyrektorami. Oni zaadoptowali z Nicaragui dwóch chłopców, a w Polsce bliźniaczki i dziewczynki. To też miało wpływ.

Deborah: Ja zawsze myślałam o adopcji dziecka. Nawet jak byłam sama. To takie moje marzenie. To było pierwsze dziecko do adopcji. A potem rodzina zastępcza. To był następny krok. Jak dzieci były małe, miały chyba 8, 5 i 3 lata, to zachorowałam na rakach. Leczyłam się. I dzięki Bogu udało się, zostałam wyleczona z tego. Myślałam potem: jestem tutaj. Pan Bóg mnie zostawił. Z jakiegoś powodu mam tu być. I zaczęłam myśleć o tym, żeby mieć więcej dzieci. Byłam otwarta na to. I wtedy dowiedzieliśmy o Madzi.

Pierwszy telefon, pierwsza wiadomość. Jest dziewczynka.

Deborah: Nasza koleżanka z kościoła przyszła na nabożeństwo. Opowiadała o tym, że jest taka dziewczynka, która będzie potrzebowała opieki zastępczej. Opowiadała o tej trudnej z prawem sytuacji. Cała rodzina miała problemy. Ona zniknęła, a jak pojawi się, na pewno będzie potrzebowała rodziny zastępczej. Już zaczęliśmy o tym myśleć. Rozmawialiśmy z dziećmi. To też jest ważne, żeby dzieci rozumiały i zgodziły się. Było bardzo powoli. Zaczęliśmy przychodzić do niej. Na początku w ogóle nie zwracała na nas uwagi.

Czasem słyszymy ludzi, że „ja to bym nie mógł być rodziną zastępczą. Bo później trzeba dziecko oddać”. Ale zwracamy uwagę na to, że wtedy dorośli myślą o swoich uczuciach. Natomiast to, na co nas przygotowywała Fundacja Adopcyjna, to było najważniejsze, żeby myśleć o potrzebach dziecka. I o tym czasie, który zainwestowaliśmy, żeby one czuły się kochane. Żeby budowały z nami więzi.



A jak ktoś z rodziny się pojawił, to jakby nas nie było. Ale powoli przestali przychodzić tak często. My przychodziliśmy regularnie. Najpierw mówiła na nas „pan, pani”, potem „ciocia, wujek”. W końcu wzięliśmy ją do siebie. I to była już zgoda na to żeby ona została u nas.

Stanisław: Sąd wydał postanowienie na początek roku szkolnego. Uznał, że lepiej żeby chodziła już do docelowej szkoły. Nie było problemu. Chociaż na początku były takie ciekawe sytuacje. Właśnie przeprowadziliśmy się, ona zamieszkała z nami i mieszkała z naszą córką Esterą. I one tak do późna rozmawiały. Ja już mówiłem: dziewczyny, idziecie spać. To było pierwsze nocowanie. Estera wyszła zaspana i mówi: Tato ona się ciebie w ogóle nie słucha (śmiech). Dla mnie to był świetny punkt dydaktyczny. Powiedziałem: widzicie jak potrzebny jest porządek w domu!

Jak teraz wygląda Państwa dom? Mamy środek dnia, jest cicho. Domyślam się, że popołudniami i o poranku wcale tak nie jest?

Stanisław: Mamy ze sobą dwudziestego dzieciaczka. Licząc trójkę, którą wychowaliśmy biologicznie i adoptowane. To było siedemnaścioro po kolei różnych dzieci zastępczych. Teraz jest z nami 13-latek. Będzie raczej docelowo. Za dużo miał zmian w życiu. I jak on jest, jest bardzo żywy i absorbujący. Ale bardzo kocha nasze wnuki. Więc jak one jeszcze przychodzą, to jest znowu jak za dawnych, dobrych lat. Żywy dom.

Deborah: Tak, nie widać tego w naszym domu w tej chwili. Zwykle to zabawki wszędzie. Teraz jest tylko garaż. Zawsze braliśmy małe dzieci. Ze szpitala, do adopcji. Bywały te dzieci u nas czasami bardzo krótko, miesiąc nawet. Zwykle tak osiem miesięcy., tak do roku. Więc to jest zupełnie coś innego wziąć nastolatka.

Kiedy przyjmują Państwo pod swój dach dziecko - czy to maleństwo, czy starsze. Wiadomo, że ono jest na czas określony. Trzeba je potem oddać. Z jakimi emocjami to się wiąże?

Stanisław: Za każdym razem, kiedy dzieci odchodziły, płakaliśmy. Bardzo tęskniliśmy za nimi. Oczywiście im wcześniej one poszły do adopcji to widzieliśmy, że one nie cierpią. To było trochę lżej. Ale zawsze było ciężko. Czasem słyszymy ludzi, że „ja to bym nie mógł być rodziną zastępczą. Bo później trzeba dziecko oddać”. Ale zwracamy uwagę na to, że wtedy dorośli myślą o swoich uczuciach. Natomiast to, na co nas przygotowywała Fundacja Adopcyjna, to było najważniejsze, żeby myśleć o potrzebach dziecka. I o tym czasie, który zainwestowaliśmy, żeby one czuły się kochane. Żeby budowały z nami więzi. Chociaż je też bolą rozerwanie więzi. To jednak były już zdolne budować nową więź. Oczywiście, czasem były przejścia bardzo nieprofesjonalne. Zwłaszcza jednego chłopca, który był u nas przez Covid. Był sam. Chcieliśmy go adoptować, ale sąd odrzucił nas ze względu na wiek. On nie chciał iść do tej nowej rodziny. Liczyliśmy, że ta rodzina zrozumie, że po tym takim ciężkim okresie przejścia i żałoby po nas, oni pozwolą nam się regularnie z nim kontaktować. Nawet psychologowie mówią, że to jest bardzo ważne dla dziecka, żeby ciągnąć to poczucie bezpieczeństwa jakie zbudował z nami. Nie znaleźliśmy jednak zrozumienia. Po kilku spotkaniach oni już urwali ten kontakt. Do dziś dzień mamy tę żałobę.

Deborah: To było najbardziej bolesne doświadczenie dla nas. Często było tak, że rodzina przychodzi do małego dziecka. Buduje z nim więź. I to dziecko było chętne do tych osób. Tego nie było widać tutaj. On tak długo był u nas, on tego się bał. Bał rozłąki z nami. To widać w różnych sytuacjach. Pozytywnie ich traktował na początku. Przychodzili do niego, bawili się. Wychodzili z nim, jakieś prezenty przynosili. Ale jak się zorientował, że chcą go zabrać od nas... On tego nie chciał. To było bolesne. Widać było jego ból.

Trzeba mieć dużo w sobie takich zasobów, prawda? Żeby unosić takie momenty.

Stanisław: To wynika z naszej wiary. Dlatego, że rozumiemy, że Chrześcijanin to jest człowiek, który został adoptowany przez samego Boga.

Więc my w pewnym sensie dajemy to, czego doświadczyliśmy.

Oczywiście, taka bezwarunkowa miłość jest czymś, co nie może pochodzić od nas. To Pan Jezus daje.

Deborah: I jak się daje taką miłość, to tym bardziej boli chyba. Jak to się kończy. Oczywiście były takie sytuacje, że to rodzice adopcyjni chcieli utrzymywać kontakt. Bardzo cenimy to. Ostatnio napisałam do mamy bliźniaczek, które były u nas. To były ostatnie dzieci przed Maćkiem. Takie małe bliźniaczki ze szpitala. Noworodki. Napisałam i poprosiłam tę mamę o jakieś zdjęcia. Chciałam je zobaczyć, bo skończyły 4 lata. Odpisała. Napisała o dziewczynkach, jakie teraz są. Było mi bardzo miło. Potem trochę pisałam z nią i ona dodała, że też o nas mówią dziewczynkom. I to też było miłe. Nie chowają tej informacji, żeby chronić siebie. Mówią o tym, gdzie one były, od kogo mają te kocyki. I to tak fajnie, miło.



Jak wygląda Wasza codzienność?

Stanisław: Nasze życie jest trochę takie nieregularne, dlatego że nie jeżdżę na 8 godzin do pracy. Jako pastor przygotowuję się głównie do niedzieli. Mamy obowiązki w tygodniu. Jesteśmy zaangażowani w kościele, prezbiterium, jest dużo wyjazdów. Prowadzimy z przyjacielem kanał apologetyczny na YouTubie. Przygotowujemy i sporo też spędzamy czas z ludźmi na tak zwanej ewangelizacji. Mamy stolik informacyjny z literaturą i rozmowy. Żona przygotowała quiz dla dzieci. Dzieci się zatrzymują, dostają nagrody, chwalą się wiedzą bądź brakiem biblijnej wiedzy.

Także jest bardzo żywo i bardzo różnorodnie.

Ale nie zamienilibyśmy tego życia na jakieś takie w stylu prawnik co wraca po pracy, ogląda telewizję. Nie, nie, nie.

Deborah: Teraz jak mamy wnuczki i te wnuczki blisko mieszkają, to często przychodzą do nas. Jesteśmy bardzo zadowoleni i szczęśliwi, że my możemy w taki sposób angażować się w ich życie i pomagać synowi i synowym. To jest duża część naszego życia. Mamy też inne dzieci, jeszcze trójkę tutaj w Trójmieście i staramy się ten kontakt utrzymywać. A naszego nastolatka, który z nami jest teraz, to jest też ważne, że on jest częścią większej rodziny. On ich traktuje jako braci, siostry. To jest fajne. Myślę, że to jest ważne dla niego. Jak on wraca ze szkoły, to tak jak mąż wcześniej powiedział, on zajmuje nasz czas. Może dlatego, że jest sam. Małe dzieci przychodzą czasami, ale to jak on jest sam, to on potrzebuje uwagi. Oczywiście staramy się pomagać mu w pracach domowych. Staramy się zainteresować go różnymi rzeczami, żeby to było zdrowe, bo to wiadomo teraz nie jest łatwo wychować nastolatka w tych czasach.

Państwo angażują się też w życie społeczności?

Stanisław: Mamy taki nasz projekt społeczny. Ja jestem wolontariuszem w Domu Sąsiedzkim. Pomagamy dzieciaczkom w pracach domowych. Żona współorganizowała półkolonie, takie w zasadzie ćwierćkolonie dla dzieci. To jest bardzo ważne, żeby zwłaszcza na Oruni Dolnej, gdzie dzieciaczki czasami w wakacje nie mają dużej oferty i mogłyby albo angażować się w rzeczy niekorzystne, albo zmarnować te dni. To jest radość widzieć jak z pasją robią jakieś robótki, biorą udział w zajęciach sportowych czy w śpiewankach. To jest dla nas dużą radością, że możemy po prostu im służyć.

Deborah: Prowadzę zajęcia dla dzieci. Mamy po nabożeństwie zajęcia dla dorosłych i dla dzieci. Ja to prowadzę te zajęcia dla dzieci. Staram się poznawać te dzieci lepiej, ich zainteresowania, żeby zaprzyjaźnić się z nimi. Poza tym, syn chodzi do szkoły prywatnej. Ma małą klasę i staram się trochę w życie szkoły zaangażować się, żeby poznać rodziców. Chodzę na wywiadówki. Myślałam, że już skoń-



czyłam ten etap, ale okazało się, że nie.

Co Państwo lubią w swoim życiu najbardziej?

Stanisław: Ja najbardziej lubię właśnie te kontakty z ludźmi, kiedy możemy rozmawiać o sprawach istotnych. Bo tak jak widzę powierzchowność życia, no taka trochę generalizacja, ale spłycenie życia, kiedy w dawnych czasach to nawet na jarmarku, na rynku można było kupując warzywa rozmawiać o teologii. Takie to były czasy. Teraz to rzadziej, ale kiedy nadarza się okazja i są ludzie, okazuje się, że ludzie są naprawdę zgłodniali i mają pytania dotyczące spraw duchowych, takich egzystencjalnych. Jaki sens życia, co ze mną będzie i tak dalej. Ja czuję się jak ryba w wodzie, kiedy mogę o tym z ludźmi rozmawiać. Takie głębsze rozmowy też z rodziną, z zięciami, to właśnie fajnie jest jak czasem uda się zejść na taki głębszy temat.



Deborah: Trudno jest coś takiego wybrać, ale to na pewno jest moja rodzina. Pochodzę ze Stanów, ale nie mam już tam właściwie rodziny.

Rodzinę mam tutaj. I bardzo doceniam, że tutaj bardzo blisko mamy wszystkich dzieci.

Spotykamy się, okazji jest mnóstwo. Nie zawsze jest to możliwe, żeby zebrać całą rodzinę, ale zdarza się, więc jest to bardzo cenne dla mnie.

LUDZIE Z MISJĄ



IMPROWIZACJA TO JEST BARDZO DOBRE SŁOWO W NASZYM ZAWODZIE.

IZABELA TOMASZEWSKA

Na ulicy nie ma gotowych scenariuszy. Są ludzie, ich historie, nieufność, cierpienie i decyzje, których konsekwencji nie da się przewidzieć. Izabela Tomaszewska, pracowniczka socjalna Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie w Gdańsku, każdego dnia mierzy się z taką rzeczywistością. Dociera do osób w kryzysie bezdomności, stara się zdobyć ich zaufanie, namówić do przyjęcia pomocy. Często potrzeba wielu spotkań, by zrobić pierwszy krok.



Na ulicy nie ma gotowych scenariuszy. Są ludzie, ich historie, nieufność, cierpienie i decyzje, których konsekwencji nie da się przewidzieć. Izabela Tomaszewska, pracowniczka socjalna Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie w Gdańsku, każdego dnia mierzy się z taką rzeczywistością. Dociera do osób w kryzysie bezdomności, stara się zdobyć ich zaufanie, namówić do przyjęcia pomocy. Często potrzeba wielu spotkań, by zrobić pierwszy krok. Nie zawsze udaje się zdążyć... Izabela w swojej codzienności zaraża pozytywną energią. Najlepiej odnajduje się w działaniu a po pracy łapie oddech z córką, mężem czy przyjaciółmi. A spotykamy się w niezwykle ważnym dla niej dniu – w dniu urodzin jej córki, Michaliny.

Słowo, które przychodzi mi do głowy to „improwizacja”. Bo improwizacja to jest coś, z czego Pani korzysta podczas swoich obowiązków służbowych.

Tak.

W naszej pracy na co dzień trzeba podejmować różne decyzje.

Nigdy nie wiemy co nas spotka na interwencji czy spotkaniu z klientem, więc często musimy stosować nieszablonowe rozwiązania i improwizować. Nie można mylić tego z brakiem profesjonalizmu, bo jednak z tyłu głowy mamy zawsze przepisy, co możemy, czego nie możemy. Natomiast tak - improwizacja to jest bardzo dobre słowo w naszym zawodzie.

Z czym się pani spotyka, z czym się pani styka na co dzień?

To jest dział zajmujący się interwencjami. W związku z tym naszym głównym zadaniem jest działania na ulicy, działanie z policją, z strażą miejską, ratownictwem medycznym. Chodzi o szereg wszystkich działań związanych z zabezpieczeniem osoby w jej miejscu pobytu, czyli w miejscach niemieszkalnych. Zapewnienie jej największej pomocy i czy ona będzie chciała skorzystać z naszej oferty czy pozostaje dalej na ulicy. Natomiast my do tych miejsc jeździmy bardzo często, monitorujemy, namawiamy i nawiązujemy relację. Jeżeli osoba słyszy „pracownik socjalny” czy „ośrodek pomocy rodzinie”, to nie zawsze jest chętna do tego, żeby w ogóle z nami podjąć jakąkolwiek rozmowę, ale my jeździmy. Namawiamy, żeby jednak ta osoba nam zaufała, żeby skorzystała z pomocy. Czasami to nie jest na jednym, dwóch, trzech spotkaniach, tylko to są czasami tygodnie, czasami miesiące. Jeździmy do danej osoby i nakłaniamy ją wręcz do skorzystania z tej naszej oferty. Z różnym skutkiem. To jest trochę taka syzyfowa praca. W niektórych sytuacjach zdarza się to w zasadzie od razu, że osoba nas chce wysłuchać, porozmawiać, zobaczyć jak to tam wygląda i spróbować. A czasami niekoniecznie. Albo korzysta z pomocy, ale jednak decyduje się na bezdomność uliczną. I dalej jest tak samo - jeździmy i namawiamy. Bardzo dużo mamy takich przypadków, gdzie osoba jest cały czas między ulicą a placówkami. Nie odpuszczamy też takich osób, bo jeżeli spróbowały raz, to zawsze mogą spróbować kolejny. Cały czas więc jeździmy, namawiamy i tak wygląda nasza codzienna praca.

Często to są bardzo trudne historie.

Tak, to bardzo często są trudne historie i niebezpieczne czasami. Rozmawiając trzeba zachować tzw. poker face, ale z drugiej strony tutaj w środku całe ciało jest spięte. Patrzymy tylko czy ta osoba coś ma przy sobie, czy ma możliwość czegoś chwycenia. Ale z drugiej strony, nie możemy pokazać tej osobie strachu. One w ten sposób trochę chcą obronić się i nas przestraszyć, odsunąć nas od siebie. A my mimo wszystko chcemy do nich dotrzeć. I niejednokrotnie jest tak tylko, żeby patrzeć kątem oka na koleżankę, kolegę, który stoi z boku. że coś się dzieje, ale stoimy, czekamy na rozwój sytuacji. W momencie, kiedy my się pokażemy, że się trochę boimy, to ta osoba już pozwala sobie jeszcze na więcej. I to jest to zachowanie stalowych nerwów. Wtedy jak ta osoba widzi, że my na nią nie reagujemy, to odpuszcza, macha, biega. I wtedy mamy możliwość przejścia do rozmowy. Chyba najgorsze przypadki jakie są, to wtedy, kiedy widzimy, że ta osoba już bardzo mocno cierpi. Często to są jakieś różne zmiany zdrowotne, jakieś odleżyny. Wymaga już hospitalizacji. Otóż nawet nie chodzi już o placówkę, tylko żeby przyjęła pomoc medyczną. A ta osoba jeszcze ma tą świadomość i nie wybiera tego. I niestety, ale w momencie, kiedy przyjeżdża policja czy pogotowie,a jest kontakt z tą osobą logiczny i osoba nie wyraża zgody, to nikt nic nie może zrobić. I niestety miałam taką jedną historię. Zazwyczaj nie płaczę za klientami, ale ta jedna historia była taka, że nawet mój kierownik powiedział: „Iza jak masz płakać, to idź z boku”. Bo faktycznie wiedziałam, że nic nie mogę zrobić. Kłótnię z ratownikami przeżyłam ta, jakbym walczyła o członka rodziny. Skończyła się bardzo źle ta historia dla tego pana, bo umarł na ulicy, czego bardzo nie chciałam.

Dla mnie nieważne, gdzie ta osoba umrze, jeżeli chodzi o szpital czy placówkę. Tylko chodzi o to, żeby umarła w godnych warunkach.

Żeby to chociaż był ten szpital i żeby ta osoba nie była taka całkiem sama. Tylko



faktycznie ten pan zmarł na ulicy i to niecałe 2 godziny po tym, jak od niego odjechaliśmy. Bardzo mocno tłukłam się z tym, ponieważ ja tę relację, oprócz zawodowej, miałam również sąsiedzką. To było pod starym adresem, gdzie mieszkałam. Codziennie tego pana widziałam. Bardzo często wracając z tramwaju jeszcze podchodziłam, zapaliliśmy razem papierosa, chwilę porozmawialiśmy i faktycznie ta relacja była zupełnie inna. I on też inaczej rozmawiał ze mną. Wiem też, że mój kierownik miał z nim taką bliską relację. To był taki moment, w którym miałam gulę. Miałam gulę w gardle i po dziś dzień, jak go wspominam, to najbardziej boli chyba to, że ja tam byłam tego dnia. Podejmowaliśmy te działania. Wiem, że walczyłam i wiem, że zrobiłam wszystko, co było w mojej mocy na tamten moment. Natomiast tłumaczę sobie, że on może tak chciał. I tak też rozmawiałam z kierownikiem i z moją koordynator, że to może on w ten sposób już chciał tam właśnie skończyć, a nie skorzystać z tej pomocy. To była chyba najtrudniejsza emocjonalnie dla mnie interwencja, mimo że minęły już 4 lata.



Jak układać sobie to w głowie, jak sobie radzić z takimi trudnymi sytuacjami, historiami?

Jak sobie radzić po pracy w ten sposób? Nie jest łatwo. Może z biegiem lat trochę jest łatwiej, faktycznie. Prawie 10 lat jestem w tym wydziale i już nie przynoszę tego do domu w głowie. Miałam ten etap, że przychodziłam do domu, opowiadałam i byłam cała taka w emocjach. Teraz już nie obarczam na przykład mojego męża historiami czy moimi zdenerwowaniami. Jak sobie radzę? Skupiam się bardziej na mojej córce, na tym, co musimy zrobić. Obszar obowiązków domowych jest już teraz dużo większy niż dotychczas. Jak mam taką moją nerwicę i zdenerwowanie jakieś takie, to ja muszę się wyżyć i na ogół to wyżywam się z odkurzaczem. W domu sprzątam, latam i co chwilę muszę tę szafę posprzątać czy tę i wtedy mój mąż mówi tylko „o Boże, ty tylko chodzisz i sprzątasz". No czasami muszę. Nawet w biurze czasami, jak już tak mnie weźmie tak na maksa to biorę odkurzacz od naszej pani sprzątającej i odkurzam nasze biuro. Wtedy wszyscy wiedzą, „oj Iza co ci jest? Nic" (śmiech). I to tak u nas wygląda. Z moim dzieckiem włączamy muzę i zaczynam tańczyć. Ona uwielbia to. Nie rozumie też, co się dzieje z mamusią, ale wtedy ja też muszę się w ten sposób wyżyć. Trochę się zmęczę i już mi jest lepiej.

Lubi Pani być mamą?

Lubię być mamą, aczkolwiek jest to bardzo odpowiedzialna rola.

Ja jestem dorosłą kobietą, natomiast mam w sobie taką dziecięcą radość. Muszę być taka odpowiedzialna i to się gryzie, bo jestem taką trochę szaloną mamą wpadającą na różne dziwne pomysły, czasem spontaniczne. Jak nie wiem co zro-



Trzeba mieć ten charakter, taki pazur troszeczkę, żeby nie weszli na głowę. Z szacunkiem u nas w zawodzie jest średnio jeżeli chodzi o postrzeganie społeczne pracownikasocjalnegojakizachowaniuklientów.

bić a nie chcę siedzieć w domu, to wtedy mówię: pakuj się, jedziemy gdzieś. Pakujemy plecaczek, jakieś przekąski i choćby to było pojechanie na plażę, na Stare Miasto, gdzieś się przejść albo na plac zabaw, który nie jest blisko domu, to wtedy my po prostu jedziemy i coś razem robimy. Mam cudowną córkę. Jest moją kopią. Jak wszyscy widzą ją i mnie, to mówią: Boże, klon, klon. Ona jest bardzo podobna z charakteru do mnie. Jest taka bardzo żywa, wszędzie pełno, ona bardzo dużo gada. I ja też bardzo dużo gadam. Bardzo dużo chce ze mną robić i faktycznie ja muszę wymyślać. Ona się nie zaspokoi zwykłą kolorowanką czy puzzlami, tylko do tego musi być jeszcze dookoła bardzo dużo rzeczy. Jest wesoło, ale trzeba godzić oprócz super macierzyństwa, dodatkowe zobowiązania, życie domowe, obowiązki. Uczestniczy ze mną, no bo co ma zrobić? Nie ma wyjścia.

Dzisiaj, kiedy się spotykamy, to jest to wyjątkowy dzień. Dzisiaj Michalina ma urodziny.

Tak, Michalina dzisiaj kończy 5 lat. Jesteśmy więc w fazie imprezek, balonów, tortów i wszystkiego. Dla mnie wyjątkowy czas i jestem wzruszona, bo jak sobie patrzę, że ona już ma 5 lat, to nie wiem kiedy to minęło. Przecież ja dopiero wróciłam z urlopu macierzyńskiego. Bardzo szybko. Widzę to po niej. Ja nie widzę, że ja się starzeję czy jakoś ja się zmieniam, ale widzę po niej. Ona po prostu rośnie taka jak ja.

To chyba dobrze?

Mam nadzieję. Wszyscy mówią, że ona sobie w życiu poradzi. Faktycznie jest trochę pyskata. Ma charakter, więc chyba dobrze. Poradzi sobie w tym życiu, mam nadzieję.

Bardzo mnie ciekawi jak radzić sobie, kiedy w pracy trzeba pomagać głównie mężczyznom. Trzeba dużo charakteru, prawda?

Tak, trzeba dużo charakteru. Teraz to już praktycznie z samymi panami pracuję, no to oni widzą faktycznie: młoda, mała, blondynka i można szybko zdominować. Natomiast trzeba być silnym, nie pokazać, że w ogóle jest jakaś różnica wieku. Niezależnie od tego czy ja mam 30 lat a on ma 60. Nie może patrzeć na mnie tylko przez pryzmat wyglądu, tylko na to, co mam do zaoferowania. Trzeba mieć ten charakter, taki pazur troszeczkę, żeby nie weszli na głowę. Z szacunkiem u nas w zawodzie jest średnio jeżeli chodzi o postrzeganie społeczne pracownika socjalnego jak i zachowanie klientów. Wydaje mi się jednak, że jak już się poznajemy i ja okazuję ten szacunek mimo wszystko temu człowiekowi w rozmowie, to oczekuję tego samego. I wtedy już nie ma znaczenia, że czy jestem kobietą, jaki wiek czy wygląd.



Jeśli okazuję szacunek, to też go w jakiś sposób dostaję.

W tym zakresie obowiązków jest oczywiście bardzo dużo biurokracji, ale są też interwencje. I Pani, jak ma wybór, to woli jednak te interwencje. Skąd się to bierze?

Ja uwielbiam akcję na ulicy. Czasami dużo się dzieje. Czasami mniej się dzieje, bo to też nie można powiedzieć, że zawsze są jakieś działania i nie wiadomo jakie wyobrażenia. Natomiast zdecydowanie wolę ulicę. Jak tylko jest możliwość wyjazdu to jestem pierwsza. Mam taką śmieszną historię. Robiłam, jak byłam na urlopie macierzyńskim prawo jazdy, ale nie chciałam wejść w ogóle za kółko. I po roku wystartował projekt „Po pierwsze dom". Potrzebna była osoba mobilna, czyli osoba, która będzie jeździła samochodem za karetką. A ja nie miałam auta. I wtedy moja koordynator mówi: „to co Iza, w końcu cię to zmotywuje do tego, żebyś zaczęła jeździć." Kupiłam auto i zaczęłam jeździć. Pamiętam,



że projekt wystartował w czerwcu, w lipcu, a ja w maju kupiłam to auto i zaczęłam najpierw robić zakupy spożywcze i wozić dziecko do przedszkola, żeby tak rozjeździć się przed tym. Przez pierwsze miesiące było bardzo ciężko. Woziłam ze sobą zestaw naprawczy i ratownicy mi naprawiali zderzak, bo co chwilę w coś uderzałam. Ale po to, by jeździć na ulicę i by być w tym projekcie taka aktywna, no to zdecydowałam się na samochód. Teraz nie wyobrażam sobie, że jak jest jakaś akcja, żeby pojechać. Ja tam się spełniam. Od jakiegoś czasu podpisuję decyzje administracyjne, więc muszę siłą rzeczy usiąść do tych dokumentów. Nie tylko swoje zrobić, ale jeszcze podbić decyzje innym pracownikom. Muszę znaleźć na to czas, przestrzeń, żeby do tego usiąść, wszystko to sprawdzić.

Natomiast ulica to jest to moje miejsce.

Ja tam najbardziej się sprawdzam być może przez ten mój charakter taki, że ja nie usiądę.



Co Pani w swoim życiu lubi najbardziej?

Co ja lubię najbardziej? Lubię jak coś się dzieje. Chociaż nie. Lubię też usiąść. Nie ukrywam, że ja też czasami potrzebuję po prostu tak sobie usiąść, zrelaksować, nie myśleć o niczym. Musi być mimo wszystko balans. Ja lubię ludzi, lubię z nimi spędzać czas. Nawet jak nie mam za dużo siły, to po prostu spotykam się z moimi koleżankami, też mamami. Mamy wspólne tematy. Mamy też takie cykliczne spotkania i sobie gdzieś wychodzimy na miasto bez mężów, bez dzieci i sobie gadamy.

Ale tak – ludzie wokół, znajomi, rodzina. To mnie balansuje.





NIGDY NIE STAWIAŁAM NA „JA”, ZAWSZE STAWIAM NA MY...

ALICJA SZULC



Ma piękne, ciemne oczy. Uśmiecha się często i tryska energią. Alicja Szulc pracuje w Miejskim Ośrodku Pomocy Rodzinie w Gdańsku. Pełni teraz funkcję kierownika Referatu Pobytu w Wydziale Pieczy Zastępczej. Na co dzień wspiera dorosłych wychowanków w procesie usamodzielnienia.



Ma piękne, ciemne oczy. Uśmiecha się często i tryska energią. Alicja Szulc pracuje w Miejskim Ośrodku Pomocy Rodzinie w Gdańsku. Pełni teraz funkcję kierownika Referatu Pobytu w Wydziale Pieczy Zastępczej. Na co dzień wspiera dorosłych wychowanków w procesie usamodzielnienia. Wspiera też proces kandydatów do pełnienia funkcji rodziny zastępczej a także daje wsparcie wychowankom, którzy pozostają w instytucjonalnej pieczy zastępczej. Czy wiedziała od początku, że taki zawód będzie wykonywać? Zdecydowanie nie. Miała okazję sprawdzić się w bardzo różnorodnych rolach. Była przedstawicielką handlową, pracowała w studiu urody, gdzie prowadziła... zajęcia fitness. Wiele radości prywatnie sprawia jej rodzina, podróże, zgrana paczka przyjaciół i rola... babci.

Jak bardzo Twoja taka energia życiowa pomaga ci w twojej pracy?

Bardzo mi pomaga. Uważam się za osobę otwartą, ale też bardzo elastyczną. Uwielbiam pracę z drugim człowiekiem. Uwielbiam pracę zespołową. Nigdy nie stawiałam na „ja”, zawsze stawiam na my. Wiem, że bez zespołu, który tworzą fantastyczni ludzie, bo Wydział Pieczy Zastępczej jest fantastycznym wydziałem, nic by nam się nie udało.

Tylko w zespole jest siła i jest recepta na sukces, który wydaje mi się, że odnosimy każdego dnia.

Przy najmniejszej pracy, przy najmniejszym uśmiechu i podziękowaniu, ale też przy smutku i trudnych chwilach. Jest to bardzo ważne dla mnie.

Co najbardziej lubisz w swojej pracy? Co najbardziej doceniasz?

No widzisz, chyba znów się powtórzę. Chyba właśnie bardzo lubię tą pracę zespołową. Ale też dawanie możliwości doceniania pracowników za swoją pracę. To świadczy o zaufaniu. Ja ufam ludziom, z którymi współpracuję i w momencie, kiedy oni przychodzą do mnie z gotowym pomysłem, to chyba nie ma nic lepszego dla osoby, która zarządza zespołem, móc powiedzieć „super, brawo, trzymam za ciebie kciuki, jest to świetny pomysł, bardzo dobrze to wymyśliłaś, świetna praca”. Jestem też zwolenniczką poszukiwania mocnych stron u pracowników. Oznacza to, że wiem kto jak pracuje i w momencie, kiedy znam zasoby poszczególnego pracownika i wiem, że ktoś lubi na przykład tabelki, co jest bardzo, bardzo mało popularne, jeżeli chodzi o merytoryczny nasz wydział, to przydzielam to zadanie, żeby móc tą osobę za to pochwalić. Jeżeli wiem, że ktoś ma piękną, soczystą erudycję i potrafi pięknie się wysławiać, to zapraszam go na spotkania, bo wiem, że będę zawsze przy tej osobie się czuła bezpiecznie. Moi pracownicy, nasi pracownicy dają mi przede wszystkim właśnie takie poczucie bezpieczeństwa, ponieważ znam ich mocne strony, ale również potrzeby.

Skąd wiedziałaś, że to pomaganie to będzie taka twoja droga życiowa? To wiedziałaś od razu, czy musiałaś jednak znaleźć to swoje miejsce?

Nie wiedziałam, absolutnie. Zawsze gdzieś w duszy byłam społecznikiem, to na pewno. Zawsze lubiłam właśnie tę pracę zespołową. Lubiłam coś tworzyć razem, ale chyba raczej nie przyszło mi do głowy, że mogłabym pracować w pomocy społecznej. To był trochę taki przypadek. Jak zostałam młodą mamą, to kończyłam jeszcze liceum. I nie wiedziałam, co chcę zrobić w życiu, jak każda nastoletnia osoba tak naprawdę. 19 lat to jest jeszcze nastolatek. I poszukiwałam swojej drogi. Na początku myślałam może o jakiejś bankowości, ale tylko chyba dlatego, że wtedy to się kojarzyło, może to będzie jakiś taki prestiż, tak więcej się będzie zarabiać, może właśnie w tym kierunku. Moi ludzie byli zachwyceni tym pomysłem. Moja przyjaciółka, która już w tamtym czasie była na pedagogice, powiedziała do mnie wprost „Alka, spróbuj pracownika socjalnego. Idź w tym kierunku, zobaczysz, to ci się będzie podobać”. No i miała rację. Bardzo się cieszę, że jej posłuchałam wtedy. I faktycznie zaczęłam studia pracownika socjalnego i jestem tutaj, gdzie jestem.

Jak wyglądało to pierwsze zetknięcie z tymi osobami, które potrzebują wsparcia?

Ja podchodzę do każdej sprawy z ogromnym entuzjazmem. Jestem entuzjastką, to są kwiatki, fiołki, cała, cała plejada kolorów. I tak też podchodziłam do wszystkich podopiecznych. Ta praca z czasem, entuzjazm mi nie opadł, ale ona uczy pokory. Uczy pokory, ponieważ na pewnych etapach mojej kariery okazywało się, że ja nie zawsze mam rację. I to, co mi się wydaje, że będzie dobre dla ciebie, to nie znaczy, że to będzie dobre dla ciebie.

Uczy pokory, bo musisz umieć bardzo dobrze słuchać.

Musisz też potrafić odpowiednie pytania zadawać, żeby móc wyciągnąć z tej osoby to, czego ona chce. Bo my pomagacze mamy taki patent. My już wiemy, my ciebie widzimy, a my już wiemy, co tobie jest potrzebne. Idziesz tu, tu, tu, tu, tu, tu



Ta praca z czasem, entuzjazm mi nie opadł, ale ona uczy pokory. Uczy pokory, ponieważ na pewnych etapach mojej kariery okazywało się, że ja nie zawsze mam rację. I to, co mi się wydaje, że będzie dobre dla ciebie, to nie znaczy, że to będzie dobre dla ciebie.



mamy cały plan rozpisany, a później się okazuje, że ten plan zawodzi. Coś nie wyszło. No nie wyszło, bo nikt nie rozpoznał potrzeb w pierwszej kolejności tej osoby. I entuzjazm mi pozostał.

Nauczyłam się pokory. Chyba potrafię słuchać.

Wśród tych osób czy historii, które spotkałaś na swojej drodze zawodowej, które pamiętasz do tej pory?

Dużo jest tych historii, bardzo dużo, ale pamiętam historię małej dziewczynki, która była po strasznych przejściach, traumatycznych przejściach. Doznała wszelakiego rodzaju wykorzystywania. Pamiętam jej pierwszy dzień, w którym trafiła do rodziny zastępczej. Ona trafiła wtedy do pogotowia rodzinnego. I pamiętam, jak rozmawiałam z prowadzącą i na pytanie, jak tam nasza dziewczynka usłyszałam:" po trzech dniach siedzenia w domku u nas zapytała się, gdzie jest ta moja matka, gdzie ona polazła". Ona po trzech dniach zorientowała się, że tak naprawdę mamy nie ma. To jest historia pokazująca więzi, że to było naturalne w jej życiu, że matka pojawiała się i znikała, zostawiając je z ludźmi, którzy niekoniecznie powinni się nią opiekować. Ona zaczęła nabierać korzeni w tej rodzinie. Zaczęła pięknie wchodzić w cały system. Zaczęła pięknie się rozwijać. Do tego stopnia, że w tym momencie jest w szczęśliwej rodzinie adopcyjnej. I chyba tą historię tak jakoś naprawdę bardzo mocno zapamiętałam. Ten przykład bardzo często powtarzam. Jestem też trenerem PRIDE, czyli szkole przyszłe rodziny zastępcze do bycia w swojej roli. Opowiadam na szkoleniu, że zawsze gdzieś wychodzi słońce. I tej dziewczynce też wyszło słońce. Jest w naprawdę szczęśliwej rodzinie adopcyjnej. Wiemy o tym, ponieważ rodzina zastępcza ma z nią kontakt do tej pory.

Skąd ty bierzesz supermoce do tego, żeby mierzyć się z tymi historiami, które przytrafiają się na twojej drodze zawodowej?

Wydaje mi się, że od jakiegoś czasu zaczęłam sobie pewne rzeczy układać w głowie. Bo to nie jest tak, że to przychodzi tu i teraz. Pamiętam jak jeszcze miałam dzieci swoje w domu, bo już teraz nie mam ich. Byłam koordynatorem rodzinnej z pieczy zastępczej. Koordynator ma zadaniowy system pracy. Co oznacza, że tak naprawdę może można do niego zadzwonić chyba o każdej porze. Przynajmniej ja to tak traktowałam. Są pewnie osoby, które stawiają granice i słusznie. Ja tych granic wtedy nie miałam. I pamiętam jak moje dzieci bardzo mnie przedrzeźniały. „Mamo, znów pani Halinka, pani pani Halinka". Dosłownie z takim akcentem śmiejąc się ze mnie. I faktycznie ja potrafiłam po pracy, w pracy godzinami rozmawiać ze swoimi rodzinami zastępczymi. Już sama nie wiedziałam gdzie jestem. Czy jestem w pracy, czy jestem w domu. Z czasem zaczyna się to zmieniać. Zaczyna się stawiać na swój komfort psychiczny.

Nie masz innego wyjścia, bo przecież to jest tak trudna, obciążająca praca, że musimy mieć moment, w którym się musimy zresetować.

Tę siłę na pewno daje mi rodzina. Mam fantastyczną rodzinę, mam cudowne dzieci. Świetnego męża bardzo wyrozumiałego, który pozwala mi na swoje dziwactwa i często krzyczy do mnie: „Alutka, już nie jesteś w pracy", ale robi to w taki sposób, że czuje, że jeszcze mi na pewne rzeczy pozwala. Nie czuję się przez to źle, ale też tą siłę dają mi przyjaciele. Mam fantastycznych przyjaciół. Podróże krótsze i dłuższe. Superwizja koleżeńska w pracy. Wymienianie się doświadczeniami. Praca grupowa, zespołowa. Myślę, że to wszystko daje, że zaczynam sobie układać w głowie i wiem, co jest ważne w życiu.

Jak spotkałyśmy się i jak przeczytałam informację na twój temat, to nie mogłam uwierzyć w to, że jesteś już babcią, bo jesteś bardzo młodą babcią. Co daje tobie to doświadczenie?

Tak, ja sama czasami się zastanawiam. Matko Święta, jestem babcią, tylko że ta rola mi daje tyle radości. Ja jestem oczarowana byciem babcią. To jest historia niesamowita z tym babciowaniem, bo jak, no powtórzę się, bo to jest cudowne. Jak urodził się mój syn, mój syn Bartosz, to spojrzałam na niego i tak sobie pomyślałam, i ty będziesz ze mną przez całe życie, naprawdę? I ty jesteś mój? To się dzieje? I tak to się dzieje. Ale ja mam takie wrażenie, że my się z Bartkiem uczyliśmy tej miłości do siebie. To było wszystko strasznie nowe, ja byłam jeszcze tak naprawdę niedojrzałą osobą i wiem, że gdyby nie pomoc mojej rodziny, to mogłoby to się nie udać. Ja mam, tak jak mówiłam, fantastyczną rodzinę, bardzo wspierającą na każdym etapie, zarówno od mojego męża, jak i ode mnie. Dla odmiany, jak się rodzi wnuczek, to przychodzisz do niego na pierwszą wizytę i wiesz o tym, że ty go kochasz bezgranicznie, całego, po prostu całego, od główki





po paluszki. I to jest to, to jest ta miłość, bezwarunkowa kompletnie, nie trzeba się zastanawiać nad tym, bo to się po prostu czuje, to się wie i bardzo mocno się celebruje to szczęście z synem, z jego partnerką, z matką wnuka. Jest to ogromne szczęście, przynajmniej ja to tak czułam.

To jak lubisz spędzać czas ze swoimi wnukami?

W momencie, kiedy pojawiają się moi wnukowie, bo mam Nikodema czteroletniego i mam Szymonka dziewięciomiesięcznego, to Nikodem jest dzieckiem bardzo ruchliwym i też przy okazji bardzo absorbującym. Oczywiście wszystko przy zgodzie babci. Ja jestem cała dla niego. Tam nie ma momentu, w którym ja mogę powiedzieć Nikodemku, teraz babcia pójdzie ugotować obiad, żebyśmy sobie go zjedli. Nie, nie, nie, nie babcia, ja idę z tobą, ja idę z tobą. On jest cały czas obecny. Spędzanie czasu z wnukiem to jest, w moim przypadku to jest całkowite poświęcenie się tu i teraz tylko dla ciebie. Tam nie ma miejsca na inną działalność. A poza tym ja lubię mieć dzieci razem, nie co codziennie oczywiście, bo to też nie jest zdrowe, ale na przykład teraz w sobotę zaprosiłam moje dzieci i wnuków na taki wspólny obiad i staram się to robić bez względu na to, czy jest okazja, czy nie ma, po prostu lubię jak jesteśmy razem i to się dzieje.

Podkreślasz jak bardzo wartościowy jest zespół, w którym pracujesz, zespół z którym pracujesz. Czy masz jakiś sposób na to, żeby też im pomóc w tych trudnych sytuacjach, z którymi oni się mierzą w tym swoim życiu zawodowym, no bo to trzeba mieć swoje zasoby i jakiś swój dystans. Czy masz taki swój sposób na to, żeby ich trochę czasami podnieść na duchu?

A to zależy, bo podnoszę ich na duchu, bo wydaje mi się, że jestem właśnie takim trochę szefem małego zespołu, który chwali, wyciąga te mocne strony i to jest chyba ważne, że ja to widzę i ja to bardzo doceniam i mówię o tym, sygnalizuję, to było super, to jest ok, jesteś w tym dobra, ale też potrafię w sposób wydaje mi się dosyć taki rozluźniający przywołać moje dziewczyny, mój zespół do takiego porządku. Takim fajnym pytaniem, bo dosyć często je zadaję i myślę, że to też przeszło na zespół, jest no dobrze, ale czy ty masz na to wpływ? To jest takie fajne pytanie, które no nie, czyli rozumie, że chcemy sobie tylko tak o tym porozmawiać. No tak, okej, to rozmawiamy i to też wycisza nastrój i ten moment, w którym dochodzi do takiej eskalacji, ojejku, ojejku, co to będzie Mam na to wpływ, czy nie mam? Jeżeli nie mam, to dlaczego się frustruję? A jeżeli mam, to co mogę jeszcze zrobić? Czyli idę bardziej w tym kierunku i często używam tego argumentu i faktycznie wydaje mi się, że on często działa, ale też jestem czujna na nastroje w zespole. Kiedy widzimy, że coś się dzieje z kimś, nie zostawiamy go, dbamy też o takie sytuacje. Czy to są rozmowy indywidualne, czy to są rozmowy grupowe, spotkania, tak żeby ten nastrój, ale też te relacje w zespole były w porządku, żeby nam się chciało przyjść i pracować. Czyli jestem uważna, jestem czujna i staram się bardzo o to dbać.

Przygotowujesz też młodych do wejścia w dorosłość. Jakie są takie rzeczy, które ty chciałabyś przekazać, oprócz oczywiście tych wszystkich takich formalnych rzeczy, jak sobie poradzić w dorosłości, ale takie rzeczy od siebie, co można tym młodym ludziom, którzy mieli bardzo trudny start, powiedzieć w jakie zasoby można ich wyposażyć.

Przede wszystkim tym ludziom trzeba towarzyszyć. Nawet czasami oczekiwanie na nich. Bo to tak nie jest, że jest sztab ludzi, który chce ci pomóc, a oni w to idą. To tak nie wygląda. I jeżeli nam się wydaje, że młody człowiek, akurat ten, któremu chcemy pomóc, jest na tyle inteligentny, mądry, że powinien w to wejść, to też się często mylimy.

Ponieważ pomimo jego mądrości, inteligencji, ten młody człowiek może po prostu zwyczajnie po ludzku nie potrafić przyjmować pomocy.

Bo tyle osób dorosłych w jego życiu go zawiodło, że on przestaje tym ludziom po prostu ufać. I musimy chyba też, my jako osoby, które chcemy pomagać tym osobom, młodym ludziom wchodzącym w dorosłość, musimy znów wyłączyć swoje oczekiwania. Co ja potrzebuję, żeby móc żyć jako osoba pełnoletnia, samodzielna, dorosła? To bardzo mocno różni się od



tego czego potrzebują osoby, które do nas przychodzą.

Tym osobom brakuje wsparcia innej, bliskiej osoby.

Często jest tak, że wychodzą młodzi ludzie z placówek, z rodzin zastępczych i nie mają nikogo. Jest to przerażające, bo czasami tak sobie myślę, że większe zasoby ludzkie, te młodzi ludzie mieli wtedy, kiedy byli w biologicznej rodzinie, bo była jakaś ciocia, była jakaś babcia, ktoś tam się przewijał, już abstrahując od tego, czy to było dobrze, czy to było źle, ale był ktoś. A wychodząc z pieczy zastępczej, ta osoba często jest pozostawiona sama sobie, nie ma nikogo. I jedynym ogniwem, który zaczyna coś budować, to jesteśmy my. Jesteśmy my, czyli Wydział Spraw Osób Pełnoletnich właśnie w Wydziale Pieczy Zastępczej. Jeżeli nam się znów wydaje, że tej osobie najbardziej jest potrzebne mieszkanie na ten moment, tu i teraz, to też czasami musimy zweryfikować to. Pamiętam historię jednej naszej wychowanki, która otrzymała z projektu mieszkanie. Brała udział w projekcie, z fajnej fundacji, no i była bardzo szczęśliwa, bo była już po studiach, była w terapii własnej, gdzieś była zabezpieczona, jeżeli chodzi o takie zasoby wewnętrzne. Brakowało jej tego mieszkania, ono się pojawiło. Ale pamiętam, jak rozmawiałam z nią po jakimś czasie, jak już otrzymała to mieszkanie, jakaż ogromna była jej frustracja, jak ludzie, którzy dali jej to mieszkanie, ciągali ją po sklepach i dzięki temu, że byli sponsorzy, musiała kupić to, to, to, to, to, to, to, to, to. I ona mówi: „ja znów nie miałam na nic wpływu. Ja znów nie byłam w stanie wybrać tego, o czym marzyłam. To było piękne. Ja jestem wdzięczna. To jest najpiękniejsze, co mi się trafiło w życiu. Ale znów czułam, że to chyba nie do końca jest to”. To jest właśnie to, że nie potrafię przyjmować, to jest jedno, a po drugie znów nie mam na coś wpływu. I jeszcze jedną rzecz opowiadała później, jak sama kładła panele w tym swoim mieszkaniu i położyła ostatnią deskę, stanęła na tą deskę i powiedziała, to jest mój kawałek podłogi. I dopiero wtedy tak naprawdę poczuła się jak u siebie. Ona musiała to z własnymi rękoma zrobić. Owszem, pomoc jak najbardziej, ale też mądra. Też taka trochę ograniczona, z większą swobodą, z większą uważnością, z większym patrzeniem, z tym właśnie towarzyszeniem, a nie wchodzeniem w tą rolę tej młodej osoby.



LUDZIE Z MISJĄ

KONCEPCJA/PRODUKCJA

HELISA
FUNDACJA ROZWOJU SPOŁECZNEJ ODPOWIEDZIALNOŚCI

www.helisa.org

www.ludziezmisja.pl